



ELITY

M

O

M

Z

C

JOEY
GRACEFFA

DWIE DZIEWCZYNY. JEDNO PRZEZNACZENIE.

Feeria
ywow

ELITY
EDENU

JOEY GRACEFFA

WSPÓLNIE Z
LAURĄ L. SULLIVAN

PRZEKŁAD:
ANDRZEJ GOŹDZIKOWSKI

Feeria
young

Tytuł oryginału: Elites of Eden

Przekład: Andrzej Goździkowski

Redaktor prowadzący: Maria Zalasa

Redakcja: Marta Stęplewska

Korekta: Maria Zalasa

Skład i adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyńczak

Jacket design © Atria Books

Zdjęcie na okładce: Kristi Neilson

Copyright © 2017 by Joseph Graceffa

First published by Keywords Press/Atria Books, a Division of Simon & Schuster, Inc.

Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-753-2

Wydanie I, Łódź 2018

Wydawca: JK

ul. Krokusowa 1-3 92-101 Łódź

tel. 42 676 49 69

fax 42 676 49 29

www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Książkę tę dedykuję tym wszystkim, którym nieobojętny jest los naszej planety i którzy pragną uczynić ją lepszym miejscem do życia; tym, którzy rozumieją, że wszystkie podejmowane przez nas działania odciskają się trwale na środowisku naturalnym. Mam nadzieję, że wydarzenia przedstawione na kartach książki pozostaną fikcją literacką.

1

PRZEMIERZAMY ŚWIAT NICZYM STADO WILKÓW – długonogich, jasnoookich i żarłocznych. Jesteśmy piękne, jednak nasza uroda jest zwodnicza. Postronny obserwator mógłby pochopnie uznać, że cechuje nas miękkość, w rzeczywistości jednak mamy niesamowicie ostre kły.

Poruszamy się jak oddział żołnierzy z czasów sprzed Ekoklęski, gdy ludzie toczyli jeszcze wojny. Wszystkie pomniejsze istoty ustępują nam z drogi. Większość przypatruje nam się bacznie i tylko najodważniejsi odwracają od nas wzrok. Odmowa podziwiania nas uważana jest za wielką zniewagę. Śmiałkowie, którzy dopuścili się takiej bezczelności, są zapamiętywani. I karani.

Wokół nóg szeleszczą nam spódnice będące częścią naszego umundurowania. Jako córki prawników i polityków, świetnie wiemy, jak naginać obowiązujące reguły zgodnie z własnym widzimisię. Kodeks Akademii Dębów wypowiada się w kwestii ubioru dość oględnie – znajduje się w nim wyłącznie wymóg, by w ubiorze uczniów nie zabrakło symbolu naszej szkoły, to znaczy zielonego liścia i wici. Dąb symbolizuje siłę i solidność, na której wspiera się delikatny powój. Większość studentów ślepo stosuje się do wskazań Kodeksu – w efekcie wszyscy oni wyglądają tak samo, niczym bezmyślne klony, i zlewają się w jedną nierozróżnialną masę. My natomiast wyróżniamy się z tłumu.

Moja długa suknia nie została uszyta z jednego kawałka tkaniny, lecz zszyta z mnóstwa skrawków w kształcie dębowych liści. Wszystkie fragmenty utrzymane są w jesiennych barwach – czerwonej, złotej i pomarańczowej. Liściasta tkanina sięga mi aż do połowy łydki, jednak wystarczy zmienić lekko jej ułożenie, by przez strategicznie umieszczone rozcięcia wyjrzała naga skóra nogi. Na filmach z zamierzchłych czasów oglądałam dębowy las jesienią –

w podmuchach wiatru płomienne liście opadały z drzew, a cały las wyglądał, jakby szalał w nim pożar. Przy każdym ruchu moja suknia szeleści niczym poszycie lasów, których żaden z nas nigdy nie widział ani nigdy nie ujrzy na własne oczy. Stroju dopełnia kaftan w kolorze bladożółtozielonym, przywodzącym na myśl budzący się do życia wiosenny pęd, ozdobiony naszytymi wzorami wici, które pną się po moich żebrach.

Pearl wyglądała niczym motyl przemykający przez las. Jej strój w dyskretny sposób nawiązywał do tradycyjnego wzoru liścia i wici, jednak suknia uszyta była głównie z opalizujących nanocząsteczek. Ilekroć padało na nią światło, mieniła się zielenią, błękitem i srebrem. Na wysokości ud Pearl połyskiwała srebrzyście. Było jasne, że dziewczyna zrobiłaby furorę na dzisiejszej imprezie w klubie Deszczowy Las.

(W porę ugryzłam się w język. Całe szczęście, że nie podzieliłam się na głos tym spostrzeżeniem. Odkąd przed paroma miesiącami do klubu Deszczowy Las zaczęły zaglądać ludzie ze szkoły Kalahari, lokal ten przestał być miejscem, w którym wypadało bywać. Teraz bawili się tam wyłącznie przegrani. Gdyby Pearl usłyszała, że w ogóle przyszło mi do głowy, by się tam wybrać...).

Nasze stroje nieraz już budziły gniew dyrektora szkoły, jednak dopóki nasi rodzice płacili co roku astronomicznie wysokie chesne, miał on związane ręce. Czasami szkolne władze próbowały wpłynąć na nas, odwołując się do naszej dobrej woli. Dobre sobie, powodzenia! A tak w ogóle niby jak mamy serio traktować ludzi, którzy sami siebie nazywają „siostrami” i „braćmi”, skoro nikt na całej planecie nie ma rodzeństwa? Nie rozumiałam, dlaczego nawet służący w Świątyni używają wobec siebie właśnie takich określeń. Czyżby chcieli w ten sposób rozbudzić w nas nostalgię za starymi dobrymi czasami sprzed Ekokłęski? Za epoką, gdy rodziło się tyle dzieci – tyle sióstr i braci – że człowiek rozplenił się po całym świecie niczym szkodnik i ostatecznie skazał go na zagładę? Wyobrażacie sobie w ogóle, jak musiało wtedy wyglądać życie? Na świecie musiało się wtedy dosłownie roić od ludzi. Ohyda.

Obecnie na Ziemi egzystuje mniej więcej milionowa populacja. Uważam, że liczba optymalna i dająca się kontrolować. W takiej grupie jest wystarczająco wielu osobników, by nie być zmuszonym do praktykowania endogamii. No i nie muszę się obawiać, że wyczerpie się zasób chłopaków, z którymi mogę się umawiać na randki (z moich obliczeń wynika, że skoro w naszej szkole, do której uczęszcza dwustu uczniów, uczy się sześciu naprawdę superprzystojnych i wartych pewnego zachodu chłopców, na całym świecie czeka w sumie jakieś trzydzieści tysięcy przystojniaków. A zatem nawet gdybyśmy się nie wymieniały chłopakami, każda z nas miałaby do dyspozycji siedem tysięcy pięciuset kawalerów. A przecież zazwyczaj się wymieniamy, więc tym lepiej dla nas).

Poza tym łatwo podporządkować sobie populację liczącą do kilku milionów osobników. W czasach przed Ekoklęską królowe i prezydenci rządili znacznie większymi masami ludzkimi. Pearl uważa, że z łatwością poradziłaby sobie z rządami nad społecznością liczącą do miliona obywateli. Na razie trzeba przyznać, że rządzenie szkołą z internatem przychodzi jej z łatwością.

Pearl jest kanclerzem szkoły – to stanowisko obsadzone na podstawie głosowania wszystkich studentów. Nawet jednak gdyby nie została wybrana na ten urząd, i tak rozstawiałaby wszystkich po kątach.

Ja pełnię funkcję wicekanclerza. Moje stanowisko jest nieoficjalne i pomagam Pearl tylko wtedy, kiedy ona ma taki kaprys. A ostatnio jest bardzo kapryśna.

– Yarrow – syknęła właśnie do mnie. Udawała, że mówi szeptem, jednak każde jej słowo docierało do idących po obu naszych stronach Lynx i Copper. – Coś ty zrobiła z włosami?

Z zażenowaniem dotknęłam dłonią splecionych warstw moich blond włosów. Zacisnęłam z wściekłości zęby, ale już w następnej chwili przywołałam na usta beztroski uśmiech.

– Podoba ci się moja fryzura?

Rano eksperymentowałam trochę z farbiarką do włosów i ufarbowałam jedno z pasemek na turkusowo. Zapomniałam, że kolor będzie się utrzymywał przez

rok. Chciałam go usunąć, ale koniec końców zapomniałam. Ostatnio kiepsko sypiałam, bo dręczyły mnie jakieś dziwaczne sny.

– Nie – ucięła Pearl.

Miałam nadzieję, że nie będzie ciągnąć tego tematu. Postanowiłam w myśli, że przy pierwszej nadarzającej się okazji przywrócę pasemku naturalny kolor. Chwilę potem zobaczyłam jednak, jak Pearl wykrzywia usta w jadowym uśmiechu. W policzkach zrobiły jej się dołeczki, jednak uśmiech nadal wyglądał, jak warczała, obnażając zęby.

Zaraz potem runęła na mnie lawina zniewag.

– Gdyby Brat Birch i bestialec-meduza zrobili sobie bachora, a potem nigdy go nie przytulili, wyglądałby dokładnie jak twoje włosy.

Pearl uśmiechnęła się z samozadowoleniem, zachwycona własną pomysłowością. I faktycznie, przyznałam w myśli, ta uszczypliwość całkiem jej się udała. Inna sprawa, że Brat Birch zawsze napominał nas, byśmy szanowali Bestialców. Jasne, byli inni od reszty, jednak stawali się takimi, gdyż podążali za głosem powołania. Pod tym względem przypominali służących w Świątyni. Chyba nie powinniśmy z tego powodu naigrywać się z nich?

Copper i Lynx nie dorównywały Pearl bystrością, jednak były równie jak ona okrutne.

– Wyglądasz jak menel z zewnętrznego kręgu, który naćpał się syntetycznej meskaliny i wpadł do basenu pełnego niebiesko-zielonej mazi z wodorostów – stwierdziła Copper z wrednym uśmiechem.

– Dokładnie, jesteś taką biedaczką, że wyszałaś sobie z włosów wszystkie glony, a ostatnią porcję zachowałaś dla swojego chłopaka – radośnie wtórowała jej Lynx.

– Tego chłopaka, który ma kiłę.

– I jest taki głupi, że nie umie nawet odczytać rozkładu jazdy autopętli.

Pozwoliłam sobie na uśmiech. W miarę jak ich zniewagi stawały się coraz bardziej absurdalne, traciły swoją jadowitą moc. Praktycznie bez przerwy droczyłyśmy się ze sobą w taki sposób. Jasne, czasami to bolało, jednak

w rzeczywistości nikt nie mówił tego na poważnie. Po chwili pękałam już ze śmiechu razem z nimi.

Uśmiech zamarł mi na ustach, gdy Pearl powiedziała:

– I jest drugim dzieckiem.

Ta zniewaga była ciosem poniżej pasa. Oznaczała, że ktoś jest wyrzutkiem, człowiekiem niekochanym. Kimś, kto nie powinien w ogóle istnieć. Dla nas była to po prostu jedna z repertuaru obelg, taka sama jak „menel”. W rzeczywistości pozbawiona znaczenia, będąca po prostu kolejnym okrutnym przytykiem. Zresztą sama kiedyś użyłam tej zniewagi wobec Pearl. Było to dwa tygodnie po tym, jak przeniosłam się do Akademii Dębów. Pearl była pod wielkim wrażeniem mojej bezczelności i mianowała mnie swoją zastępczynią, oczywiście ku wielkiemu niezadowoleniu Copper i Lynx. One też próbowały potem przeżywać ją drugim dzieckiem, ale inwektywa nie miała już takiej samej siły. To ja byłam na tyle odważna, lub głupia, by użyć jej jako pierwsza. A Pearl ceniła innowatorów.

A zatem obelga ta nie miała żadnego znaczenia. Dlaczego w takim razie, słysząc ją, poczułam bolesny skurcz na dnie żołądka? Czemu coś ścisnęło mnie w gardle?

– Co się z tobą dzisiaj dzieje? – spytała Pearl i oddaliła się szybkim krokiem, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Popędziłam za nią, jednak na moje miejsce wcisnęły się już nasze dwie koleżanki. Musiałam się przepchnąć między nimi, żeby znaleźć się znów u jej boku.

Dopiero od niedawna uczęszczałam do Akademii Dębów, jednak miałam wrażenie, jakby czas spędzony w poprzedniej szkole należał do zamierzchłej przeszłości. Chodziłam wtedy do Jaskiń, innej elitarniej placówki zarezerwowanej dla potomków zamożnych rodów Edenu. Ale w momencie gdy uwolniłam się od jej błyszczącego czarnego mundurka i przywdziałam zielony kraciasty mundurek z symbolem liścia i wici, poczułam się, jakbym urodziła się na nowo. Moje dotychczasowe życie wydało mi się nagle całkowicie pozbawione znaczenia.

Kiedy po raz pierwszy Pearl zajrzała do mojego pokoju w bursie, zwróciłam uwagę na jej blad srebrne włosy, które sięgały dziewczynie niemal do talii.

– A ty to kto? – spytała zaczepnie. – A zresztą jakie to ma znaczenie? Powiedz mi lepiej, kim są twoi rodzice.

Szybko puściła mi oko, bo oczywiście wszystkich studentów poinstruowano przed moim przybyciem, by nie pytali mnie o rodziców. Moja mama pracowała dla rządu i zajmowała się jakimiś sprawami związanymi ze służbami specjalnymi, o których nie wolno było mówić. Fakt, że była szpiegiem, należał do najgorzej chronionych sekretów, ale już sama jej robota była naprawdę supertajna. Kiedy chciałam się z nią spotkać, zamiast do domu, musiałam udać się do Centrum. Spotykałyśmy się tam raz w tygodniu – jechałam do niej w piątek zaraz po lekcjach i zostawałam do sobotniego ranka. Traciłam w ten sposób okazję na piątkowe szaleństwa ze znajomymi, no ale przecież rodzina jest najważniejsza, prawda?

Wieczorem w dniu, w którym rozpoczęłam naukę w Akademii, Pearl zaprosiła mnie do swojego pokoju, gdzie wspólnie z Lynx i Copper lekko wstawiliśmy się, popijając pikantny *akvavit*. Chętnie wyobrażałam sobie, że to moja osobowość zdobywcy wzbudziła podziw Pearl, jednak prawda była bardziej prozaiczna – odnosiła się do mnie z sympatią, bo wiedziała, kim jest moja mama. Wcale mi to nie przeszkadzało. Gdybym była nudziarą, być może zadawałaby się ze mną, kierując się własnym interesem, ale na pewno nie byłybyśmy przyjaciółkami. Tymczasem przyjaźń z Pearl to najbardziej emocjonująca rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu. Dzięki niej czułam, że żyję. Czułam się wolna i nieokiełznana.

To znaczy nie zawsze, ale zazwyczaj.

Co prawda miałyśmy jasno wyznaczone cele: za kilka lat rządzić Edenem, jednak na razie byłyśmy tylko potulnymi studentkami. Dlatego też nasz wilczy chód stał się wolniejszy i mniej wyzywający, gdy mijałyśmy odzianą w jasnozielone szaty wysoką, wychudłą postać dyrektora szkoły Brata Bircha. Wiedziałyśmy, że w jego oczach powinnyśmy wyglądać na zwyczajne studentki.

Znałyśmy zasady tej gry.

– Dzień dobry, Bracie Birchcu – przywitała się Pearl, obdarzając dyrektora promiennym uśmiechem. Reszta naszej paczki wybąkała te same słowa pozdrowienia.

– Dzień dobry, dziewczęta. Niechaj Ziemia obsypie was swymi łaskami – odparł dyrektor.

Mimo że stał na czele Świątyni Edenu, co czyniło go najpotężniejszym duchownym na świecie, a także piastował funkcję dyrektora naszej szkoły, ubierał się w sposób bezpretensjonalny. Odziany był w szaty zarezerwowane dla stojących najniżej w hierarchii mnichów jego zakonu i kazał tytułować się po prostu bratem, jakby święcenia otrzymał nie dalej jak w zeszłym tygodniu. Biorąc pod uwagę sprawowany urząd, był całkiem młody – miał czterdzieści kilka lat. Jako sierota całe dzieciństwo spędził w Świątyni. Miał nieco zbyt długie ciemne włosy, które teraz były nieco zmierzwiłone, jakby przed chwilą przeczesał je dłońmi. Jego kozia bródka była za to równo przystrzyżona i lekko nasączona olejem. Wciągnęłam do nosa bijący od niej zapach. Pachniała... świeżo, orzeźwiająco, niemal czymś leczniczym. Woń była dziwnie znajoma, jednak mimo to nie potrafiłam jej zidentyfikować. Za każdym razem gdy spotykałam Brata Bircha, nachodziła mnie ochota, żeby nachylić się bliżej i powąchać go. Oczywiście nigdy tego nie robiłam.

Sprawał wrażenie prostego, dobrego człowieka. Ja jednak wiedziałam, że został poddany inicjacji i poznał największe Tajemnice. Zawsze w jego towarzystwie czułam się dziwnie skrępowana, chociaż nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego tak się działo.

– Jak się odnajdujesz w nowej szkole, Yarrow? – spytał.

Odpowiedź, która sama wyrwała mi się z ust, była oczywista i szczerą. Całe moje zdenerwowanie momentalnie ustąpiło.

– Wspaniale! Studenci są niesamowici. Mam już mnóstwo nowych koleżanek.

W rzeczywistości miałam trzy koleżanki, z czego dwie marzyły, by zająć moje miejsce. Wiele innych dziewczyn w szkole było dla mnie miłych. W sumie czym

to się różni od przyjaźni? Kto chciałby tracić czas na więcej znajomości?

– A jak idzie ci nauka? – zainteresował się Brat Birch, unosząc lekko brwi.

– No cóż... – Obląłam się rumieńcem.

– Siostra Margarita doniosła mi, że w twoim zeszycie do ekohistorii roi się od jakichś rysunków. Nazwała je strasznymi bazgrołami. – Dyrektor uśmiechnął się i dodał: – Chyba musisz bardziej uważać na lekcjach, nie sądzisz?

Skinęłam w milczeniu głową, a Brat Birch wykonał dyskretny gest, rysując w powietrzu między nami Znak Nasienia. W tym celu zacisnął pięść, po czym uniósł ją i rozpostarł palce, które ułożyły się na kształt kielkujących pędów. Zgodnie z oczekiwaniami, pochyliłam głowę, a dyrektor pobłogosławił mnie, dotykając czubka mojej czaszki dwoma złączonymi palcami.

– Yarrow, pamiętaj, że śledzę twoje postępy z wielkim zainteresowaniem – oświadczył.

Dziewczyny powstrzymywały się od chichotu, dopóki nie znalazłyśmy się w klasie, gdzie dyrektor nie mógł już nas usłyszeć.

– A cóż to niby miało znaczyć, Yarrow? – spytała Copper. – Śledzi twoje postępy z wielkim zainteresowaniem?

– Och – wtrąciła się Lynx, mruczając niczym kotka w rui. – Czyżby Yarrow miała słabość do Braciszka Bircha?

Słabość? Obrzydliwa myśl. Jak mogłabym się interesować trzykrotnie ode mnie starszym facetem, który w dodatku jest duchownym? Jasne, Brat Birch był na swój sposób pociągający; i miał niesamowicie świetliste spojrzenie, którego nie tłumili nawet implanty soczewkowe noszone przez każdego obywatela Edenu. Jednak zdecydowanie nie był mężczyzną w moim typie. Lubiłam facetów, którzy są bardziej...

W sumie to nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Kiedy spróbowałam wyobrazić sobie faceta moich marzeń, zobaczyłam tylko jakieś zamglone sylwetki. Najpierw ukazała mi się jakaś wysoka, szczupła męska postać, która jednak była bardzo odległa. Potem zobaczyłam nieco większą zamgloną sylwetkę. Miała szerokie ramiona, zbliżała się do mnie...

Potrząsnęłam szybko głową i po chwili parsknęłam śmiechem, dołączając do dziewczyn. Zanosiło się na to, że dzisiaj wszyscy będą się bawić moim kosztem. Od udawanych uśmiechów zaczynała mnie boleć twarz.

Dlatego żeby poczuć się lepiej, rozejrzałam się szybko za jakąś ofiarą, nad którą mogłabym się popastwić.

Niemal natychmiast wyszukałam idealny cel ataku – Hawka. Należał do najbardziej rozchwytywanych, i najzamożniejszych, chłopaków w Akademii. W murach szkoły był kimś w rodzaju męskiego odpowiednika Pearl, skupiając w swoich rękach wielką władzę. W normalnych okolicznościach zranienie kogoś takiego nastęrczałoby trudności, ja jednak wiedziałam o pewnej małej sprawie.

Ten idiota wkręcił sobie, że mnie kocha.

Na początku byłam dla niego milutka. Kiedy przez cały czas jest się wobec kogoś okrutnym, wówczas okrucieństwo traci swoją moc. Dlatego dobrze ukryć je za życzliwością, udawanym uczuciem, empatią. Tak, empatia ma kapitalne znaczenie. Jak moglibyśmy kogoś zranić, gdybyśmy wcześniej naprawdę i dogłębnie go nie poznali? A mnie odczytywanie ludzkich uczuć zawsze przychodziło z łatwością. Pearl zauważyła kiedyś, że przypatruję się różnym ludziom z takim zainteresowaniem, jakby byli okazami jakichś egzotycznych gatunków.

Czasami wydawało mi się wręcz, że innych rozumiem lepiej niż samą siebie.

W oczekiwaniu na początek lekcji Hawk zajął już miejsce w swoim Jaju. Jaja to kokony wirtualnej rzeczywistości, do których wchodzi wszyscy uczniowie, zapewniające zindywidualizowaną i wciągającą naukę. Patrzyłam, jak jego dłonie błędzą po interfejsie bloków danych, gdy na próbę przełączał różne opcje sensoryczne. Gesty te były niezwykle zmysłowe. Mimo woli natychmiast wyobraziłam sobie, jak jego ciemna dłoń gładzi coś żywego. Moją skórę. Zaraz jednak rozbrzmiały mi w głowie słowa Pearl: *Yarrow, wystrzegaj się sentymentalizmu i przywiązania. Miłość sprawia, że ludzie stają się słabi. Dziewczyna zapewne święcie w to wierzyła. Miłość to coś, co powinni wobec ciebie czuć inni. Jeśli natomiast sama się w niej rozsmakujesz, utracisz całą*

władzę. *Staniesz się niewolnikiem, niczym nieróżniącym się od pierwszego lepszego robota w zewnętrznym kręgu, który każdego dnia do końca życia będzie tyrał w fabryce.*

Dlatego szybko odepchnęłam myśl o Hawku pieścącym moje ciało. Wyobraziłam sobie, że głaska coś znacznie bardziej egzotycznego – na przykład kota. Żaden człowiek nie widział żywego kota od ponad dwustu lat. Przez ten czas nie widziano w ogóle żadnych zwierząt. Znaliśmy je jednak z filmów edukacyjnych. Widziałam kiedyś nagranie liczącego tysiące sztuk stada antylopgu przemierzających wielkie równiny. Obserwowałam, jak zwierzęta rzuciły się do rzeki, gdzie zostały pożarte przez krokodyle. Zapamiętałam też eleganckie kolibry, które flirtowały z kwiatami. A także węże, które owijały się wokół pni drzew. Wszystko to zapisane w martwych bitach bloków danych.

Cały ten świat należał już do przeszłości. Zanim ludzkość będzie mogła opuścić Eden i przetrwać na Ziemi, upłynąć muszą jeszcze całe stulecia. W Edenie zdani byliśmy na siebie i technologię, no i kilka wyjątkowo wytrzymałych gatunków glonów, grzybów i bakterii, które zapewniały nam pokarm.

– Miau – powiedziałam, mrużąc oczy i wślizgując się do Jaja zajmowanego przez Hawka. Kabiny zostały zaprojektowane dla jednej osoby, więc we dwoje było nam w środku dość ciasno. Hawk nie miał chyba nic przeciwko temu. Jesienne liście tworzące moją długą suknię rozsunęły się, a spod nich wyjrzała naga skóra. Hawk podążył tam spojrzeniem, jednak zaraz znowu spojrzał mi w twarz. Matka wychowała go na porządnego chłopaka.

– Cześć, Yarrow – powiedział, przesuwając się, żeby zrobić mi miejsce. – Podobały ci się kwiaty, które przesłałem do twojego pokoju?

Oczywiście nie były to prawdziwe kwiaty, tylko piękne kiście sztucznych lilii owiniętych w syntetyczny jedwab.

– Jakie kwiaty? – spytałam, otwierając szeroko oczy i przechylając lekko głowę na bok. Jak okrutna powinnam dziś dla niego być? Wystarczy, że zaprzeczę, że je dostałam? Czy może... – Ach, racja! – dodałam po namyśle. –

Teraz sobie przypominam, że znalazłam pod drzwiami jakieś chwasty. Pomyślałam, że to śmieci, których nie zauważyły sprzątaczk. – Po tych słowach zachichotałam i znów przechyliłam na bok głowę. – Obawiam się, że wspomniałam o tym przykrym incydencie Bratu Birchowi i zasugerowałam, że powinien niezwłocznie zwolnić Jessamine.

Bikk, znowu popełniłam błąd! Nie powinnam była się przyznawać, że znam imię sprzątaczk. Przecież to osoba stojąca znacznie niżej od nas w hierarchii społecznej. Gdyby Pearl się o tym dowiedziała, nigdy nie wybaczyłaby mi takiej wpadki. Często popełniałam takie żenujące błędy. Próbowałabym jej wytłumaczyć, że to charakter pracy mojej matki uwrażliwił mnie na tego typu szczegóły. Pearl w odpowiedzi zrobiłaby pewnie minę wyrażającą obrzydzenie. W jej odczuciu znajomość imienia sprzątaczk jest równie niestosowna, co znajomość nazwy jakiegoś śmiecia. Niewyobrażalne i śmiechu warte.

Hawk nie zwrócił żadnej uwagi na moją wpadkę. Kiedy skrytykowałam jego prezent, spochmurniał, ale był zbyt dobrze wychowany, by jakoś zareagować. *Arystokraci nigdy się nie wściekają*, powtarzała mi Pearl. *Arystokraci po prostu wyrównują rachunki*.

Pierwsze cięcie wykonane. Teraz pora nieco osłodzić mu cierpienie. Najpierw wepchnij sztylet... Zatrzymaj się... Pocałuj zranione miejsce... Następnie przekręć sztylet w ranie. Tylko wtedy zyskujesz pewność, że naprawdę zabol. Błyskawicznie nachyliłam się do Hawka i cmoknęłam go policzek. A właściwie spróbowałam go cmoknąć. Hawk miał jednak świetny refleks – odwrócił się do mnie w okamgnieniu, tak że moje wargi natrafiły na kącik jego ust. Wzdrygnęłabym się, jednak w ostatniej chwili się powstrzymałam. Tak naprawdę wcale nie chciałam się z nim całować. Zależało mi tylko na tym, żeby mnie kochał. Pragnęłam być kochana przez wszystkich, bo wówczas mogłabym wszystkich kontrolować. Marzyłam, by otoczyć się lojalnymi ludźmi, którzy nigdy mnie nie opuszczą.

Mój buziak wywarł jednak pożądany efekt. Twarz Hawka rozpogodziła się, a jego usta ułożyły się w uśmiech. Wybaczył mi.

– To nic – powiedział. – Następnym razem pošę ci ładniejszy bukiet.

Mało brakowało, a wygadałabym się przed nim. Owszem, dostałam od niego kwiaty, ale natychmiast kazałam Jessamine, żeby je wyrzuciła albo zaniósła do swojego, niewątpliwie obskurnego i ciasnego, mieszkanka lub zrobiła z nimi, co uzna za stosowne. Nie mogłam znieść ich widoku.

Hawk nachylił się do mnie, przez co ciasnota panująca wewnątrz Jaja stała się jeszcze bardziej dojmująca.

– Wieczorem rozpoczyna się Festiwal Śniegu – przypomniał. – Cieszysz się?

– Dla mnie to tylko pretekst, by pokazać się w nowej kiece – odparłam obojętnie.

W życiu widziałam już szesnaście śnieżnych dni. Musiały być dosyć nudne, bo prawie nic z nich nie zapamiętałam. Zachowałam tylko mgliste wspomnienie tańców, ucztowania i radosnej atmosfery. W mojej pamięci wyrył się natomiast jeden moment, gdy spoglądałam w nocne niebo. Zaczynał akurat padać śnieg i w miarę jak przybywało śnieżynek, miałam wrażenie, jakby na niebie świeciło coraz więcej gwiazd. Wreszcie całe niebo zostało zasłonięte przez zamieć, która trwała przez całą noc. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie zorganizowano wtedy obchody Festiwalu Śniegu.

Hawk momentalnie wychwycił mój znużony ton i zinterpretował go podług własnego widzimisię.

– Mnie też zawsze wydawało się to trochę dziwne – stwierdził. Ludzie zakochani zawsze interpretują twoje słowa w najkorzystniejszy dla siebie sposób. – Przecież Eden nie zna naturalnych opadów atmosferycznych. No i musimy oszczędzać wodę. Po co więc Ekopanoptikon co roku programuje na jedną noc opady śniegu?

– I jednodniowy deszcz sześć miesięcy później – dodałam.

Śnieg padał zawsze nocą, za to deszcz za dnia. Przypomniałam sobie, jak pewnego razu wybrałam się w jakieś wysoko położone miejsce, by z niego podziwiać Festiwal Deszczu. Czułam wtedy wielką ekscytację, gdy odchylałam głowę do tyłu, by łapać na język krople. Na południowym niebie zbierały się

wytworzone sztucznie czarne burzowe chmury.

– Pewnie Ekopanoptykon chce sprawić, byśmy chociaż przez chwilę poczuli się odrobinę normalniej – zadumał się Hawk. – Spójrz tylko.

Pogmerał przy kontrolkach Jaja i po chwili wokół nas wyświetliła się symulacja Festiwalu Śniegu sprzed wielu lat. Edycja ta musiała pochodzić z czasu, gdy jeszcze nie było mnie na świecie. Ludzie ubrani byli w staromodną odzież – powłóczyste, luźne ubrania w stonowanych barwach, które, jak sądziłam, nosiło pokolenie naszych dziadków.

Jajo zostało zaprojektowane z myślą o zapewnieniu studentom możliwie najbardziej angażującego doświadczenia dydaktycznego. Nie rozumiałam, po co właściwie mamy jeszcze nauczycieli. W gruncie rzeczy nasi belfrzy mogliby wprogramować do Jaja materiał kolejnych lekcji i zrobić sobie wolne. Wewnątrz kabiny wyświetlającego dla nas zimową scenę wyraźnie spadła temperatura. Zewsząd dobiegały śpiewy i wesołe pokrzykiwania, jednak równocześnie wszystkie dźwięki wydawały się przytłumione. Znalazłam się w samym środku tłumu. Mrok rozświetlały uliczne latarnie. W głębi duszy wiedziałam, że to wszystko jest tylko złudzeniem, jednak moje zmysły podpowiadały mi, że to prawda. Nie umiałam powstrzymać uśmiechu, gdy jakaś kobieta w podeszłym wieku uniosła trzymane na rękach niemowlę wysoko do góry. Malec wytrzeszczał oczy, a kobieta otworzyła jego małą piąstkę, żeby złapał płatek śniegu. W tym momencie Hawk nacisnął inny klawisz i scena gwałtownie się zmieniła – teraz widzieliśmy przed sobą sztuczny staw, którego powierzchnia została skuta lodem tylko na jedną noc. Po lodzie dość niezdarnie ślizgała się jakaś para. Jajo nasunęło mi na głowę kaptur wirtualnej rzeczywistości, tak że bym mogła poczuć, że ślizgam się razem z nimi.

Kiedy Hawk wyłączył symulację, byłam zdyszana. Temperatura we wnętrzu kokonu znowu niczym nie różniła się od tej panującej na zewnątrz. Samo Jajo na powrót stało się zwykłą maszyną, a produkowane przez nie iluzje przepadły bez śladu. Moje policzki nadal jednak płonęły po kontakcie z niedawnym mrozem.

Potrząsnęłam głową, chcąc odegnać nieoczekiwane poczucie rozradowania. Mój plan był prosty: chciałam poprawić sobie nastrój, wpędzając kogoś innego w dołek. Stało się jednak coś zgoła innego – moja niedoszła ofiara, którą zamierzałam zranić dla zabawy, władzy, a także po to, by nie wyjść z wprawy, sprawiła, że nagle poczułam się żywa. Niemal szczęśliwa.

Ale właściwie skąd się wzięło to uczucie? Przecież zawsze jestem szczęśliwa, czyż nie? Dlaczego miałabym nie odczuwać na co dzień szczęścia? Wszak niczego mi nie brakowało.

Nagle ogarnęły mnie wątpliwości, na co zareagowałam gniewem. Dlatego gdy Hawk nachylił się do mnie i spytał, czy zatańczę z nim wieczorem na Festiwalu Śniegu, wysunęłam arogancko brodę i palnęłam:

– Nie wybieram się na tę durną imprezę dla małolatów. Mam ciekawsze rzeczy do roboty z moimi przyjaciółkami.

Było to kłamstwo. Oczywiście wybierałyśmy się na Festiwal, od dawna planowałyśmy, jakie kiecki założymy z tej okazji. Pod koniec lekcji dosiadła się do mnie Pearl.

– Słyszałaś, że ludzie zasiedlający zewnętrzne kręgi organizują wybory króla i królowej Festiwalu Śniegu? Zwycięzcy dostają nagrody pieniężne oraz będą mogli spędzić noc w najbardziej elitarnym wewnętrznym kręgu rozrywkowym.

Wzmianka o konkursie obita mi się już o uszy.

– Pewnie chodzi o to, żeby podnieść na duchu przedstawicieli klas niższych – domyśliłam się. Temat ten niezbyt mnie interesował.

– Otóż to. Jak myślisz, co dobrego z tego wyniknie? Może proletariusze staną się bardziej zdeterminowani? Zapragną rzeczy niedostępnych z racji na miejsce zajmowane przez nich na drabinie społecznej? Tego typu inicjatywy nie przynoszą żadnych pozytywnych skutków. Po co mielibyśmy wpuszczać roboli do wewnętrznych kręgów, choćby tylko na jedną noc? Jeśli się na to pozwoli, zanim się obejrzymy, zaczną domagać się, żeby ich bachory mogły studiować w Akademii Dębów!

– Na pewno masz rację, Pearl – powiedziałam bez przekonania. Dziewczyna

przejmowała się tego typu sprawami o wiele bardziej niż ja. – No, ale cóż możemy na to poradzić? Jeśli tak zdecydowały najwyższe władze...

Pearl zamknęła mi usta jednym wymownym spojrzeniem.

– Kochana, to ja jestem najwyższą władzą.

Ostatnia lekcja tego dnia poświęcona była zarządzaniu Ziemią. Prowadzący ją Brat drzemał w kącie sali, podczas gdy my zapoznawaliśmy się w Jajach z tajnikami geologii. Wykłady z tej dziedziny były dosyć nudne. Tego dnia punkt wyjścia stanowił proces zwany szczelinowaniem. Okazało się, że przed Ekoklęską ludziom nie wystarczało zniszczenie skorupy ziemskiej, dlatego zaczęli również dobierać się do wnętrza planety. Zanim wykład zdążył się na dobre rozkręcić, zabrzmiały dzwony na wieży oznajmiające koniec lekcji. Kiedy Brat przebudził się gwałtownie i zawołał: „Jutro ciąg dalszy!”, wszyscy zdążyliśmy już wyskoczyć z naszych Jaj.

Uwielbiałam naszą dzwonnice, na której zamontowano karylion, a arogancki dźwięk dzwonów płynący nad całym kampusem budził mój zachwyt. Za ich sprawą o naszym rozkładzie zajęć informowana była na bieżąco połowa populacji kręgów wewnętrznych. Karylion obwieszczał wszem i wobec, że to my jesteśmy na tym świecie najważniejsi. Liczą się nasze, a nie wasze, pory wstawania, nauki, zabawy i snu. Co z tego, że chciałbyś pospać sobie dłużej? Skoro karylion wyznacza pobudkę studentom Akademii Dębów na godzinę 6 rano, ty też musisz zerwać się z łóżka o tej porze.

Kiedy puściłyśmy się biegiem do naszych burs, nad elitarnym sercem Edenu nadal rozbrzmiewało melodyjne bicie dzwonów. Bursy zostały zaprojektowane w taki sposób, że wokół świetlicy rozmieszczone były dwie lub trzy sypialnie. Zanim rozpoczęłam naukę w Akademii, tylko Pearl miała do dyspozycji własny pokój. Zapewniła sobie ten przywilej knuciem, ale też niewątpliwie pewną rolę odegrały tu pieniądze jej rodziców. Kiedy dołączyłam do Akademii w środku semestru, wszystkie budynki sypialne były zajęte, dlatego przeznaczono dla mnie jedną z sal nauczycielskich. Budynek, w którym zamieszkałam,

usytuowany był na przeciwległym krańcu kampusu i bliżej nauczycieli. Miało to jednak swoje plusy – wszystkie studentki zazdrościły mi wielkiej sypialni, prywatnej łazienki i niewielkiego pokoju gościnnego. Najbardziej zazdrosna była Pearl. Bez przerwy napomykała obsłudze, jak strasznie odizolowana rzekomo się czułam w tym odległym zakątku kampusu. Byłam pewna, że jak tylko zwolni się miejsce w dzielonych bursach, zostanę tam przeniesiona. Na razie jednak mogłam korzystać z mojego przywileju, który dawał mi pewną przewagę nad przyjaciółką.

Pearl chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Emanował z niej entuzjazm, który był do niej zupełnie niepodobny. Teoretycznie tak przyziemne stany emocjonalne jak ekscytacja są czymś poniżej naszej godności.

Zazwyczaj spotykałyśmy się w jej pokoju, jednak tym razem zawlekła mnie do mojego. Czułam się przez to trochę nieswojo. Pearl zawsze chciała rządzić i być w centrum uwagi. Skoro teraz obdarzała mnie uwagą, musiała mieć ku temu dobry powód.

– Dzisiaj wieczorem idziemy na miasto, żeby się zabawić – obwieściła, zwracając się do nas wszystkich. A następnie wyjaśniła nam, co planuje. Zamierzała skraść tytuł Królowej Śniegu jakiejś dziewczusze z zewnętrznego kręgu, która i tak na niego nie zasługuje.

OSOBIE POSTRONNEJ JEJ POMYSŁ MÓGŁ WYDAĆ się niezbyt rewolucyjny, jednak w rzeczywistości taki właśnie był. W Akademii Dębów obowiązywały zasady dotyczące opuszczania kampusu – była to szkoła z internatem. Nawiasem mówiąc, to dosyć dziwne, bo przecież wszyscy studenci pochodzili z wewnętrznych kręgów, niemal wszyscy z tych znajdujących się najbliżej szmaragdowego oka Centrum. Gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy w ciągu kwadransa każdego wieczoru na piechotę wrócić do domów rodzinnych, albo skorzystać z autopętli i w kilka minut dotrzeć na miejsce. Jednak w myśl filozofii wyznawanej na Akademii Dębów to właśnie wspólne mieszkanie budowało w nas poczucie wspólnoty niezbędne dla przyszłych przywódców Edenu. Rodziną byli dla nas teraz koledzy i koleżanki, nie zaś biologiczni rodzice. Mieszkaliśmy razem, razem studiowaliśmy, jedliśmy i spaliśmy. Oczywiście zgodnie z polityką jednego dziecka nikt w Edenie nie miał siostry ani brata, jednak w Akademii Dębów byliśmy dla siebie właśnie niczym rodzeństwo.

Mury kampusu mogli opuścić tylko studenci, którzy dostali przepustkę, zatwierdzoną przez zarząd szkoły i rodziców. Większość studentów na weekendy wracała do domu. Ja w każdy piątek odwiedzałam mamę w Centrum, gdzie toczyło się praktycznie całe jej życie. Rodzice również niekiedy dawali swoim pociechom pozwolenie na wieczorne wyjście do Edenu, by mogły się zabawić na prywatkach i w klubach. Władze szkoły wprawdzie nie odnosiły się z entuzjazmem do tych wypadów – ich zdaniem powinniśmy tkwić na kampusie, uczyć się lub zajmować czymś równie nudnym – jednak zazwyczaj nie robiły problemów. Zwykle wolno nam było co najmniej parę wieczorów

w tygodniu spędzić w klubie, który akurat cieszył się największą popularnością wśród młodych ludzi.

Wymykanie się z kampusu bez pozwolenia to jednak ciężki grzech, który mógł być podstawą do wydalenia studenta z uczelni.

Z reguły bez problemu udawało się nam w ostatniej chwili wymusić na rodzicach pozwolenie, a potem przepchnąć je przez uczelnianą maszynę biurokracyjną. Dzisiaj jednak był wyjątkowy dzień – wszyscy mieli stawić się na uroczystej gali z okazji Festiwalu Śniegu. Udział w obchodach był obowiązkowy. To taki moment, w którym studenci Akademii Dębów zacieśniają jeszcze łączące ich więzi. Za żadną cenę nie powinniśmy go zmarnować.

Kiedy zatem Pearl oświadczyła, że wymkniemy się wieczorem z kampusu, zupełnie mnie zamurowało.

– Coś nie gra, Yarrow? – spytała, przechylając lekko na bok głowę. Zrobiła przy tym tę swoją kocią minkę, która zazwyczaj zapowiadała, że za chwilę pokaże pazury. – Nie podoba ci się mój pomysł?

Atmosfera natychmiast się zagęściła. Lynx miała chyba ochotę powiedzieć coś, co ustawiłoby mnie w jeszcze wyraźniejszej kontrze wobec Pearl. Zapewne marzyła, bym odrzuciła pomysł przyjaciółki, bo wtedy mogłaby wślizgnąć się na moje miejsce. Mimo to trzymała język za zębami w obawie, że źle oceniła moje zamiary. Za to Copper dosłownie nie mogła usiedzieć na miejscu z niecierpliwości, czekając, co powiem. Wreszcie po długim namyśle, takim tonem, jakbym sama właśnie wpadła na ten pomysł, powiedziałam:

– Szkolne obchody Festiwalu Śniegu to straszna nuda. Poszukajmy jakichś fajniejszych rozrywek.

Pearl nagrodziła mnie swoim kocim uśmiechem. Poczułam się, jakbym właśnie zdała egzamin, którego stawką było moje życie. Niezwykle trudno było zapracować sobie na wdzięczność Pearl. Kiedy wreszcie człowieka spotykał ten zaszczyt, szczęście było nieporównywalne z niczym.

– Tak myślałam, że ci się spodoba ten plan – powiedziała. – Cieszę się, bo bez ciebie nie miałybyśmy szans.

A więc Pearl mnie potrzebowała! Ogarnęła mnie duma, lecz równocześnie poczułam dreszcz przerażenia. Miałyśmy co prawda opinię dziewcząt, którym niestraszne są żadne wygłupy, jednak numer, który planowałyśmy teraz wyciąć, był poważniejszy niż wszystkie nasze dotychczasowe zabawy.

– Yarrow, nie rób takiej zafrasowanej miny – prychnęła Pearl. – Dyrekcja szkoły z wymykania się robi wielkie halo, ale całe to gadanie jest tylko na pokaz. Serio wydaje ci się, że ośmieliliby się nas wyrzucić z Akademii? Reputacja uczelni uzależniona jest od tego, czy na liście studentów znajdują się ludzie tacy jak my. To my zapewniamy jej prestiż. Nawet jeśli ktoś nas przyłapie, rodzice wypiszą nam pozwolenie wstecz... dołożą do tego jakąś sowitą darowiznę i będzie po temacie.

Pewnie Pearl miała rację. Przecież temu właśnie służyły pieniądze i władza – były niczym tarcza chroniąca człowieka przed przykrymi konsekwencjami jego czynów. Jeszcze *nigdy* nie spotkało mnie nic złego. I tak już zostanie. Uśmiechnęłam się promiennie do Pearl. Nagle poczułam, że łączy nas ta wspaniała siostrzana więź, które będzie trwała przez całe życie. Wiedziałam, że nic mi teraz nie grozi.

– Cokolwiek postanowisz, jestem za – zapewniłam.

Lynx wyglądała na trochę rozczarowaną, że obeszło się bez dramatycznych scen. Nie pozostawało jej nic innego jak przystać na nasz plan.

– Super pomysł, Pearl! – zawołała ekstatycznie. – Ale jak właściwie się wymkniemy?

– To już moja działka. A właściwie Yarrow.

W miarę jak Pearl wtajemniczała nas w swój plan, robiłam się coraz bardziej zaniepokojona. Oczywiście byłam w stanie dokonać tego, o co mnie prosiła. Tylko że...

Przełknęłam nerwowo ślinę i zaciskając zęby, przywołałam na twarz uśmiech.

– Zrobię to, nie ma sprawy!

Dziewczyny zajęły się omawianiem szczegółów planu, podczas gdy mój wzrok błędził po wystroju pokoju. Zmieniałam go co kilka tygodni, bo nigdy nie

mogłam się zdecydować, który najbardziej mi odpowiada. Obecnie mój pokój przypominał wnętrze psychodelicznej groty albo kłębowisko gwiazd w środku galaktyki. Ściany ozdobione były krystalicznymi lampkami w kolorach topazu, fioletu i różu. Teraz były wyłączone, jednak nocą potrafiłam godzinami leżeć na łóżku i wyobrazać sobie, że unoszę się wewnątrz kosmicznej mgławicy. Nawet gdy zamykałam oczy, blask migających światełek przenikał przez moje powieki. Te wielobarwne krystaliczne lampki wokół mnie były czymś znajomym i bezpiecznym.

Dopiero gdy Pearl wyjawiała nam sedno swojego planu, wróciłam z powrotem na Ziemię.

– Wymkniemy się przez Świątynię – oznajmiła.

Kampus połączony był ze Świątynią. W ten sposób przypominano nam, że ponieważ należymy do elity, ciężą na nas specjalne obowiązki względem Ziemi. Jako grzeczne niewinne dzieci mogliśmy wstępować do Świątyni, kiedy tylko przyszła nam na to ochota, by modlić się o odpuszczenie grzechów popełnionych przez naszych przodków. Tak jakby planeta została zniszczona z *naszej* winy. W ciągu dnia Świątynia była otwarta na świat zewnętrzny. (Jednak, prawdę mówiąc, w tym czasie pokusa, by się wymknąć, była znikoma. Pora dzienna była do bólu nudna. Co niby miałybyśmy wtedy robić? Dołączyć do tłumów spieszących do pracy? Urządzić sobie wycieczkę do fabryki, żeby podziwiać pracę przy taśmie produkcyjnej?). Nie, to noc była naszą porą. Wtedy Świątynia była jednak zamknięta.

Kiedy Pearl podrzuciła nam ten pomysł, w pierwszej chwili popatrzyłam na nią, jakby jej odbiło. Lynx zareagowała na jej słowa przebiegłym uśmiechem. Pewnie oczami wyobraźni widziała już, jak zostaje złapana i wydalona z Akademii. Wówczas Lynx mogłaby z powrotem zająć miejsce najlepszej przyjaciółki Pearl.

– Przecież wejścia będzie strzegł odźwierny – przypomniałam.

– Jasne, ale inne drzwi nie będą strzeżone – odparła Pearl.

– Ale one przecież...

– Za Podniebną Aulą stoją budynki, w których mieszkają kapłani – przypomniała Pearl.

Osobom niebędącym kapłanami czy kapłankami pracującymi w Świątyni wstęp do nich był surowo wzbroniony. Zapuszczanie się tam zdecydowanie nie było dobrym pomysłem.

Mimo obaw złapałam się na tym, że nie mogę się doczekać naszej wieczornej akcji. Domyślałam się, że będzie dla mnie nie lada wyzwaniem i dostarczy mi sporo ekscytacji. Nagle ogarnął mnie klaustrofobiczny lęk, poczułam się w Akademii jak w klatce. Oczywiście zakrawało to na szaleństwo, bo przecież kampus był olbrzymi. Owszem, jego teren otaczały wysokie mury, jednak poza tym nie miałam powodów, by czuć się tu jak zamknięta w więzieniu.

– W takim razie na wieczór założę buty, które pozwolą mi poruszać się po cichu – stwierdziłam. – Coś mi się wydaje, że szpilki kiepsko się sprawdzą podczas naszej misji.

Mogłam zaakceptować ryzyko, które wiązało się z planem Pearl. Mój niepokój budziło coś innego. Ale oczywiście mimo to gotowa byłam wykonać powierzone mi zadanie. Wywiążę się z niego z uśmiechem.

Wieczorem wszystkie jak gdyby nigdy nic zajęłyśmy się strojeniem przed imprezą. Musiałyśmy zachowywać pozory, żeby nie wzbudzić podejrzeń dyrektora. Akademia to w gruncie rzeczy niewielka szkoła i gdy najważniejsi, najbardziej popularni studenci nie zjawiają się w wyznaczonym miejscu, wszyscy momentalnie to zauważają i zaczynają plotkować. Nasz plan wymagał, żebyśmy były wyraźnie widoczne.

Wybrałam się do budynku Pearl, jednak kiedy stanęłam pod drzwiami jej pokoju, usłyszałam, że z kimś rozmawia. Pomyślałam, że pewnie rozmówczynią jest Lynx i obie dziewczyny knują właśnie jakąś wymierzoną we mnie intrygę. Dlatego postanowiłam, że zamiast zapukać, postoję przez chwilę pod drzwiami i popodsłuchuję. Wydawało mi się, że rozmowa tocząca się w pokoju jest bardzo ożywiona. Nie byłam jednak w stanie rozróżnić słów. W pewnym momencie

jedna z rozmówczyń podniosła głos, który zabrzmiał teraz, jakby wydawała polecenia. Natychmiast go rozpoznałam. Wbrew moim wcześniejszym przypuszczeniom nie należał on wcale do Lynx.

To był głos mojej mamy.

Skąd ona się tu wzięła? I dlaczego rozmawiała z Pearl? Przycisnęłam ucho do drzwi, które jak się okazało, nie były zamknięte na zatrask i pod naporem mojego ciała uchyliły się na kilka centymetrów. Głosy momentalnie ucichły, a chwilę potem Pearl otworzyła gwałtownie drzwi na całą szerokość.

– Co jest, do cholery... – warknęła, a na jej twarzy zjawił się grymas niezadowolenia. Dopiero po chwili się zreflektowała. – Ach, to ty. Wcześniej przyszłaś.

– Mamo? – spojrzałam w głąb pokoju ponad ramieniem Pearl. – Co ty tu robisz?

Zauważyłam, że mama siedzi rozparta wygodnie na łóżku mojej przyjaciółki. Na mój widok przeczesła dłonią swoje krótkie blond włosy i powiedziała beztroskim tonem:

– Przyszłam, żeby się z tobą spotkać, kochanie.

– Ale dlaczego...

– Pearl przypomniała mi, że dzisiaj macie potańcówkę z okazji Festiwalu Śniegu, więc wpadnę do ciebie innym razem. – Po tych słowach mama podniosła się z łóżka, ani na chwilę nie wychodząc z roli energicznej, rzutkiej kobiety.

– Dobrze – powiedziałam, kiedy zbliżyła się do mnie i objęła mnie. Miałam wrażenie, że uścisk trwał nieco dłużej niż zwykle. Zanim zdążyłam pociągnąć ją za język, była już za drzwiami. Pomachała mi na odchodnym. Biedna mama. Praktycznie nigdy nie miała czasu, żeby się ze mną spotkać. Pracownicy Centrum tyrali bez wytchnienia. Mama nie oszczędzała się w tej pracy. Pewnie zresztą nie miała wielkiego wyboru. Do jej obowiązków należało przeciwdziałanie wszelkim powstaniom czy buntom, jakie mogłyby wstrząsnąć Edenem. A ponieważ nigdy do żadnych nie dochodziło, domyślałam się, że

mama wykonuje swoją pracę wzorowo.

Mimo to żałowałam, że nie możemy spędzać więcej czasu razem. Chciałabym się spotykać z nią częściej niż tylko w piątkowe wieczory. Była dla mnie najważniejszą osobą na całym świecie. Tylko ją darzyłam miłością i zaufaniem. Zawsze była dla mnie oparciem.

– Pearl – odezwałam się, kiedy moja mama już poszła – o czym rozmawiałyście?

Przyjaciółka zbyła moje pytanie machnięciem ręki.

– Takie tam dziewczynskie sprawy. Twoja mama ma super gust. Chciałam założyć na imprezę wysoko wiązane sandały, ale przekonała mnie, że w srebrnych czółenkach moje nogi będą wyglądały na dłuższe.

Na potwierdzenie swoich słów Pearl wsunęła stopy w czółenka i zaprezentowała mi swoje zgrabne nogi.

– No i podarowała mi jeszcze te kolczyki – przypomniała sobie po chwili. – Twoja mama jest naprawdę super.

Poczułam ukłucie zazdrości. Wolałabym, żeby to *mnie* mama doradzała, jakie buty założyć. I chciałabym, żeby to *mnie* dawała prezenty takiej, jak te lśniące zielonkawe klejnoty, które teraz zdobiły uszy Pearl niczym miniaturowe wersje Oka w Centrum Edenu. Mamy powinny wykonywać takie miłe gesty w stosunku do swoich córek. Jasne, kiedy ją odwiedzałam, poświęcała mi sporo uwagi – chciała wiedzieć, jakie mam marzenia; wypytywała o moje przyjaciółki; interesowała się tym, jak spędzam czas. Pilnowała, czy medytuję i wystarczająco odpoczywam podczas pobytu w Akademii. Ja jednak marzyłam, by od czasu do czasu porobiła ze mną coś bardziej na luzie, jak koleżanka z koleżanką. Marzyłam, byśmy wybrały się razem do salonu manicure albo na zakupy. Na to mama nigdy jednak nie znajdowała czasu.

Możliwe, że planowała dla mnie coś wyjątkowego – coś, do czego potrzebna jej była pomoc mojej najlepszej przyjaciółki. Może wpadła na pomysł, że podczas najbliższych świąt zrobimy coś tylko we dwie, i chciała, żeby Pearl pomogła jej dokładnie wszystko zaplanować. Na myśl o tym ogarnęła mnie

ekscytacja. Tak, musiało chodzić właśnie o to. Zbliżały się moje urodziny, a mama chciała podarować mi jakiś wyjątkowy prezent. Cóż innego mogłoby ją skłonić, by zamiast pójść prosto do własnej córki, spotkała się najpierw z Pearl? Niedługo potem, kiedy zajęłam się układaniem fryzury przyjaciółki, odkryłam, że humor mi się poprawił.

Pearl opłaciła kapelę, żeby zagrała nasz ulubiony utwór, kiedy przyjdziemy na festiwal. W odpowiednim momencie cynk muzykom dała jedna z wysługujących się nam dziewczyn, która liczyła, że kiedyś dopuścimy ją do naszego wewnętrznego kręgu, co oczywiście nigdy nie miało się stać. Cały kampus udekorowany był srebrzystym śniegiem, który w rzeczywistości tworzyły połyskliwe metaliczne nanoboty unoszące się w powietrzu na wysokości kolan. Nanoboty skrzyły się pięknie, prawdziwy śnieg w porównaniu z nimi wyglądałby jak brudny.

Pearl, która wystroiła się w ciasno opinającą jej ciało biało-srebrną koronkę, wyglądała niczym lodowa rzeźba. Błyszczące, niemal białe włosy upięta na głowie w wysoki kok, kilka kręconych pasemek opadało jej na twarz i wilo się na wysokości policzków. Wszystkie spojrzenia skupiały się na niej, ona jednak na nikogo nie zwracała uwagi, a nawet nie sprawiała wrażenie dumnej. Wyglądała najwyżej na lekko rozbawioną; wiedziałam, że lada moment może poczuć się znudzona. Wyłapywałam napływające z tłumu westchnienia zazdrości, ale też nieliczne złośliwe komentarze.

Na początku chciałam wystroić się w coś superodjazdowego, potem jednak uznałam, że najważniejsza tej nocy będzie funkcjonalność ubioru. Przecież planowałyśmy ucieczkę. Inna sprawa, że Pearl najwyraźniej perspektywa ta nie przeszkadzała się odstrzelić na ten wieczór. Zdecydowałam się na ołówkową spódnicę w kolorze rtęci i sięgające ud czarne buty, spod których wyglądały połyskliwe srebrne rajstopy. Stroju dopełniała góra wykonana w całości z czarnych sztucznych piór – gładkich i lśniących niczym skrzydła kruka. Podążałam dumnym krokiem tuż za Pearl. W normalnych okolicznościach

upajałabym się podziwem, jaki budziłam w innych studentkach, jednak dzisiaj przez cały czas skupiałam uwagę na drzwiach.

Kiedy zagrano nową piosenkę, nagle u mojego boku jak spod ziemi wyrósł Hawk.

– Witaj, piękna – przywitał się, gładząc miękkie pióra na moim ramieniu.

Wiedziałam, że odnajdzie mnie, gdy tylko się pojawię. Był zakochany, a wszyscy zakochani są okropnie przewidywalni. Tak łatwo nimi manipulować.

Spojrzenia wszystkich utkwione były nadal w Pearl. Właśnie dostrzegła chłoptasia, którego upatrzyła sobie na ten tydzień – czy może tylko na tę godzinę – i zaciągnęła go do stołu. Wiła się teraz wokół niego, wchodząc bez reszty w rolę płomiennej królowej lodu. Robiła tak wielkie przedstawienie, że wzroku nie umieli oderwać od niej nawet Braciszkanie i Siostry. Wiedziałam, że lada chwila każą jej się uspokoić. Na razie jednak nikt nie interweniował. Pearl naprawdę była zjawiskowa i niezależnie od tego, czy się ją uwielbiało, czy też nienawidziło, trudno było nie patrzeć.

Jednak Hawk najwyraźniej w ogóle jej nie zauważał. Skupiał się bez reszty na mnie.

Idealnie.

Przyciągnęłam go do siebie i przywarłam do niego całym ciałem. W pierwszej chwili wytrzeszczył szeroko oczy, ale już w następnej się całowaliśmy. Chwytałam jego dłoń i położyłam ją tam, gdzie tego chciałam. Jego dotyk sprawił mi rozkosz, a równocześnie wydał się czymś całkowicie niestosownym. Błyskawicznie odepchnęłam Hawka i wydałam z siebie dźwięk, który po części brzmiał jak wyrażający oburzenie pisk, po części jak krzyk przerażenia. Krzyk był tak głośny, że zagłuszył na chwilę muzykę.

Hawk z wrażenia otworzył szeroko usta i patrzył na mnie zdumiony. Wykorzystałam ten moment, by z wyciągniętymi przed siebie rękami odsunąć się od niego. Z moich ust popłynęła płaczliwa skarga:

– Jak mogłeś?

Rozejrzałam się wkoło w poszukiwaniu kogoś, kogokolwiek, kto wsparłby

mnie w tej chwili udawanego przerażenia. W okamgnieniu u mego boku zjawiła się Pearl.

– Ty potworze – odezwała się cicho, tak że usłyszeć ją mogli tylko ci stojący najbliżej. Wiedziałam, że to wystarczy, bo plotki szybko się roznoszą po szkole. Pearl objęła mnie ramieniem, jakby chciała mnie chronić. – Jak mogłeś jej to zrobić?

W tym momencie zbliżyła się do nas jedna z Sióstr i zaczęła dopytywać, co się stało. Pearl powiedziała jej wtedy na ucho coś, po czym Siostra oblała się rumieńcem. Spojrzała na Hawka takim wzrokiem, jakby miała do czynienia z przestępcą. Chłopak przez cały ten czas sprawiał wrażenie osłupiałego.

– Ależ ja nie... – wydukał, ale oczywiście nie dokończył, bo przecież nie miał pojęcia, o co jest oskarżany.

Siostra rozłożyła na boki ramiona, tak że zielona tkanina jej szaty utworzyła rodzaj muru oddzielającego delikatne bezbronne dziewczęta od brutalnego mężczyzny dybiącego na ich niewinność.

– Siostro – odezwałam się słabym głosem – czy mogłabym udać się do Świątyni? Całe to zajście sprawiło, że czuję się... zbrukana.

Na odchodnym zobaczyłam jeszcze, jak Brat Birch kładzie dłoń na ramieniu Hawka i prowadzi go w przeciwnym kierunku. Po chwili dołączyły do nas Lynx i Copper i wszystkie ruszyłyśmy ku Świątyni, prowadzone przez Siostrę, która nie przestawała dodawać mi otuchy pogdakiwaniem.

– Muszę już wracać – powiedziała w końcu, potrząsając ponuro głową. – Inne dziewczęta też potrzebują opieki przyzwoitki. Pomyśleć tylko, że coś takiego zdarzyło się w Akademii Dębów, i to w cieniu murów Świątyni! Współcześni młodzieńcy nie są już tacy jak kiedyś.

Najchętniej parsknęłabym śmiechem, ale udało mi się powstrzymać. Cóż takie zrzedliwe stare babsko może wiedzieć na temat młodych mężczyzn?

– Czy mogę was zostawić same w Świątyni? Nie będziecie się czuły nieswojo? Obawiam się, że wszyscy słudzy świątynni zostali na ten wieczór odwołani do obsługi festiwalu. Z wyjątkiem, rzecz jasna, odźwiernego.

Dokładnie na to liczyliśmy.

– Tutaj będę się czuć bezpieczna – zapewniłam nabożnym tonem – niczym w łonie Matki Ziemi.

Nie miałam bladego pojęcia, jak zdołałyśmy wszystkie zachować kamienną twarz.

Siostra jeszcze przez chwilę się ociągała z odejściem. Musiałam jej wreszcie przypomnieć, że lada moment spadnie śnieg. Dopiero wtedy zostawiła nas same.

Pearl przyjrzała mi się z podziwem.

– Poszło jak z płątka – ucieszyła się, strzelając palcami i wykrzywiając twarz w grymasie wyraz udawanego współczucia. – Widziałyście, jaką minę zrobił biedny Hawk? Myślicie, że wyrzucą go ze szkoły?

– Nie – odparła Lynx, przyglądając mi się zmrużonymi oczami. – Po prostu przyłgnie do niego etykiетка przestępcy seksualnego.

Wszystkie nagrodziłyśmy ten pomysł śmiechem. Kiedy jednak przypominałam sobie zdumiony wyraz twarzy Hawka, ogarnęły mnie mieszane uczucia.

– Znajdźmy drzwi i wiejmy stąd – powiedziałam. - Musimy się wydostać, zanim spadnie śnieg. W przeciwnym wypadku zostawimy ślady stóp.

Główna część Świątyni, w której wierni zbierali się na krótkie codzienne nabożeństwa oraz długie cotygodniowe msze, nakryta była niebieską kopułą, która w promieniach słońca wyglądała niczym sklepienie niebieskie. Teraz jednak, po zmroku, przypominała raczej strop lodowej jaskini. Wierni zaglądający codziennie do Świątyni, ci, którzy nie poświęcili się bez reszty oddawaniu czci Ziemi, woleli podczas nabożeństw mieć jakiś dach nad głową.

W swoich najświętszych częściach budowla była jednak otwarta na niebo – były to pozbawione dachów dziedzińce i rozświetlone blaskiem gwiazd sale. Kapłani twierdzili, że najlepiej cześć Ziemi można oddawać wyłącznie na świeżym powietrzu. Ilekroć para ludzi brała ślub, rodziło się dziecko albo ktoś w podeszłym wieku przynosił się do oczekującej go po śmierci wieczności, należało udać się do Podniebnej Auli. Właśnie tam skierowałyśmy się teraz. Sala

pozbawiona była zadaszania. Nad głowami człowiek miał tutaj tylko niebo, hulający wiatr, a wkrótce poproszyć miał z góry również śnieg. Dalej znajdowało się kilka sal, do których zwykli wierni nie mieli dostępu: wewnętrzna świątynia najwyższego kapłana Brata Bircha, a także Komnaty Tajemnic, czyli labirynt, w którym kryły się największe sekrety naszej religii.

Zakradłyśmy się do Podniebnej Auli. Posuwałyśmy się zbite ciasno w grupkę. Mimo udawanej odwagi w głębi duszy wszystkie się bałyśmy. W Auli ujrzałyśmy rzędy ławek wypolerowanych przez pokolenia wiernych. W naprzeciwległej ścianie dojrzałam drzwi prowadzące na zewnątrz. Niedaleko nich znajdowała się nisza, w której krył się odźwierny. Nie dawał on teraz znaku życia, podejrzewałam, że śpi. Miałam nadzieję, że nie spostrzeże, gdy wemkniemy się do prywatnych komnat. Jeśli zorientuje się, że zniknęłyśmy, uzna, że po prostu wróciłyśmy na imprezę.

– A co będzie, jeśli nas złapią? – zastanowiła się Copper.

– Najwyżej powiemy, że po napaści Hawka Yarrow uznała, że porzuci na zawsze kontakty z mężczyznami i przywdzieje szatę Siostry – odparła rezolutnie Pearl.

Spoglądałam na drzwi prowadzące do komnat, do których nikomu nie wolno było wchodzić. Ze zdenerwowania rozboleł mnie brzuch. Co mi strzeliło do głowy, że mogę tego dokonać? Najchętniej wróciłabym teraz na obchody festiwalu i słuchała, jak Hawk zasypuje mnie komplementami, mimo że przecież wcale mi na nim nie zależało. W tej chwili pragnęłam, by moje życie wróciło do normy i nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo.

I właśnie wtedy usłyszałam, jak Pearl tym swoim głosem, w którym pobrzmiwała wyższość, pyta:

– Co, strach cię obleciał?

Podziałało to na mnie niczym czerwona płachta na byka. Wysunęłam do przodu brodę i przez zaciśnięte zęby rzuciłam:

– Idziemy.

Ruszyłam przodem, wiodąc całą naszą grupę.

Copper, Lynx i Pearl wbiegły za mną do środka, powstrzymując śmiech.

– Nie do wiary, że tu jesteśmy – powiedziała Copper, wodząc dookoła wzrokiem. Po chwili przezornie wykonała Znak Nasienia i dodała: – Żebyśmy tylko nie wpakowały się w tarapaty.

Spodziewałam się, że wnętrze będzie miało jakiś niezwykle mistyczny charakter, jednak wydało się zupełnie zwyczajne. Znajdowałyśmy się teraz nie tyle w sali, co w długim wąskim i wijącym się korytarzu. Jego wnętrze rozświetlały pochodnie, w których spalały się jakieś chemikalia wydające dziwną delikatną woń. Tylko kilka razy w życiu widziałam na własne oczy prawdziwy ogień. W Edenie nie było drewna ani węgla. Niemal wszystkie materiały, którymi się posługiwaliśmy, były dziełem ludzkich rąk i nie ulegały spaleni. Płomienie pochodni pełgały w hipnotycznym tańcu, rzucając ruchliwe długie cienie na ściany.

Ponieważ przebywać tu mogli wyłącznie kapłani i kapłanki Świątyni, nie miałyśmy pojęcia, jaki jest rozkład tych pomieszczeń. Dlatego, chcąc jak najszybciej odnaleźć drzwi prowadzące na zewnątrz, rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Pearl skierowała się w jedną stronę, a Lynx natychmiast ruszyła jej śladem. Poszłam w przeciwną stronę, a Copper po chwili namysłu dołączyła do przyjaciółki.

Nie cierpiałam chwil, gdy zostawałam sama. Kiedy zabrakło ludzi wokół, zawsze czułam się pusta i jednowymiarowa. Czasami dopadało mnie w takich momentach przerażenie, chociaż nigdy się do tego nie przyznawałam. Powtarzałam sobie teraz, że przecież nie dzieje się nic złego, bo dziewczyny są tuż obok. Próbowałam się przekonać, że tak naprawdę wcale nie jestem sama.

Kiedy zadarłam głowę, zobaczyłam, że na ciemniejszym niebie zaczynają się skrzyć pierwsze gwiazdki. Po zewnętrznej stronie korytarza natrafiłam na szereg drzwi. Kiedy jednak otwierałam je kolejno, okazywało się, że to po prostu spartańsko umeblowane cele kapłanów, z łóżkiem, stolikiem i lampą.

Wreszcie odnalazłam drzwi po wewnętrznej stronie korytarza. Nie

dostrzegłam nigdzie klamki, jednak wystarczyło, że ich dotknęłam, a odsunęły się na dobrze naoliwionych zawiasach. Wkroczyłam do całkowicie pustego pomieszczenia na planie sześciokąta. W każdej z jego sześciu ścian widniały drzwi. Kiedy otworzyłam jedno z nich, okazało się, że prowadzą do kolejnego sześciociennego pokoju. W ten sposób zwiedziłam kilka identycznych sal. I nagle uświadomiłam sobie, że nie zapamiętywałam, przez które drzwi przechodziłam po kolei. Momentalnie wpadłam w panikę. Spróbowałam odtworzyć kolejne etapy mojej wędrówki, ale szybko się pogubiłam. Za dnia może udałoby mi się znaleźć drogę powrotną, kierując się położeniem słońca. Jednak teraz, gdy zapadał zmierzch, a na niebie świeciły tylko blade gwiazdy, nie mogłam liczyć na pomoc z tej strony. Zaczynało do mnie docierać, że zabłądziłam w tym labiryncie przypominającym plaster miodu. Każda sala wyglądała identycznie – pusta i z sześciorgiem drzwi.

Wreszcie znalazłam się w pomieszczeniu, które wyglądało inaczej niż pozostałe.

Odróżniał je tylko jeden szczegół – na jego środku na postumencie umieszczono szklaną misę wypełnioną ziemią.

Zrozumiałam wtedy, że odnalazłam jedną z Komnat Tajemnic.

Widok ten zarezerwowany był dla garstki kapłanów i kapłanek, którzy zostali wtajemniczeni w najwyższe arkana naszej religii. Oczywiście Komnaty, jak każda niewiadoma, rozpały ciekawość zwykłych zjadaczy chleba. Niektórzy sądzili, że kryją zmumifikowane ciało twórcy Edenu i człowieka, który ocalił ludzkość – Aarona Al-Baza. Inna teoria głosiła, że znajduje się tu kod źródłowy Ekopanoptykonu – potężnego programu komputerowego, który utrzymywał przy życiu Eden.

To, co odnalazłam, było jednak znacznie prostsze, a zarazem miało donioślejsze znaczenie. Żaden z mieszkańców Edenu od ponad dwustu lat nie widział na własne oczy ziemi – prawdziwej, zwyczajnej gleby. Po tym jak zniszczyliśmy planetę i niemal wszystkie żywe organizmy, musieliśmy schronić się w tej sztucznej oazie. Powierzchnia Ziemi nadal była zbyt skażona, by mogło

się na niej rozwinąć życie. Gleba była tak trująca, że nie wyrosłoby w niej żadne ziarno. A jednak tutaj, w tym pustym pomieszczeniu, stała misa pełna żywej czarnej gleby.

Czy to w ogóle możliwe? Powinnam jak najszybciej stąd odejść. Jednak nie umiałam się opanować. Zbliżyłam się powoli do postumentu, nachyliłam się nad misą i wciągnęłam głęboko powietrze. O, wielka Ziemio – ten zapach! Głęboki, bogaty, niezgłębiony. Woń emanowała życiem. Opanowało mnie pragnienie, by jej dotknąć, jednak nie miałam dość odwagi. W końcu przemogłam się – dotknęłam palcem powierzchni ziemi, pozostawiając na niej ledwo widoczny odcisk. Uniosłam dłoń i roztarłam w palcach pył, który osypał się z powrotem do misy. Wiedziałam, że nie mogę zmarnować ani jednej drobin. W końcu to jedyna pozostałość nieskażonej ziemi na całej planecie.

Dziwna woń pozostała na moim palcu. Była niesamowita, ale równocześnie... z jakiegoś powodu nie budziła mojego zdumienia. Każdy mieszkaniec Edenu na moim miejscu padłby na kolana porażony tym widokiem. Byłaby to dla niego widzialna obietnica, że pewnego dnia nasi potomkowie znów będą mogli kroczyć po dzikiej i czystej planecie. Ta świadomość byłaby niczym duchowe objawienie.

Ja jednak nie czułam nic takiego. Zamiast tego ogarnęło mnie rozczarowanie. Nie mogłam pogodzić się z tym, że na świecie pozostała tak mała kupka ziemi. Nagle opanował mnie irracjonalny gniew – najchętniej straciłabym misę i pozwoliła, by jej zawartość rozsypała się na posadzce. Niemożliwe, by to było wszystko, co zostało – piekliłam się w myśli. Ziemia jest przecież ogromna! Porastają ją łąki i lasy, zamieszkiwane przez jelenie. To, na co spoglądałam teraz, to jakiś żart. Parodia ziemi, iluzja...

Wyciągnęłam przed siebie rękę i dotknęłam krawędzi misy. Ujęłam ją w dwa palce. Nie poważyłabym się na takie świętokradztwo... Do głowy przychodziły mi teraz różne szalone pomysły, lecz przecież ten relikw miał zbyt wielką wartość.

Wtem usłyszałam tuż za sobą głośny pisk i w tej samej chwili ktoś schwycił

mnie za ramiona i odwrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Ruch był tak gwałtowny, że nie zdążyłam w porę wypuścić misy. Niczym w zwolnionym tempie widziałam, jak naczynie zsuwa się z postumentu. Moją szyję łaskotały loki Pearl. Przyjaciółka chichotała głośno, rozradowana, że w końcu mnie odszukała.

– Znalazłyśmy to – wrzasnęła mi do ucha, a w tej samej chwili misa runęła na ziemię i roztrzaskała się u moich stóp. Ziemia rozsypała się po posadzce. Pearl była taka z siebie dumna, że nawet nie zauważyła, co się stało. Wypchnęłam ją szybko za drzwi.

– Musimy uciekać. Natychmiast! – krzyknęłam. Pierwszy raz w życiu wydałam polecenie Pearl.

– A co to? – spytała, wyciągając szyję, żeby spojrzeć mi nad ramieniem.

– Wystawa artystyczna – skłamałam, wypychając ją do sąsiedniej sali i zamykając za nami drzwi. Wiedziałam, że mam spojrzenie człowieka, który postradał zmysły. Próbowałam udawać beztroskę, ale średnio mi to wychodziło. Wiedziałam, co mnie czeka: zostanę ekskomunikowana, a potem stracona. W końcu zdołałam przywołać na usta uśmiech, który pewnie wydał się jej obłąkany. – Mówiłaś, że znalazłaś wyjście ze Świątyni. W takim razie chodźmy. Nie mogę się doczekać naszej imprezy z okazji Festiwalu Śniegu!

Pearl zaprowadziła mnie z powrotem do Podniebnej Auli, gdzie czekały już na nas Lynx i Copper. A chwilę później, akurat w momencie gdy z nieba posypały się pierwsze płatki śniegu, wkroczyliśmy do Edenu

3

– **UDAŁO CI SIĘ! – ZAWOŁAŁAM, KIEDY BIEGIEM** oddalałyśmy się od sceny pod gołym niebem. To tam ludzie z zewnętrznych kręgów zorganizowali wybory Królowej Śniegu. Śnieg nie przestawał padać od wielu godzin. Przy każdym kroku potykałyśmy się i ślizgały, jakbyśmy za dużo wypłyły. Temperatura powietrza została sztucznie obniżona, a świat skrył się za tumanami białego puchu.

– A co? – spytała zaczepnie Pearl, wyginając w łuki swoje idealne bladozłote brwi. – Miałaś wątpliwości, że dopnę swego?

Prawdę mówiąc, owszem, miałam. Pearl musiała zmierzyć się ze wszystkimi pięknosciami z zewnętrznych kręgów. Niektóre dziewczyny bez dwóch zdań dorównywały jej urodą. Oczywiście nie zamierzałam dzielić się z nią tymi przemyśleniami. O jej zwycięstwie zdecydowała historyjka, którą poczęstowała publikę. Zapisła się do konkursu pod fałszywym nazwiskiem, a potem w długim monologu opowiedziała, jak to przymierający głodem członkowie jej rodziny przez wiele tygodni odmawiali sobie śniadania, by zaoszczędzić pieniądze na zakup materiału na suknię. Z jej słów wynikało też, że pracująca na trzy etaty matka nocami szyła jej konkursową kreację. Była to niesamowicie wzruszająca opowieść o wytrwałości w obliczu nędzy. Pod koniec nawet ja miałam łzy w oczach. Pearl odegrała tę rolę na medal (swoją drogą pomogły też obowiązkowe dla studentów Akademii Dębów lekcje dykcji).

No a teraz uciekałyśmy, przytulone jak najlepsze przyjaciółki. Całe nasze współzawodnictwo (na chwilę) przestało się liczyć. Reporterzy rozglądali się za słodką „Ruby”, która skradła wszystkim serca. Wkrótce czekały ich dwa rozczarowania – mieli dowiedzieć się, że dziewczyna nie tylko znikła bez śladu,

ale też nigdy w rzeczywistości nie istniała. Pearl nadal promieniała po odniesionym zwycięstwie. Po drodze do najbliższej stacji autopętli minęliśmy żebraka, któremu wręczyła wygraną w konkursie przepustkę do kręgu rozrywkowego.

– No i popatrz, koniec końców konkurs faktycznie wspomógł biednych – oznajmiła.

Na myśl o tym, że ten brudny obdarty łachmaniarz zostanie za darmo wpuszczony do najelegantszych klubów nocnych Edenu, obie parsknęłyśmy śmiechem. Pearl postanowiła, że drugą z nagród – pełną środków kartę kredytową – zatrzyma i sfinansujemy z niej czekające nas nocne szaleństwa. Bo przecież dla nas noc dopiero się zaczynała.

Zaproponowałam, żebyśmy najpierw zajrzały do Arktyki. Motyw przewodni tego klubu świetnie przecież współgrał z dzisiejszym festiwalem. Lokal przyciągał studentów Akademii Dębów oraz innych elitarnych szkół. Ale oczywiście akurat tej nocy działało to na jego niekorzyść.

– Mam lepszy pomysł – odparła Pearl. – Po co mamy chodzić w to samo miejsce, co zawsze. Przecież zobaczymy tam gęby, które i tak już znamy. Chodźmy lepiej do Tidala!

Nigdy nie słyszałam o takim klubie.

Pearl przewróciła oczami.

– Jak już poznasz to miejsce, będziesz mi dziękowała do końca życia.

Zaprowadziła nas do jednego z najwyższych budynków w wewnętrznych kręgach. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie zwracałam uwagi na tę dzielnicę. Roilo się w niej od urzędowych gmachów. Tłoczyli się tu ludzie, którzy marzyli tylko o tym, by zarobić jeszcze więcej forsy. Oczywiście nie biedacy, tylko dobrze sytuowani obywatele z apetytem na większą fortunę. Dla mnie jednak nie miało to znaczenia. Studenci Akademii Dębów pochodzili z tak zamożnych rodów, że nigdy nie musieli się nawet zastanawiać, skąd się biorą ich pieniądze. W naszym kręgu towarzyskim były one sprawą, o której wręcz nie wypadało wspominać. Podobnie jak nasze rodziny, pożąдалиśmy raczej władzy i wpływów.

Kiedy zbliżyliśmy się do wskazanego przez Pearl drapacza chmur, w pierwszej chwili wydawało mi się, że cały parter jest wygaszony.

– Tutaj nie ma żadnego klubu... – zaczęłam, jednak zaraz ugryzłam się w język.

W głąb ulicy ciągnęła się kolejka gości oczekujących na wpuszczenie do lokalu. Kiedy im się przyglądałam, nagle poczułam, że tu nie pasuję. Wszyscy ci ludzie byli olśniewająco piękni. Jasne, nam też nie brakowało urody, jednak bywalcy tego klubu obdarzeni byli czymś jeszcze – pewnością siebie, o której my mogłyśmy tylko marzyć. Nie potrafiłam wskazać, na czym właściwie to polegało. Może wszyscy – zarówno my, jak i oni – należeliśmy do plemienia nieustraszonych wojowników, jednak ja i moje przyjaciółki nadal toczyłyśmy bitwę, podczas gdy ludzie w kolejce dawno już odnieśli zwycięstwo.

Wszyscy oni byli młodzi, zaledwie kilka lat starsi od nas. Byli jednak dorośli. Te dwa czy trzy lata więcej stanowiły zasadniczą różnicę. Zauważyłam, że nawet Pearl potrzebowała chwili, żeby wziąć się w garść. Ale zaraz potem ruszyła pewnym krokiem ku wejściu, omijając wszystkich oczekujących w kolejce. Posłała bramkarzowi przymilny uśmiezek i miała już przekroczyć próg, gdy mężczyzna wyciągnął muskularne ramię, zagradzając jej przejście.

– Wstęp tylko dla osób powyżej osiemnastego roku życia.

– A co, nie wyglądamy na tyle? – parsknęła śmiechem Pearl. Zmrużyła oczy, robiąc zalotną minę.

– Nie – uciął krótko bramkarz, po czym odwrócił się z powrotem do olśniewających kobiet z początku kolejki. Kobiety spiorunowały nas wzrokiem, po czym zachęczone przez mężczyznę wślizgnęły się do pogrążonego w półmroku atrium.

W twarzy Pearl zaszła gwałtowna zmiana – wykrzywił ją teraz ohydny grymas złości, którego nigdy jeszcze u niej nie widziałam. Pewnie od dawna nikt nie utarł jej nosa.

– O nie – oświadczyła nagle, kiedy powoli oddalałyśmy się od wejścia. Usłyszałam, jak kilka pięknych kobiet stojących w kolejce naśmiewa się z nas. –

Wejdziemy dzisiaj do Tidalą, choćby nie wiem co. Za mną!

Teraz znów przemawiała przez nią Pearl, którą znałam i kochałam. Ruszyliśmy w głąb ulicy, posuwając się po łuku tworzącym krawędź kręgu biurowego. Wreszcie dotarliśmy do końca budynku. Pearl dała wtedy nura w ciemną boczną uliczkę.

– Musi być jakieś boczne wejście – powiedziała zdyszana, szarpiąc za drzwi zaopatrzenia.

W końcu trafiła na takie, które nie były zamknięte na klucz. Pokonałyśmy schodami parę pięter, potem wskoczyłyśmy do windy i pojechałyśmy na dach. Nadal jednak nie trafiłyśmy na imprezę. Winda dotarła na górującą nad dachem platformę, skąd krętą zjeżdżalnią mogłyśmy dostać się na położony niżej dach, gdzie trwała dzika balanga.

– Nie ma mowy – zaproponowała Copper, krzyżując ramiona na piersi. – Jest jeszcze wcześniej, nie mam zamiaru zniszczyć sobie kiecki w wodzie.

Pearl chyba była podobnego zdania. Ja natomiast nie miałam takich oporów. Nie przejmując się zupełnie, jak zniosą to delikatne piórka mojego kostiumu, wdrapałam się po drabince do ślizgawki.

Pędzenie w dół na złamanie karku było cudownym i w pewien sposób znajomym uczuciem. Kiedy mknęłam klaustrofobicznym tunelem zjeżdżalni, wokół mnie rozbłyskały światła ułożone w pasy. Czułam się, jakbym była wciągana przez jakiś wir. Na każdym z zakrętów światła wzbogacały się o dodatkowe kolory, aż wreszcie poczułam się, jakbym znalazła się wewnątrz tęczy i płynęła wskroś nieba skąpanego w tysiącu barw. Ta jazda była niesamowicie ekscytująca! Nagle ogarnęła mnie ciemność, przez chwilę miałam wrażenie, jakbym unosila się w przestrzeni kosmicznej. Nie miałam pojęcia, gdzie wyląduję. Na szczęście okazało się, że wylot zjeżdżalni jest umieszczony nie nad wielkim basenem, lecz nad miękką poduchą. Jak tylko wylądowałam, podeszli do mnie ludzie z obsługi i pomogli mi wstać. Ze zdziwieniem stwierdziłam wtedy, że prawie się nie zamoczyłam, zjeżdżając. Czyżby wynaleziono syntetyczną wodę, która wbrew prawom fizyki nie jest równie

mokra jak zwyczajna woda?

Po chwili dołączyła do mnie Pearl i pozostałe dziewczyny. Znalazłyśmy się w świetle, w którym dominującymi barwami były błękit i biel. Wystrój klubu Tidal nawiązywał do oceanu. Goście tańczyli, dowcipkowali i flirtowali naokoło centralnie położonego basenu, którego turkusowa woda burzyła się nieustannie, tworząc niezwykle realistyczne, zwieńczone grzebieniami piany fale. Prószyący nadal z nieba biały puch sprawiał, że całe to miejsce wyglądało magicznie.

W pewnym momencie spojrzenia moje i Pearl skrzyżowały się. Dziewczyna wyglądała olśniewająco, triumfowała. Płatki śniegu osiadały na jej długich rzęsach, a kiedy mrugała oczami, opadały niżej i topiły się na jej zaróżowionych policzkach. Posłała mi szelmowski uśmiech, chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w tłum bawiących się gości.

Tańczyłyśmy, wymachując rękami nad głową, niczym drzewa, których gałęzie powiewają na wietrze. Śpiewałyśmy, oplótłszy się nawzajem ramionami w talii. Popijałyśmy drinki, aż nasze oczy stały się szkliste, a wszystko wkoło zaczęło budzić naszą wesołość. Zataczając się, wpadałyśmy co chwilę na siebie, przez cały czas pękając ze śmiechu. Rozpierała nas radość, że żyjemy i jesteśmy młode. Przestało się dla mnie liczyć, że istnieje ktokolwiek poza nami. Pozostali goście klubu byli w tej chwili jedynie tłem dla naszego szczęścia.

W pewnym momencie ktoś dał Pearl małą złotą tabletkę. Nacisnęła ją paznokciem i przełamała na pół. Jedną połówkę wrzuciła sobie do ust, drugą podała mi na koniuszku palca. Spoglądając jej w oczy, wzięłam połówkę do ust i powoli połknęłam. Odniosłam wtedy wrażenie, że na ułamek sekundy cały Eden zamarł w bezruchu. Ale już po chwili Pearl ze śmiechem zaciągnęła mnie z powrotem na parkiet.

Kiedy tabletkę zaczęła działać, zapanowało prawdziwe szaleństwo.

Nie wiem, kto wpadł na ten pomysł, jednak po chwili Pearl zrzuciła swoje błyszczące pantofelki, ściągnęła przez głowę sukienkę i została w samej prześwitującej halce. Następnie zobaczyłam, jak skacze do rozfalowanego basenu. Jej zawrotnie kosztowna kiecka leżała porzucona na parkiecie, jednak

Pearl nie zwracała na nią uwagi. Dokazywała w wodzie niczym nimfa morska, dając się unosić napływającym falom. Długie srebrne włosy, uwolnione od spinek, unosiły się wokół jej głowy niczym roztopiony metal. Goście tańczący najbliżej brzegu basenu znieruchomieli i utkwili w niej wzrok. Nie wiedziałam, czy ją podziwiają, czy może myślą, że zupełnie jej odbiło. Zapewne jedno nie wykluczało drugiego. Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości – Pearl pozwoliła sobie na to, na co nikt poza nią nie miał odwagi, i miała w nosie, co inni sobie pomyślą na jej temat.

Ja zawsze zastanawiałam się, co pomyślą o mnie inni. Oczywiście nie dawałam tego po sobie poznać.

– Wskakuj! – zawołała Pearl. Wokół jej unoszącej się nad wodą głowy wirował śnieg. Płynęła teraz ku drugiemu brzegowi basenu, wykonując leniwe wymachy ramion, które, jak mi się zdawało, przychodziły jej z niezwykłą łatwością.

Przyciągała mnie do siebie z magnetyczną siłą. Chciałam być jak ona. Łaknęłam jej aprobaty.

Ściągnęłam moje długie buty, następnie uwolniłam się od bluzki z kruczych piór i dałam nura w fale. Oczami wyobraźni widziałam już, jak podpływam do Pearl, jak obie z gracją tańczymy we wzburzonej wodzie, nurkujemy niczym para delfinów, które dawno już wyginęły.

Zamiast tego, gdy tylko znalazłam się w wodzie, poszłam na dno niczym kamień.

Umiałam pływać. Wiedziałam, że umiem. Pamiętałam, że jako mała dziewczynka bywałam z rodzicami na basenie w klubie, do którego chodzili. Pamiętałam rzekę w parku w Piątym Kręgu. Jej brzegi wysypane były sztucznymi kamykami. W sztucznym nurcie pluskały się leniwie mechaniczne ryby. Wszystkie te wspomnienia były mgliste, jakby pochodziły z zamierzchłych czasów – miałam wrażenie, jakby ktoś kiedyś opowiadał mi szczegółowo o takich widokach, ja jednak słuchałam tych opowieści jednym uchem. Ale przecież pamiętałam też, jak wiele razy bawiłam się w wodzie, unosiłam się,

leżąc na plecach, a ktoś kojącym głosem instruował mnie, żebym się rozluźniła, i zapewniał, że dam sobie radę...

Woda, z którą mierzyłam się teraz, była jednak moim wrogiem i chciała mnie pochłonąć. Młóciłam na oślep rękami. Byłam na tyle przytomna, by nie otwierać ust, lecz mimo to nałykałam się wody przez nos. Po chwili pod stopami wyczułam dno basenu – od powierzchni dzieliło mnie teraz kilkadziesiąt centymetrów – i odbiłam się, próbując się wynurzyć. Kiedy wystawiłam głowę nad wodę, zdążyłam zaczerpnąć tchu i już w następnej sekundzie przykryła mnie fala.

Wciąż starałam się wymachiwać ramionami, jednak z mizernym skutkiem. Kiedy spoglądałam na wodę z brzegu, wydawała się chłodna i zachęcająca do kąpieli. Teraz jednak miałam wrażenie, że dusi mnie niczym płomienna dłoń zaciskająca się na moim gardle. Zdołałam jeszcze raz wynurzyć się i nabrać powietrza, przy okazji wydając z siebie gardłowy dźwięk; nie miałam pewności, czy ktokolwiek go usłyszał pośród hałaśliwej muzyki i śmiechów. Zanim znów się zanurzyłam, wydało mi się, że słyszę piskliwy chichot Lynx. Czyżby moja przyjaciółka spokojnie czekała, aż się utopię?

Wtem rozległ się donośny plusk, a po chwili poczułam, jak czyjeś palce zaciskają się na moim ramieniu i zaczynają ciągnąć mnie do brzegu. Nadal wymachiwałam członkami, szukając dla nich jakiegokolwiek oparcia. Przez zalewającą mi oczy wodę widziałam niewyraźnie twarz mojego wybawcy. Rozpoznałam w nim bramkarza, który nie chciał wpuścić nas do klubu. W tej chwili nie miało to jednak dla mnie żadnego znaczenia – mężczyzna ten nie był dla mnie nawet osobą, a jedynie obietnicą suchej ziemi i życia. Dlatego bez namysłu, z siłą, o którą bym sobie nie podejrzewała, uczepiłam się jego ramienia i zaczęłam gramolić się na niego. Nie obchodziło mnie, czy ten facet utonie, ratując mnie. Ważne było tylko to, żebym ja przeżyła. Po chwili poczułam na twarzy lodowate powietrze i była to najśłodsza pieszczota, jakiej doświadczyłam w całym życiu.

Mężczyzna, który mnie ratował, był ode mnie dwa razy większy. Jednak

w tamtym momencie bezmyślnego przerażenia jakimś cudem zdołałam wepchnąć go pod wodę, po to żeby samej utrzymać się na powierzchni. Kiedy wreszcie zdołał mnie z siebie strząsnąć, natychmiast mi się zrewanżował – wyciągnął swoje muskularne ramię, położył dłoń na czubku mojej głowy i wepchnął ją pod wodę. Próbowалам mu się wyrwać, ale brakowało mi już siły. Poczułam, jak moje myśli ogarnia ciemność. Ciało przestawało stawiać opór, stawało się bezwładne. Świat oddalał się...

Ocknęłam się, wstrząsana odruchami wymiotnymi. Nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło. Wszędzie wokół widziałam pochyłające się nade mną obce twarze, wyrażające potępienie, współczucie lub drwinę. W pierwszej chwili nie wiedziałam nawet, gdzie jestem. Docierało do mnie tylko, że nie jest tu bezpiecznie. Przerażali mnie ci ludzie i fakt, że wszyscy na mnie patrzą. Najchętniej skryłabym się w jakimś ciemnym kącie, gdzie nikt nie mógłby mnie dojrzeć. Za ścianą albo pod ziemią.

Dopiero gdy ujrzałam Pearl, wróciła mi pamięć. Nadal wyglądała przepięknie. Na ramionach miała płaszcz, który zaoferował jej jakiś rycerski lub po prostu zauroczony nią facet, lecz mimo to dygotała z zimna, a wkoło niej wirował śnieg. Pocierała dłońmi pokryte gęsią skórką ramiona, próbując się rozgrzać. Puściła mi oko, a ja domyśliłam się, że połówka tabletki, którą mi dała, musi jeszcze działać, bo dramatyczne wydarzenia sprzed chwili, które mogły zakończyć się tragicznie, wydały mi się nieważne. Liczyło się dla mnie tylko to, że przeżyliśmy przygodę, która scementuje naszą przyjaźń. No i będziemy miały o czym opowiadać.

Bramkarz bez pardonowo podniósł mnie z ziemi. Copper podała mi bluzkę z kruczych piór i wysokie czarne buty. Po chwili bramkarz odezwał się ponurym głosem:

– I właśnie dlatego niepełnoletnie, rozbestwione bachory z Centrum mają zakaz wstępu do naszego lokalu. Możesz zaczekać w moim kantorku, aż zjawią się zielone koszule i spiszą raport z zajścia. – Po tych słowach popchnął mnie, ale zaraz dodał nieco bardziej przyjaznym tonem: – Tam będzie ci cieplej.

Jak tylko cała nasza czwórka znalazła się w ciasnym (ale na szczęście ogrzewanym) kantorku, Pearl wyprostowała się dumnie i spytała:

– Możemy prosić o trochę prywatności? – Zabrzmiało to raczej jak polecenie niż prośba. – Chciałybyśmy się doprowadzić do porządku przed przybyciem zielonych koszul.

Bramkarzowi niezbyt chyba przypadł do gustu ten pomysł, zmiękł jednak na widok mojej żalostnej miny.

– Będę za drzwiami.

Kiedy zostałyśmy same, Pearl zwróciła się do mnie:

– Nie będę czekała, aż zielone koszule spiszą nas i zawloką do Akademii Dębów.

– Przecież twierdziłaś, że nic nam nie grozi ze stron władz szkoły, nawet jeśli zostaniemy złapane – zdziwiłam się. Głos miałam zachrypnięty. Bolało mnie gardło, jakbym zadrapała je do krwi.

– Nie brałam pod uwagę, że nas złapią. – Pearl przewróciła oczami. – I na razie nic na nas nie mają. Nie przeprowadzono skanu tęczówki oka, a zatem nikt nie ma pojęcia, kim jesteśmy. Musimy po prostu się stąd wydostać...

– Jasne – nie pozwoliłam jej dokończyć. – Tylko że jest jeden problem: za drzwiami stoi byczek, który pilnuje przejścia.

Pearl puściła moją uwagę mimo uszu.

– ...a potem po kryjomu wrócić do Akademii. Nikt nie zorientuje się, co się stało. Zanim ktokolwiek zauważy, że nas nie ma, będziemy z powrotem w łózkach. Zabawa na terenie uczelni pewnie jeszcze trwa. Do świtu pozostało kilka godzin, a przecież, jak sama wiesz, te obchody potrwać aż do śniadania. – Pearl ziewnęła, zakrywając usta dłonią. – Wiem, wiem, powiecie pewnie, że się starzeję, ale marzę już o spaniu. Wy, jeśli macie ochotę, możecie wrócić na imprezę w szkole.

Podczas wydawania tego zezwolenia Pearl zwracała się do dwu naszych koleżanek, a nie do mnie.

– Jasne, ale jak się stąd wydostaniemy? – zastanowiła się Lynx.

I dopiero teraz Pearl spojrzała na mnie.

– Yarrow, wymyśl coś.

Co takiego? A niby co miałabym zrobić? Wdać się w bójkę ze strażnikiem? Udawać, że zasłabłam i potrzebuję natychmiastowej pomocy? A może... przecież w budynku na pewno zainstalowany jest system przeciwpożarowy. Z tego co wiem, powinno się go uruchamiać z każdego pomieszczenia. Jeśli uda mi się znaleźć sposób... Po chwili moje spojrzenie padło na niewielką dźwignię umieszczoną na ścianie. Bez namysłu ją pociągnęłam i natychmiast w całym budynku rozległ się ryk syreny alarmowej. Pośród dobiegających ze wszystkich stron krzyków i tupotu stóp wypadłyśmy jak burza z kantorka i wmieszałyśmy się w tłum przerażonych gości. W pewnym momencie dojrzałam twarz rozwścieczonego bramkarza. Doskonale wiedział, że to my włączyłyśmy alarm pożarowy. Oddzielała go jednak od nas wezbrana rzeka ludzi.

Jak tylko zyskałyśmy pewność, że nic nam już nie grozi, wybuchłyśmy śmiechem. Pearl rzuciła mi się na szyję.

– Yarrow, ty to masz refleks!

Jej pochwała sprawiła, że zrobiło mi się ciepło na sercu. Po chwili wydostałyśmy się na ulicę. Mogłyśmy teraz bezpiecznie wrócić do Akademii.

A w każdym razie tak nam się z początku wydawało. Momentalnie na ulicy zaroilo się od zielonych koszul.

– To ta mokra z piórami – zawołał bramkarz, wskazując na mnie. Zapewne mój strój najłatwiej było mu opisać.

– Idziemy! – Chwyciłam Pearl za rękę i pociągnęłam przyjaciółkę w przeciwnym kierunku.

Zielone koszule zderzyły się z nurtem gości wciąż wylewających się z budynku na ulicę. Dzięki temu zyskałyśmy chwilę przewagi i zdążyłyśmy skrócić na rogu.

– I co teraz zrobimy? – spytała zdyszana Copper. Pędziłyśmy na złamanie karku w naszych mokrych ciuchach i butach na obcasie. – Zaraz nas dogonią.

Pearl przystanęła na chwilę, żeby złapać oddech.

– Jedna z nas może ich prześcignąć – powiedziała. – Yarrow, ty masz szansę im uciec. My przyczaimy się gdzieś niedaleko, a ty ich odciągniesz.

Nie podobał mi się ten pomysł.

– Nie, chodźcie ze mną! – zawołałam. – Jeśli się pospieszymy, uda nam się...

Pearl uciszyła mnie jednak jednym wymownym spojrzeniem.

– Bardzo mnie rozczarowujesz, Yarrow – oświadczyła. – Gdybyś ty mnie o to poprosiła, nie wahałabym się ani chwili.

Jakaś część mnie rozpaczliwie pragnęła jej uwierzyć. Dlatego poczekałam, aż dziewczyny ukryją się w bocznym zaułku, po czym puściłam się biegiem ku zbliżającym się zielonym koszulom. Pozostawało mi mieć nadzieję, że ten fortel okaże się skuteczny.

Wpadłam na żołnierzy niczym pocisk akurat w chwili, gdy wynurzali się zza zakrętu. Funkcjonariusze byli zupełnie zaskoczeni, bo rozproszyli się na boki. Próbowali mnie schwytać, ja jednak zdążyłam już minąć ich i pobiec dalej. Niemal natychmiast usłyszałam za plecami odgłosy pogoni. Żołnierskie buty zadudniły na trotuarze. Najwyraźniej z tego wszystkiego żołdacy zapomnieli, że była nas czwórka. Byłam najłatwiejszym celem i zapewne uznali, że jeśli mnie schwytają, prędzej czy później wyśpiewam imiona moich koleżanek. Niedoczekanie! Nawet jeśli poddadzą mnie torturom, nie pisnę ani słowa.

Byłam trochę przestraszona, no i stopy miałam lekko obolałe od tych kretyńskich butów. Równocześnie jednak przepełniało mnie dziwne uniesienie. W żyłach krążyła mi krew, moje członki poruszały się miarowo, a ja z każdym krokiem coraz wyraźniej czułam, że żyję.

Biegiem pokonywaliśmy kolejne ulice Edenu. Mimo że byłam szybsza od zielonych koszul, spowalniały mnie mokre ubrania i w końcu funkcjonariusze zaczęli deptać mi po piętach. Obawiałam się, że to tylko kwestia czasu, nim mnie dopadną.

Gwałtownie skręciłam w boczną uliczkę, licząc, że uda mi się ich zgubić. Pokonałam połowę jej długości, gdy nagle zorientowałam się, że to ślepy zaułek. Dałam zapędzić się w pułapkę. Czy zdołam zawrócić i dobiec z powrotem

do głównej ulicy, zanim zielone koszule zorientują się, gdzie jestem? Nie, było już za późno. Dostrzegłam sylwetki mężczyzn u wylotu uliczki. A zatem odcięli mi drogę ucieczki. Wiedzieli, że nie mam dokąd zwać.

W głowie rozbłysła mi jedna myśl – nie mogę dać się złapać! I właśnie pewność, która emanowała od tej myśli, dodawała mi teraz skrzydeł. Nie rozumiałam, dlaczego nagle tak ważne stało się dla mnie, by nie dać się schwytać. Jasne, moja mama ostro by się wkurzyła, ale przecież była szefową sił wywiadowczych. Bez problemu zdołałyby zamieść całą tę sprawę pod dywan, tak że do jutra rana nie pozostałby żaden dowód naszych nocnych wybryków. Mimo to ogarnęło mnie przedziwne przecucie, że jeśli zielone koszule mnie schwytają, grozi mi jakieś straszliwe niebezpieczeństwo.

Na wysokości parteru mur budynku, który teraz mijałam, wykonany był ze sztucznych kamieni, przez co do złudzenia przypominał mur starego domu wiejskiego z czasów sprzed Ekoklęski. Kilkadziesiąt wyższych pięter wyłożono produkującymi energię panelami fotowoltaicznymi, przez co niczym nie różniły się od pozostałych budynków Edenu. Jednak te ozdobne mury na poziomie parteru były naprawdę zachwycające.

No i wyglądały, jakby można było się po nich wspinać.

Jakieś sześć metrów wyżej wypatrzyłam otwarte okno. Ze zdenerwowania rozboleł mnie brzuch. Marzyłam, by znaleźć się z powrotem na terenie szkoły, gdzie nic by mi nie groziło. Chciałam znów brać udział w obchodach Festiwalu Śniegu i słuchać, jak Hawk zachwyca się moją urodą, mimo że wcale mi na nim nie zależało. Pragnęłam, by świat znów był zwyczajnym, przyjaznym i bezpiecznym miejscem.

Wiedziałam jednak, że mój wybór jest ograniczony – musiałam uciekać albo się poddać.

Podeszłam do muru i zaczęłam się wspinać. Odniosłam wtedy wrażenie, że czynność ta wymaga ode mnie maksymalnego wysiłku, ale równocześnie w jakiś tajemniczy sposób przychodzi mi z wielką łatwością. Odkryłam, że moje ciało jest silne, zwinne i doskonale wie, co ma robić. Palcami bez najmniejszego

trudu odnajdywałam najcieńsze szczeliny w murze. A jednak przy każdym ruchu słyszałam jakiś alarmowy wewnętrzny głos, który krzychał: *Nie! Natychmiast zawróć!* Jasne, obawiałam się, że spadnę. Ale chodziło o coś jeszcze. Miałam wrażenie, jakby jakaś umysłowa grawitacja próbowała ściągnąć mnie na dół. Musiałam się z nią mierzyć, ilekroć chciałam wspiąć się kilka centymetrów wyżej.

Dobiegały mnie krzyki żołnierze zielonych koszul, którzy pozostali u dołu. Wołali, żebym złaźła na dół. Usłyszałam, jak jeden z nich sugeruje, żeby porazić mnie paralizatorem. Jego kolega odparł, że jeśli stracę przytomność, odpadnę od ściany i zlecę na chodnik. A to oznaczałoby dla nich dodatkową papierkową robotę. Inny funkcjonariusz całkiem trzeźwo zaproponował, żeby ustawić strażników przy drzwiach do budynku i zaczekać, aż sama wpadnę im w ręce.

Wreszcie zdołałam wspiąć się do okna. Byłam złana potem, serce waliło mi w piersi, jednak moje mięśnie wcale nie były zmęczone. Pchnęłam okno, otwierając je szeroko, po czym wślizgnęłam się do pustego ciemnego pokoju. Kiedy odwróciłam się do okna, żołądek znów dał o sobie znać – od ziemi dzieliła mnie teraz wielka wysokość. Podczas wspinaczki mogłam spaść, złamać sobie nogę, a nawet zginąć. Wyjrzałam i pomachałam stojącym u dołu zielonym koszulom.

Funkcjonariusze przyczaili się na dole, gotowi chyba czekać przez całą noc, aż zejdem. Kiedy po pewnym czasie wspięłam się na dach i przedostałam po nim do sąsiedniego budynku, nie zauważyli mnie. Tam wsiadłam do winy, zjechałam na dół i ulotniłam się pod osłoną ciemności.

NIEŁATWO WPRAWIĆ PEARL W OSŁUPIENIE. JA jednak zdołałam osiągnąć ten efekt, gdy rano następnego dnia jak gdyby nigdy nic weszłam do klasy.

Moja przyjaciółka siedziała wygodnie rozparta w swoim Jaju. Kiedy weszłam do sali, widziałam tylko jej długie gołe nogi wystające z wnętrza kokonu. Wkoło niej zgromadziła się połowa klasy. Wszyscy zwracali ku niej twarze niczym słoneczniki odwracające się do słońca, pochylając głowy w obliczu jej blasku. W pierwszej chwili nikt nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Dzięki temu mogłam podsłuchać, co mówiła Pearl.

Okazało się, że mówi o mnie.

– Nie mam pojęcia, co zaległo się w główce tej biednej dziewczyny – stwierdziła. – Najpierw wyskoczyła z tym absurdalnym, bezpodstawnym oskarżeniem Hawka.

Tłumek zareagował na jej słowa pomrukami wyrażającymi współczucie.

Co takiego? Poczułam, jak krew napływa mi do policzków. Przecież to ona namówiła mnie, żebym wrobiła Hawka. Nadal prześladowało mnie poczucie winy na wspomnienie pełnego wyrzutu spojrzenia, jakie mi posłał.

– A potem, jak już byliśmy w Świątyni, zaczęła nawijać, że musi uciec, musi się uwolnić. Zanim się spostrzegłyśmy, już jej nie było. Z początku sądziłam, że wróciła po kryjomu do swojego pokoju. Dopiero rano dowiedziałam się, że wymknęła się poza teren Akademii. Wyobrażacie to sobie? I skąd teraz będę wiedziała, jaki los spotkał moją najlepszą przyjaciółkę: gnije w więzieniu, została odesłana do domu rodzinnego czy może wyrzucona z Akademii Dębów i przeniesiona do Szkoły Kalahari?

Odpowiedział jej śmiech, tak jakby uczęszczanie do Kalahari – szkoły dobrej, lecz niemogącej równać się pod względem renomy z naszą – było gorsze niż trafienie do więzienia.

– Wiecie co – podjęła po chwili monolog Pearl. W jej głosie pobrzmiwało teraz to obrzydliwe udawane współczucie, które potrafiła przywoływać, ilekroć było jej potrzebne. – W sumie to mam wrażenie, że Yarrow jest odrobinę nie zrównoważona psychicznie. Biedactwo.

Zacisnęłam szczęki z taką siłą, że zaczęły mnie boleć, i zgrzytnęłam zębami. Nie do wiary, że Pearl rozpowiada takie rzeczy na mój temat. Widziałam teraz czarno na białym, że robiła ze mnie wariatkę. Przystępczynię. Rozumiałam, że kieruje nią chęć zatarcia własnych śladów, tak by nikt nie podejrzewał, że wraz z pozostałymi dziewczynami związała zeszłej nocy do klubu. Ale czy przy okazji musiała mnie obmawiać przed innymi studentami?

I dopiero wtedy z całą mocą dotarło do mnie znaczenie jednego ze słów, których użyła: skąd teraz będzie wiedziała, jaki los spotkał jej *najlepszą przyjaciółkę*? Najlepszą przyjaciółkę, powtórzyłam w myśli.

Natychmiast poczułam, jakby w moim sercu zaczął roztopiać się lodowiec. Zalało mnie wspaniałe ciepłe uczucie. Byłam teraz niczym uzależniony od syntetycznej meskaliny ćpun, który właśnie dostał upragnioną działkę. Poczułam się, jakby naciśnięto jakiś tajemniczy przycisk ukryty w moim jestestwie. Było to absolutnie zaskakujące i kojące. Jak miłość. Albo jedzenie, gdy umierało się z głodu.

Nie żebym kiedyś umierała z głodu. No i w sumie zakochana też nie byłam.

Wybaczenie Pearl zajęło mi tylko chwilę. Byłam gotowa zrobić wszystko dla tej dziewczyny, pójść za nią na koniec świata. Tylko dlatego, że nazwała mnie swoją najlepszą przyjaciółką. Kiedy w końcu podeszłam do jej Jaja, byłam już zupełnie opanowana. Wypieki na moich policzkach zniknęły, a szczęki się rozluźniły. Beztróskim tonem, jak gdyby nigdy nic, rzuciłam na powitanie:

– Dzień dobry, tęskniłaś za mną?

Posłałam jej tajemniczy uśmiech i w tej samej chwili wykładowca kazał

wszystkim wsiadać do swoich Jaj. Rozpoczęła się lekcja ekohistorii.

Pozostali studenci rozeszli się po klasie, jednak Pearl wyszła ze swojego Jaja i stanęła przede mną. Spoglądała na mnie z szeroko otwartymi ustami. Dopiero gdy wszyscy usadowili się w Jajach, zdołała wydusić z siebie jedno słowo:

– Jak...

Sprawiła teraz wrażenie lekko wkurzonej, jakby odkrycie, że powróciłam bez szwanku, przeczyło jej wyobrażeniu, iż tylko jej wolno dokonać takiej sztuki.

– Pogadamy po zajęciach – szepnęłam, wślizgując się do swojego Jaja.

Natychmiast na ekranie ukazał się temat dzisiejszej lekcji: zapylenie. Znalazłam się na łące porośniętej sztucznymi kwiatami. Ciągnęła się po horyzont. Wirtualna symulacja stworzona przez Jajo była zachwycająca: czułam na ramionach promienie słońca, jednak żeby nie zrobiło mi się za gorąco, program zadbał też o orzeźwiający zefirek. Przez chwilę na wysokości mojej twarzy tańczył w powietrzu jaskrawy pomarańczowo-czarny motyl. Po paru sekundach usiadł na mojej ręce. Czułam wyraźnie łaskotanie jego maleńkich odnóży. Zauważyłam, jak nieopodal na złocistym kwiecie ląduje pszczoła. Owad niósł na sobie mnóstwo kwiatowego pyłku. Kiedy usiadł na kwiecie, łodyga ugięła się lekko pod jego ciężarem. Pszczoła zaczęła spijać kwiatowy nektar, to pochylając, to znów unosząc głowę. Ze wszystkich stron dobiegało bzyczenie setki innych pszczół. Wszystkie owady zniknęły z powierzchni Ziemi na długo przed Ekoklęską.

– W 2010 roku ludzie zrozumieli, że wiele z wykorzystywanych w rolnictwie pestycydów jest niebezpiecznych dla pszczół – odezwał się nasz profesor. Jego jednostajny, nużący głos zlewał się w jedno z bzyczeniem wirtualnych owadów.

– Wiele z nich zginęło, a te, które przetrwały, były zbyt osłabione, by stawić czoło inwazji grzybów. W rezultacie wszystkie kolonie pszczele wymarły. Do 2070 roku nie zachował się ani jeden gatunek pszczół hodowlanych. Naukowcy zaprojektowali co prawda mechaniczne pszczoły, jednak nie mogły one...

Profesor nagle przerwał monolog.

– Słucham? W czym mogę służyć?

Zaciekawiona wychyliłam głowę ze słonecznego pełnego kwiatów raję do ponurej rzeczywistości sali lekcyjnej. Nadal czułam, jak słońce ogrzewa mi kark. Kiedy jednak zorientowałam się, kto zakłócił wykład, po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

W drzwiach gabinetu stała dziewczyna. Wyglądała zupełnie zwyczajnie. Miała przeciętną twarz i długie delikatne włosy w liliowym odcieniu. Jakby z oddali docierał do mnie głos Pearl, która nabijała się z niemodnego koloru loków nowo przybyłej. Ginął on jednak w ryku, który nagle wypełnił moje uszy. Brzmiał niczym grzmot wzburzonego oceanu. Nieraz już słyszałam symulację oceanu tworzoną przez Jajo, jednak tym razem ryk zdawał się napływać z wnętrza mojej głowy. Im dłużej przypatrywałam się dziewczynie, tym głośniejszy się stawał. Rozchodził się rytmicznie niczym sejsmiczne fale uderzeniowe.

Kiedy wreszcie huk ucichł, opanował mnie spokój. A właściwie nie tyle spokój, co wrażenie pustki.

Jeszcze raz skoncentrowałam się na dziewczynie, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, jakby była moją potencjalną ofiarą. Oszacowałam, że nie będzie stawiać większego oporu. Jej ubrania były sprawnie uszyte, jednak nie wykwiłne. Było jasne, że wywodzi się z zamożnej rodziny – w przeciwnym razie nie zawitałaby do nas – i ubiera się w drogich butikach. Nie miała jednak znajomości, które pozwoliłyby jej zaopatrywać się w najnowsze kreacje u najmodniejszych projektantów. Jej styl oceniałam jako nietypowy, może nawet intrygujący. Miała na sobie plisowaną na brzegach sukienkę w kolorze wiosennych żółto-zielonych listków, z naszytą zwiewną warstwą i zdobieniami w postaci liści dębu i wici. Zaraz jednak uznałam, że Pearl nie założyłaby nic takiego, po czym zakwalifikowałam tę kieckę jako rzecz pośledniej jakości.

Dopiero teraz zauważyłam, że długie włosy dziewczyny są lekko pofalowane i na końcach podwijają się w różne strony. W Akademii Dębów obowiązywała

zupełnie inna moda, jeśli chodzi o fryzury – w cenie były podgolenia i równe, zdecydowane linie. Przykładowo moje blond włosy były podcięte tak, że układały się w asymetryczne stopnie schodów. W porównaniu z nimi fryzura tej dziewczyny wyglądała jak dzika łąka w zestawieniu z wypiełgnowanym ogrodem. Pewnie strzygła ją jej matka.

Jej twarz była...

Nagle zorientowałam się, że nie mogę patrzeć jej w twarz. Ilekroć próbowałam, w mojej czaszce narastał ogłuszający huk.

Potrząsnęłam głową, próbując oczyścić umysł. Może się przeziębiłam i to katar zatykający mi uszy był odpowiedzialny za te dziwne wrażenia dźwiękowe. Przeziębienia były rzadkością w Edenie. Wszystkie dzieci szczepiono przeciwko niemal wszystkim chorobom, jednak wirusy odpowiedzialne za przeziębienie mutowały bez przerwy, przez co nie umieliśmy się przed nimi całkowicie uchronić. Tak, pewnie dlatego czułam się tak dziwnie. Złapałam przeziębienie.

Schowałam się z powrotem do Jaja. Niezależnie od tego, kim była ta dziewczyna, nie musiałam się nią przejmować.

Przywołałam symulację łąki i czekałam, aż profesor podejmie przerwany wykład. Wykładowca jednak zwlekał. Najwyraźniej nie spodziewał się, że dołączy do nas nowa studentka. W sali nie było ani jednego wolnego Jaja.

– Póki co możesz dosiąść się do kogoś – postanowił w końcu. – Pearl, mogłabyś...?

– Nie – zabrzmiała kategoryczna odpowiedź.

Odmowa wprawiła profesora w zmieszanie. Wydał z siebie gardłowy dźwięk. Nikt inny z wyjątkiem Pearl nie zdobyłby się na taką bezczelność. Siłą woli zdławiłam parsknięcie. Niemal współczułam biednemu wykładowcy. W stosunku do tej nowej dziewczyny nie miałam tak ciepłych uczuć. Cały jej wygląd nie pozostawiał złudzeń, że nie pasuje do Akademii Dębów.

– Yarrow – odezwał się profesor głosem, w którym pobrzmiwała bezradność.
– Może będziesz taka miła i zaprosisz do swojego Jaja... przypomnij, jak masz na imię.

– Lark – przedstawiła się cicho dziewczyna. Jej głos wydał mi się dziwnie przyjemny. Nagle zakręciło mi się w głowie. Wydałam z siebie jakiś chrapliwy nieartykułowany dźwięk, który profesor najwyraźniej wziął za zgodę. Stawało się jasne, że dopada mnie jakieś choróbsko.

Kiedy dziewczyna wślizgnęła się do kabiny i zajęła miejsce obok mnie, nawet na nią nie spojrzałam. Szybko odsunęłam się, żeby zrobić jej miejsce, jednak niewiele to pomogło – siedziałyśmy tak blisko siebie, że niemal się dotykałyśmy. Na udzie czułam ciepło emanujące z jej ciała.

– Cześć – szepnęła, dmuchając mi we włosy. Strasznie wkurzające! Dalej siedziałam ze wzrokiem skierowanym przed siebie.

Wyczuwałam, że mi się przygląda. Najchętniej powiedziałabym jej, żeby się odwaliła, ale wówczas przeszkodziłabym profesorowi i wpadła w tarapaty. I tak miałam szczęście, że zeszłej nocy uniknęłam kary. Czułam, że zaczynam się pocić na karku i pod pachami.

– Mam na imię Lark – przedstawiła się nieznajoma.

W tej samej chwili poczułam, że dłużej tego nie zniosę. Ogarnęła mnie fala mdłości. Nagle zrozumiałam, że jeśli w tej chwili nie opuszczę Jaja, zwymiotuję i zrobię z siebie pośmiewisko.

– Odsuń się! – zawołałam.

Zanim zdążyła zareagować, popchnęłam ją z całej siły, tak że wypadła z kabiny i wylądowała na podłodze, a jej sukienka zadarła się powyżej kolana. Nic mnie to nie obchodziło, wiedziałam tylko, że muszę jak najszybciej wyjść. Kiedy biegiem kierowałam się do drzwi, usłyszałam za sobą pełen podziwu głos Pearl:

– Dobra robota!

Moja przyjaciółka sądziła chyba, że urządzam przedstawienie, żeby zakomunikować całemu światu, że nikt nie będzie mnie zmuszał do dzielenia kabiny z jakąś anonimową nuworyszką. Fakt, że upokorzyłam tę całą Lark, napawał Pearl dumą. Ta myśl sprawiła, że przez chwilę mimo dokuczającej mi gorączki poczułam satysfakcję. Jednak nie trwało to długo. Pobiegłam prosto

do mojego pokoju. Jak tylko zamknęłam za sobą drzwi, zaczęły się torsje i zwymiotowałam.

Kiedy było już po wszystkim, położyłam się na łóżku, z jedną ręką opartą na czole. Serce waliło mi jak szalone. W przerwie między zajęciami odwiedziły mnie przyjaciółki, żeby sprawdzić, jak się czuję. Pearl przysiadła na brzegu łóżka i spytała, nie kryjąc podziwu:

– Jak ci się udało? Jak to możliwe, że cię nie wyrzucili z Akademii?

Nie zapytała: *Czy wszystko w porządku?* Albo: *Jak się czujesz?* Przesunęłam się, żeby zrobić jej więcej miejsca.

– No, właśnie – włączyła się do rozmowy Lynx. – Byłam pewna, że już nigdy się nie zobaczymy.

Posłała mi złośliwy uśmiezek, na co odwdzięczyłam się jej tym samym:

– Marzysz o tym, przyznaj się.

Mdłości ustąpiły i czułam się już lepiej. Nie, *lepiej* to za mało powiedziane. Czułam się inaczej. Jakbym nagle stała się silniejsza.

– No, gadaj – nalegała Copper.

Zacząłam więc opowiadać, ale szybko zauważyłam, że moja historia wyraźnie nudzi Pearl. W pewnym momencie nawet bezceremonialnie ziewnęła. Kiedy dobrnęłam do końca, stwierdziła:

– Ważne, że już po wszystkim. – Domyślałam się, że przyjaciółka zbyt długo zmuszona była koncentrować się na mnie i miała już tego dość. – Idziemy, zaraz skończy się przerwa. Yarrow, wyglądasz strasznie.

Podbiegłam do lustra, jednak odniosłam wrażenie, że wyglądam tak samo jak zawsze. Asymetrycznie ścięte blond włosy. Wydatna szczęka. Wysoko osadzone kości policzkowe. Srebrzyste źrenice bez wyrazu. Mrużąc oczy, przyjrzałam się sobie dokładniej. Czyżby naprawdę zaszła we mnie jakaś zmiana? Możliwe, ale nie umiałam jej teraz uchwycić. W każdym razie w moim zewnętrznym wyglądzie nic się nie zmieniło.

– Dokładnie, Yarrow – uśmiechnęła się szyderczo Lynx. – Na jakiś czas odpuść sobie imprezowanie. Wyglądasz, jakbyś nie była sobą.

– Pospieszcie się – rzuciła Pearl, podchodząc do drzwi. Oczekiwała, że pójdziemy za nią. Jak zawsze. – Bo inaczej się spóźnimy.

Zerknęłam jeszcze raz do lustra, poszukując jakichś dyskretnych oznak, że coś jest ze mną nie tak. Nic takiego nie znalazłam. Przed oczami miałam swoje odbicie, i tyle. Kim innym miałabym być? Uśmiechnęłam się wyzywająco do lustra.

– Widzę cię, Yarrow – wyszeptałam do mojego odbicia, po czym truchcikiem posłusznie pobiegłam za Pearl.

PEARL TO TAKI TYP DZIEWCZYNY, KTÓRA ZAWSZE potrzebuje jakiegoś projektu, któremu mogłaby poświęcić czas. Kiedy wreszcie obejmie kierownictwo nad całym Edenem – a byłam przekonana, że taki dzień nadejdzie – będzie niesamowicie szczęśliwa, ponieważ wówczas nigdy już nie zabraknie jej najbardziej ambitnych i niemal niemożliwych do zrealizowania wyzwań. Dopóki studiowała w Akademii Dębów, musiała jednak przez cały czas wymyślać własne. Sama nauka, owszem, była pracochłonna, jednak niezbyt wymagająca. Prawdę mówiąc, wystarczyła inteligencja i znajomości wśród ludzi, którzy zawsze z ochotą pomagali nam w pracach zaliczeniowych czy odrabiali zadania domowe. To wystarczyło, byśmy nigdy nie musiały zanadto stresować się nauką.

I właśnie dlatego ta dziewczyna, tryskająca energią i kierowana niespożytą ambicją, zawsze poszukiwała wyzwań, którym mogłaby sprostać, i wrogów, których mogłaby pognać. Czasami cele, jakie sobie wyznaczała, były dość ryzykowne. Najlepszy przykład stanowiła choćby nasza ostatnia nocna eskapada do Edenu. Innym razem cele te były niepoważne, jak choćby wtedy gdy lobbowała, by wprowadzić w szkole obowiązek noszenia butów na wysokim obcasie. Największą satysfakcję sprawiało jej jednak doprowadzanie innych ludzi do rozpacz. Była niczym kot sprzed Ekoklęski, który bawi się z myszą, zanim ją pożre. Wybierając nowe ofiary, nie kierowała się tym, czy ktoś wobec niej czymś zawinił, lecz wyłącznie własnym widzimisię.

No a teraz z jakiegoś powodu zapalała wielką niechęcią do tej nowej dziewczyny, Lark. Była to nienawiść od pierwszego wejrzenia.

Inna sprawa, że Lark również we mnie wywołała skrajne emocje.

– Dowiedziałam się, skąd ta panna jest – stwierdziła pewnego dnia Pearl podczas lunchu. – Nie uwierzycie. Pochodzi z zewnętrznego kręgu!

– W porównaniu z nami wszyscy pochodzą z zewnętrznych kręgów – zauważyła z samozadowoleniem Copper, nawijając na widelec makaron.

Pearl zgromiła ją pogardliwym spojrzeniem. Miałam wrażenie, że Copper długo już nie zabawi w naszej paczce.

– Nie chodzi mi po prostu o Trzeci czy Czwarty Krąg – podjęła opowieść Pearl. – Ta laska wychowała się w autentycznych slumsach na obrzeżach Edenu. Jej matka pracuje w jakimś dziale zaopatrzenia. Za to jej stary... – zawiesiła głos i głośno zarechotała. Nachyliłyśmy się wszystkie do niej, ciekawe, co powie. Pearl przeciągnęła jeszcze chwilę pauzę, po czym triumfalnie obwieściła: – ... pracuje w zakładzie kanalizacyjnym!

Okazało się, że ojciec Lark długo piął się po szczeblach kariery, rozpoczynając od najpodlejszej pracy w oczyszczalni ścieków, aż w końcu został dyrektorem oczyszczalni na cały Eden. Wbrew pozorom była to bardzo odpowiedzialna praca. Eden to zamknięty system, dysponujący całością nieskażonej wody, jaka pozostała na planecie. I musiała nam ona wystarczyć na kolejne sto lat, zanim Ziemia oczyści się na tyle, byśmy mogli opuścić Eden. Gdyby zabrakło ludzi od brudnej roboty pokroju ojca Lark, czekałaby nas zagłada. Tak więc jego praca nie była może zbyt zaszczytna, tym niemniej istotna dla naszego przetrwania.

Oczywiście nie podzieliłam się na głos tymi przemyśleniami. Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo. Oczami wyobraźni ujrzałam wielki basen wypełniony nieczystościami. I poczułam obrzydzenie na myśl o tym, że ktoś miałby się zanurzyć w tym świństwie. Fuj.

Lynx szybko podchwyciła pełen obrzydzenia ton Pearl.

– To wstrętne! – stwierdziła. Zauważyłam, że mówiąc to, przysunęła się bliżej Pearl. Obserwowałam teraz subtelny taniec, którego stawką była władza i wpływy. – Od początku mi się wydawało, że od tej laski zalatuje jakiś dziwny smrodek. Pewnie cała rodzina na stałe przesiąkła odorem ścieków.

Nachyliła się do Pearl i obie pękały teraz ze śmiechu. Copper również zachichotała, jednak widziałam, że myślami jest gdzie indziej.

Powstrzymałam się od komentarza.

Kiedy Lark wślizgnęła się do mojego Jaja, prawdę mówiąc, nie poczułam żadnego smrodu. Wydzielała woń rozgrzanej słońcem łąki pełnej koniczyny.

Z rozmyślań wyrwała mnie Pearl, strzelając mi palcami przed twarzą.

– Yarrow, zgadzasz się?

Pogrążona w rozmyślaniach, musiałam uronić jakiś ważny fragment rozmowy.

– Jasne – powiedziałam skwapliwie. Ciekawe, na co właściwie się zgodziłam.

– W takim razie umowa stoi – odezwała się Pearl. – Wypędzimy tego szczura z naszej szkoły. Niech wraca do zewnętrznych kręgów, tam gdzie jego miejsce.

– Ale jak? – spytałam.

– To się okaże – odparła Pearl. – Może sprawimy, że władze uczelni ją wyrzucą. Albo doprowadzimy ją do takiego stanu, że sama będzie błagała, żeby pozwolili jej odejść. A może dopilnujemy, żeby poszła w ślady Cinnamon.

Cinnamon uczęszczała do naszej Akademii, zanim tu trafiłam, ale oczywiście słyszałam historie o niej. Była na ostatnim roku, gdy Pearl rozpoczęła naukę w Akademii. W tamtym czasie Cinnamon była królową szkoły, odpowiednikiem Pearl w swoim roczniku. Nie wiedziałam dokładnie, co się stało. Możliwe, że obraziła Pearl. A może ta zapałała do niej nienawiścią bez powodu. Może wystarczyło, że Cinnamon zajmowała w szkole pozycję, o której Pearl marzyła. Tak czy inaczej niespełna miesiąc po przyjęciu mojej przyjaciółki do szkoły Cinnamon próbowała popełnić samobójstwo, rzucając się z dachu budynku, w którym mieściło się laboratorium. Budynek miał tylko dwie kondygnacje, ale to wystarczyło – Cinnamon połamała obie nogi i przez rok musiała korzystać z wyciągu chirurgicznego. Nigdy już nie wróciła do Akademii Dębów. Krążyły plotki, że całe jej życie legło w gruzach. Nikt nie wiedział, co takiego zrobiła jej Pearl. Wszyscy byli jednak pewni, że to ona stała za tym wypadkiem.

Wystarczyło, że Pearl zapałała do niej niechęcią.

A teraz na celowniku miała Lark.

– Najpierw musimy dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej nowej – wyjaśniła, wtajemniczając nas w swój plan. – Musimy znaleźć drogę do jej serca i duszy, poznać jej marzenia. Tylko wtedy będziemy mogli zetrzeć je w pył!

Przy tych słowach rozwarła szeroko palce, po czym zacisnęła je w pięść. Wyglądało to niczym parodia świętego Znak Nasienia – zamiast ukazywać rozkwitające życie, Pearl zademonstrowała, jak je zdusić. Po chwili podjęła monolog. Mówiła teraz we właściwy sobie władczy sposób:

– Postanowiłam, że jedna z nas się z nią zaprzyjaźni. Oczywiście, nie będę to ja – zaznaczyła, po czym roześmiała się z lekceważeniem. – To jak będzie? Która z was się tym zajmie?

Mierzyła nas po kolei wzrokiem.

– Copper, ty odpadasz. Jesteś taka miękka, że jeszcze polubiłabyś tę wieśniaczkę z zewnętrznego kręgu. – Następnie zwróciła się do Lynx: – Wkręcanie się do paczek przychodzi ci z wielką łatwością. – Dziewczyna rozpromieniła się. Dopiero po chwili zrozumiała, co Pearl ma na myśli. Zesztywniała i przysłuchiwała się jej przemowie. – Lynxie, powiesz wszystko, żeby tylko osoba przewodząca danej grupie polubiła cię, co nie?

Posłała Lynx wymowny uśmiech, który znaczył: „Wiem, co z ciebie za ziółko”. Pearl zawsze potrzebowała świty fanów, jednak równocześnie lubiła dawać im do zrozumienia, że ich pochlebstwa są dla niej aż nadto czytelne. Ucieszyłam się na myśl, że nie dała się ogłupić sztuczkom Lynx.

Na koniec Pearl odwróciła się do mnie.

– Yarrow – powiedziała i zawiesiła głos, pozwalając mojemu imieniu wybrzmieć w ciszy.

Wyobraźnia podpowiadała mi, co może powiedzieć na mój temat Pearl. Uwielbiałam ją. Gotowa byłam towarzyszyć jej we wszystkich przygodach. Zrobiłabym dla niej wszystko, o co mnie poprosi. Pearl doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała też, że ta cecha mojego charakteru budzi we mnie niepokój, analizuję ją, a niekiedy mam ochotę się sprzeciwić, ale nie potrafię.

Lynx łatwo rozgryźć. Wszędzie dopatruje się hierarchii i pragnie wspiąć się na jej szczyt. We mnie Pearl nie dostrzegła jednak ambicji. Kim w takim razie byłam w jej oczach? Pachółkiem, którego nie zawsze potrafi kontrolować? Narzędziem, które w każdej chwili może przeobrazić się w broń? Podejrzewałam, że nie bardzo wiedziała, kim jestem.

Sama zresztą czasami też nie byłam pewna.

– Bez dwóch zdań to Lynx powinna się tym zająć – oznajmiłam. Lynx spojrzała na mnie podejrzliwie. Chyba nie mogła zrozumieć, dlaczego jej słodzę.
– Początek mojej znajomości z Lark był dość burzliwy. Nie będzie to wyglądać zbyt przekonująco, gdy nagle zrobię się dla niej milutka.

Naprawdę nie miałam ochoty grać w tę gierkę, nawet dla Pearl. Nadal świeże było wspomnienie ryku, który wypełnił mi uszy i wyparł wszystkie myśli z głowy. Wystarczyło, że spróbowałam sobie teraz przypomnieć twarz Lark, i od razu zbierało mi się na wymioty.

Zaraz potem przypominałam sobie, jak się poczułam, gdy mdłości minęły. Ogarnęło mnie dziwne poczucie, że jestem silniejsza i oczyszczona, jakbym uwolniła się od jakiejś niepotrzebnej części siebie.

No i ten emanujący od dziewczyny zapach rozgrzanej słońcem łąki...

– Nie, uważam, że to zadanie dla ciebie, Yarrow – upierała się Pearl. – Na następnej lekcji podejdź do niej, przeproś i zaproś do swojego Jaja. Zobaczysz, że to wystarczy. Dziewczyny jej pokroju łakną akceptacji i znajomości. Bez mrugnięcia okiem przebaczy ci to, jak ją potraktowałeś, i będzie jadła ci z ręki.

Musiałam się zgodzić. Jaki inny miałam wybór?

Postanowiłam, że będę z Lark szczerą. Na ostatniej lekcji podeszłam do niej i uśmiechnęłam się szeroko, spoglądając jej prosto w oczu.

– Przepraszam. Mam dzisiaj kiepski dzień. Źle się czuję. Wcześniej pokłóciłam się też z moją najlepszą kumpelą. Teraz jednak jest ze mną znacznie lepiej. – Pokazałam na migi, że wymiotowałam. Uznałam, że może gdy odegram taką obrzydliwą scenkę, wydam się jej fajniejsza. Lark zareagowała nerwowym

śmiechem. – W każdym razie nie gniewaj się na mnie. Jeśli chcesz usiąść ze mną w moim Jaju, obiecuję, że już cię nie wyrzucę.... Ani cię nie obrzygam!

Wyciągnęłam do niej rękę. Widziałam, że jej ręka też drgnęła, jednak na chwilę się zawahała.

– Pamiętasz mnie? – spytała szeptem.

Spojrzałam jej szybko w oczy. Czy z tą panną wszystko w porządku? Podczas kwalifikacji studentów do Akademii Dębów w pierwszym rzędzie brany jest pod uwagę majątek i rodzinne koneksje. Wiedziałam jednak, że wymagania naukowe też odgrywają pewną rolę. Niemożliwe, żeby przyjęli do szkoły osobę upośledzoną umysłowo.

– Jasne – odparłam niepewnie. – Spotkałyśmy się przed lunchem. Mam na imię Yarrow.

Lark westchnęła i w końcu wyciągnęła przed siebie rękę.

– Tylko sprawdzałam – odezwała się po chwili. Posłała mi też dyskretny ekscentryczny uśmiezek. Pomyślałam, że wygląda teraz jak małe pełne nadziei zwierzątko. Ujęłam jej dłoń... i w tej samej chwili poczułam, jakby poraził mnie prąd. Wypuściłam błyskawicznie jej rękę i przyjrzałam się swojej dłoni. Trwało to tylko sekundę, jednak było przerażające – odniosłam wrażenie, że nie rozpoznaję własnej skóry. Wiedziałam, że spoglądam na swoją dłoń, jednak równocześnie nie miałam pojęcia, do kogo należy. W miejscu, w którym moja skóra zetknęła się ze skórą Lark, odczuwałam dziwne mrowienie. Znów powrócił ryk rozbrzmiewający wewnątrz mojej czaszki. Tym razem na szczęście cichszy, przypominający huk fal odległego oceanu. Poczułam, że znów zbiera mi się na wymioty. Odkryłam też, że to nie żołądek, lecz umysł się buntuje. Tuż za oczami załagł się pulsujący ból, który powracał z każdym uderzeniem serca.

– Dobrze się czujesz? – spytała Lark.

Potrząsnęłam głową, żeby nie tyle zaprzeczyć, co raczej oprzytomnieć. Przywołałam też na usta wymuszony uśmiech. Efekt musiał być upiorny, bo Lark powiedziała szybko:

– Nic się nie martw. Jeśli złamiesz obietnicę, że nie zwymiotujesz na mnie,

nie będę mieć do ciebie o to żalu.

Następnie weszła do wnętrza Jaja. Mimo że najchętniej uciekłabym znowu do mojego pokoju, zmusiłam się, żeby pójść jej śladem.

– Na czym skończyliśmy ostatnio? – spytał prowadzący zajęcia z zarządzania Ziemią. – Ach tak, mówiliśmy o szczelinowaniu hydraulicznym. Przed wiekami ludzie wierzyli, że trzęsienia ziemi wywoływane są przez bogów uzbrojonych w pioruny i magiczne młoty. – Nauczyciel skwitował parsknięciem ignorancję dawnych pokoleń. – Dopiero potem odkryto, że są to zjawiska naturalne. Nauka wzięła górę. Po pewnym czasie jednak posunęła się ona za daleko. Ażeby dostać się do bogactw ukrytych w ziemi, ludzie zaczęli napuszczać do odwiertów płyn szczelinujący. W efekcie zatruciu uległy zbiorniki wodne. Osiągnięto też coś, co w przeszłości było domeną bogów – wywołano trzęsienia ziemi. Wyobraźcie sobie tylko – trzęsienia ziemi wywołane przez człowieka! Ludzie stali się tak potężni, że mogli teraz sami przekształcać Ziemię.

Prowadzący uznał, że pora na drzemkę. Resztę lekcji miały poprowadzić Jaja. Po chwili ujrzelśmy – a właściwie doświadczyliśmy – jak do samego jądra ziemi wsączana jest sprężona ciecz. Patrzyliśmy, jak w rezultacie tych procesów woda w strumieniach przybrała atramentowoczną barwę. Widzieliśmy, jak umierają rośliny. Na koniec poczuliśmy, że Ziemia zaczyna dygotać, jakby chciała strząsnąć z siebie ludzi.

Jajo zaczęło wibrować. Usłyszałam donośne dźwięki przywodzące na myśl pęknięcie kości. Po chwili wyczułam ohydny woń siarki. Z sąsiednich Jaj dobiegały teraz krzyki przestraszonych studentów. Po nich rozległ się śmiech, gdy uświadomiono sobie, że to tylko realistyczne efekty tworzone przez wirtualną rzeczywistość. Nagle poczułam, jak Lark chwyta mnie za rękę.

– Zaczyna się – wyszeptała. – Czuję to...

– Spokojnie – powiedziałam, ściskając lekko jej dłoń dla dodania otuchy. – To nie dzieje się naprawdę. Prawdziwe trzęsienie ziemi wygląda zupełnie inaczej.

– Nie o to mi chodzi – wydyszała. Miała przerażone spojrzenie. W tym

samym momencie drżenie ustało, a wewnątrz Jaja znów znieruchomiło. Lark wzięła głęboki oddech. – Jestem chora na epilepsję. Kiedy Jajo zaczęło wibrować, przestraszyłam się, bo myślałam, że zbliża się atak. W szkole, do której poprzednio chodziłam, nie mieliśmy Jaj.

– Czemu się przeniosłaś? – zapytałam z zainteresowaniem. Naprawdę byłam ciekawa, nie miało to nic wspólnego z zadaniem, jakie wyznaczyła mi Pearl.

– No więc... mój ojciec dostał pracę w Centrum, a ja ubłagałam go, żeby zabrał mnie ze sobą. Moja rodzina była przeciwna. Uważali, że szkoda na to pieniędzy. Zgodzili się jednak posłać mnie tutaj na jeden semestr, na próbę.

– Ale właściwie dlaczego tak ci na tym zależało? – nie dawałam za wygraną.

– Przecież wszyscy marzą, żeby studiować w Akademii Dębów – wyjaśniła tonem, jakby była to rzecz zupełnie zrozumiała.

– Wcale nie wiem, czy to taki dobry pomysł. Obawiam się, że dziewczynie twojego pokroju może być trudno się tu zaaklimatyzować, znaleźć przyjaciół – tłumaczyłam szczerze, bez złych intencji.

– Poradzę sobie – odparła zdecydowanie, ja jednak podejrzewałam, że w głębi duszy wcale nie była taka pewna. – Ja umiem się wszędzie dopasować. Poza tym wcale nie potrzebuję mnóstwa przyjaciół. Jeśli znajdę tu jedną przyjaciółkę, będę szczęśliwa.

Przy tych słowach posłała mi wymowne spojrzenie, a ja odwróciłam wzrok.

Prowadzący zajęcia znów wkroczył do akcji.

– Skoro poczuliście już na własnej skórze, czym jest trzęsienie ziemi, wyobraźcie sobie, jak bardzo nasi przodkowie musieli zaszkodzić planecie, skoro wywołali tak potężne...

Bez namysłu weszłam mu w słowo.

– Ale to wcale nie przypominało prawdziwego trzęsienia ziemi – stwierdziłam, wychylając się ze swojego Jaja. – Podczas ostatniego trzęsienia nie było całego tego wibrowania. Ziemia uniosła się tylko, jakby brała wielki oddech. I panowała niezmacona cisza, tak jakby cały Eden zamarł w oczekiwaniu. To znaczy było cicho do chwili, gdy różne rzeczy zaczęły

na siebie wpadać.

Nagle zorientowałam się, że niemal wszyscy studenci wyjrżeli ze swoich Jaj i przyglądają mi się w osłupieniu.

Wykładowca wydawał się zbity z tropu.

– Ostatnie trzęsienie ziemi? – powtórzył. – Chodzi ci o ostatnie, jakiego doświadczyłaś w Jaju?

– Nie – odparłam niecierpliwie. – Mówię o tym, które wydarzyło się...

Przerwałam w pół słowa. Przez chwilę wspomnienie wydawało się niezwykle wyraźne: pamiętałam, jak ziemia się wybrzuszyła, zbijając mnie z nóg. Miałam wrażenie, jakby nawet powietrze w tamtym momencie przełamało się na pół.

– Skarbie – zwrócił się do mnie wykładowca – za twojego życia nie miało miejsce żadne trzęsienie ziemi. Za mojego zresztą też nie. W całej historii Edenu nie było ani jednego takiego przypadku. Ostatnie trzęsienie, jakiego doświadczył człowiek, wydarzyło się przed Ekokłeską.

– Ale... – bąknęłam. Mrużąc oczy, zanurzyłam się we wspomnienia. Wydawały mi się teraz jeszcze bardziej mgliste niż zazwyczaj. Pamiętałam uczucia, jakie mnie opanowały, gdy ziemia zadrżała. Pamiętałam przerażenie. Walące się drzewa. Chwileczkę, jak to drzewa? Jak to możliwe? Przecież na Ziemi nie zachowały się żadne drzewa.

Wszyscy przyglądali mi się ze zdumieniem, jakbym właśnie postradała zmysły. Wszyscy z wyjątkiem Pearl, która przypatrywała mi się uważnie, jakby próbowała mnie rozgryźć. Pewnie sądziła, że to z mojej strony sztuczka, by zdobyć zaufanie Lark.

Gdyby faktycznie tak było, nie mogłabym opracować skuteczniejszego fortelu. Z płonącymi policzkami i pustką w głowie schowałam się z powrotem do wnętrza Jaja. W tej samej chwili poczułam, jak Lark szepcze mi na ucho:

– Ja też pamiętam trzęsienie ziemi. Nie jesteś szalona.

Nawet na nią nie spojrzałam. Oddychałam bardzo szybko, jakby moja klatka piersiowa miała za chwilę wybuchnąć. Lark powiedziała wtedy coś, co sprawiło, że równocześnie poczułam się słaba i silna:

– Ro, nie jesteś sama.

6

– **DLACZEGO TAK MNIE NAZWAŁAŚ? – SPYTAŁAM.** Zaczęłam dygotać. Wydawało mi się, że z wściekłości, bo niby z jakiego innego powodu?

– Bo tak masz na imię – wyjaśniła Lark.

– Nazywam się Yarrow – stwierdziłam kategorycznie.

W epoce przed Ekoklęską, gdy na Ziemi żyły miliardy ludzi, posługiwano się nazwiskami. Ludzie żyli w wielkich rodzinach i przejmowali się kwestiami dziedziczenia. Obecnie, gdy parom wolno było mieć tylko jedno dziecko i rodziny nie były tak liczne, wystarczały nam same imiona. Dzięki temu wydawały się one znaczyć więcej, stawały się czymś bardziej osobistym. Nie podobało mi się, że ktoś próbuje skalać jedyne imię, jakie mam.

– Jasne. Ale przecież Ro to taki ładny przydomek – zreflektowała się Lark. – Mogę cię tak nazywać?

– Nie – ucięłam. Jakaś część mnie pragnęła jednak usłyszeć, jak Lark znów zwraca się do mnie w ten sposób. Marzyłam, by wypowiadała ten przydomek bez końca. Tak cudownie było go słyszeć. Brzmiał niczym pieszczota. – Przestań mnie zagadywać. Przez ciebie będziemy mieć kłopoty.

Do końca zajęć omijałam spojrzeniem Lark. Kiedy wychodziliśmy na przerwę, zauważyłam, że Pearl daje mi dyskretny znak: wypchnęła lekko brodę do przodu, jakby chciała mnie popędzić, żebym wprowadziła w życie dalszą część planu. Miałam przecież wywabić wieczorem Lark poza teren Akademii.

Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Nie wiedziałam, co właściwie knuje Pearl. Jednego mogłam być pewna: było to coś złego. W najlepszym razie obmyśliła sposób, by upokorzyć dziewczynę. W najgorszym... przypominałam

sobie pogłoski o wypadku Cinnamon.

Nagle poczułam przypływ inspiracji. Przecież mogę zaproponować Lark, żebyśmy wymknęły się z Akademii, nie wspominając o tym Pearl. W ten sposób nie pozwolę, by wcieliła ona w życie swój plan.

W tej samej chwili olśniło mnie. Od momentu poznania Pearl, gdy praktycznie natychmiast włączyła mnie do swojej grupy, odczuwałam nieodpartą, niemal fizyczną potrzebę, by sprawiać jej przyjemność. Czegoś podobnego doświadczałam w stosunku do dyrektora szkoły Brata Bircha, a także, choć w mniejszym stopniu, wobec wykładowców. Kiedy odwiedzałam moją mamę, wówczas to ona budziła we mnie takie uczucia. Było to pragnienie czy wręcz niedająca się zaspokoić żądza, by uszczęśliwić daną osobę. I dopiero teraz, być może po raz pierwszy w życiu, zdobyłam się na to, by zakwestionować to pragnienie. Czym właściwie ci ludzie zasłużyli sobie na to, bym ich uszczęśliwiała? Dlaczego właściwie zaspokajanie ich zachcianek sprawia mi taką przyjemność?

Z tym impulsem zmagają się teraz skrajnie różne, choć równie dojmujące, pragnienie, by dogodzić samej sobie. (Momentalnie w mojej głowie odezwał się cichutki głosik, który przypomniiał, że przecież niczego mi nie brakuje i jestem szczęśliwa. Dlaczego miałabym się buntować?)

– Lark – przerwałam nagle ciszę. Mój głos zabrzmiał zbyt głośno.

– Słucham, Yarrow? – spytała swoim łagodnym głosem.

– Wybierz się ze mną na spacer w nocy. – Chciałam, żeby zabrzmiało to jak polecenie, którego nie będzie umiała odrzucić. – To znaczy nie ze mną, tylko z nami. Wszystkie mamy przepustki od rodziców. Myślisz, że uda ci się też taką załatwić?

Każda dziewczyna z Akademii Dębów na jej miejscu zgodziłaby się bez wahania. Byłaby pewnie w szoku, że otwiera się przed nią możliwość dołączenia do elitarnego klubu, i nie chciałaby zmarnować takiej szansy. Lark miała chyba jednak wątpliwości.

– To mój pierwszy dzień w nowej szkole.

– No właśnie. Powinnaś wykorzystać go, żeby trochę się zabawić i poznać nowych ludzi.

Lark wyrzała z Jaja.

– Coś mi się wydaje, że niewiele osób marzy, by się ze mną zaprzyjaźnić – stwierdziła. Powiedziała to w taki sposób, jakby wcale nie było jej z tego powodu przykro. Wiele dziewczyn udaje, że nie zależy im na sympatii koleżanek, jednak w głębi duszy stale o tym marzą. Lark była inna. Wyczuwałam jednak, że jest coś, na czym jej zależy. Nie potrafiłam tylko stwierdzić, co to takiego.

– Niedawno powiedziałaś, że jedna przyjaciółka ci wystarczy – przypomniałam.

– To zależy od tego, jaka będzie ta przyjaciółka – odparła, po czym posłała mi dyskretny filuterny uśmiezek.

– Mam rozumieć, że się zgadzasz?

– Może – odpowiedziała, a potem nie odezwała się już ani słowem do końca zajęć.

Pomyślałam, że „może” to najgłupsze słowo na świecie.

Kiedy nadszedł wieczór, wystroiłam się elegancko. Niewykluczone, że „może” okaże się „nie”; ja jednak chciałam być gotowa na „tak”. Chciałam wyglądać pięknie, jednak w niewymuszony, naturalny sposób. Czułam się trochę jak jedno z tych biednych zdesperowanych dziewczątek, które za wszelką cenę starają się ukryć desperację. A przecież ja taka nie byłam.

Zerknęłam do lustra, żeby sprawdzić, jak prezentuje się makijaż. Od razu zauważyłam, że przesadziłam, podmalowując brwi kredką. Były teraz zbyt ciemne i nie pasowały do moich blond włosów. Byłam niepodobna do siebie.

Zamiast zetrzeć nadmiar cienia z brwi, zaczęłam szperać w kosmetykach i po chwili natrafiłam na różdżkę do zmiany fryzury, którą tak gardziła Pearl. Przyjrzałam się swojej fryzurze – blond włosom fantazyjnie przystrzyżonym „w schodki”. Wyglądały źle, nie pasowały do mojej ciemnej karnacji. Wytężyłam wzrok, wpatrując się w swoje odbicie. Wzdłuż linii włosów na czole

zauważyłam jakiś delikatny cień. Marszcząc brwi, nachyliłam się do lustra. Wyglądało to tak, jakby przy czaszce moje włosy miały ciemnobrązowe, niemal czarne odrosty.

Roześmiałam się głośno i odsunęłam od lustra, mrugając szybko oczami. Ostatnio przez cały czas dokuczała mi dziwna suchość oczu. Podczas ostatniego badania kontrolnego (poddawałam im się w Centrum, gdy wpadałam w odwiedziny do mamy; przyjmował mnie tam lekarz, który na co dzień pracował na terenie jej instytucji) spytałam, czy możliwe, żeby moje soczewki powodowały to dziwne uczucie suchości.

– Wykluczone – odrzekł doktor. – Nosisz je, odkąd byłaś kilkumiesięcznym dzieckiem. Dawno już zespoliły się z twoim systemem nerwowym. Stanowią teraz część ciebie, nie mogą powodować żadnych podrażnień.

Zaczęłam używać kropli do oczu, ale niewiele to pomagało – oczy nadal były zaczerwienione i podrażnione. Czasami na kilka sekund obraz przed nimi stawał się rozmazany.

Pomyślałam, że te ciemne odrosty, które zobaczyłam w lustrze, to pewnie sprawka oświetlenia. Przy okazji wpadłam jednak na pewien pomysł. Po co właściwie mam farbować włosy na jakieś egzotyczne barwy, skoro mogę zdecydować się na bardziej naturalny kolor. Zmiana i tak będzie rzucać się w oczy. Doskonale wiedziałam, jaka będzie reakcja Pearl, lecz nic sobie z tego nie robiłam. Zbliżyłam różdżkę do włosów i po chwili kolor blond zniknął bez śladu.

Byłam zadowolona z efektu końcowego.

Podmalowałam jeszcze usta ziemisto-różową matową szminką, a wzdłuż rzęs pociągnęłam cieniutkie złote kreski. Na koniec jeszcze raz oceniłam rezultat.

Tak, w końcu wyglądałam jak prawdziwa ja.

Powinam pójść prosto do Pearl, jednak zamiast tego zaczęłam szukać Lark. Musiałam spytać jedną ze służących, gdzie znajduje się jej bursa. Okazało się, że Lark została zakwaterowana w pokoju, w którym dotychczas mieszkały trzy inne dziewczyny. Było jasne, że dotychczasowe lokatorki nie zamierzały oddać

go bez walki. Łóżko i biurko Lark stały pod jedną ze ścian, jednak większą część pokoju nadal zagracaly sofy, poduszki, bloki danych, ubrania i opakowania po jedzeniu pozostałych lokatorek. Dziewczyny z premedytacją tkwiły w pokoju, dając do zrozumienia Lark, że nie ma tu dla niej miejsca.

Lark zachowywała się, jakby nie zwracała na nie uwagi. Siedziała w kącie łóżka, z kolanami pod brodą, tak jakby chciała zająć jak najmniej przestrzeni. W pierwszej chwili nie zauważyła mnie, tylko wpatrywała się w pustkę. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłam, nie zwróciłam uwagi na jej urodę, ponieważ nie była tak olśniewająca jak Pearl. Uroda Lark była bardziej subtelna, kryła się w jej rysach i mimice. Mimo że nie była umalowana ani wystrojona, w łuku jej ust i cieniu na policzku było coś niesamowicie pociągającego, co przewyższało nawet urodę Pearl. Piękno Lark było proste i wzniosłe.

Nawet dwie pionowe zmarszczki, które zarysowały się między jej brwiami, wydawały mi się śliczne. Nikt w całej Akademii Dębów nie mógł się nimi poszczycić. Nikt tutaj nie miał żadnych ważnych powodów do zmartwień.

Wreszcie Lark zorientowała się, że przyszedłam. Jej twarz momentalnie się rozpogodziła.

– O rany, twoje włosy – pochwaliła, a ja zareagowałam zachwyconym uśmiechem, tak jakbym przefarbowała włosy po to, żeby zasłużyć na jej pochwałę. – Ro, są śliczne! Teraz wyglądasz jak prawdziwa ty!

Uśmiechnęła się do mnie, a we mnie zrodziła się nagle potrzeba, by zrobić coś dla niej, pomóc jej, ocalić ją.

– Ej, ty – warknęłam, odwróciwszy się gwałtownie w stronę jej współlokatorek. – Podnieś tyłek i zabieraj stąd wszystkie te poduszki. A ty pozbieraj śmieci. Odtąd ten pokój należy do Lark.

Wykorzystywanie swojej władzy było takie podniecające. Dla tych dziewczyn reprezentowałam Pearl. Zrobiły co prawda kwaśne miny, ale żadna nie próbowała mi się stawiać. Podniosły się niechętnie i zabrały za sprzątanie pokoju.

– Ro, naprawdę nie musisz... – odezwała się Lark, jednak nie pozwoliłam jej

dokończyć.

– Wiem, że nie muszę – odparłam wyniośle. – Zawsze robię tylko to, na co mam ochotę.

Po tych słowach wykonałam w kierunku współlokatorek niecierpliwy gest, po którym zaczęły się uwijać szybciej. Kiedy wybiegły z pokoju, dodałam:

– One są jak owce. Przerabiałś temat owiec na zajęciach z ekohistorii? To gatunek zwierząt stadnych, o biernym charakterze, które ślepo podążają za swoim pasterzem. Pilnuję po prostu, żeby te panienki nie zapomniały, kto jest ich przewodnikiem.

To znaczy zastępcą przewodnika, którym jest Pearl, poprawiłam się w myśli.

Lark przechyliła na bok głowę i przyjrzała mi się uważnie. Przez chwilę wyglądała zupełnie jak zaciekawiony ptak.

– Ale czy to przypadkiem nie znaczy, że sama też jesteś jedną z owiec?

Pearl śmiertelnie by się obraziła za taką uwagę. Byłam pewna, że człowiekowi, który by się poważył na takie słowa, poprzysięgłaby zemstę. Po chwili zastanowienia wyjaśniłam:

– Wszyscy jesteśmy owcami. – Nie odważyłabym się na takie wyznanie przed żadną osobą z Akademii. – Wszyscy chcemy wiedzieć, jaką ścieżką mamy podążać. Studenci Akademii Dębów po prostu wybierają drogę wiodącą w górę. Skoro musimy w przyszłości stać się pasterzami, na razie możemy przystać na rolę przewodnika stada.

Lark rozważała moje słowa, przygryzając w zamyśleniu wargę.

– A co, jeśli mogłabyś zostać psem pasterskim?

– Czym? – zdziwiłam się.

– Psem, który prowadzi stado i chroni je przed niebezpieczeństwami.

– I myśli w zastępstwie owiec?

– Może. Dopóki owce nie przypomną sobie, że potrafią samodzielnie myśleć.

Po tej wymianie zdań zapadło krępujące milczenie. Wreszcie, gdy cisza stawała się nie do zniesienia, zmusiłam się do śmiechu i powiedziałam:

– Ubieraj się i idziemy.

– Jestem ubrana – odparła Lark.

Miała na sobie prostą żółtą sukienkę z odkrytymi ramionami i plecione sandały z jasnobrązowego tworzywa.

Poczułam, jak w moje serce wkrada się dobrze mi znana złośliwość.

– No dobra. I tak nikt nie będzie na ciebie zwracał uwagi – stwierdziłam, ruszając do drzwi.

Momentalnie pożałowałam tych słów. Lark jednak posłusznie poszła za mną.

Okazało się, że miałam rację. Kiedy przyprowadziłam Lark do pokoju Pearl, gospodyni zachowywała się, jakby dziewczyna była przezroczysta.

– Wielka Ziemi, Yarrow! – zawołała na mój widok. – Dziewczyno, coś ty zrobiła z włosami? Są takie... ciemne i nijakie!

Zarzuciła z dumą swoimi włosami, tak jakby srebrzysty był jedynym dozwolonym kolorem.

– No właśnie, Yarrow, co ci strzeliło do łba? – wtrąciła się Lynx, unosząc równocześnie rękę do swoich kasztanowych loków. Jakiś czas temu odbarwiła swoje włosy, żeby nadać im kolor zbliżony do włosów Pearl. Szybko jednak wróciła do swojego naturalnego koloru, bo Pearl nie była zachwycona tym pomysłem.

– Sama nie wiem – odparłam. Podeszłam do jednego z wielu lusterek w pokoju Pearl, żeby jeszcze raz sprawdzić efekt. – Uważam, że wyglądają interesująco. Inaczej.

– Jasne, tylko że w tym wypadku „inaczej” znaczy „nudno” – mruknęła Pearl. – Przywróć poprzedni kolor. Ta impreza, na którą się wybieramy, będzie wyjątkowa.

– To znaczy? – zainteresowałam się, nie odrywając spojrzenia od swojego odbicia w lustrze. Odgarnęłam włosy z twarzy i zaczęłam podwijać na palcach końcówki, żeby je trochę zmiękczyć. – Myślisz, że tym razem ochrona pozwoli nam wejść?

Powiedziałam to zupełnie bez zastanowienia. Dopiero gdy ujrzałam w lustrze wściekły wyraz twarzy Pearl, zrozumiałam, że palnęłam głupstwo. Kiedy

odwróciłam się do niej, wyglądała na spokojną, z jej oczu nadal wyzierała jednak tajona agresja. Powiedziałam coś, co zakrawało na krytykę jej osoby. A stąd tylko krok do podważania jej pozycji.

Po chwili uznała chyba, że nie będzie robić z tego wielkiej sprawy. Byłam jednak pewna, że prędzej czy później będę musiała zapłacić za tę zniewagę.

– Hej, przypomnij mi, jak masz na imię. Lake?

– Lark – próbowała powiedzieć dziewczyna, jednak Pearl nie pozwoliła jej dojść do głosu.

– Cieszę się, że nie należysz do tych dziewczuch, które za nic mają tradycję. Wiesz, że mamy tu grupę nowo przybyłych do szkoły dziewczyn, które nie chcą oddać chipów z kredytami? Wyobrażasz to sobie? Przecież to tradycja równie stara jak Akademia Dębów. – Pearl wyciągnęła rękę, a gdy Lark, nie przeczuwając podstępu, chciała ją ująć, Pearl wykonała lekceważący gest. – Twój chip z kredytami. Daj mi go.

– Ale dlaczego? – spytałam, uprzedzając Lark.

Pearl przewróciła oczami i posłała mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Aleś ty głupia. Nie wiesz, że nowi studenci zawsze fundują tym, którzy zabierają ich na miasto pierwszej nocy? To tradycja. – Wyprostowała się przy tych słowach. Stała teraz sztywna jak struna. – A czymże byśmy byli bez naszych tradycji?

A więc na tym polegał plan Pearl. Chciała wyciągnąć od Lark tyle pieniędzy, ile tylko zdoła. Doskonale wiedziała, że jej rodziców z najwyższym trudem było stać na posłanie córki do Akademii Dębów. A Pearl była mistrzynią w nabijaniu rachunków. Prywatna loża, drinki z najwyższej półki, egzotyczne rozrywki – wszystkie te przyjemności miała dzisiejszej nocy pokryć z własnych pieniędzy Lark. Było jasne, że w ciągu kilku minut będzie zupełnie spłukana. Resztą wydatków obciążona zostanie jej karta kredytowa, a debet będą musieli spłacić rodzice. Zapewne wywoła to w nich tak wielką wściekłość, że jak tylko zobaczą rachunek, zabiorą córkę z Akademii.

Plan był sprytny. A żeby jednak był też skuteczny, spełniony musiał zostać

jeden warunek – Lark musiałaby okazać słabość i oddać Pearl chip z kredytami.

I po chwili faktycznie to zrobiła.

Ręka świerzbiała mnie, żeby ją powstrzymać, jednak... zmusiłam się do namysłu. Przypomniałam sobie, jak straszny los stał się udziałem Cinnamon. Przywołałam też wspomnienia tych wszystkich przerażających rzeczy, jakich dopuściła się Pearl, najpotworniejszych tortur, jakie zrodziły się w jej wyobraźni i którym poddawała swoje ofiary. W porównaniu z nimi zmuszenie Lark, by wydała wszystkie pieniądze, wydawało się dosyć niewinne.

Czując na sobie uważne spojrzenie Pearl, postanowiłam, że nie będę protestować.

– Racja, taka jest tradycja – przyznałam, wzruszając ramionami. – Z tradycją nie wygrasz.

W głębi duszy obiecałam sobie, że pokryję wszystkie wydatki tej nocy z własnej kieszeni. Majątek mojej rodziny pozwalał bez mrugnięcia okiem pokryć koszt wszystkich szaleństw, jakie zaplanowała na tę noc Pearl. Dla rodziny równie potężnej jak moja nie będzie to stanowić żadnego kłopotu. Pearl wydawać się będzie, że zwyciężyła. Jak jednak zareaguje, gdy Lark pozostanie na uczelni?

Pearl uśmiechnęła się szeroko niczym zadowolona kotka, po czym zwróciła się znów do mnie:

– Idź przefarbować włosy, a potem idziemy na imprezę.

– Nie.

– Co takiego?

Zabrzmiało to tak, jakby Pearl naprawdę nie rozumiała, co mówię. Rozdźwięk między oczekiwaniami a tym, jak w rzeczywistości zareagowałam na jej polecenie, okazał się zbyt duży i wywołał szok. W gruncie rzeczy było to nawet zabawne, jednak nie dawałam po sobie niczego poznać.

– Podoba mi się ten kolor – oznajmiłam beznamiętnie. – Nie będę go zmieniać.

Pearl otworzyła usta, jednak nie popłynęły z nich żadne dźwięki. Spieranie się

ze mną było czymś poniżej jej godności. Wiedziałam jednak, że zapamięta tę zniewagę.

– Idziemy – nakazała lekkim tonem, wsuwając do kieszeni chip z kredytami Lark. – Czeka nas niezapomniana noc.

ZGODNIE Z PRZEWIDYWANIAMI PEARL BEZ problemów wpuszczono nas na balangę. Wystarczyło, że ochroniarz przyjrzał się jej i gestem zachęcił, żebyśmy ominęły kolejkę. W asyście uroczej deskorolkarki przebranej za pręgowca ruszyliśmy do drzwi windy. Wkrótce okazało się, że organizatorem imprezy jest przyjaciel rodziny Pearl – jakiś bajecznie zamożny playboy będący synem bliskich współpracowników jej rodziców. Ludzie ci dorobili się w ostatnich dwudziestu latach na szemranych interesach i handlu na czarnym rynku, ale kogo by to interesowało? Ich fortuna zapewniła im nietykalność. Tylko drobni przestępcy trafiali do więzienia, natomiast oszuści robiący kolosalne przekręty przenosili się z czasem do wewnętrznych kręgów. Zwłaszcza gdy wiedzieli, jak z klasą szastać pieniędzmi.

Winda zawiozła nas do sali balowej w prywatnym apartamencie i po chwili zalała nas lawina świateł i dźwięku.

– Karnawał! – zawołała radośnie Pearl, klaskając w dłonie.

Gdyby to były obchody karnawałowe na ulicy, kręciłaby na nie nosem. Ponieważ jednak znalazłyśmy się w elitarnym klubie bajecznie bogatych ludzi, była oczarowana.

Prawdę mówiąc, ja też.

Nigdy jeszcze nie byłam na balu karnawałowym. Ten, na który właśnie trafiłam, przerastał moje najśmielsze marzenia. Był większy! Bardziej kolorowy! A muzyka grała głośniej!

Moje spojrzenie natychmiast podążyło ku górze, gdzie na sklepionym kuliście suficie znajdowały się przepiękne freski. Same w sobie stanowiły zachwycający widok, który jednak teraz przyćmiewało to wszystko, co działo się na dole.

Zauważyłam też zwieszający się na linach trapez. Ktoś przymocował liny śrubami do sklepienia, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z tego, że niszczy te arcydzieła malarstwa.

Poczułam, jak Lark dotyka lekko mojej ręki.

– Czy oni naprawdę nie mają na sobie nic poza tymi cekinami? – spytała, wpatrzona w parę akrobatów nad naszymi głowami. Co jakiś czas jeden z artystów wyskakiwał w powietrze i pozwalał się schwycić drugiemu. Występ trapezistów nie był tylko pokazem sportowym, lecz krył w sobie również zmysłowość. W pewnym momencie muskularny akrobata schwycił w locie swoją partnerkę, a ona w wyzywający sposób oplótła go w talii nogami. Jej plecy wygięły się w łuk w udawanej (a może autentycznej) ekstazie. Po drugiej stronie, również pod sklepieniem, zauważyłam, jak jakiś mężczyznę przebrany za lisa idzie po rozciągniętej od ściany do ściany linie. Posuwał się szybko przed siebie, przebierając lisimi łapkami.

– A co z nim będzie, jak spadnie? – zastanowiła się na głos Lark.

Nigdzie nie było widać lin bezpieczeństwa ani podwieszonych siatek. Oznaczało to, że występujący artyści mogli zginąć. Podobnie zresztą jak ci, na których by spadli. Jednak najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Popisy akrobatów traktowano po prostu jako jeszcze jedną z szeregu przygotowanych na ten wieczór atrakcji. Zresztą ja sama zapomniałam o nich już chwilę potem, gdy moim oczom ukazał się mężczyzna chodzący na szczudłach. Na głowie miał rogi, a z pomalowanej twarzy zerkwały złośliwe oczy. Wyciągał ręce do artystów, jakby próbował ich pochwycić, oni jednak przelatywali wysoko nad jego głową. Olbrzym sięgał wtedy ku przemykającym między jego szczudłami ludziom, którzy chichocząc i piszcząc, próbowali mu się wymknąć.

Pearl, nie oglądając się na mnie, podeszła ku lustrzanej ścianie na tyłach sali balowej. Jej śladem podążyły zapatrzone w nią koleżaneczki. Sprawiała wrażenie, że nie interesuje się w ogóle Lark. Ja jednak wiedziałam, że to tylko poza. Pearl była w posiadaniu chipa z kredytami nowej studentki i sądziła, że bez trudu doprowadzi ją do ruiny. Mogła teraz skupić się na zabawie.

Uznałam, że w takim razie ja również się zabawię. Razem z Lark.

Mając ją przy sobie, spoglądałam moimi zmęczonymi oczami na cały ten przepych, tak jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Motywy przyrodnicze, które w Edenie zawsze cieszyły się wielką popularnością, tutaj doprowadzono do przesady. W pewnym momencie pokazałam Lark dziewczynę w przebraniu ryby. Praktycznie nie dało się wskazać, gdzie kończyła się jej skóra, a zaczynał kostium. Ciało miała pokryte pomarańczowymi i złotymi kryształkami imitującymi połyskujące w słońcu łuski karpia koi. Mniej więcej na wysokości pasa opinał ją kosztowny jedwabisty materiał, który niżej układał się w sukienkę z rybim ogonem.

– Popatrz tam! – zawołała Lark, wskazując odzianego na zielono mężczyznę. Jego nienagannie skrojony garnitur kazał się domyślać, że odgrywa chudziutką zwinną żabkę. – Przyniósł ze sobą nawet liść lilii wodnej.

Po chwili dojrzałam też służącego towarzyszącego mężczyźnie-żabie. Skromnie odziany, przynosił liść lilii, ilekroć zamożny mężczyzna zapragnął się przemieścić.

Inni goście darowali sobie przyrodnicze przebrania. Dla nich liczyło się przede wszystkim, by ubiór dawał wyobrażenie o ich zamożności. Na terenie Edenu istniała niewielka ilość prawdziwych klejnotów i złota, które mieli pierwotni osadnicy-ocaleńcy z Ekokłęski; oczywiście do dzisiejszych czasów większość tych bogactw zdążyła już wielokrotnie zmienić właściciela. Rozglądając się wkoło, nabierałam przekonania, że spora część owych precjozów znajdowała się teraz na tej sali. Przeważała co prawda sztuczna biżuteria, jednak wyglądała ona równie kosztownie, a piękną być może nawet przewyższała oryginały. Cała sala mieniła się niczym dzieło znakomitego jubilera.

Kiedy Pearl się oddaliła, nagle poczułam się wolna. Wreszcie nie musiałam nikogo uszczęśliwiać ani martwić się, jak zostanę oceniona. Chociaż nie było to prawdą, bo przecież Lark też mnie osądzała. Widziałam to w jej spojrzeniu. Jednak coś mi podpowiadało, że nie muszę się obawiać jej oceniającego wzroku.

Z jakiegoś powodu pragnęłam, by dowiedziała się o mnie wszystkiego. Nawet tego, czego sama nie wiedziałam.

Teraz chciałam uszczęśliwić tylko ją. Zależało mi, żeby spędziła zachwycającą noc. Chciałam pokazać jej, jak wiele mogą zdziałać pieniądze, wysoko sytuowani przyjaciele i władza. W pewnym momencie chwyciłam ją za rękę i pociągnęłam w stronę tłumu.

– Zatańczmy! – zawołałam, próbując przekrzyczeć muzykę i śmiechy.

I już po chwili pochłonęło nas karnawałowe szaleństwo. W tej swojej prostej żółtej sukience Lark przypominała polny kwiatek w otoczeniu egzotycznych orchidei. Dodawało jej to tylko uroku.

Zacząłam tańczyć z jakimś gołym od pasa w górę, ubranym w same spodnie chłopakiem. Pozostawaliśmy w pewnym oddaleniu od siebie, bo ze wszystkich części jego ciała sterczały kolce.

– To chyba człowiek-kaktus, co? – spytała ze śmiechem Lark, kiedy wirując, oddalałam się od niego.

Następnie zaczęłyśmy obie podskakiwać z jakimś młodym mężczyzną przebranym za klauna. Namalowane wielkie zmarszczone brwi dziwnie kontrastowały z szerokim uśmiechem, który nie schodził mu z ust i był jak najbardziej prawdziwy.

Wtem muzyka ucichła i zgasły wszystkie światła. Sala pogrążyła się w ciemności. Z góry poczęły powoli opadać ku nam balony. Ależ nie, to nie balony, zreflektowałam się po chwili. To bańki! Wykonane z jakiegoś dziwnego tworzywa, przybierały doskonale kuliste kształty i emanowały blaskiem przywodzącym na myśl masę perłową. Kiedy jedna znalazła się tuż nad moją głową, wyciągnęłam do niej rękę. Jak tylko dotknęłam jej palcem, bańka prysła i spłynął z niej obłok opalizującego pyłu. Nie miałam pojęcia, co to takiego. Wszyscy goście wkoło zaczęli ochoczo przebijać bańki i z otwartymi ustami łąpczywie połykali lub wdychali migoczący proszek. Po chwili ogarnęło mnie przyjemne uczucie. Nie było to nic intensywnego, po prostu odniosłam wrażenie, jakby właśnie ktoś ujął mi zmartwień. Domyśliłam się, że pył to jakiś

rodzaj narkotyku o lekkim działaniu. Pod jego wpływem ciemność i tłum gości wydawały się bardziej pociągające.

Poczułam, jak po ciemku Lark chwyta mnie za rękę. W tym samym momencie po przeciwległej stronie sali rozbłysło nagle światło. Ujrzałam jakiegoś mężczyznę. Ubrany w ciemnofioletowy garnitur, stał na podeście.

– Witajcie w moim skromnym przybytku – przemówił. Odpowiedziały mu uprzejme śmiechy. Był właścicielem dwóch najwyższych pięter w tym budynku: na jednym mieściła się sala balowa, a piętro niżej jego apartamenty. Rezydencja ta należała bez wątpienia to najdroższych domostw w całym Edenie.
– Przygotowałem dla was, kochani, kilka niespodzianek na tę noc.

W tym samym momencie światła zaczęły migotać niczym gwiazdy. Wszędzie wokół nas zaroiło się od kolorowych rozbłysków. Blask lamp odbijał się od ściany luster. Dopiero gdy przyjrzałam się uważniej, odkryłam, że zwierciadła tworzą istny labirynt, w którym odbijał się zwielokrotniony tłum gości.

Wielobarwne reflektory punktowe zaczęły błędzić po sali i wyławiać z ciemności niewidoczne dotychczas niespodzianki, które kryły się za zasłonami albo przepierzeniami imitującymi ściany. Szczudlarze i akrobaci to był tylko początek. Z gardeł gości dobywały się okrzyki zdumienia, gdy reflektory ukazywały im tunel zakochanych, psychodeliczny nadmuchiwany zamek czy przezroczyste kule, do których można było wejść i zderzać się z osobami zamkniętymi w innych kulach. Pearl była tak samo zachwycona jak wszyscy inni – pokrzykiwała i klaskała z entuzjazmem. Ja jednak wiedziałam, że gdyby zobaczyła tego typu rozrywki na ulicy, naśmiewałaby się z nich bez litości i nazwała je żałosnymi zabawami dla gawiedzi. Teraz cieszyła się nimi jak małe dziecko, ponieważ zorganizował je bogacz z myślą o innych bogaczach. Zresztą wszyscy tutaj zachowywali się tak samo jak ona.

– Ale to jeszcze nie wszystko! – odezwał się gospodarz, gdy fioletowe snopy reflektorów ułożyły się w strzałę wskazującą połączone drzwi. – Za tymi drzwiami czeka na was rollercoaster, pierwsza tego typu rzecz w Edenie,

stworzona na podstawie zachowanych planów sprzed Ekokłęski. Start jest na dachu, a potem tor, wijąc się, przebiega przez cały budynek. Możecie sobie wyobrazić, jak wielki krzyk podnieśli moi sąsiedzi z dołu, gdy dowiedzieli się, że zainstaluję im nad głowami to urządzenie. – Zapewne w budynku prócz niego mieszkali inni milionerzy, choć ustępujący mu zamożnością. – Jakoś udało mi się jednak załagodzić sytuację. – Mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się tubalnie. – Bawcie się! I nie zapomnijcie oddać na mnie głosu podczas zbliżających się wyborów na gubernatora okręgu!

Salę znów zalała powódź światła, a podekscytowani goście pospiesznie ruszyli ku swoim ulubionym karnawałowym zabawom. Mimo że byli obwieszani kosztującą fortunę biżuterią i wystrojeni, wyglądali teraz zupełnie jak dzieci, tacy byli spragnieni zabawy i niewinni. Przez głowę przeleciała mi myśl, że skoro na godzinę czy dwie potrafią zrzucić maski zblazowanych bogaczy, może wydawanie pieniędzy w takim celu nie jest pozbawione sensu.

– Co chcesz robić najpierw? – spytała Lark. Oczy jej lśniły. Miałam poczucie, że postąpiłam słusznie, udaremniając plan Pearl, dzięki czemu mogliśmy teraz spędzić ten czas razem.

– Może przejeździemy się roller coasterem? – zaproponowałam.

Kiedy jednak ruszyliśmy w tamtą stronę, okazało się, że kolejka cieszy się największym zainteresowaniem wśród gości. Kręciły się wokół niej tłumy ludzi. Postanowiliśmy, że spróbujemy przejechać się nią później, po czym puściliśmy się biegiem przed siebie bez żadnego konkretnego celu. Po chwili wylądowałyśmy w nadmuchiwanym zamku i zaczęłyśmy podskakiwać, objijając się o elastyczne ściany. Szalałyśmy, dopóki nie byłyśmy zziębnięte i spocone. Na koniec padłyśmy jedna na drugą, po czym zanosząc się śmiechem, wyczołgałyśmy się na zewnątrz.

W pewnym momencie gdzieś za nami rozległ się lodowaty głos:

– Dobrze się bawicie? – Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam Pearl. W dłoniach trzymała drinki z lodem w wysokich szklankach. – Smacznego.

Wyciągnęła szklanki w naszą stronę. Kiedy się nachyliła do mnie,

zauważyłam, że ma powiększone źrenice. Domyśliłam się, że musiała się nawdychać więcej niż my narkotycznego proszku rozpylonego w sali.

– To prezent ode mnie, na zgodę – wyszeptła mi na ucho.

Byłam tak zziajana po naszych szaleństwach w nadmuchiwanym zamku, że niewiele myśląc podniosłam szklankę do ust i jednym haustem opróżniłam ją do połowy. Napój miał czerwony kolor i wyglądał na coś owocowego. Lark wzięła swoją szklankę, wypła maleńki łyk i od razu się skrzywiła.

– Do dna! – rzuciła Pearl, odchodząc.

Dopiłam łączywie swojego drinka, a kiedy nie zostało już nic w szklance, potrząsnęłam nią, tak że rozległ się grzechot kostek lodu. Lark ze śmiechem podała mi swój koktajl.

– Nie smakuje mi. Wypij mojego drinka, a ja poszukam dla siebie wody. Zaraz wrócę.

Krawędź szklanki ozdobiona była crustą z kryształków cukru. (W Edenie cukier należał do składników pożywienia, które najłatwiej było zsyntetyzować. Oczywiście nie mieliśmy już do dyspozycji trzciny cukrowej, ale wystarczyło w odpowiedni sposób powiązać kilka cząsteczek węgla, wodoru i tlenu, by otrzymać wspaniałą syntetyczną imitację). Drinka Lark sączyłam już wolniej, omiatając spojrzeniem tłum gości. Przez całe życie bywałam na imprezach, jednak z jakiegoś powodu czułam się tutaj jak outsider. Miałam poczucie, jakbym nie powinna przebywać pośród tego wielkiego tłumu, lecz raczej zaszyć się gdzieś samotnie. Nie było to poczucie niedopasowania do tych ludzi – po prostu nagle zrodziła się we mnie pewność, że moim naturalnym stanem jest samotność. No, może mógłby mi w niej dotrzymywać towarzystwa ktoś wyjątkowy.

Gdzie znikła Lark? Kiedy wydało mi się, że po drugiej stronie sali mignęło coś liliowego, momentalnie ruszyłam w tamtą stronę. Wypite przeze mnie drinki musiały być znacznie mocniejsze, niż z początku sądziłam. Smakowały słodko i mdło, no i dawała się w nich wyczuć ta sztuczna owocowa nuta, którą smakowały wszystkie tutejsze „owoce”. Którejś nocy przyśniły mi się

truskawki. Małeńkie, okrągłe i rozgrzane na słońcu. Obudziłam się akurat w chwili, gdy brałam jedną do ust. Nikt nigdy nie dowie się, jak smakowała prawdziwa truskawka.

Po chwili liliowy błysk znikł mi z oczu. Wykonałam szybki zwrot i ruszyłam w drugą stronę. Nagle opanowała mnie wściekłość na cały świat. Byłam zła na głupich ludzi, którzy wszystko psuli. Na Ziemię za to, że umierała. Czy naprawdę nie mogła wykrzesać z siebie więcej sił? Przecież byliśmy zaledwie jednym spośród mnóstwa gatunków zamieszkujących jej powierzchnię. Jak to możliwe, że odnieśliśmy zwycięstwo nad tygrysami, dzikimi koźmi, drobnoustrojami, przyptywami i odpływami oraz wszelkimi innymi zjawiskami, które są potężniejsze od nas?

Jak to się stało, że przegraliśmy?

Pewna, że dostrzegłam Lark, zaczęłam się przepychać wśród gości ku tyłom sali. Panował tu nieco mniejszy ścisk, jednak znów okazało się, że straciłam moją koleżankę z oczu. O ile w ogóle to ją wcześniej wypatrzyłam. Kiedy się odwróciłam, stanęłam twarzą w twarz z jakąś dziwnie wyglądającą ciemnowłosą dziewczyną. Miała wydatną szczękę i zaciskała zęby. Jej srebrzyste oczy były bez wyrazu i sprawiały wrażenie, jakby do niej nie pasowały. Dziewczyna była wysoka i silna, jednak z jakiegoś powodu czuła się słaba.

Spoglądałam na własne odbicie. Znalazłam się w lustrzanym labiryncie.

Nie chciałam dłużej przypatrywać się tej dziewczynie. Było z nią coś nie tak. W lustrze widziałam, że za mną tłoczą się goście. Kiedy odwróciłam się w tamtą stronę, odkryłam... że wszyscy ci ludzie to zwielokrotniona ja. Znalazłam się w otoczeniu luster, które powielały w nieskończoność odbicie mojej twarzy. Im baczniej przypatrywałam się moim odbiciom, tym mniejsza stawała się moja sylwetka. W końcu znikałam w tych odbiciach zupełnie.

Zatoczyłam się do tyłu, jednak lustra otaczały mnie ze wszystkich stron. Ze zdenerwowania spościłam się na karku i twarzy. Spróbowałam biec, ale nie było dokąd. Gdziekolwiek się odwróciłam, napotykałam samą siebie. Było tak, jakbym biegła na spotkanie kochanka, który czekał na mnie z otwartymi

ramionami. Zawsze jednak kończyło się to zderzeniem z lodowatym szkłem lustra. Rozglądałam się bez końca na wszystkie strony i wszędzie widziałam tylko siebie. Moja twarz, na której odbijała się teraz panika, wyglądała groteskowo. Dłońmi wodziłam po lustrach, próbując rozróżnić, co jest rzeczywistością, a co tylko pozbawionym życia obrazem. Każdy dotyk pozostawiał na szkle tłuste ślady spoconych palców.

Spróbowałam się uspokoić, jednak wtedy odkryłam, że serce bije mi jak szalone. Jego dźwięk nie przypominał już miarowych uderzeń, a raczej jednostajne brzęczenie. Bez przerwy wydawało mi się, że dostrzegam za sobą odbicie innych ludzi. Musiałam raz za razem przypominać sobie, że znalazłam się w lustrzanym labiryncie i jestem tu sama. Światła, lustra i mój skołowany umysł sprzysięgły się, by pokazywać mi rzeczy, które w rzeczywistości nie istniały. Umysł płatał mi figle, wyczarowując przed moimi oczami jakieś przerażające postacie. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że widzę kolor liliowy. Wizja zaraz jednak się rozwiała. Kiedy odwróciłam się szybko, odniosłam wrażenie, że dostrzegam jakiegoś młodego mężczyznę. Wysoki i dobrze zbudowany, miał kasztanowe włosy, a jego twarz skrywał cień. Jego usta poruszyły się, a ręka wyciągnęła oskarżycielsko w moją stronę. Ty, powiedział bezgłośnie, ruszając ku mnie. Ty.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnęłam.

Dyszząc, odwróciłam się szybko w drugą stronę. Jednak momentalnie zostałam pochwycona przez obraz czający się w nowym lustrze. Chciałam oderwać od niego wzrok, ale nie potrafiłam.

Ujrzałam jakichś zamaskowanych ludzi. Nie nosili jednak masek egzotycznych zwierząt, w które wystroili się niektórzy goście balu. Ludzie, których teraz widziałam, ubrani byli na zielono, niczym kapłani świątynni, lecz ich ubiór bardziej kojarzył się z fartuchami chirurgów w szpitalu. Twarze skrywali za białymi maseczkami, które ukazywały tylko ich ciemne pozbawione wyrazu oczy. Pochylali się nad jakimś pacjentem przywiązany pasami do łóżka. Osoba ta, leżąca na brzuchu, zaczęła się zwijać z bólu. W tym samym

momencie postacie w kitlach zauważyły mnie i wskazały wyciągniętymi rękami. Tym razem uzbrojonymi w skalpele.

Następnie ludzie ci odeszli od stołu operacyjnego i zaczęli zachodzić mnie od tyłu. Zamarłam w bezruchu. Zapraǳnęłam odwrócić się i upewnić, że są tylko wytworem mojej wyobraźni. Nie mogli być prawdziwi. Chciałam rzucić się do ucieczki, jednak nogi miałam jak z ołowiu.

Kiedy podeszli bliżej, zaczęli zdejmować z twarzy maski. O wielka Ziemi, to, co kryło się pod nimi, było niewysłowienie ohydne. Powykręcane, zniekształcone rysy. Rany i owrzodzenia. Twarze przypominały przypadkowe zbiory grudek gliny, które próbowały imitować ludzkie rysy. Ludzie ci wyglądali niczym postacie stworzone ręką kogoś, kto tylko słyszał o tym, jak wygląda człowiek, lecz nigdy nie widział go na własne oczy.

W nagłym olśnieniu pomyślałam: *Widzę teraz nasze dusze. Tak naprawdę wyglądamy my, ludzie: powykręcani, szpetni i odrażający.*

Najstraszniejsze były ich uśmiechy – stwory szczyrzyły do mnie zęby w uśmiechu, wykrzywiając swoje zniekształcone usta. Kiedy doczłapały bliżej, na podstawie ich gestów domyśliłam się, że chcą mnie uspokoić. *No już, już, zdawały się mówić. Nic się nie martw. Wszystko jest tak, jak być powinno.*

Ale to przecież nie była prawda. Otaczały mnie potwory!

Nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje.

W końcu udało mi się przełamać moją martwość. Puściłam się biegiem, zostawiając z tyłu przerażające wizje. Serce łomotało mi w piersi. Ogarnęło mnie to samo dziwne poczucie, którego doznałam, gdy do naszej klasy weszła Lark. Wróciły mdłości i zawroty głowy, a także ryk rozbrzmiewający w czaszce.

Nagle mnie olśniło: *To wina wypitych drinków.* Pearl musiała dosypać coś do koktajli, którymi poczęstowała mnie i Lark. Substancja, której użyła, musiała mieć potężne działanie. A ja, przypomniałam sobie po chwili, wypłam przecież obie szklanki.

Zrozumiałam, że muszę się jak najszybciej wydostać z tego labiryntu, a także z balu. Nie miałam jednak pojęcia, którędy mogłabym stąd uciec. Ilekroć

wzrokiem zahaczałam o własne zniekształcone odbicia w lustrach, mieszało mi się od nich w głowie. Krzywe zwierciadła rozdymały moje odbicie do monstrualnych rozmiarów. Wyglądałam w nich niczym nadmuchany balon – wielki, ale pusty w środku. Kolejne lustro rozciągnęło moje ciało w długą i cienką linię dzielącą świat na dwie połowy. W głowie tłukły mi się jakieś absurdalne myśli: którą stronę powinnam wybrać? I czy w ogóle mam jakiś wybór?

Potykaçąc się, ruszyłam znów przed siebie. Próbowałam wołać imię Lark. Dlaczego nikt nie przychodził mi z pomocą? Docierał do mnie stłumiony szmer rozmów i śmiechu gości bawiących się na balu, jednak nikt nie wchodził do labiryntu. Byłam sama. I zgubiona!

Biegałam teraz po salach labiryntu i krzyczałam z przerażenia. W pewnym momencie zderzyłam się z lustrzaną przeszkodą i osunęłam na ziemię. Poleciały na mnie dwa uszkodzone lustra, rozpryskując się na milion drobinek. Lodowate odłamki szkła ześliznęły się po mojej skórze. Przez chwilę wydawało mi się, że znów biorę udział w obchodach Festiwalu Śniegu. Po chwili jednak się zreflektowałam – przypominało to coś innego. Nie tyle śnieg, co piach, który próbował mnie pochłonać żywcem.

Poderwałam się z ziemi i strząsnęłam odłamki szkła. Na rękach, w miejscach gdzie przecięło skórę, czułam łaskotanie krwi. Krew była ciepła i żywa. Otuchy dodało mi odkrycie, że wewnątrz mnie kryje się coś tak pełnego życia, podczas gdy na zewnątrz jestem martwa i nieprawdziwa. O dziwo nie dokuczał mi ból. Całe ciało było dziwnie odrętwiałe, natomiast umysł balansował między ośpieniem a chorobliwym ożywieniem.

Przypomniałam sobie, że muszę wydostać się z tego przeklętego labiryntu. Gdziekolwiek jednak spojrzałam, natrafiałam tylko na własne odbicie.

W końcu moją uwagę przykuło lustro, w którym dostrzegałam tylko pojedyncze odbicie. W przeciwieństwie do pozostałych nie kryło ono w sobie tej nieskończonej liczby coraz mniejszych obrazów. Kiedy zbliżyłam się do niego, obraz pozostał taki sam: inne lustra nie odbijały się w nim w nieskończoność.

Macając po omacku niczym ślepiec, potykając się od nadmiaru bodźców wzrokowych, nieśmiało zerknęłam w szklaną taflę. Tak, pokazywała tylko mnie. Znalazłam wyjście z labiryntowego gąszczu odbić. Po kilku krokach wyrwałam się na wolność.

Zaraz jednak odkryłam, że również tutaj świat wygląda inaczej. Nie widziałam co prawda zwielokrotnionych w nieskończoność własnych obrazów, jednak teraz inni ludzie wydawali mi się dziwni. Miałam wrażenie, że jest w nich coś nienaturalnego i jakby nie z tego świata. Ich twarze przypominały pyski jakichś nieistniejących gatunków zwierząt, parodie utraconego przez nas życia na planecie. Farba, brokat, pozłotko i sztuczność – oto czym było nasze życie w Edenie.

Nie zderzałam się już z lustrami, lecz wpadałam na żywych ludzi. Przy każdym szturchnięciu wydawało mi się, jakby oni również rozpadali się na milion kawałeczków mięsa niczym wcześniej strzaskane lustro. Zewsząd spoglądało na mnie tyle oczu! Nie mogłam tego znieść! Chciałam zostać sama, schować się za wysoką ścianą, za którą nikt nie mógłby mnie dojrzeć, tak by nikt nawet nie wiedział, że w ogóle istnieję. Po chwili jednak się zreflektowałam – nie, tak naprawdę chciałam być z Lark.

Po przeciwnej stronie zamajaczyły czyjeś jasne włosy. Czy były ufarbowane na liliowo? Światło wylewające się z pulsujących reflektorów stroboskopowych nie pozwalało rozpoznać barw. Miałam wrażenie, jakby moje oczy również pulsowały. Obawiałam się, że lada chwila wyskoczą mi z oczodołów. Może te włosy miały srebrny kolor? A może były różowofioletowe niczym kwiat? Ruszyłam śladem tej jasnowłosej osoby. Jej twarz przez cały czas ginęła w cieniu. Kiedy wsunęła się do niszy ze stolikami, sądziłam, że nie zdoła mi już uciec. Czekąco mnie jednak kolejne rozczarowanie. Niemal zderzyłam się z drzwiami. A kiedy je otworzyłam, ujrzałam schody, które pięły się do góry i ginęły w ciemności.

Z góry dobiegł stukot butów na wysokim obcasie. Ruszyłam biegiem i zanurzyłam się w ciemność.

Po chwili poczułam, jak ściany, wzdłuż których sunę, zaciskają się wokół mnie. Co ja narobiłam? Wbiegłam prosto do smoczej paszczy, a teraz bestia mnie połknie! Poczułam, jak ściany, a wraz z nimi powietrze, napierają na mnie. Osunęłam się na kolana. Poczułam się taka maleńka, taka słaba! Miażdżyła mnie jakaś straszliwa siła! Nie! Schwyciłam się za głowę. Bałam się, że lada chwila eksploduje mi czaszka.

I nagle usłyszałam ten dziwny głos. Miał łagodne, kojące brzmienie, lecz sens słów przyprawił mnie o ciarki. *Umrzyj*, nucił łagodnie. *Porzuć wszystko, zapomnij nawet o sobie i umrzyj*. Ten głos był cudowny niczym najmiłsza pieszczota. Pod jego wpływem pragnęłam poddać się wszystkim strasznym rzeczom, o których mówił. *Zapomnij, zapomnij*, szeptał, zwodząc mnie ku pustce, która majaczyła coraz bliżej.

Wtem poczułam ból. Wielka Ziemi, nigdy w życiu nie zaznałam niczego, co mogło się z nim równać. Nie pochodził z moich ran ani w ogóle z mojego ciała, które było odrętwiałe i stężałe niczym blok lodu. Promieniował od środka, z umysłu. Rodziło go wspomnienie doznanego kiedyś cierpienia. Było to tak dojmujące, że zaczęłam bezsilnie łkać. Poczułam, jak szpilki przeszywają moje żyły, a po chwili elektrody zaczęły razić mnie salwami bólu, który rozpełzał się po całym ciele. Z moich ust wydarł się krzyk. Jeszcze gorsze były jednak inne rodzaje cierpienia – ból po stracie kogoś bliskiego, ból bezsilności, ból, jaki sprawia poznanie strasznej prawdy.

Widzę cię, syczał tymczasem głos. Nie wiedziałam, czy to ten sam, który słyszałam przed chwilą. Chyba nie, ten był ostrzejszy, nie brzmiał już kojąco, a bardziej wyzywająco. Tamten wcześniejszy był wspomnieniem, natomiast ten, który słyszałam w tej chwili, przemawiał z mojego wnętrza. *I co teraz poczujesz?* Pobrzmiwało w nim szczere zainteresowanie, jakby ten, do kogo należał, bacznie mi się przyglądał.

– Zostanę tu i umrę – jęknęłam w odpowiedzi.

Nie miałam pojęcia, do kogo należy głos rozbrzmiewający wewnątrz mnie, ale czułam, że ten ktoś obserwuje mnie cynicznie i spodziewa się, iż dam

za wygraną. Równocześnie jednak było w tym oczekiwaniu zaciekawienie i usłużność, jakby to coś dopuszczało możliwość, że jednak się nie poddam.

Niezależnie od tego, czym była ta istota, nie miałam zamiaru skapitulować na jej oczach. Nie chciałam dać jej tej satysfakcji.

Spróbowałam wstać, jednak nogi miałam jak z waty. Zaczęłam pełznąć w górę schodów, uczepiwszy się jedynej myśli, która dawała mi nadzieję.

– Lark – szeptałam. Wiedziałam, że znam też inne imiona, ale nie umiałam ich teraz przywołać w pamięci. Dlatego spróbowałam wypowiedzieć to jedno jeszcze raz, głośniejszym głosem: – Lark!

Wreszcie zdołałam dotrzeć na szczyt schodów. Uchwyciwszy się kołatki, dźwignęłam się z ziemi. Przez cały czas powtarzałam sobie w myśli, że jeśli zdołam odszukać Lark, wszystko będzie dobrze. Mgliście rozumiałam, że narkotyk, który podała mi podstępnie Pearl, doprowadza mnie na skraj szaleństwa. Przecież to, czego teraz doświadczałam, musiało być złudzeniem. Wiedziałam, że Lark mi pomoże, tak jak ja pomogłam wcześniej jej.

Byłam teraz na dachu. Świeże powietrze nieco mnie otrzeźwiło. Wróciło wspomnienie balu. Rollercoastera. Na dachu nie widziałam jednak ani żywej duszy. Dlaczego? Ach tak, zrozumiałam po chwili. Wokół platformy z wagonikami ustawiono żółto-czarne zapory. Zapewne musiała się popsuć. Wagoniki stały bez ruchu. Wystarczyła drobna usterka, by cała ta wielka machina znieruchomiła. Sama czułam się jak ten rollercoaster. Byłam zepsutym tworem. Jak mogłam się zreperować, skoro nie wiedziałam, która część nawaliła?

– Lark? – zawołałam, a wiatr porwał mój głos.

Byłam przekonana, że moja koleżanka przyszła tu przede mną.

Po chwili jakaś postać wynurzyła się z ciemności. Dziewczyna, wysoka i elegancka, o długich lśniących włosach. Nie widziałam dokładnie jej twarzy, jednak nadal byłam pewna, że to Lark, no bo któż inny? Czując ulgę, uśmiechnięta, wyciągnęłam do niej rękę i ruszyłam na spotkanie. Dopiero kiedy się zbliżyłam, jej twarz oświetlił słaby blask gwiazd.

To nie była Lark.

Nie miałam pojęcia, kim jest ta dziewczyna.

Przypominała Pearl, jednak cała jej twarz pulsowała i wykręcała się, jakby pod jej skórą pełzały larwy. Zamrugałam szybko i twarz dziewczyny znów wydała mi się zupełnie normalna.

– Ach, tutaj jesteś – powiedziała na powitanie. – A gdzie twoja nowa najlepsza przyjaciółka?

– Szukam jej – wydyszałam. – Ale nigdzie nie mogę znaleźć.

Proszę, proszę, proszę, nie zmieniaj się znów w potwora, powtarzałam w myśli.

– Lark dostanie, na co zasłużyła. Wypiła już całego drinka? Dodałam do niego dawkę syntetycznej meskaliny, po której będzie słyszeć kolory i widzieć dźwięki. Nieźle jej już pewnie odwała. – Pearl roześmiała się, odrzucając do tyłu swoje srebrne włosy. Nagle ujrzałam tę scenę w zwolnionym tempie, a jej loki zamieniły się w długie strąki spuchniętych robali. Wzdrygnęłam się i cofnęłam o krok. – Tobie też podałam trochę narkotyku. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Usiądź sobie i ciesz się fazą. Pozwól pochłonąć się temu przedziwnemu światu.

Jej uśmiech był nieco zbyt szeroki. Z przerażeniem patrzyłam, jak staje się coraz szerszy, aż wreszcie jej twarz pękła na pół. Z rozcięcia na środku twarzy wysypały się robale. Mrugałam oczami, jednak wizja nie chciała zniknąć.

Dopiero gdy z całej siły uszczypnęłam się w rękę, odzyskałam na chwilę jasność umysłu. Przypomniałam sobie, czemu tak naprawdę miał służyć nasz wypad na miasto.

– Jak to? Wszystkie wydatki pokrywasz z chipa z kredytami Lark, prawda? To miała być kara dla niej za...

No właśnie, właściwie za co? Za to, że pochodziła z zewnętrznych kręgów? Za to, że jej rodzina zdana była na własne umiejętności i determinację? Zanim zdążyłam się powstrzymać, palnęłam:

– Za to, że jest lepszym człowiekiem od ciebie?

Pearl wzdrygnęła się, jakbym ją uderzyła. Z ust sterczały jej teraz kły – długie i ostre niczym u tygrysa. Z ust ściekała krew.

– Przemawia przez ciebie narkotyk. Jednak lepiej liczyć się ze słowami, Yarrow. Jesteś nieco bardziej interesująca niż ci wszyscy przewidywalni nudziarze, ale nie prowokuj mnie... – Oczy zalśniły jej złowroźnie w tej ohydnej twarzy. – A teraz idź i przyprowadź Lark. Chcę, żeby przyszła na dach. Sprawdzimy, czy ten mały ptaszek potrafi latać.

– To znaczy? – Ze zdenerwowania rozboleł mnie brzuch.

Pearl puściła do mnie oko.

– Niesamowite, co może działać odrobina syntetycznej meskaliny i siła sugestii. Tak łatwo przekonać każdego, że nie warto żyć. Wystarczy, że wyszepczesz odpowiednie słowa. – Pearl odrzuciła do tyłu głowę i wybuchła śmiechem.

– Cinnamon – powiedziałam, gdy dotarł do mnie mroczny sens kryjący się za jej słowami.

Pearl kiwnęła głową. Każdy ruch nią sprawiał, że dziewczyna rosła. Wydawała mi się już olbrzymką, potworem. Zaczęłam się przed nią cofać zdjeta strachem. Chciałam rzucić się do ucieczki, rozplakać się, wołać o pomoc. Coś jednak kazało mi zostać. Lark? Czyżbym tkwiła tu dla niej?

– Naturalnie – ryknął gigantyczny oślizgły stwór, którym stała się Pearl. – Cinnamon wyobrażała sobie, że jest królową całej szkoły. Ale zastanów się, jaka z niej królowa, skoro nie umiała sobie poradzić z niewinną krytyką? Kiedy powiedziałam kilka starannie dobranych słów na jej temat, nagle odkryła, że nie ma siły, by dłużej żyć. Biedna Cinnamon. – Pearl próbowała zachować powagę, ale nie umiała. – To nie była jakaś wielka wysokość, zaledwie pierwsze piętro. Na którym piętrze teraz jesteśmy, jak myślisz? – Zbliżyła się do krawędzi dachu i spojrzała w dół. Gwizdnęła przeciągle i stwierdziła: – Spory kawał do ziemi.

W tej samej chwili dopadł mnie lęk wysokości, poczułam zawroty głowy. Spojrzałam szybko w górę, instynktownie odsuwając się od krawędzi dachu. Gwiazdy na niebie, kiedy na nie spojrzałam, najpierw zaczęły pulsować, a po

chwili, jakby z ociąganiem, wirować. W moim umyśle zrodziła się jakaś mglista myśl, coś mającego związek z Lark i gwiazdami...

Nie panowałam już zupełnie nad swoim umysłem. Byłam zdana na łaskę narkotyku. Wydawało mi się, że widzę na niebie Lark lecącą pośród znajomych konstelacji. Po chwili zaczęła spadać. Leciła jak kamień w dół, wymachując rękami, ze wzrokiem utkwionym we mnie.

– Nie! – zawołałam. Podbiegłam do Pearl i chwyciłam to odrażające monstrum za niemal przezroczystą przednią część jej sukienki. Z ust wytrysnęły jej czerwie. Larwy wylaziły jej też spod skóry, ja jednak nie puszczałam. Robiłam to dla Lark. Powtarzałam sobie, że to, co widzę, nie dzieje się naprawdę. Wcale jednak w to nie wierzyłam.

– Masz zostawić Lark w spokoju, słyszysz? Nic jej nie zrobisz!

Narkotyk pozbawił mnie jednak sił. Pearl odepchnęła mnie bez trudu. Nie miałam nawet pewności, czy wypowiedziałam te słowa wyraźnie, czy może tylko bełkotałam.

– Zabieraj łapy – warknęła Pearl. – Już drugi raz dzisiaj sprzeciwiłaś mi się. Lepiej dla ciebie, żeby na tym się skończyło. Czyżbyś zapomniała, kim jestem ja, a kim ty?

No właśnie, nie pamiętałam już, kim jestem. I na tym polegał mój główny problem. Byłam w kawałkach. Przypominałam rozbite lustro.

– Nie wolno ci jej skrzywdzić – upierałam się, jednak głos zaczynał mnie zawodzić.

– A niby dlaczego? – Pearl mówiła teraz podniesionym głosem, który brzmiał jak histeryczny pisk. – Jak śmiesz mówić mi, że czegoś mi nie wolno zrobić? – Chwyciła mnie za ramiona i mocno popchnęła do tyłu. Z jej ust dobył się przeraźliwy pisk: – Należysz do mnie. Beze mnie byłabyś nikim. Beze mnie byłabyś sama!

Sama! To słowo runęło na mnie niczym grom z jasnego nieba. Sama! Nagle zrozumiałam, jak kruche było moje poczucie bezpieczeństwa. Ogarnął mnie paraliżujący lęk – strach, że zostanę sama.

– Nie, wcale nie byłabym sama – wymamrotałam. – Mam przyjaciół. Braci i siostry. Mam wielką rodzinę. Ci ludzie mnie kochają. – Z każdą chwilą mówiłam coraz bardziej podniesionym głosem. – Kochają mnie! Nic dla mnie nie znaczysz, tylko oni są ważni! – Wyciągnęłam ręce i chwyciłam ją za szyję. Teraz Pearl spoglądała na mnie z przerażeniem. Nie zaciskałam palców, jednak przez cały czas trzymałam ją za szyję. – Pearl, wszyscy cię nienawidzą. Naprawdę wydaje ci się, że masz jakichś przyjaciół? Boją się ciebie, dlatego udają, że cię lubią. Ale prawda jest taka, że wszyscy w Akademii Dębów tobą gardzą. Nawet Copper i Lynx, nawet ja. – W tym momencie ścisnęłam ją mocniej. – Zwłaszcza ja!

– Ty kretynko – zawołała, próbując wyrwać się z mojego uścisku. – Nie masz rodziny. Nie masz nikogo. Jesteś niczym więcej jak szczurem doświadczalnym, przedmiotem eksperymentów.

Kiedy dotarł do mnie sens jej słów, z wrażenia rozluźniłam nieco uścisk. Pearl też wyglądała, jakby była w szoku. Usta miała otwarte szeroko. Po chwili popchnęła mnie kolejny raz, a ja zatoczyłam się do tyłu. Jedną stopą oparłam się na krawędzi dachu. Druga zawisła w pustce. Zamachałam rozpaczliwie rękami, próbując odzyskać równowagę. Zdażyłam jeszcze zobaczyć, że otwarte szeroko usta Pearl układają się w doskonale równą literę O. Wyciągnęła rękę, próbując mnie schwycić. Ale była to szponiasta dłoń demona. Wyrwałam się jej i runęłam w dół.

W OSTATNIEJ CHWILI ZDOŁAŁAM CHWYCIĆ SIĘ palcami występu w murze.

– Złap mnie za rękę, do cholery! – krzyczała Pearl, ja jednak przez cały czas widziałam nad sobą jej gnijącą, rozpadającą się twarz. Patrzyłam szeroko otwartymi oczami, jak wyciąga do mnie powykręcaną rękę z ostrymi szponami demona. Wiedziałam, że nie mogę ryzykować ponownego jej dotknięcia. Za nic w świecie nie chciałam uczepić się tej dłoni. – Yarrow, no chwytaj, na co czekasz?

Po chwili występ wyslizgnął się spod jednej z moich dłoni. Spojrzałam w dół. Nie mogłam znieść dłużej widoku potwora-Pearl. Nagle zorientowałam się, że na dachu zjawiły się też Lynx i Copper.

– Co tu się dzieje? O *bikk!* Pearl, coś ty narobiła? Pomóż jej! Przesuń się!

Wyciągnęło się do mnie jeszcze więcej pomocnych rąk. Jednak one również wyglądały jak łapy potworów.

Skierowałam spojrzenie ku ulicy w dole. Wisiałam na wielkiej wysokości. Jednak wszystko, nawet upadek, wydawało mi się w tej chwili lepszym rozwiązaniem niż perspektywa, że te monstra mnie pochwycą. Wiedziałam, co by się ze mną stało: najpierw rozerwałyby mnie na strzępy, a potem złożyły na powrót w całość i stałabym się takim samym jak one potworem.

Pearl odwróciła się i zaczęła oddalać biegiem od krawędzi dachu. Słyszałam stukot jej butów na wysokim obcasie. Widziałam nad sobą wirujące na niebie gwiazdy. Moje palce zaczęły się ześlizgiwać z występu...

Wtem ktoś odtrącił Copper i Lynx. Ich monstrualne pyski zniknęły, a na ich

miejsce pojawiła się prawdziwa ludzka twarz. Pochylała się teraz nade mną, piękna, o normalnych ludzkich rysach.

Wiatr rozwiewał liliowe włosy Lark, gdy sięgnęła w dół i chwyciła mnie za nadgarstek. Po chwili sięgnęła jeszcze niżej, tak że złapała materiał na wysokości mojego ramienia. Poczułam, jak jej włosy łaskoczą mnie po twarzy. Lark nie wyglądała na silną, jednak jej mina, gdy dźwigała mnie w górę, wyrażała skrajną determinację.

To wystarczyło, bym drugą dłonią chwyciła się krawędzi dachu i podciągnęła w górę. Przez chwilę szukałam jeszcze oparcia dla stóp. Wreszcie wydzwignęłam się na dach. Upadłam na Lark. Nic mi już nie groziło.

W moim organizmie adrenalina zmieszała się z syntetyczną meskaliną i nagle, poddana działaniu tej przedziwnej mieszanki, poczułam coś jeszcze. Była to nowego rodzaju wizja. Zobaczyłam szemrzący strumyk. Płynęła w nim krystalicznie czysta woda, jednak mimo to nie mogłam dojrzeć dna, ponieważ na powierzchni nurt był zmacony. Mimo to po raz pierwszy od dawna poczułam, że znalazłam się blisko czegoś, co ukrywało się przede mną. Nie miałam pojęcia, od jak dawna tego szukałam. Może od miesiący, a może przez całe życie. Nie umiałabym wskazać różnicy między dwoma miesiącami a całym życiem.

Lark leżała obok mnie, a ja ujęłam jej twarz w dłonie.

– Znam cię – powiedziałam, przyglądając się jej pięknym rysom. Ubóstwiałam tę twarz. Jak to możliwe, że nie rozpoznałam wcześniej mojej ukochanej Lark?

Uklękliśmy i przez długą chwilę przypatrywałyśmy się sobie. W miarę jak adrenalina odpływała z moich żył, czułam, że znowu daje o sobie znać syntetyczna meskalina. W głowie zaczynałam mieć mętlik, moja skóra stawała się odrętwiała. A przecież dopiero co miałam taką jasność w głowie! Widziałam... coś. Nie potrafiłam tego wyjaśnić. Podczas doświadczenia tamtej wizji poczułam, że jestem cała, kompletna. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam, że jestem sobą.

– Nie utrzymam się dłużej – szepnęłam zrozpaczona.

– Jesteś już bezpieczna – odparła Lark, najwyraźniej nie rozumiejąc, o czym mówię. – Schwyciłam cię. Już nie spadniesz.

Przyjrzałam się jej twarzy, jej cudownym delikatnym rysom. I pomyślałam: to w niej kryje się prawda. To w niej jest coś, czego mogę się uchwycić. Wiedziałam jednak, że z każdą sekundą ta prawda mi się wymyka.

– Pamiętam cię – powiedziałam. – Znałam cię już kiedyś...

Ale gdzie właściwie mogłyśmy się spotkać? Byłam już pewna, że znamy się od dawna, ale jak to możliwe?

– Pamiętasz mnie? – Oczy Lark załśniły. – Z czasów zanim przeniosłam się do Akademii Dębów?

– Tak... to znaczy nie. Nie jestem pewna. Wiem tylko... – Zawiesiłam głos, szukając właściwych słów. – Wiem, że w jakiś sposób jesteś częścią mnie.

W następnej chwili poczułam, jak Lark bierze mnie w ramiona i całuje. Czułam zadowolenie, a równocześnie zmieszanie... Wyrwałam się jej i chwiejnie wstałam z ziemi. To wszystko zaczynało mnie przerastać.

– Wiem, że nie rozumiesz, co się dzieje – odezwała się łagodnie Lark. – Jest tyle spraw, o których muszę ci opowiedzieć. Zapomniałaś tak wiele. Yarrow, przede wszystkim musisz zrozumieć... że nie jesteś tym, za kogo się uważasz.

Mało brakowało, a parsknęłabym śmiechem. Zabrzmiało to tak melodramatycznie. Zarazem jednak jej słowa wzbudziły moją ciekawość.

– To znaczy?

– Nie wiem, czy nadeszła już pora, żeby ci o tym mówić. Mieliśmy nadzieję, że sama przypomnisz sobie więcej.

– Jacy „my”?

– Nie mogę ci tego powiedzieć. – Lark pokręciła głową. – Jest za wcześnie, żebyś poznała całą prawdę. Ale zapewne już wyczuwasz to w głębi duszy. Wyczuwasz, że coś jest nie tak.

Zamknęłam oczy. Tak, właśnie tak to odbierałam. Cokolwiek zrobiłam, powiedziałam czy pomyślałam, nie opuszczało mnie wrażenie, że wszystko

to jest w jakiś sposób niewłaściwe. Nie potrafiłam tego wytłumaczyć.

– Proszę, powiedz mi – błagałam.

– Rowan, musisz być cierpliwa – stwierdziła Lark, spoglądając na mnie ze smutkiem.

– Powtórz, jak mnie nazwałaś? – zawołałam.

To imię podziałało na mnie niczym wstrząs elektryczny, który wnika w ciało i przebiega je od stóp do głów. Odniosłam wrażenie, że imię Rowan wspaniale do mnie pasuje, ale nie potrafiłam stwierdzić dlaczego. Kim była Rowan? Wszystko to nie miało sensu. Nagle opanował mnie gniew.

Co ona wygaduje? Jej słowa sprawiały, że cała się trzęsłam. Ale przecież były to kłamstwa, do tego pozbawione sensu.

– Zabieraj ode mnie swoje brudne łapy, proletariuszko z zewnętrznego kręgu. Łziesz! Nie cofniesz się przed niczym, byle tylko dostać się do naszego elitarnego klubu. Oddałaś mi swojego drinka, naćpałaś mnie, żebym przestała logicznie myśleć. Ale nic z tego. Zawsze będziesz tylko zwykłym śmieciem, dziewczyną plebsu. *Bikk*, odsuń się ode mnie!

Poczułam, że muszę jak najszybciej stąd uciec. Musiałam schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu. Czyli gdzie?

U mamy, to jasne. Całkiem możliwe, że zastanę ją w jej laboratorium. Ma nieregulowany czas pracy, dlatego oddano jej do dyspozycji mieszkanie w Centrum.

– Dokąd idziesz? – zawołała za mną Lark, kiedy puściłam się biegiem przed siebie. Jednak nawet wtedy nie zwolniłam kroku.

Pod szmaragdowym oknem Centrum powitał mnie Buck, jeden z asystentów mamy. Stwierdziłam, że muszę się z nią jak najszybciej zobaczyć, na co odparł, że jest zajęta. Jeśli chcę, dodał, mogę zaczekać, aż będzie miała mniej obowiązków. zaproponował, że zaprowadzi mnie do komory deprivacji sensorycznej, żebym się odprężyła. Bywałam tu często. Wchodziłam do wypełnionej żelam wanny i leżałam długo w wyciszonym, ciemnym pokoju,

czekając, aż zupełnie się uspokoję. Dzisiaj musiałam wyglądać fatalnie, ale Buck powstrzymał się od komentarzy.

– Niedługo kończę swoją zmianę – powiedział, odchodząc w głąb korytarza. – Zajmę się tobą, zanim przyjdą moi zmiennicy. Dam też znać twojej mamie, że przyszedłaś w odwiedziny.

– Dzięki.

Całe szczęście, że nie musiałam już teraz spotykać się z mamą. Chciałam wcześniej obmyślić, co właściwie powiem jej na temat wydarzeń tej nocy.

Buck zaprowadził mnie do słabo oświetlonego pomieszczenia o ścianach z czarnego marmuru. Na środku pokoju znajdował się głęboki basen z obsydianu. Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że wypełniający go żel ma inny kolor niż zazwyczaj. Zwykle był zielonkawy, natomiast dzisiaj czarny. W pierwszej chwili wzdrygnęłam się na ten widok. Zaraz jednak przywołałam wspomnienia wielokrotnych wizyt w tym miejscu, gdzie spędziłam mnóstwo cudownych godzin. Unosiłam się w kojącym żelu o temperaturze ciała i pozwalałam myślom błądzić. Przypominało to trochę wizytę w salonie spa, tyle że tutaj nie trzeba było gawędzić z masażystką czy kosmetyczką. Doświadczano się tu tylko wspaniałej wolności, spokoju i ciszy. Zrzuciłam z siebie ubrania i zbliżyłam się do basenu. Czarny lepki żel był nieprzezroczysty. Kiedy się w nim zanurzyłam, momentalnie przykrył moje nagie ciało.

W oczekiwaniu na mamę rozmyślałam o Lark i tym dziwnym wrażeniu, że skądś już ją znałam. Ale skąd? Przeszukiwałam swoje wspomnienia, jednak nigdzie jej nie było. Jakie obrazy przechowywałam w pamięci? Na przykład ten, gdy jako mały brzdąc o krzywych nóżkach siedziałam na podłodze wyłożonej białą wykładziną i bawiłam się pluszakiem, a moja mama przyglądała mi się z boku.

Inne wspomnienie dotyczyło Festiwalu Deszczu. Miałam wtedy osiem albo dziewięć lat i skakałam po kałużach, rozchlapując radośnie wodę. We wspomnieniu mama otwierała usta, chyba żeby udzielić mi reprimendy, jednak w końcu się uśmiechnęła. Chwyciła mnie za rękę i już po chwili obie

taplałyśmy się w kałuży.

Pamiętałam też mój pierwszy pocałunek. Chłopak miał na imię Zephyr, całowaliśmy się na ganku mojego domu. W pewnym momencie kątem oka zauważyłam, że w oknie poruszają się firanki, a zaraz potem ujrzałam twarz mamy. Uśmiechnęła się wyrozumiale i odsunęła się, a ja mogłam na powrót skupić się na nowych dla mnie doznaniach.

Zachowałam mnóstwo miłych wspomnień z okresu dorastania. Wiedziałam dzięki nim, że moje życie było szczęśliwe.

W żadnym jednak nie dostrzegałam śladu Lark.

Pozwoliłam, by słabe światło i kojący dotyk żelu stopniowo mnie uspokajały. Coraz łatwiej było mi teraz skupić się na wspomnieniach. Niektóre z nich były niezwykle wyraźne, niczym zastygłe w czasie momenty.

Ale właściwie jakiego zwierzaka przedstawiał ten pluszak? Przywołałam najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Widziałam wyraźnie pokój, wykładzinę i moją mamę, jednak zabawka, którą trzymałam w moich pulchnych dziecięcych rączkach, pozostała zamazana.

Następnie skupiałam się na wspomnieniu Festiwalu Deszczu. Było to jedno z moich ulubionych wspomnień, w których występowała mama. Przywoływałam je zawsze, gdy spotkało mnie coś nieprzyjemnego, bo dodawało mi otuchy.

Teraz jednak zauważyłam, że jest niedokończone. Owszem, jego fragmenty były bardzo wyraźne. Na przykład spod naszych butów tryskały fontanny wody. Ale zaraz zorientowałam się, że nie umiem wskazać koloru moich butów ani tego, jak byłam ubrana. Gdzie właściwie to się wydarzyło? Czy to nie dziwne, że nie potrafiłam sobie przypomnieć tych szczegółów?

Ależ nie, tłumaczyłam sobie, dziecko nigdy nie pamięta wyraźnie takich drobiazgów. Zapamiętałam tylko to, co było najważniejsze – bliskość matki i jej miłość.

No dobrze, a co w takim razie ze wspomnieniem pierwszego pocałunku? Rozluźniłam się jeszcze bardziej, zapadając się głębiej w komorze. Powróciło wspomnienie dotyku ust Zephyra, jego dolna warga była taka miękka.

Wyobrażałam sobie, że tak miękkie musiały być dojrzałe owoce w świecie przed Ekoklęską. Nagrzane na słońcu i słodkie. Ten moment niezwykle głęboko zapadł mi w pamięć. Pamiętałam nawet, jak byłam ubrana tamtego dnia – miałam na sobie białą letnią sukienkę z szydełkowymi stokrotkami naszytymi wzdłuż rąbka i na rękawach. Mama, kiedy pokazała się w oknie, miała głowę obwiązaną chustką w groszki.

Wypuściłam z ulgą powietrze... i w tym samym momencie nagle mnie olśniło. Przecież nie miałam pojęcia, skąd właściwie znałam Zephyra. Nie pamiętałam, czym zajmowali się jego rodzice ani gdzie mieszkał. Zachowałam w pamięci jedynie ten cudowny moment, jednak poza tym nie pamiętałam nic na temat tego chłopca.

Otworzyłam szybko oczy i usiadłam w komorze, rozchlapując żel. Wytężałam teraz umysł tak bardzo, że odczuwałam fizyczny ból, lecz mimo to nie potrafiłam odnaleźć żadnych innych wspomnień na jego temat.

Spróbowałam przypomnieć sobie inne dni z wczesnej młodości. Skupiłam się najpierw na urodzinach. Zapamiętałam dwie takie okazje, jednak właściwie były to tylko pojedyncze sceny utrwalone niczym na fotografii. W jednym wspomnieniu miałam dziesięć lat i zdmuchiwałam świece na torcie z różową polewą. Mama powiedziała mi wtedy, że w epoce przed Ekoklęską dziewczynki w moim wieku tradycyjnie marzyły o kucyku. Drugie wspomnienie dotyczyło momentu, gdy w wieku trzynastu lat dostałam mój pierwszy chip z kredytami, tak że mogłam oddać się szałowi zakupów. Chwilę otrzymania chipa zapamiętałam w najdrobniejszych szczegółach, jednak na co wydałam te pieniądze? I jakiego prezentu zażyczyłam sobie w wieku dziesięciu lat? I co właściwie działo się w pozostałe urodziny w moim życiu?

Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Kiedy przeszukiwałam pamięć, znajdowałam w niej dziesiątki wyraźnych wspomnień. Pomiędzy nimi ziała jednak pustka.

Czyżby moja pamięć była wadliwa? Skąd brały się te luki?

Z wolna ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. Nagle samo myślenie

wydało mi się ponad moje siły. Pomyślałam, że zamknę oczy tylko na krótką chwilę, zanim przyjdzie mama...

– Już jestem, skarbie.

Głos należał do mojej matki. Natychmiast się rozluźniłam. Stało się to zupełnie samoistnie. Zawsze gdy przebywałam w towarzystwie mamy, ogarniał mnie spokój. Wystarczyło nawet, że o niej pomyślałam. Była to zupełnie automatyczna reakcja, tak jakby jej obecność przełączała coś we mnie.

– Chodź szybko, jesteś już spóźniona. Mamy dużo do roboty podczas tej sesji – mówiła. Wyciągnęłam do niej rękę, ona jednak odsunęła się. – Sama wiesz, co masz robić.

Oczywiście miała rację. Przerabialiśmy to już setki razy. Posłałam jej uśmiech, a ona zrewanżowała się tym samym. Wszyscy ludzie w zielonych chirurgicznych kitlach również się uśmiechali. Wszyscy tak bardzo się cieszyli, że tu są! Dlaczego w takim razie serce biło mi w piersi, jakby chciało eksplodować? I czemu szczęka bolała mnie od uśmiechania się? Czyżby dlatego, że tak naprawdę chciałam krzyknąć?

Nie, wykluczone.

Sanitariusz sięgnął w głąb komory, po czym unieruchomił pasami najpierw mój lewy, a potem prawy nadgarstek. Uśmiechnął się do mnie. Ja też uśmiechnęłam się do niego.

Następnie związał mi pasami nogi na wysokości kostek.

Wszyscy ciągle się uśmiechali.

A chwilę potem przestałam istnieć.

Docierał do mnie, jakby z oddali, przytłumiony głos matki. Brzmiał bardzo bezdusznie.

– Zaczęła przejawiać skłonności przywódcze. Ujawniły się cechy osobowości dominującej, tendencja do bycia posłusznym wobec autorytetów przechodzi w fazę zaniku.

– Granica jest bardzo subtelna – odezwała się chirurg. – Jeśli posuniemy się zbyt daleko, efekt będzie równoznaczny z lobotomią. Nie możemy całkowicie pozbawić jej wolnej woli.

– Naprawdę nie musisz mi tutaj cytować wytycznych Ekopanoptykonu! Lepiej od ciebie wiem, gdzie przebiega ta granica – weszła jej w słowo matka, po czym zaczęła recytować kolejne punkty, odliczając je na palcach. – Unikać uśmiercania ludzi, jeżeli nie jest konieczne. Wystrzegać się odzierania ludzi z człowieczeństwa. Zabrania się całkowitego pozbawiania ludzi wolnej woli.

– To, czym się tu zajmujemy, niewiele różni się od... – zauważyła chirurg, jednak nie zdołała dokończyć.

– Ekopanoptykon na razie nie zgłosił żadnych zastrzeżeń. Ludzie potrzebują silnego przywództwa. Nadal mają wolną wolę. My po prostu pilnujemy, by robili z niej właściwy użytek. Dzieci też ją mają, a przecież równocześnie wymagają pomocy rodziców, którzy sugerują im, jakie decyzje powinny podejmować. Nasza działalność niczym się od tego nie różni.

– W przypadku tego obiektu badań posuwamy się dalej niż kiedykolwiek wcześniej.

Czyżby mówili o mnie? To ja byłam tym *obiektem badań*? Nie raczyli nawet na mnie spojrzeć. Dla nich byłam tylko kawałem mięsa.

Mamo!, zawołałam, lecz z ust nie dobył się żaden dźwięk. Próbowalam oswobodzić ręce i nogi, jednak nie byłam w stanie się poruszyć. Leżałam bez ruchu jak sparaliżowana. Poruszały się we mnie tylko moje bijące wściekle serce i oszalały umysł. *Mamo, błagam, spójrz na mnie! Wypuść mnie! Dlaczego mówisz tak straszne rzeczy?*

– Łatwiej byłoby po prostu uśmiercić ich wszystkich – odezwała się mama, spoglądając na jakieś dotyczące mnie wykresy. – To znaczy tych, którzy sprawiają problemy. Takich jak ona. Ale Ekopanoptykon nienawidzi marnotrawstwa. Każda istota ludzka musi być chroniona za wszelką cenę.

– Ta tutaj z jakiegoś powodu jest szczególnie ważna dla Ekopanu – zauważyła chirurg.

Mama spiorunowała ją spojrzeniem.

– Bzdura. W oczach Ekopanu wszyscy jesteśmy równi – oznajmiła, po czym przeszła do drugiej części sali, skąd przyciągnęła stolik z narzędziami chirurgicznymi.

Nagle – o wielka Ziemi! – moim oczom ukazał się cały zestaw strzykawek.

– Zmodyfikujcie poziom dopaminy, tak żeby poprawić jej ogólne samopoczucie – poleciła matka.

Dlaczego mnie nie ratujesz, mamo? Zawsze powtarzałaś, że oddałabyś za mnie życie! Czemu na to wszystko pozwalasz?

– Kiedy już będziecie gotowi – ciągnęła matka – przeprowadzimy kolejną serię głębokich sugestii hipnotycznych. Pearl wspominała, że podczas farbowania włosów do głosu doszedł u pacjentki jakiś wewnętrzny konflikt. To drobiazg, ale najlepiej zdusić wszelki sprzeciw już w zarodku.

Chirurg zbliżała się do mnie powoli. Poczułam, jak koniuszek strzykawkowej igły dotyka powierzchni mojego oka. Po chwili wyczułam, jak pod naporem ostrza galaretowata substancja gałki ocznej napina się, a wreszcie ustępuje. *Nie, nie, nie!*, powtarzałam w myśli. Pozwólcie mi przynajmniej krzyczeć, płakać i się wściekać. Nie każcie mi leżeć i biernie znosić tych tortur, tak jakbym doznawała właśnie czegoś zupełnie normalnego.

Nagle otaczający mnie ludzie zniknęli. Zorientowałam się też, że odzyskałam kontrolę nad ciałem. Kiedy spróbowałam usiąść, okazało się, że nic już nie krępuje moich ruchów. Zamrugałam szybko oczami i rozprostowałam kończyny.

Pokój był teraz całkiem pusty. Ubrana byłam w bladezieloną koszulę szpitalną. Na piersi wyczuwałam jakiś chłodny ciężar. Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że to różowy kryształ powieszony na skręconym sznurku. Ścisnęłam go mocno w dłoni. Ludzie, sprzęt medyczny, wanna do deprivacji sensorycznej – wszystko to zniknęło. Pozostałam tylko ja, przycupnięta na brzeżku metalowego łóżka.

I drzwi.

Ześlizgnęłam się z łóżka i ruszyłam do nich. Kiedy miałam już położyć rękę

na klamce, za moimi plecami rozległ się krzyk: „Nie dotykaj tego!”. Wcale nie miałam ochoty tego robić. Praktycznie wszystkie tkanki w moim ciele przekonywały mnie, bym posłuchała tego władczego głosu i zastosowała się do polecenia. Ponieważ uległość przynosi ulgę. Posłuszeństwo daje szczęście.

Zaraz jednak wróciło do mnie wspomnienie igieł. I fałszywe, szerokie uśmiechy tamtych ludzi, którymi zwodzili mnie, dopóki nie zostałam zredukowana do poziomu poddawanego eksperymentom osobnika. Ta myśl dodała mi sił – wiedziałam już, że muszę za wszelką cenę wydostać się z tego miejsca.

Nacisnęłam klamkę i weszłam do sąsiedniej sali. Była bardzo przestronna, daleko przed sobą dostrzegłam niewyraźne mieniące się kolory. Przypominało to trochę gwiazdne dekoracje na dyskotecie albo ozdoby z mojego pokoju. W pierwszej chwili pomyślałam niejasno, że znalazłam się właśnie w swoim pokoju. Zaraz jednak zorientowałam się, że jestem gdzie indziej. Miejsce, do którego trafiłam, było wielkie. Powietrze było tu dziwnie chłodne, a dźwięki wzbudzały echo. Zaczęłam podejrzewać, że jestem w podziemiach, może w jakiejś jaskini. Była zachwycająca. Strop pokryty był fasetowanymi kryształami, przypominającymi do złudzenia ten, który nosiłam na szyi. W słabym świetle migotały różnymi odcieniami różu i fioletu; niektóre były białe, inne pomarańczowożółte niczym płomień. Po chwili w ich słabym blasku zauważyłam pod odległą ścianą jaskini coś, co rzucało nieregularny cień na posadzkę.

Równocześnie wyczułam też woń. Nigdy dotąd we śnie nie czułam zapachów, jednak ten był równie autentyczny jak aromaty doświadczane na jawie. Wydawał się nawet wyraźniejszy niż one. Powietrze wypełniła ostra, świeża woń, przywodząca na myśl miętę. Pod nią kryło się jednak coś jeszcze, co kojarzyło się z ciemnością, wilgocią i rozkładem. Nie był to rozkład, który wzbudzałby strach, lecz raczej taki, który towarzyszył nadmiarowi, życiu, które wiecznie się pomnaża przez rozrost.

Ziemia, pomyślałam. Identycznie pachniała ziemia w misie, którą znalazłam

w wewnętrznej świątyni. W porównaniu z tym, co wachałam teraz, woń tamtej ziemi wydała mi się niezbyt intensywna i sterylna. Ten nowy aromat natomiast kojarzył się z bezmiarem żyznej, wilgotnej ziemi. Pod stopami wyczuwałam miękką, życiodajną glebę.

Wytężyłam wzrok i po chwili dostrzegłam, co rzuca te dziwne cienie. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś wieloręki olbrzym. Dopiero gdy podeszłam bliżej, zrozumiałam, że muszę śnić. To, co wzięłam za olbrzyma, okazało się drzewem. W Edenie od ponad dwustu lat nie rośło żadne drzewo.

Po chwili z cienia rzucanego przez konary zaczęły się wyłaniać ludzkie sylwetki. Były ich całe dziesiątki, może nawet setki. Nie dostrzegałam ich twarzy, jednak każda z postaci na wysokości serca emanowała dziwną poświatą. Zrozumiałam, że na szyjach mają powieszony takie same kryształy jak mój i jak te połyskujące na stropie. Wokół moich nóg zaroilo się od maleńkich dzieci. Ich głosiki były takie słodkie.

Wszyscy ci ludzie nagle znieruchomieli. Stali zwrócenii w moją stronę, lecz ich twarze nadal skrywał cień. Ruszyłam w ich stronę, a wtedy oni wyciągnęli do mnie ręce, jakby chcieli mnie powitać. Ogarnęło mnie pragnienie, by pobiec im na spotkanie. Widziałam, że wykonują zachęcające gesty. Lada chwila miałam ujrzeć ich twarze. Widziałam już, że się uśmiechają zachwyceni, że wreszcie mnie widzą. *Siostrzo, śpiewali. Nasza mała zagubiona siostrzyczko.*

Tłum rozstąpił się przede mną i ujrzałam człowieka siedzącego samotnie u stóp drzewa. Był to jakiś młody mężczyzna o półdługich włosach. Siedział, obejmując rękami kolana. Na wysokości jego serca dostrzegłam zawieszony złoty kryształ. W tej samej chwili poczułam, jak moje serce zaczyna łomotać, jakby odpowiadało na jego wołanie. Sięgnęłam tam ręką, jednak natrafiłam tylko na pustkę.

Młodzieniec przyglądał mi się. W przeciwieństwie do pozostałych, nie przyzywał mnie. Czekał, aż sama podejdem.

Czekał na mnie.

Czując wielką treść, spróbowałam się do niego zbliżyć. Wiedziałam, że

muszę to zrobić. Łaknęłam tego niczym jedzenia albo powietrza. Moje ciało stawiało mi jednak opór – nagle odniosłam wrażenie, że jest dziwnie ociężałe i powolne. Poruszałam się, jakbym brnęła przez wodę. Każdy krok zdawał się trwać całą wieczność. Miałam wrażenie, jakbym wcale nie posuwała się do przodu. Chciałam, żeby mężczyzna podbiegł i mi pomógł, on jednak tylko czekał.

Nagle zza moich pleców dobiegły jakieś wrzaski. Odwróciłam się błyskawicznie i ujrzałam, że wszyscy ludzie rzucili się do panicznej ucieczki. Osoby w podeszłym wieku padały na ziemię potrącane przez młodsze. Zauważyłam jakieś dziecko, które stało sparaliżowane strachem i szlochało. Odwróciłam się z powrotem do młodego mężczyzny i zobaczyłam, że drzewo płonie. Płomienie lizały już pień, zachowywały się niczym istoty obdarzone życiem. Po chwili zajęły się gałęzie i w koronie drzewa wystrzeliły wielkie kule ognia.

– Uciekaj! – zawołałam do młodzieńca. On jednak nadal siedział nieruchomo pod drzewem. Odwróciłam się, chcąc uciekać, jednak po chwili wróciłam po niego. Wiedziałam, że muszę go ocalić. Nogi miałam jednak jak z ołowiu. Po chwili spowiła mnie chmura gęstego dymu. *Ten chłopak za wszelką cenę musi stąd uciec*, powtarzałam w myśli. Wszędzie wokół z góry sypały się rozżarzone węgielki. Nad głową chłopaka rozlegały się dźwięki pękających konarów pożeranych przez ogień.

Zewsząd dobiegały wrzaski, ludzie biegali na oślep we wszystkich kierunkach, ja jednak nie mogłam oderwać oczu od tego młodego mężczyzny siedzącego pod drzewem. Skądś go znałam. I wiedziałam, że go potrzebuję.

Ogień przybierał na sile. Płonęło już całe drzewo spowite czarnym dymem.

Zdołałam jeszcze dojrzeć pomarańczowozłocisty błysk kryształu zawieszzonego na szyi chłopaka, a także lśnienie jego bursztynowych oczu.

Oczu drugiego dziecka.

OBUDZIŁAM SIĘ W WANNIE WYPEŁNIONEJ czarnym żelem. Tuż obok stała moja matka, przypatrując mi się uważnie.

W pierwszej chwili z moich ust dobył się zduszony skowyt, ale zaraz potem zaczęłam krzyczeć na całe gardło. Jak tylko ją zobaczyłam, powróciły straszne obrazy widziane we śnie. Natychmiast poczułam się znów, jakbym była przywiązana pasami do łóżka, podczas gdy kobieta przypominająca do złudzenia moją matkę poddawała mnie jakimś strasznym eksperymentom. Wzdrygnęłam się i odruchowo odsunęłam od niej.

– O co chodzi? – spytała.

Najchętniej wyskoczyłabym z wanny i rzuciła się do ucieczki. Zaraz jednak się zreflektowałam – powinnam to rozegrać bardzo ostrożnie.

– Ach – odparłam zdyszczanym głosem. – Przepraszam, po prostu mnie przestraszyłaś. I razi mnie to jaskrawe światło.

Matka przyjrzała mi się podejrzliwie. Próbowałam zachowywać się naturalnie, jednak w głębi duszy odchodziłam od zmysłów. Jakaś część mnie chciała wierzyć, że tamte dziwne sceny, w których matka przeprowadzała na mnie eksperymenty, były tylko snem. Równocześnie jednak jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, żebym walczyła, żebym uciekała przed tym potworem, który przygląda mi się z góry.

Ale przecież to moja mama, osoba, która zawsze się mną opiekowała, moja przyjaciółka. Ta, która kochała mnie ponad wszystko. Niby jak miałabym powiedzieć mojej rodzonej matce, że budzi we mnie przerażenie? Nadal była tą drobną kobietą o poważnym wyrazie twarzy i blond włosach. A jednak miałam wrażenie, że jest dla mnie zupełnie obcym człowiekiem. Teoretycznie powinnam

umieć opowiedzieć jej o strasznym śnie, tak byśmy obie mogły się z niego pośmiać. Z jakiegoś jednak powodu nie potrafiłam.

Usłyszałam jakiś głos rozbrzmiewający wewnątrz mojej głowy, który zachrypniętym szeptem domagał się: *Poznaj prawdę*. Wyczuwałam, że wokół mnie dzieje się coś, czego nie rozumiem. Chciałam znaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Wiedziałam, że nie znajdę ich u matki.

– Dobrze się czujesz? – spytała mama.

Nie, nie, nie! Wcale nie czuję się dobrze, krzyczałam w myśli.

– Jasne – odparłam. – Miałam ciężki wieczór. Narobiłam trochę głupot, ale na szczęście koleżanki pomogły mi do ciebie przyjechać.

W gruncie rzeczy zgadywałam. Wydarzenia ostatniego wieczoru bardzo powoli przedzierały się do mojej świadomości.

Zaraz, czy Lark mnie pocałowała?

– Jedną z tych koleżanek była Pearl? – zainteresowała się mama.

– Oczywiście. Jesteśmy jak papużki nierozłączki. Ona... – zawahałam się. To słowo nie chciało mi przejść przez usta, jednak jakoś się zmusiłam. – Ona jest moją najlepszą przyjaciółką.

Wymówienie tych słów sprawiło, że prawie się zakrztusiłam. Pearl podała mi narkotyki, potem niemal mnie zabiła, a na koniec uciekła. Miałam ochotę rąbnąć ją z całej siły w tę jej słodką buźkę.

– Zrobiłaś coś niemądrego?

– Wypiłam kilka drinków – przyznałam. – No i na imprezie były takie bańki wypełnione proszkiem. Podejrzewam, że to jakiś narkotyk. Ale czuję się już dobrze. Muszę się po prostu jeszcze trochę przespać. No i może przydałby mi się korektor, żebym podmalowała oczy.

Spróbowałam się zaśmiać, jednak gardło miałam suche jak wiór i śmiech zabrzmiał jak rechot.

Wiedziałam, że muszę się stąd jak najszybciej wydostać. Centrum zawsze było dla mnie rodzajem azylu. Teraz jednak czułam się w nim jak w pułapce.

– Wydajesz się zdenerwowana – stwierdziła mama. – Może dam ci coś,

co pomoże ci zasnąć.

Mama pracowała co prawda jako szefowa działu wywiadowczego, jednak z wykształcenia była neurochirurgiem. Bardzo często dawała mi witaminy, pigułki na sen albo środki, które pomagały mi się uczyć. Zawsze bez pytania zażywałam to, co mi podsuwała. Teraz jednak wspomnienie igły zbliżającej się do mojego oka było zbyt świeże. Nie mogłam jej pozwolić, by znowu wmusiła we mnie jakąś substancję.

– Nie! – powiedziałam zbyt głośno. Matka w pierwszej chwili wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia, a zaraz potem zmrużyła je podejrzliwie. Po chwili dodałam już ciszej: – Nie. Naprawdę nie potrzebuję żadnych leków.

Wielka Ziemia, byłam pewna, że jak tylko zadziałają środki nasenne, matka znów zaczęłaby nakłuwać mi oczy.

Matka wyciągnęła strzykawkę z szafki i postukała palcem w koniuszek igły, żeby uwolnić z niego powietrze.

– Nie – powtórzyłam. – Jutro... mam zajęcia na uczelni. I muszę wcześniej wstać, żeby pouczyć się do sprawdzianu. Jeśli podasz mi jakieś środki nasenne, obudzę się za późno.

Matka uklękła i chwyciła moją dłoń, którą opierałam na brzegu wanny. W pierwszej chwili jej dotyk był delikatny i kojący. Przez głowę przeleciała mi wtedy myśl, że wygłupiłam się, przywiązując tak wielką wagę do snów. Zaraz potem jednak jej uścisk stał się bardziej zdecydowany. Ścisnęła moją rękę niczym imadło i próbowała przyszpilić ją do brzegu wanny.

W końcu udało mi się wyrwać dłoń, szybko przesunęłam się na drugi koniec wanny.

– Powiedziałam przecież, że nie chcę! – Nie umiałam już ukryć złości i strachu pobrzmiewających w moim głosie.

Mogłabym przysiąc, że matka rozważała w milczeniu korzyści z unieruchomienia mnie i podania na siłę leku nasennego. Atmosfera zrobiła się naprawdę nerwowa.

– Ty niewdzięczna mała... – odezwała się przepełnionym nienawiścią głosem,

którego nigdy jeszcze u niej nie słyszałam.

W tej samej chwili wpadłam na pewien pomysł.

– Przepraszam, mamusiu – powiedziałam najśłodszym głosem, na jaki mogłam się zdobyć. – Wiem, że chcesz mi pomóc. I masz całkowitą rację, potrzebuję jakiegoś środka, który pomoże mi zasnąć. Mam tylko jedną prośbę. Czy mogłabym najpierw coś przekąsić? Nie jadłam nic przez cały dzień i chyba dlatego jestem taka rozdrażniona. – Pochyliłam ze skrucłą głowę. – Naprawdę nie chciałam podnosić na ciebie głosu, mamusiu. Ostatniego wieczoru czułam się taka samotna, to dlatego.

Matka przyglądała mi się uważnie przez długą chwilę.

– Jak sobie życzysz, kochanie – powiedziała w końcu. – Zaczekaj tu, a ja przyniosę ci zupę. A potem trochę się prześpisz. Kiedy się obudzisz, będziesz się czuła jak nowo narodzona.

Wszystko to powiedziała miłym tonem, ja jednak nie mogłam opędzić się od wrażenia, że jest on sztuczny i przesłodzony niczym wyprodukowane w fabryce truskawki. Co prawda uśmiechałyśmy się teraz do siebie, ale w rzeczywistości bardziej przypominało to zwierzęce szczerzenie kłów niż objaw czułości. Obie wiedziałyśmy doskonale, że coś nie gra. Ale chyba żadna z nas nie miała pewności, jak bardzo.

Jak tylko poszła, opadła ze mnie maska spokoju. Zaczęłam dyszeć, rękę położyłam na sercu, a po policzkach pociekły mi łzy. Wiedziałam, że jeśli matka zastanie mnie tu po powrocie, stanie się coś straszego.

Wygramoliłam się z wanny. Czarny żel ściekał mi z kończyn i zbierał się w kałużę pod moimi stopami. Po chwili na ciele nie pozostał żaden ślad po śliskiej substancji. Podbiegłam do drzwi i przyłożyłam do nich ucho. Drzwi były grube i niewiele mogłam usłyszeć. Po chwili wychwyciłam jednak głos mamy, która stała chyba zaraz po drugiej stronie. Zwracając się do kogoś, poleciła: *Wpuść gaz do pokoju... tak będzie łatwiej.*

Instynktownie uniosłam dłoń do szyi. Moje palce gorączkowo poszukiwały sznurka, którego tam nie było. Potem ześlizgnęły się niżej, jednak również tam

niczego nie znalazły. Skierowałam spojrzenie na moją pustą dłoń, a w tej samej chwili powróciło wspomnienie naszyjnika ze snu. Zaraz, przecież ja miałam ten naszyjnik! Dawno temu wrzuciłam go do jakiegoś pudełka albo szuflady po tym, jak Pearl go wyśmiała. *Kiczowaty kamulec* – tak nazwała kryształ. Kiedy zdejmowałam go z szyi, poczułam, jak kamień stawia dziwny opór, jednak nie zwróciłam na to uwagi. Schowałam go i od tamtej pory nie wracałam do niego myślą. Dlaczego teraz przyśniła mi się ta dziwna magiczna jaskinia pełna kryształów przypominających kamień, który kiedyś nosiłam na szyi? Niemożliwe, żeby był to tylko zbieg okoliczności. Poczułam, że muszę odszukać ten naszyjnik.

Kiedy kroki po drugiej stronie drzwi oddaliły się, szybko się ubrałam i wymknęłam z pokoju. Następnie po cichu wyślizgnęłam się z laboratorium, a potem uciekłam poza teren Centrum. Przez cały czas czułam się niczym zwierzyna łowna w epoce przed Ekoklęską. Nie opuszczało mnie poczucie, że w każdej chwili mogę paść ofiarą jakiegoś drapieżnika; kogoś, kto przydusi mnie do ziemi, przywiąże do stołu i zacznie wkłuwać mi igły do oczu...

Dotarłam w końcu do mojego pokoju w Akademii Dębów, jednak jeszcze przez długi czas nie mogłam się uspokoić. Coś było nie w porządku, nie wiedziałam jednak, czy chodzi o mnie, czy o resztę Edenu.

W pewnym momencie zaczęłam przetrząsać pokój w poszukiwaniu naszyjnika. Modne ubrania, które jeszcze niedawno były dla mnie takie ważne, teraz wydawały mi się zupełnie bezwartościowe. Zaścielały podłogę, a ja biegałam po nich, drąc je i mnąc, w poszukiwaniu tej jednej rzeczy, która nagle zaczęła znaczyć dla mnie więcej niż cokolwiek innego. W szale poszukiwań podeptałam sukienki z delikatnego sztucznego jedwabiu, ubrania z najmiększej imitacji irchy, rozerwałam kosztowne naszyjniki tylko po to, by znaleźć małą skalną bryłkę.

Odszukałam ją zaklinowaną w szczelinie z tyłu szafy. Przytuliłam naszyjnik do piersi i natychmiast poczułam emanujące od niego wyraźne ciepło. Ogarnęło mnie niezwykle poczucie spokoju. Wiedziałam już, że dzieje się ze mną coś

dziwnego. Do mojej świadomości docierały niepowiązane ze sobą wrażenia, tak jakbym dotychczas ignorowała jakieś części mnie, które zaczęły teraz dochodzić do głosu. Zakrawało to na szaleństwo, właściwie nie wiedziałam już, kim jestem.

Jednak teraz, gdy przyciskałam do serca ten bladoróżowy kryształ, byłam absolutnie przekonana, że cokolwiek się wydarzy, i niezależnie od tego kim jestem, nie będę już nigdy sama.

W pewnym momencie usłyszałam zbliżające się kroki, a po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Odruchowo ukryłam naszyjnik pod ubraniem i schowałam się w kącie pokoju. Nagle ogarnął mnie strach, że przyszła po mnie mama albo zielone koszule. Byłam przerażona, że aresztują mnie i zawloką z powrotem do Centrum. Wstrzymując oddech, marzyłam, by intruzi dali za wygraną i sobie poszli.

Po chwili pukanie do drzwi się powtórzyło. Po cichu sięgnęłam po but na wysokim obcasie i chwyciłam go niczym broń. Czułam, jak budzi się we mnie jakiś atawistyczny, zwierzęcy instynkt. Powtarzałam sobie, że nie dam się złapać.

– Ro, jesteś tam?

Ulga była tak wielka, że na chwilę ugięły się pode mną nogi. To był głos Lark.

Otworzyłam drzwi i wciągnęłam ją szybko do środka. Jak skończona paranoiczka omiotłam jeszcze gorączkowym spojrzeniem korytarz, po czym zatrzasnęłam drzwi.

– Spójrz! – Pokazałam Lark naszyjnik. Trzymałam go na sznurku, tak że zakołysał się w powietrzu na wysokości jej twarzy. – Skąd go mam? Czy istnieje miejsce, w którym...

Ugryzłam się w język, gdy uświadomiłam sobie, że zaczynam brzmieć jak wariatka.

Lark chwyciła mnie jednak za rękę i łagodnym głosem zachęciła:

– Śmiało, mów.

No więc zaczęłam opowiadać. Mówiłam chaotycznie i zacinając się

co chwilę. Opowiedziałam jej o moich snach, o drzewie rosnącym pod ziemią, o złotookim chłopaku i kryształowej jaskini.

– To tylko sen – powiedziałam w końcu. Do oczu napłynęły mi łzy. – Jednak w tym kryje się jakiś sens. Wiem o tym. A ten naszyjnik... Wiem, że jest ważny. Tylko nie rozumiem dlaczego. – Rzuciłam się na łóżko. Lark usiadła obok mnie i objęła mnie ramieniem. Mówiłam teraz, pociągając nosem. – Czy ja byłam dla ciebie niemiła zeszłej nocy? Nie pamiętam dokładnie, ale mam wrażenie, że mogłam źle się wobec ciebie zachować.

– To była ciężka noc – powiedziała Lark z wybaczącym uśmiechem. – Nie przejmuj się, nie obraziłam się na ciebie. Zaczynasz sobie przypominać. Nie tylko wydarzenia zeszłej nocy... ale też znacznie więcej. Wspomnienia wracają do ciebie w snach. Może dobrze się stało, że Pearl podała ci narkotyki. Dzięki temu twój umysł się otworzył. To, co Centrum w nim zamknęło, otworzyły narkotyki.

– Lark, powiedz mi, co wiesz. Jestem już gotowa i chcę to usłyszeć. Opowiedz mi o wszystkim. Proszę, Lark!

Zacisnęła usta i przez długą chwilę rozważała coś w myśli. W końcu jej twarz się wypogodziła.

– Masz rację. Chyba jestem ci to winna, powinnaś poznać całą historię. Musisz mi jednak obiecać, że nie uciekniesz, nie będziesz krzyczeć ani mnie nie uderzysz. Zgoda?

– Prawda jest aż taka straszna? – zaśmiałam się ponuro.

– Owszem – przyznała lakonicznie Lark, po czym zamilkła.

Odchrząknęłam niecierpliwie.

– Trudno jest zdobyć się na opowiedzenie komuś o czymś, czemu, jak sądzimy, ten ktoś nie da wiary – odezwała się po chwili Lark. – Obiecaj mi, że zachowasz otwarty umysł.

To, co opowiedziała mi potem, wywróciło cały mój świat do góry nogami.

– Miałam nadzieję, że kiedy mnie zobaczysz i spędzimy razem trochę czasu, wszystko do ciebie wróci. I widzę, że faktycznie jesteś coraz bliżej

przypomnienia sobie, ale to wciąż dla ciebie nieosiągalne. Najwyraźniej po prostu nie jesteś w stanie wydobyć tego z pamięci.

– Ale o czym mówisz? Co miałabym sobie przypomnieć? – Miałam wrażenie, że jestem o krok od odkrycia brakującego elementu układanki.

– Kim naprawdę jesteś.

Z trudem stłumiłam śmiech.

– Jestem tym, kim zawsze byłam. Mam na imię... Ro. – Zastanowiłam się teraz nad przydomkiem nadanym mi przez Lark. Czułam, że o wiele lepiej do mnie pasuje niż moje imię. – Jestem... mną. I tyle. Kim innym miałabym być?

– Domyślasz się, dlaczego imię Ro wydaje ci się takie znajome? – spytała Lark, chwytając moje dłonie. – Nikt tutaj nie nazywał ciebie w ten sposób, prawda?

– Tylko ty – przyznałam.

– A mimo to czujesz, jakby to imię należało do ciebie, czyż nie? Dzieje się tak dlatego, że to zdrobnienie twojego imienia. Twojego prawdziwego imienia.

Lark zawiesiła głos i czekała, jak zareaguję. Po rękach i nogach przebiegały mi dreszcze. Miałam wrażenie, że jakaś cieniuteńka niczym papier ścianka w mózgu oddziela mnie od poznania prawdy. Była tak krucha, że spalić mogła ją jedna iskierka.

– Nazwałaś mnie zeszłej nocy Rowan – szepnęłam. Wypowiedziałam to imię niemal niedosłyszalnie, lecz mimo to poczułam zaraz, że urosło i wypełniło sobą cały świat wokół nas.

– Tak masz na imię, Rowan – potwierdziła Lark. – Jesteś drugim dzieckiem.

Jakaś część mnie natychmiast uznała, że to tylko sztuczka, kłamstwo, które wymyśliła Lark, żeby oddzielić mnie od wszystkiego, co było dla mnie najważniejsze – od Pearl, mojej matki, szkoły, dotychczasowego życia. Czułam, jak wszystkie te rzeczy wzywają mnie tęsknie, bym powróciła do przewidywalności, jaką obiecywały. Lark ciągnęła mnie natomiast w przeciwną stronę – ku niepewności, smutkowi i niebezpieczeństwu.

Ku prawdzie.

Milczałam, próbując opanować mętlik w głowie, podczas gdy Lark ciągnęła swoją opowieść. Sądziła, że przysłuchuję się jej uważnie, jednak tak naprawdę w głowie słyszałam tylko ogłuszający krzyk: *Nie, nie nie!* Chciałam krzyczeć, ale czułam się całkowicie zmrożona i odrętwiała.

– Byłaś, to znaczy jesteś, drugim dzieckiem. Masz brata bliźniaka. Twoja matka ukrywała cię przez szesnaście lat, po czym wystarała się dla ciebie na czarnym rynku o implanty soczewkowe, tak by twoja tajemnica nie wyszła na jaw. Znalazła też rodzinę, w której miałaś zamieszkać. Robiła co w jej mocy, by zapewnić ci normalne życie.

Słowo „matka” zdołało przebić się przez mur krzyku, który rozbrzmiewał w mojej głowie. Na myśl o matce moja twarz się wypogodziła, a oszalały umysł uspokoił. Zaraz jednak uderzyła mnie myśl, że przecież Lark nie mówi wcale o mojej matce. Moja mama była w Centrum. O kim w takim razie mówiła? Z jej opowieści wyłaniał się obraz osoby, która otaczała mnie miłością, ochraniała mnie i starała się, by zapewnić mi udaną przyszłość. Ale najwyraźniej Lark coś pomyliła... w głowie miałam mętlik.

– Poznałyśmy się niedługo przed twoją operacją – ciągnęła Lark. – Byłam najlepszą przyjaciółką twojego brata.

Czułam, jakby moje ciało rażone było prądem. Brata? Próbowałam wyobrazić sobie jego twarz, jednak bez przerwy widziałam tylko własną. A więc miałam brata! Nie byłam sama jak palec na świecie!

– Wymknęłyśmy się do miasta i... zaprzyjaźniłyśmy – Lark mówiła teraz drżącym głosem. – A niedługo potem twoja mama zabrała cię na operację. I wszystko poszło nie tak.

W mojej głowie znów odezwał się chór zaprzeczeń. Najchętniej zasłoniłabym uszy, żeby uchronić się przed tym, co miała mi jeszcze do zakomunikowania Lark.

– Twoja matka została zamordowana.

Ta rewelacja sprawiła, że zastygłam.

– Zdołałaś uciec, a wkrótce poznałaś Lachlana.

Brzmienie tego imienia sprawiło, że cicho westchnęłam. Nie miałam pojęcia, skąd ta reakcja. Chciałam wyciągnąć rękę i dotknąć go, dotknąć wspomnienia o nim, niezależnie od tego, kim jest. Wydawało mi się, że jest tak blisko mnie.

– Lachlan zabrał cię do miejsca, w którym żyje razem z innymi drugimi dziećmi. Ukrywają się tam przed rządem Edenu. Ponieważ miałaś już wszczepione soczewki, powstał plan, byś wzięła udział w tajnej misji mającej pomóc drugim dzieciom. Twój brat został jednak aresztowany, a kiedy próbowaliśmy go uwolnić, ujęto również ciebie. A potem... – Umilkła. Po policzkach ciekły jej łzy. – Byłam pewna, że cię zabili! Tygodniami sądziłam, że nie przeżyłaś. Dopiero potem nasi informatorzy donieśli nam, że żyjesz... ale zostałaś zmodyfikowana. Stałaś się kimś innym. Sprawiałaś wrażenie, jakbyś nie zachowała żadnych wspomnień z poprzedniego życia. Trwałaś teraz w przekonaniu, że jesteś córką szefowej działu wywiadowczego Edenu. Co więcej, wszyscy wokół ciebie również w to uwierzyli. Pogodzili się z myślą, że zawsze byłaś Yarrow. – Lark przełknęła głośno ślinę i otarła dłonią łzy. Oczy jej lśniły, kiedy spojrzała na mnie z nadzieją. – Ale my wiedzieliśmy. Drugie dzieci wiedziały, i ja także wiedziałam. Wiem, kim naprawdę jesteś. Domyślamy się, że rząd przeprowadza pranie mózgów swoich ofiar za pośrednictwem implantów soczewkowych. Jednak drugie dzieci nie mają soczewek. Możliwe, że epilepsja, na którą cierpię, zmienia coś w działaniu mojego mózgu, dzięki czemu moje soczewki nie wywierają na mnie takiego skutku. Rowan, chcemy, żebyś do nas wróciła.

Brzmienie tego imienia wywołało we mnie dwojaką reakcję – wzdrygnęłam się, ale równocześnie poczułam dreszcz ekscytacji.

– Nawiązaliśmy kontakt z panią neurocyberchirurg, która wszczepiła ci implanty. Uważa, że uda jej się odwrócić efekt tamtej operacji poprzez zerwanie połączenia, za pośrednictwem którego, jak sądzimy, Ekopanoptykon kontroluje wszystkich obywateli. Ta lekarka twierdzi, że potrafi przywrócić twoje prawdziwe wspomnienia. To ryzykowna operacja, jeśli jednak dzięki niej

zdołasz sobie przypomnieć, kim naprawdę jesteś, sędzę, że warto spróbować. Są też inne powody... – Zawiesiła na chwilę głos, a ja natychmiast to zauważyłam. – Rowan, potrzebujemy twojej pomocy.

Siedziałam bez ruchu, wstrzymując oddech. Próbowałam ostrożnie w myślach wznieść mur oddzielający mnie od wszystkiego, o czym opowiadała mi teraz Lark. Gromadziłam metodycznie wszelkie argumenty przeciwko prawdziwości jej słów i układałam z nich, niczym z kamieni, niedający się sforsować wał obronny. Jednak mimo wszystkich moich wysiłków konstrukcja wciąż była wadliwa, a słowa Lark docierały do mnie.

To, o czym opowiadała, było z gruntu niemożliwe. A zarazem w jakiś sposób prawdopodobne.

Fakt, że wzbraniała się przed tym wyobraźnia, równocześnie czynił jej opowieść wiarygodną. Przecież gdyby Lark chciała mnie oszukać, nie posłużyłaby się tak dziwnym kłamstwem. Kłamstwo, aby zadziało, musi być przekonujące, a ponieważ to, co usłyszałam teraz, zakrawało na absurd, paradoksalnie czyniło tę opowieść prawdopodobną. Nikt nie opowiadałby tak fantastycznie brzmiących historii, gdyby nie były prawdziwe.

Ale przecież to nie mogła być prawda! Doskonale wiedziałam, kim jestem!

Odruchowo poszukałam dłonią różowego kryształu. Zorientowałam się po chwili, że ściskam go z całej siły, tak mocno, że sznurek wrzyna mi się boleśnie w kark.

– Lachlan podarował ci ten kamień, gdy przebywałaś w Podziemiu – oznajmiła Lark. Kiedy spojrzałam jej w oczy, wyzierało z nich cierpienie.

Chciałam zerwać naszyjnik, jednak sznurek był wytrzymały. Im mocniej ciągnęłam, tym większy sprawiałam sobie ból. W końcu opuściłam rękę, a kamień opadł swobodnie i obił się od mojego mostka.

Nie, niemożliwe, żeby to była prawda. Jedna rzecz nie ulegała dla mnie żadnej wątpliwości – kochałam moją matkę. Ufałam jej. Moja mama nigdy by mnie nie skrzywdziła. Była gotowa dla mnie umrzeć.

Zaraz wróciły do mnie słowa Lark: *Twoja matka została zamordowana.*

Zginęła, próbując mnie chronić, próbując zapewnić mi lepsze życie. Na usta cisnął mi się krzyk: Moja mama żyje. Nie jest jakąś obcą kobietą. Przebywa teraz na terenie Centrum. Mogę się z nią spotkać, kiedy tylko zechcę.

Nagle do mojego skołowanego umysłu przedarło się znaczenie słów Lark: *Rowan, potrzebujemy twojej pomocy*. Przypomniałam też sobie, że chwilę wcześniej wspominała o misji.

To nie mogła być prawda. Zapewne zmyśliła to wszystko, żeby mnie w jakiś sposób wykorzystać. Nie miałam pojęcia, do czego miałabym się jej przydać, byłam jednak pewna, że to tylko jakiś wyrafinowany podstęp. Może w rzeczywistości Lark niczym nie różniła się od Pearl – może ona też była chorobliwie ambitna, miała skłonności do manipulowania innymi i uznała, że to najlepszy sposób, by zasiać między nami niezgodę.

Jeśli tak, to trzeba przyznać, że jej się to udało. Przypomniałam sobie teraz, jak szczęśliwe życie wiodłam, zanim Lark weszła do klasy. Interesowała mnie tylko nauka, koleżanki i podrywanie chłopaków. No i jeszcze modne ciuchy i fajne fryzury. A w przyszłości czekało mnie równie cudowne, pełne sukcesów życie. Chciałam je odzyskać. Zapragnęłam zachować to, czego Lark próbowała mnie pozbawić, dzieląc się tymi szalonymi opowieściami. Przecież ta dziewczyna rujnowała cały mój świat!

Zagotowało się we mnie ze złości. Poddanie się wściekłości było znacznie łatwiejsze niż stawianie czoła niewiedzy, smutkowi i strachowi, które tylko czekały, by mnie opanować. Złość tymczasem dodawała mi siły. Kiedy byłam wściekła, doskonale wiedziałam, co robić.

– Łzesz! – zawołałam. – Po prostu mi zazdrościsz. Mnie, Pearl i wszystkim osobom, które czują się w Akademii Dębów jak u siebie; ludziom z wewnętrznych kręgów. Jesteś zwyczajną menelką z zewnętrznego kręgu!

– Rowan...

– Nie nazywaj mnie tak! – wrzasnęłam. – Nie jestem... Nie jestem...

Powoli uświadamiałam sobie jednak, że właśnie mój wybuch złości jest najlepszym dowodem, że jej wierzę. Gdybym nie ufała jej słowom, powinnam

była po prostu ją wyśmiać. Tymczasem aż dygotałam z gniewu, wstrząśnięta do głębi jej rewelacjami. Rowan? Kim do cholery jest Rowan?

Mną.

Wyczuwałam przecież, że wewnątrz mnie kryje się ktoś jeszcze – ta inna dziewczyna. Była kimś osobnym, lecz mimo to wydawała mi się bliższa niż kiedykolwiek wcześniej. Syntetyczna meskalina, którą wczoraj zażyłam, sprawiła, że wszystko wydawało mi się bardziej zagmatwane. Ale może równocześnie zrobiła coś innego – możliwe, że ta halucynogenna substancja, podana mi, otworzyła drzwi, które dotychczas pozostawały szczelnie zamknięte.

Po policzkach popłynęły mi łzy. Lark wyciągnęła rękę, żeby je obetrzeć, ja jednak odskoczyłam od niej jak oparzona.

– Nie rób tego!

– Rowan, przepraszam. Domyślam się, że to dla ciebie bardzo trudne. Przypominasz sobie teraz coś?

Głowę rozsadzał mi pulsujący ból.

– Nie wiem – przyznałam żalonym głosem. Powoli poddawałam się mocy jej słów, wpadałam w zastawione przez nią sidła. – Nic nie pamiętam. Ale coś czuję... – Wynajdywanie odpowiednich słów było niemal ponad moje siły. Miałam wrażenie, że jakaś potężna moc próbuje za wszelką cenę je powstrzymać. – Czuję, jakbym o czymś zapomniała. Ale nie mogę sobie przypomnieć, co to takiego było.

Niemożliwe, żebym była tą inną dziewczyną o imieniu Rowan. Niemożliwe, żebym była drugim dzieckiem. Drugie dzieci były poszukiwane przez policję, zabijane, wtrącane do więzienia... niekiedy spotykał je jeszcze straszniejszy los.

Wielka Ziemi! Nagle niczym grom z jasnego nieba powróciło do mnie wspomnienie – nie, właściwie był to fragment snu z zeszłej nocy: leżałam przywiązana pasami do stołu operacyjnego, a do oczu wbijano mi igły. Przypomniałam sobie przeraźliwe krzyki. Należały do mnie. Najstraszniejsze były jednak te dobiegające z sąsiednich pomieszczeń. Mechaniczne ramiona wpychały mnie do wanny wypełnionej lepkiem żelem. Próbowałam wstrzymać

oddech, jednak po chwili maszyna wymierzyła mi cios w brzuch. Pod wpływem uderzenia wypuściłam powietrze, po czym zaczerpnęłam głęboko tchu. W tym samym momencie maź wypełniła mi płuca...

– Mogę ci udowodnić, że mówię prawdę – dobiegł mnie głos Lark. – Jeśli chcesz, zabiorę cię do kryształowej jaskini.

Najchętniej powiedziałabym, że nie chcę. Najchętniej kazałabym się jej wynosić. Zwinęłabym się w kłębek na łóżku i zapadła w wielogodzinny sen. A potem się zbudziła i znów była normalną dziewczyną. Zamiast tego usłyszałam, jak coś, jakaś ukryta część mnie, wypowiada słowo:

– Chodźmy.

ŚWIATŁO GWIAZD DOCIERAŁO DO NAS przytłumione przez warstwę cząsteczek rozpylonych w atmosferze, których zadaniem było blokowanie promieniowania słonecznego. Czytałam kiedyś, że w czasach gdy ludzie żyli poza Edenem, gwiazdy świeciły jaśniej. Dla mnie, osoby, która nigdy nie wyściubiła nosa z Edenu, przez całe życie pozostawały one bladymi punkcikami na czarnym niebie. Zapuszczanie się poza granice naszej oazy było fizycznie niemożliwe – nikt nie przeżyłby w tym straszliwym spalonym słońcem, zatrutym, martwym świecie. Świecie, który ludzie zniszczyli, a stworzona przez nich machina – nazywana Ekopanoptykonem – próbowała od dawna naprawić.

Przy każdym kroku ziemia pod naszymi stopami rozbłyskała, po czym na nowo pogrążała się w ciemności. Część miasta, którą teraz przemierzaliśmy, usytuowana z dala od kręgu rozrywkowego, świeciła pustkami. Mijane budynki emanowały bladym nastrojowym światłem, na którego tle wyraźnie widoczne były rozbłyски wywoływane przez nasze kroki. Ta iluminacja była znakiem, że Eden mnie rozpoznaje. To znaczy nie mnie osobiście. Zautomatyzowane, sterowane komputerowo miasto nie będzie wiedziało, że nazywam się Yarrow, dopóki któryś z botów ochrony nie zeskanuje mi siatkówki oka. Tym niemniej system dostrzegł we mnie prawowitą obywatelkę miasta. Dla mojej wygody podświetlał fragment chodnika, po którym akurat szłam, po czym gasił go, gdy znalazłam się dalej. Stanowiłam integralną część tego sztucznego ekosystemu.

– Jesteśmy nie-zwierzęcy – odezwałam się do Lark, na co ona obrzuciła mnie zdumionym spojrzeniem. Patrzyła na mnie tak, jakbym nadal była pod wpływem syntetycznej meskaliny. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, co chciałam przez to powiedzieć, i podjęła rozmowę, tak jakbyśmy prowadziły ją już

od pewnego czasu.

– Kiedyś byliśmy częścią większej całości – odparła. Domyśliłam się, że mówiąc „my”, nie miała na myśli tylko siebie i mnie ani nawet wyłącznie mieszkańców Edenu. Chodziło jej o gatunek ludzki jako całość. – Byliśmy dzikimi stworzeniami, zwierzętami. Naszym naturalnym środowiskiem były lasy i łąki.

– No, nie wiem. A może naszym przeznaczeniem zawsze było toczyć walkę z przyrodą i podporządkowywać ją naszej woli.

– W to wierzą członkowie Panowania? – spytała ostrożnie Lark.

– To heretycy, prawda? Nielegalna sekta, której członkowie uważają, że człowiek powinien sprawować absolutną władzę nad zwierzętami i ziemią. Takie myślenie doprowadziło przecież do Ekokłęski. Ale... – zawiesiłam głos. Nigdy dotychczas nie roztrząsałam tych trudnych kwestii. – Na lekcjach Ekohistorii nauczyliśmy się, że rywalizacja jest wspólna wszystkim gatunkom. Każda istota walczy z konkurencją o pożywienie i przestrzeń życiową. Przedstawiciele danego gatunku zawsze ścierają się między sobą o dominację i partnerów seksualnych. Skoro jesteśmy zwierzętami, dlaczego mielibyśmy się od nich różnić pod tym względem?

Lark postukała się wymownie po głowie.

– To prawda, mamy wielkie mózgi – przyznałam. – Ale dokąd zaprowadziło nas poleganie na nich?

– Dzięki nim umiemy przetrwać zgubne konsekwencje naszych własnych błędów – wyjaśniła Lark, wykonując okrężny ruch ręką, jakby wskazywała sztuczny, sterylny świat, w którym żyjemy. – Dzięki nim rozumiemy też, że jeśli kiedykolwiek powrócimy do naturalnego świata, będziemy musieli zacząć żyć w inny sposób niż dotychczas.

– Ale czy tak się stanie? – weszłam jej w słowo. – A co, jeśli gdy za kilka tysięcy lat będziemy mogli bezpiecznie opuścić Eden, znowu popełnimy te same błędy?

– Będzie to oznaczać, że nie zasługiwaliśmy na drugą szansę – odparła

stanowczo Lark.

Kiedy przechadzałyśmy się po pogrążonym w ciemności mieście, mimo że nic nie pamiętałam z mojego poprzedniego życia – o ile w ogóle jego istnienie było prawdą, w co nadal nie mogłam uwierzyć – opanowało mnie dziwne uczucie nostalgii, sentymentalnej tęsknoty za przeszłością, której nie pamiętałam. Było coś znajomego w tym spacerze z kimś, kogo lubię, przez nocne miasto. Gdzieniedzie widziałam pary zakochanych, którzy szeptali sobie na ucho miłe słówka. Nie miałam pojęcia, jakie właściwie miejsce zajmowałam w tym świecie.

Zerknęłam ukradkiem na Lark. Szła zdecydowanym krokiem, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, bez reszty skoncentrowana na dotarciu do celu. W jaki sposób obie pasowałyśmy do tego świata? Znalazłam się w przedziwnej sytuacji – wiedziałam już, że Lark jest moją ukochaną przyjaciółką, lecz zarazem czułam to do niej dopiero od kilku dni.

Była dla mnie przyjaciółką czy może kimś więcej? Nie wspominała więcej o naszym pocałunku na dachu. Ja również nie wracałam do tej chwili w naszych rozmowach. Jednak ilekroć nasze spojrzenia się krzyżowały, powracało wspomnienie chwili, gdy nasze usta się zetknęły.

Czyżbym kochała Lark?

Nasz spacer trwał już długo. W pewnym momencie zaproponowałam, żebyśmy przejechały się autopętlą, ale Lark chyba obawiała się poddać skanowi siatkówki przy wejściu do kolejki. Nie chciała, by pozostały jakiegokolwiek dowody naszej wspólnej eskapady do miasta. Na nogach miałam sandały i po pewnym czasie rozboleły mnie stopy. Nagle Lark chwyciła mnie pod ramię i przyspieszyła kroku, dopóki nie skręciłyśmy za róg.

– Widziałaś? – spytała, wychylając głowę zza budynku. Wspięłam się na palce i też wyjrzałam ponad jej głowę.

– Nic tam nie ma.

– Zauważyłam, że chodnik rozbłysnął. A po sekundzie zgasł.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś nas śledzi? – zastanowiłam się.

– Ten rozbłysk był daleko od nas – odparła, wpatrując się w ciemność. – A teraz nic tam nie widzę. Może ktoś wyszedł z domu, a potem zmienił zdanie i cofnął się z chodnika.

Takie wyjaśnienie brzmiało całkiem rozsądnie. Ulica wyglądała na pustą. Po chwili podjęliśmy marsz, jednak w kroku Lark wyczuwałam teraz nerwowość. Prowadziła mnie pospiesznie ulicami, których nie znałam. W pewnym momencie weszliśmy do mrocznej bramy. Lark wyciągnęła wtedy coś ze swojego małego plecaczka.

– Cóż, przykro mi, ale muszę cię o coś poprosić. Właściwie to nie prośba, tylko polecenie.

Zorientowałam się, że podaje mi kaptur, który miałam narzucić sobie na głowę i zakryć oczy. Na jego widok przeszedł mnie lodowaty dreszcz strachu. Nie wiedziałam, czy ta reakcja to efekt stłumionego wspomnienia, które teraz przedarło się do świadomości. A może nie było w tym dziwnego, może była to zupełnie naturalna reakcja, bo nikt nie lubi mieć zakrytych oczu.

– Nie ufasz mi? – spytałam, cofając się o krok. – Ja tobie zaufałam.

– Nie chodzi o to, że ja, a raczej my, nie ufamy tobie. Nie ufamy temu, jak zostałaś zaprogramowana. Możliwe przecież, że świadomie będziesz chciała dochować tajemnicy, jednak zostałaś zaprogramowana, by wyjawić naszą lokalizację, gdy ją poznasz. Co się stanie, gdy będziesz chciała dochować tajemnicy, ale nie będziesz mogła tego zrobić?

– Słuchaj, nie jestem robotem. Umiem myśleć samodzielnie.

– Ach, Rowan – Lark posłała mi smutne spojrzenie. – Nikt tak naprawdę nie wie, co oni właściwie ci zrobili. Nie wiemy też, jak wiele ci odebrali. Mam nadzieję, że zdołamy to odzyskać. Odzyskać ciebie.

Być może Lark nie ufała mi, ja jednak ufałam jej. Nadal nie umiałam stwierdzić, dlaczego właściwie obdarzałam ją zaufaniem. Bazowałam wyłącznie na uczuciu. Było ono silniejsze niż jakakolwiek znana mi wcześniej emocja. Poza tym chciałam poznać prawdę, a to był jedyny sposób. Dlatego nie protestowałam, gdy Lark zarzuciła mi na głowę kaptur. Ogarnęły mnie

nieprzeniknione ciemności i natychmiast straciłam orientację. I o to właśnie chodziło w tym fortelu z kapturem. Wiedziałam, że nadal idziemy przez bezludne boczne uliczki – nie dolatywały mnie żadne głosy. Poza tym Lark nie mogłaby przechadzać się po zatłoczonej ulicy z dziewczyną z obwiązaną głową. Po minucie zupełnie straciłam orientację, nie wiedziałam już, w którą stronę się kierujemy. Kiedy wreszcie się zatrzymałyśmy, Lark ściągnęła kaptur i czule pogładziła mnie po włosach. Znajdowałyśmy się teraz na jakiejś niczym niewyróżniającej się bocznej uliczce. Nigdzie wokoło nie dostrzegałam żadnych drzwi, okien, niczego, po czym mogłabym się zorientować, w którym kręgu przebywamy.

Lark przyklęknęła i zaczęła wodzić palcami po kratce kanalizacyjnej. Po chwili, sapiąc z wysiłku, wyrwała ją z ziemi i odłożyła na bok. Zajrzałam do środka i zobaczyłam tylko gładkie ściany i ciemność. Studzienka kanalizacyjna miała mniej więcej szerokość moich ramion.

– Jesteśmy na miejscu? – spytałam z niedowierzaniem.

Lark mrugnęła do mnie zachęcająco okiem.

– Robiłaś to już wcześniej. Po prostu skocz.

– Mówisz poważnie?

– Wiem, że to wydaje się przerażające – powiedziała, chwytając mnie za rękę.

– Teoretycznie mogłabym wskoczyć pierwsza. Ale wtedy nie będziesz wiedziała, jak zasunąć za sobą klapę. Studzienka ma kształt łagodnie pofałdowanej zjeżdżalni. Kiedy dotrzesz do celu, nie zderzysz się z ziemią. Przez cały czas będę o krok za tobą.

Było za późno, by się rozmyślić. Mimo wątpliwości i obaw, w głębi duszy wiedziałam, że Lark mówi prawdę. To, co zobaczyłam niedawno w połączeniu z moimi snami popychało mnie naprzód. Powoli zaczynałam rozumieć, że istnieje coś większego ode mnie. Żeby to poznać, musiałam przez cały czas podążać do przodu.

– Obiecujesz? – spytałam.

– Oczywiście.

W jej twarzy, kiedy zaczęłam ją sondować, dojrzałam szczerłość i coś jeszcze... Troskę? Niepokój? Obawę?

A może miłość?

– Skacz! – szepnęła Lark. – Na razie nie ma przechodniów na ulicach, ale nie możemy ryzykować, że ktoś zobaczy, jak korzystamy z tego wejścia. Pospiesz się!

Usiadłam na skraju studzienki i opuściłam nogi do środka. Nadal jednak nie mogłam się zmusić do skoku w mroczną pustkę.

Po chwili usłyszałam, jak Lark wzdycha z rezygnacją.

– Lachlan założył się ze mną o dziesięć kredytów, że się bez tego nie obejdzie.

Nagle poczułam, jak opiera mi dłonie na plecach. A zaraz potem mnie popchnęła i zaczęłam spadać. Pomknęłam niczym strzała w dół, bezskutecznie próbując w locie ucześcić się gładkich ścian. Po chwili tunel zaczął się wyczuwalnie zwężać. Momentalnie ogarnęła mnie panika. A co, jeśli utknę w zwężeniu?

Nagle rynna zaczęła łagodnie zakręcać. Moje ciało, ściśnięte ze wszystkich stron przez ściany, zamiast spadać, poruszało się teraz ruchem ślizgowym jak na zjeżdżalni. Dzięki zakrętowi wyhamowałam nieco, a po jakimś czasie – który wydał mi się bardzo długi – wślizgnęłam się do jakiegoś pomieszczenia. Wylądowałam na ziemi, jednak upadek był tak delikatny, że praktycznie niezauważalny.

Oniemiała rozejrzałam się wkoło. W delikatnym blasku rzucanym przez dyskretnie pochowane sztuczne oświetlenie dostrzegałam fantastycznie ukształtowane kamienne ściany. Ze sklepienia zwisały stalaktyty. Na wierzchołku każdego z nich, niezwykle powoli, zbierały się krople wody, nadając im wygląd ociekających jadem kłów jakiejś bestii. Kiedy po chwili zjechała też Lark, stałam przy jednej ze ścian, wodząc po niej dłonią.

– To prawdziwa skała – powiedziałam z przejęciem.

– Pięknie tu, prawda?

– Jak głęboko jesteśmy?

– Nie wiem. Zawsze mam wrażenie, jakby lot w dół trwał całe wieki. Wiem tylko tyle, że jaskinia znajduje się na tyle głęboko, by nie zakłócać działania infrastruktury Edenu, nie zagrażać jego fundamentom ani systemowi kanalizacyjnemu.

Zaczynałam dostrzegać wyloty korytarzy odchodzących od tej głównej komory.

– To naturalny system jaskiń? – zainteresowałam się.

– Owszem. Ale został lekko zmodyfikowany. Niektóre z tych korytarzy prowadzą do... – zawiesiła na chwilę głos. – Zresztą sama zaraz zobaczysz. Pod warunkiem, że nie pobłądę.

W pierwszej chwili pomyślałam, że Lark żartuje. Zaraz jednak okazało się, że podziemne tunele tworzą niezwykle skomplikowany system. Nie wiedziałam, czy dziewczyna prowadzi mnie po kilka razy tymi samymi korytarzami, żeby wprowadzić mnie w dezorientację, czy faktycznie co jakiś czas gubiła drogę. W końcu jednak stwierdziła:

– Jesteśmy prawie na miejscu. Jaskinia znajduje się na końcu tego korytarza. Jesteś gotowa?

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą. Roześmiałam się trochę za głośno. Śmiech zabrzmiał odrobinę histerycznie. – Ale jaki mam wybór?

– Prawdę mówiąc, dzięki niech będą Ziemi, masz wybór – odparła poważnie Lark. – Nie wiemy, co dokładnie zrobili z tobą w Centrum. Na szczęście nie pozbawili cię jednak wolnej woli. Możliwe, że nie byli w stanie.

– Denerwuję się – wyznałam, biorąc głęboki oddech. Tak naprawdę bardziej odpowiednim sformułowaniem byłoby „Boję się”, jednak nie chciałam się do tego przyznawać.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła mnie Lark. – Jesteś w otoczeniu przyjaciół. Wszyscy ludzie, których tu spotkasz, będą zachwyceni, że cię widzą.

Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Wiedziałam jednak, że muszę podjąć ten krok. Widziałam też, z jakim wyczekiwaniem przygląda mi się Lark.

– No dobrze, jestem gotowa.

Dziewczyna nacisnęła jakiś ukryty w skale panel. W tym samym momencie w ścianie zamykającej coś, co wyglądało na ślepy korytarz, zarysowała się szczelina. Rozległ się trzask i ściana rozsunęła się na dwie strony. Weszliśmy do korytarza, u którego wylotu z drugiej strony dostrzegałam jakieś mieniające się światła. Po chwili wyczułam też dochodzący stamtąd nęcący zapach.

Kiedy dobiegł mnie hałas, odruchowo się cofnęłam. Zaraz jednak zorientowałam się, że to głosy dzieci. *Skąd w tych podziemiach maluchy?*, zastanowiłam się. *Czyżby były to drugie dzieci?* Radosne głosiki przybliżyły się, a po chwili zostałam otoczona przez całe morze dzieciaków. Wszystkie trzymały ołówki i podkładki do papieru, tak jakby właśnie wracały ze szkoły. Może skończyły się właśnie późne lekcje? Były pod opieką jakiejś kobiety. Wszystkie miały zaspane oczy i wygląd charakterystyczny dla dzieci, które mają za sobą bardzo długi dzień i dawno już powinny spać. Było jasne, że udają się w jakieś konkretne miejsce, pewnie do łóżek, jednak w pewnym momencie jedno z nich, mała dziewczynka, zauważyło mnie i oderwało się od grupy.

– Rowan! – pisnęła radośnie, po czym pędem ruszyła w moją stronę. Po chwili oplotła mi nogę wszystkimi kończynami i zadarła w górę głowę, spoglądając na mnie ogromnymi oczami. Na chwilę straciłam równowagę i zatoczyłam się na Lark. – Wiedziałam, że wrócisz! Ja i Lach, oboje wiedzieliśmy!

Spojrzałam na nią niepewnie. Po obu stronach głowy sterczały jej na boki dwa niezbyt równe mysie ogonki. Dziewczynka wyglądała przeuroczo.

Po chwili zwróciłam uwagę na jej oczy.

Miały jasnobrązowy kolor, z promieniście rozchodzącymi się złocistymi pasmami. Wydawały się bardziej żywe niż jakiegokolwiek inne oczy, jakie widziałam w życiu. Nagle uświadomiłam sobie, skąd brał się ten efekt – dziewczynka, która do mnie podbiegła, nie miała implantów soczewkowych. Wszyscy mieszkańcy Edenu mieli w oczach implanty blokujące szkodliwe promieniowanie i chroniące przed ślepotą. Soczewki te były połączone z główną siecią Ekopanoptykonu. Oczy osoby, której wszczepiono implanty, traciły swój

naturalny kolor. W rezultacie oczy wszystkich, których widywałam na co dzień, mimo że różniły się kolorem: piwnym, czarnym lub srebrzystoniebieskim, miały ten sam martwy, przygaszony wygląd.

Tymczasem oczy tej pełnej energii dziewczynki aż się skrzyły! Odruchowo uśmiechnęłam się do niej szeroko. Pozostałe dzieci zaczęły się tłoczyć wkoło mnie. Z początku czułam się trochę zawstydzona, jednak po chwili się rozluźniłam.

– Jak masz na imię, skarbie? – spytałam.

Dziewczynka rozluźniła uchwyt i zjechała po mojej nodze na sam dół. Pacnęła tyłkiem o ziemię z takim impetem, że jej buźka na chwilę wykrzywiła się w grymasie bólu.

– Nie pamiętasz? – jęknęła.

Zaczęła pełznąć do tyłu, jakbym nagle wydała się jej dziką bestią, a po chwili wmiszała się między pozostałe dzieci. Mogły mieć od czterech do kilkunastu lat, i wszystkie przypatrywały mi się teraz z wyczuwalną rezerwą.

W tym momencie na przód wysunęła się pulchna kobieta o budzącym zaufanie matczynym wyglądzie. Rozłożyła ramiona niczym kura chcąca zebrać kurczaki pod rozpostarte skrzydła i powiedziała wesoło:

– Dajcie jej jeszcze chwilę spokoju, maluchy. Rowan dopiero co przybyła, a z nią pewnie niejedna przygoda. – Ścisnęła pieszczotliwie nosek dziewczuszcze z warkoczykami. – A jeśli wyleciało jej z pamięci imię pewnej niegrzecznej dziewczynki, powinniśmy jej wybaczyć.

Następnie kobieta zwróciła się do mnie z uśmiechem:

– Nazywam się Iris. A jeśli zastanawiasz się, czy się nawzajem lubimy, to jak najbardziej. Uprzedzono mnie, że dokuczają ci... problemy z pamięcią. Tak bardzo się cieszę, że cię widzę! Wiedzieliśmy, a w każdym razie mieliśmy nadzieję, że prędzej czy później nas odwiedzisz.

– Dzień dobry – przywitałam się nieśmiało.

Kobieta momentalnie zdobyła moją sympatię, jednak było to dla mnie nowe uczucie, tak jakby mój umysł nie zachował żadnych wspomnień o naszej

poprzedniej znajomości. Przyjrzałam się jej oczom – miały piękny zielony kolor, a wewnątrz tęczywek dopatrzyłam się też złocistych błysków. Zaczęłam zaglądać w oczy kolejnym maluchom. Niektóre były piwne, inne przeszywająco błękitne, jeszcze inne przypominały kolorem kamienie agatu; zdarzały się też zielone czy szare z niewielką domieszką innego koloru. Wszystkie tryskały energią.

Te oczy były niebezpieczne.

Były to oczy drugich dzieci.

Dziewczynka z warkoczykami przyglądała mi się zamyślona. W końcu wyciągnęła do mnie pulchną rączkę.

– Mam na imię Rainbow. Ale możesz do mnie mówić po prostu Bow. Albo Rain. Rainbow to strasznie długie słowo. Na razie umiem zapisać tylko literę „R”.

– My też się lubimy? – spytałam, ujmując jej dłoń.

Dziewczynka pokiwała poważnie głową.

– Ale nie tak bardzo, jak lubię Lachlana. I nie tak bardzo, jak ty go lubisz. Obie lubimy go najbardziej na świecie.

Poczułam, że palą mnie policzki. Byłam pewna, że spiekłam raka. Ludzie bez przerwy wspominali mi o tym całym Lachlanie, tak jakby łączyło nas coś wyjątkowego. A ja przecież nie miałam pojęcia, kim jest ten chłopak. Czy on w ogóle przebywał gdzieś tutaj? Rozejrzałam się wkoło, ale widziałam tylko morze nieznanymi mi twarzy. Wieść o moim przybyciu rozniosła się lotem błyskawicy. Bycie osaczoną przez gromadę dzieci to jedno, teraz jednak zaczęli tłoczyć się wokół mnie również dorośli. Wszyscy chcieli uścisnąć mi dłoń i mnie przytulić. Wyglądali na zachwyconych moim przybyciem, jakby spadł im kamień z serca. Witali mnie, jakbym po długiej nieobecności wróciła do domu.

W domu, którego nie pamiętałam, witali mnie ludzie, których nie znałam.

W pewnym momencie poczułam, że brakuje mi tchu. Nogi zrobiły mi się miękkie w kolanach. Tylu ludzi! Nie mogłam znieść tego, że spoglądali na mnie, jakby doskonale mnie znali, podczas gdy ja nie mogłam zrewanżować im się

tym samym.

Lark zauważyła chyba, co się ze mną dzieje, bo posłała wymowne spojrzenie Iris, a ta zaklaskała głośno w dłonie.

– Wystarczy! Dajcie jej już spokój. Rowan spędzi z nami trochę czasu, a dzisiaj będziemy świętować jej powrót. Na razie pozwólm jej pójść do pokoju i zebrać myśli.

A więc miałam tu swój pokój?

Tłum momentalnie się rozproszył. Wszyscy pozdrawiali mnie i obiecywali, że spotkamy się niebawem. Iris zabrała też dzieci. Wreszcie, ku mojej wielkiej uldze, zostałam sam na sam z Lark. Po chwili okazało się jednak, że ktoś jeszcze chciał mnie powitać.

– Rowan?

Kiedy się odwróciłam, w pierwszej chwili pomyślałam, że spoglądam na własne lustrzane odbicie. Odniosłam wrażenie, że znów jestem na balu i naćpana błędzę w labiryncie luster.

Spoglądałam teraz na męską wersję samej siebie.

– Ash? – wydukałam.

LARK WSPOMNIAŁA WCZEŚNIEJ, ŻE MAM BRATA, jednak nigdy nie zdradziła mi jego imienia. Przywołałam je teraz z odmętów pamięci. A więc jednak władze nie zdołały wymazać wszystkiego. Wciąż umiałam czytać, chodzić i odróżniać przedmioty. Zachowałam w pamięci plan Edenu. A zatem przechowałam w nienaruszonym stanie fundamenty mojej wiedzy. Najwyraźniej Ash był częścią tego rdzenia. Kiedy spojrzałam teraz na chłopaka, będącego zwierciadlanym odbiciem mnie samej, wiedziałam podświadomie, jakiego imienia użyć. Nie pamiętałam go – nie wiedziałam, jaką ma osobowość, nie zachowałam wspomnień na temat naszej wspólnej przeszłości – lecz mimo to moja podświadomość wiedziała, że na imię ma Ash.

Poczułam panikę, a równocześnie ogarnął mnie dziwny spokój. Panika brała się stąd, że rozpoznanie Asha stanowiło kolejny mocny dowód potwierdzający słowa Lark. Natomiast spokój brał się z faktu, że odnalazłam swoją drugą połowę, z której istnienia dotychczas nawet nie zdawałam sobie sprawy.

Przypatrywałam mu się zafascynowana, chłonąc najdrobniejsze szczegóły jego wyglądu. Miałam ochotę dotykać jego twarzy, wsłuchiwać się w jego głos i śmiech.

Nad wszystkim górowało jednak pragnienie, by go sobie przypomnieć.

Cała reszta budziła we mnie mieszane uczucia. Obawiałam się, że gdy przywołam w pamięci to, kim naprawdę jestem, wówczas stracę moje dotychczasowe życie – to, które znałam. Zamierzałam zaryzykować, lecz perspektywa ta budziła moje przerażenie. Odkrycie na nowo Asha nie wydawało się zbyt skomplikowanym zadaniem. Wyczuwałam, że jest częścią mnie. Wystarczyło, że dokładnie mu się przyjrzę. A jeśli się okaże, że to niemożliwe,

nauczę się go na nowo. Już sam jego widok wystarczył, by przebudziło się we mnie poczucie emocjonalnej więzi z nim. Wiedziałałam, że nie pozwolę już nigdy, by ktoś mi to odebrał.

Nagle zorientowałam się, że gapię się na niego w milczeniu. Inna sprawa, że Ash zachowywał się identycznie.

– Nie wierzyłem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę – powiedział, a jego drżący, przepełniony uczuciami głos był dla moich uszu niczym najpiękniejszy ptasi śpiew. Jego dźwięk był cudowny i znajomy niczym rodzinny dom. – Od tak dawna sądziłem, że nie żyjesz, że cię straciłem.

Staliśmy naprzeciwko siebie jak oniemiała. Tak jakby żadne z nas wciąż nie mogło uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– Tęskniłam za tobą – odezwałam się. – Nie miałam pojęcia, że za tobą tęsknię, ale gdy tylko cię zobaczyłam, byłam tego pewna.

A w następnej chwili rzuciliśmy się sobie w ramiona. Kiedy się przytuliliśmy, nagle odkryłam, że wiem wszystko na temat tego chłopaka. Nie odzyskałam wiedzy o wydarzeniach z jego życia, jego osobistej historii. Przypomniałam sobie za to dźwięk jego oddechu, mydlany zapach ciepłej skóry. Przypomniałam sobie dotyk jego włosów, kiedy połaskotały mnie po policzku.

Marzyłam, byśmy mogli nigdy już nie wypuszczać się z ramion.

– Jesteś tą samą Rowan co kiedyś – powiedział Ash, kiedy w końcu odsunęliśmy się od siebie. Staliśmy teraz twarzą w twarz na długość ramienia, a on spoglądał na mnie z taką sympatią... Po chwili uświadomiłam sobie, co wyziera z jego spojrzenia. Była to braterska miłość. Ilu ludzi na Ziemi rozumie, czym jest uczucie łączące rodzeństwo? Obecnie nikt już, z wyjątkiem tej garstki drugich dzieci, nie miał brata ani siostry. A nawet większości tych ludzi kryjących się w podziemiach nie dane było dorastać razem z rodzeństwem. Traktowani byli jak haniebnny sekret, ukrywani, sprzedawani lub skazywani na wygnanie z domu.

Nie umiałam już dłużej powstrzymać wzruszenia. Z moich oczu popłynęły łzy radości. Chciałam, by Ash opowiedział mi o wszystkim.

– Jesteśmy do siebie podobni? Ty też lubisz herbatę bąbelkową? Moim ulubionym przedmiotem w szkole jest wiedza o społeczeństwie, twoim też?

Oczekiwałam, że Ash zareaguje entuzjastycznie. Ze zdziwieniem zauważyłam, że brat zmarszczył czoło.

– Przecież ty nie cierpisz bąbelkowej herbaty – stwierdził. – Ja zresztą też. I zawsze powtarzałaś, że wystarczy przyswoić sobie podstawy z wiedzy o społeczeństwie, a nauka tego przedmiotu to strata czasu.

– Aha – jęknęłam rozczarowana.

Uwielbiałam herbatę bąbelkową. To znaczy tak mi się wydawało. Ale skoro Rowan nie przepadała za nią, niby jak mogłam ją lubić?

– Ale to nic – zreflektował się szybko Ash. Domyśliłam się, że nie chce psuć radosnego nastroju chwili. – Nadal malujesz?

– Czy maluję? Nigdy w życiu nie trzymałam w ręce pędzla...

Zanim zdążyłam na dobre zmartwić się rozdźwiękiem między moim poprzednim życiem a nową osobowością, Ash chwycił mnie za rękę, uśmiechnął się szeroko i powiedział żartobliwym tonem:

– Rowan, nie wstydź się tego, co ci się przydarzyło. To nie twoja wina!

Nadal płakałam, jednak teraz nie były to już łyzy tylko radości, ale też smutku. Opłakiwałam to, co utraciłam... oraz co odzyskałam.

– Ale ja chcę przypomnieć sobie ciebie. I siebie. Tak bardzo chcę, ale nie potrafię. Nie pamiętam nawet naszej mamy. Lark powiedziała mi, że nie żyje. W umyśle mam jednak przez cały czas obraz innej kobiety, którą nazywałam matką. Chyba zaraz oszaleję! – Chciałam się odwrócić, a wtedy on przyciągnął mnie do siebie i zamknął w braterskim uścisku. – Przepraszam, Ash.

– Nie masz za co przepraszać. Najważniejsze, że znowu jesteśmy razem. Kiedy dotrze tu Flame, zbada cię, a wtedy okaże się, czy będzie potrafiła odwrócić efekty operacji, którym poddano cię w Centrum. Jeśli dopisze ci szczęście, a Flame zrobi użytek ze swoich niemal nadprzyrodzonych umiejętności, odzyskasz wszystkie swoje wspomnienia.

Lark odsunęła się na bok i przyglądała się zadowolona naszemu spotkaniu.

Dawała nam czas, żebyśmy się sobą nacieszyli. Po chwili zbliżyła się do nas.

– Pamiętałaś imię brata. To chyba dobry znak. Wszystko kryje się tutaj – powiedziała, stukając mnie delikatnie w głowę. – Musimy tylko się do tego dostać.

– Ale na razie – odezwał się Ash – po prostu oprowadzimy cię po podziemiach. Może ich widok obudzi w tobie wspomnienia.

Ash chwycił mnie za rękę z jednej strony, Lark z drugiej i wspólnie wyszliśmy z przedsionku na balkon.

Domyślałam się już wcześniej, że znajdujemy się wysoko (to znaczy wysoko, ale pod ziemią), w oddali dostrzegłam jakieś liście, które wzięłam za sztuczne ozdoby. Na terenie Edenu roiło się od syntetycznych drzew. Dlatego gdy kątem oka zarejestrowałam w oddali zieleń, nie zwróciłam na to większej uwagi, bo skoncentrowana byłam bez reszty na Ashu.

Wyszliśmy teraz na balkon, który okazał się półką skalną zawieszoną wysoko nad olbrzymią salą. Wzdłuż jej ścian ciągnęły się niezliczone chodniki i schody.

Rozejrzałam się wkoło i westchnęłam z wrażenia.

Jaskinia była gigantyczna, możliwe, że wielkością dorównywała całemu kampusowi Akademii Dębów. Na dole dostrzegłam ludzi, którzy gawędzili albo spacerowali. Moją uwagę przykuły maleńkie namioty w krzykliwych kolorach, nad którymi powiewały banery zachwalające sprzedawane produkty – odzież, buty, słodycze. Przypominało to kiermasz. Po chwili zauważyłam długi szereg połączonych stołów. Uwijali się przy nich ludzie serwujący różne potrawy. A więc szykowano się do uczyty! Cudowne aromaty unosiły się w powietrzu i docierały nawet do mojego wysoko położonego punktu obserwacyjnego. Niektóre wonie były dla mnie zupełnie nieznanne.

Kiedy spojrzałam w górę, z wrażenia zabrakło mi tchu. Całe sklepienie przypominało wielobarwny fasetowany klejnot. Kamienny łuk wyginający się nad naszymi głowami wykonany był z wielokolorowych kryształów: fioletowych, różowych, złotych i o barwie lodu. Kamienie mieniły się w sztucznej księżycowej poświacie. Widok był tak zachwycający, że

momentalnie poczułam się szczęśliwa i pełna nadziei. Jak to możliwe, że coś tak cudownie pięknego istnieje pod powierzchnią Ziemi? Jak to możliwe, że obywatele Edenu nie mają o tym pojęcia? Zawsze tłumaczono nam, że Eden jest rajem. Jednak miałam wrażenie, że teraz trafiłam do prawdziwej ziemi obiecanej.

I wtedy ujrzałam drzewo.

To znaczy naprawdę je zobaczyłam.

Było wielkie, w zasadzie nie dawało się przeoczyć. Jednak z początku byłam tak zaaferowana widokiem ludzi w dole i wspaniałym sklepieniem, że nie poświęcałam mu żadnej uwagi. Uznałam podświadomie, że to kolejna sztuczna roślina.

Dopiero teraz, gdy wyraźnie ujrzałam jego wspaniałą, soczystą zieloną koronę rozciągającą się na ponad trzydzieści metrów szerokości, poczułam, że miękną mi kolana. Wyczułam też przedziwną, pełną życia woń. I nagle, w ułamku sekundy, pojęłam z wielką jasnością, że nie da się porównać prawdziwego drzewa z najbardziej nawet udanymi podróbkami. Sztuczne rośliny w Edenie były po prostu rzeźbami i maszynami do fotosyntezy. Owszem, wyglądały atrakcyjnie, lecz w środku były zimne i martwe.

Jak to jednak możliwe, że tutaj rosło drzewo? Przecież od wielu pokoleń wszystkie większe żywe organizmy, zarówno zwierzęce, jak i roślinne, były martwe. Przy życiu zostali ludzie, a także niewielka liczba gatunków glonów, porostów i grzybów. A jednak przed oczami miałam teraz olbrzymie wspaniałe drzewo, i to rosnące pod powierzchnią Ziemi.

– Mogę go dotknąć? – spytałam. Przepęłniała mnie ochota, by to zrobić. Bałam się jednak, że dopuszczę się świętokradztwa.

– Ależ oczywiście – odparł Ash. – Ono należy do nas wszystkich.

Bez namysłu puściłam się biegiem. Zbiegałam po schodach, odprowadzana zdumionymi spojrzeniami mijanych ludzi. Pozdrawiali mnie, ja jednak zdawałam się ich nie zauważać. Widok drzewa obudził we mnie coś, co domagało się mojej pełnej uwagi.

Jak tylko znalazłam się na dnie jaskini, ruszyłam biegiem w stronę drzewa. Pokonałam połowę dystansu, gdy zdałam sobie sprawę, po czym biegnę. Podłoże było miękkie i ugięło się pod moimi stopami. Czyżbym biegła po ziemi? Niemożliwe. Przecież uczono nas, że cała gleba jest skażona i martwa.

Zatrzymałam się gwałtownie i padłam na kolana. Ziemia była w tym miejscu udeptana na twardo przez mieszkańców. Ja jednak nic sobie z tego nie robiłam – wbiłam w nią palce i po chwili nabrałam pełne garście. Czułam, jak czarne drobinki wciskają mi się pod paznokcie. Przyłożyłam dłonie do twarzy, wdychając głęboki, pełen życia zapach. Cały spód jaskini był ziemny. A skoro drzewo zapuściło korzenie, gleba musiała sięgać głęboko. Przypomniałam sobie tamtą niewielką misę z ziemią, którą znalazłam w wewnętrznej świątyni. Jak absurdalnie mała wydawała się teraz tamta porcyjka! Stanowiła szyderstwo z tego, czym naprawdę była, czym powinna być, Ziemia.

Teraz dotykałam prawdziwej ziemi. Wstałam i rozluźniłam palce, a wtedy ziemia spadła pod moje stopy i połączyła się na powrót z resztą. Ruszyłam znów ku drzewu. Z początku szłam powoli, jednak z każdą chwilą przyspieszałam kroku. Pod stopami miałam teraz opadłe liście. Miały brązowy kolor i szeleściły przy każdym moim kroku, wzbijając w górę cudowny, upajający aromat. Zrozumiałam teraz, że ta wyrazista woń, którą z początku wzięłam za kuchenną, w subtelny sposób przenika tutaj wszystkie inne zapachy. Stawało się teraz jasne, że ten ostry, orzeźwiający, lekko miętowy aromat pochodził od drzewa.

Od ilu lat rosło tutaj? Ile lat zrzucało liście na tę żyzną ziemię, na której gniły i stawały się powoli częścią niej samej, zapewniając drzewu pokarm? Drzewo było potężne, potrzeba by kilkunastu ludzi, którzy musieliby się chwycić za ręce, by okrążyć jego chropowaty, powykręcany pień.

– Jak to możliwe? – spytałam na głos. Pytanie zadawałam sobie samej, ale też światu. Nie słyszałam nawet, jak nadeszli Ash i Lark.

– To zasługa Aarona Al-Baza, rzecz jasna – stwierdziła Lark.

Zadrżałam, a po plecach przebiegł mi dreszcz. Szybko wytłumaczyłam sobie, że to zapewne efekt zachwytu. I wdzięczności należnej człowiekowi, który

wszystkich nas ocalił od zguby. Tak, to musiało być powodem.

– Aaron stworzył to miejsce jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby nie ukończono na czas prac nad Edenem albo gdyby warunki życia na powierzchni Ziemi okazały się jeszcze trudniejsze, niż zakładano – wyjaśnił Ash. – Przed Ekokłeską wpompował tu wielkie ilości żyznej ziemi i zasadził tego kamforowca. Warunki środowiskowe w Podziemiu utrzymywane są zupełnie niezależnie od Ekopanu i reszty Edenu. Dzięki temu Centrum nigdy nie wpadło na nasz trop.

– Niesamowite, co? – wtrąciła się Lark. – Sklepienie jaskini zostało wyposażone nawet w sztuczny cykl słoneczny i księżycowy. Wodę pobieramy z głębokiego podziemnego źródła. Powietrze jest filtrowane. Całe to miejsce jest niemal samowystarczalne. Nadal musimy – a raczej oni muszą, bo ja jestem tu tylko gościem – od czasu do czasu wychodzić na powierzchnię, żeby zdobyć pożywienie i inne surowce. Teraz jednak dorobiliśmy się własnego wielkiego magazynu z jedzeniem i bronią. Dzięki temu, gdy zdarzy się coś niespodziewanego, będziemy mogli przez wiele miesięcy wytrzymać pod ziemią.

Przysłuchiwałam się ich opowieściom, lecz ani na chwilę nie umiałam oderwać wzroku od drzewa. Czułam się, jakbym nagle na własne oczy ujrzała jednego z tych starych martwych bogów, w których przed wiekami wierzyli nasi przodkowie i który nagle został przywrócony do życia. Był olbrzymem, łagodnym potworem, który wznosił się wysoko niczym góra nad swoimi wyznawcami.

Poczułam nagły, potężny impuls, który siłą dorównywał pragnieniu, jakie zrodziło się we mnie, gdy ujrzałam Asha. Była to rozpaczliwa potrzeba wejścia w jak najbliższy kontakt. Zanim pojęłam, co robię, zaczęłam ścisnąć pień drzewa, jakbym witała się z kolejnym niewidzianym od zbyt dawna bratem. Zza pleców dobiegły mnie pogodne śmiechy, ale nie zwracałam na nie żadnej uwagi. Pod dłońmi wyczuwałam teraz szorstką korę, która wydawała mi się nieskończenie prawdziwsza niż wszystko, czego dotykałam dotychczas w życiu.

A więc tego właśnie wszystkim nam brakowało. To dlatego nasze życia, choćby z zewnątrz wydawały się takie wspaniałe, w rzeczywistości wypełniała pustka. Zrozumiałam nagle, że nie ma nic cudowniejszego niż bycie blisko z inną żywą istotą.

Uszczęśliwiona odwróciłam się do moich towarzyszy, plecami przywierając do pnia. Przyglądałam się mojej przyjaciółce, bratu oraz kilkudziesięciu osobom żyjącym w podziemiach, lecz nawet teraz nie chciałam przerywać kontaktu z drzewem. Przebywałam tu niedługo, niespełna pół godziny, a mimo to czułam się bardziej zadomowiona niż w Akademii Dębów.

– Chodź – odezwał się Ash, obejmując mnie ramieniem. – Drzewo rośnie tu od ponad dwustu lat. Nie bój się, nigdzie ci nie ucieknie. Za jakiś czas przestaniesz na nie zwracać uwagę.

– O nie! – zaprotestowałam gwałtownie, ale dałam się zaprowadzić do oczekujących drugich dzieci, które właśnie zasiadały do zbiorowej wieczerzy.

Jeszcze nigdy nie brałam udziału w takim posiłku. W Akademii Dębów należałam do najbardziej popularnych studentek i zawsze wokół mnie kręciło się sporo przyjaciółek, a w każdym razie osób, które chciałam za nie uważać. Mimo to nigdy nie czułam się tam równie akceptowana i lubiana, jak podczas uroczystej kolacji w Jaskini. I nie chodziło wcale o to, że przyjaźniłam się z tymi ludźmi jako Rowan. Lark wyjaśniła mi, że owszem, znałam większość z nich osobiście, ale nigdy nie spędziłam z nimi dłuższego czasu. Domyślałam się, dlaczego czułam się przy nich tak dobrze – mimo moich bezbarwnych oczu byłam przecież, podobnie jak oni, drugim dzieckiem.

Dopiero gdy zapadł wieczór, a w kryształowym sklepieniu rozbłyły światła imitujące gwiazdy, zaczęłam sobie uświadamiać, że ludzie z Podziemia różnili się zasadniczo od pierwszych dzieci Edenu.

Tam, u góry, każdy człowiek był oddzielony od pozostałych. Owszem, spotykaliśmy się, zawieraliśmy znajomości, spędzaliśmy razem czas, jednak w gruncie rzeczy każdy przebywał we własnym świecie, zamknięty w nim niczym w bańce. Owe bańki przez cały czas wpadały na siebie, jednak nigdy nie

pękały.

Na dole natomiast jedna wielka bańka zdawała się otaczać wszystkich. Mieszkańcy Podziemia stanowili jedną społeczność, której każdy członek był nierozzerwalnie powiązany ze wszystkimi pozostałymi.

Kiedy przyglądałam się tym szczęśliwym ludziom, ubranym w luźne szaty, ich długim włosom i kryształom zawieszonym na szyjach i nadgarstkach, doznałam nagle olśnienia: wszyscy oni tworzyli osobny ekosystem. W jego skład wchodziło plemię, ale też drzewo i ziemia. Łączyły ich wspólne tajemnice i zagrożenia. Możliwe, że ludzie nie są stworzeni do życia w podziemiach, z jednym drzewem i filtrowanym powietrzem, jednak równocześnie miałam wrażenie, że tutejsza społeczność realizuje człowieczeństwo w sposób pełniejszy niż obywatele Edenu.

W Edenie utrzymywaliśmy, że czcimy przyrodę, a mimo to wszystkie nasze działania były przecież zaprzeczeniem natury. Dopiero tutaj, pod powierzchnią Ziemi, zobaczyłam ludzi, którzy próbują żyć z nią w zgodzie.

Przepęłniał mnie wielki smutek na myśl, że świat, który zamieszkują, jest niekompletny – nie rośnie tu dość drzew, by utworzyły las; mieszkańcy nie mają dostępu do prawdziwych owoców ani nieskończonej otwartej przestrzeni do uganiania się, tańca i zabawy.

Na myśl o tym, że teraz również ja sama należę do tego świata, poczułam uniesienie.

Wieczera nie była tak głośna jak szalone imprezy, na których bywałam, lecz mimo to poczułam się tu szczęśliwsza. Trzymałam się blisko Asha – ani na chwilę nie chciałam go spuścić z oka – oraz Lark, jednak przez cały czas podchodzili do mnie i zagadywali inni ludzie. Było to niezwykle urocze z ich strony. Domyślałam się, że Lark uprzedziła ich, by nie oczekiwali po mnie zbyt wiele. Podczas tych pogawędek wyczuwałam, że na usta cisną im się pytania. Byłam wdzięczna, że mimo iż zżerała ich ciekawość, zachowywali się dyskretnie i uprzejmie.

Kiedy trzy razy pod rząd nie udało mi się opanować ziewnięcia, Iris

momentalnie to zauważyła i odwołała mnie gestem na bok.

– Rowan zostanie z nami – oznajmiła, zwracając się do osoby stojącej najbliżej. – Będziecie mieć jeszcze mnóstwo czasu, żeby na nowo się poznać. Teraz już pora, żeby ta utrudzona dziewczyna poszła do łóżka.

Prawdę mówiąc, nie myślałam jeszcze o spaniu. Zakładałam, że Lark i ja wrócimy na noc do Akademii Dębów. Kiedy jednak Iris, Ash i Lark odprowadzili mnie do mojego pokoju, uświadomiłam sobie, że nigdy już nie chcę opuszczać jaskini.

Iris popchnęła drzwi i po chwili wkroczyłam do pokoju pozbawionego ostrych rogów. Nie był zbudowany na planie równego okręgu, ale figury zbliżonej do niego. Ściany tworzyły tutaj naturalne bloki skalne, a budowniczowie pozostawili na nich naturalną, nierówną fakturę. Na środku znajdowało się łóżko z pościelą w kolorze zielonym. W jednej ze ścian dojrzałam niszę kąpielową. Na łóżku leżał plecak, a na poduszce jakiś podniszczony pluszak.

– Ojej – zawołałam, przytulając do policzka małego szympansa. Kiedy spojrzałam na Asha, zobaczyłam, że w oczach ma łzy.

– Pamiętasz go? – spytał z nadzieją w głosie. – To Benjamin Bananas.

Przyjrzałam się bacznie włochatemu pyszczkowi szympansa, ale nie odnalazłam w nim niczego znajomego. Kiedy jednak zbliżyłam go znów do policzka, w jakiś niezrozumiały sposób poczułam się lepiej.

– Kiedy byłaś mała, to była twoja ulubiona zabawka – stwierdził Ash.

Nie przyznawałam się do tego, ale w myślach podjęłam już decyzję – tej nocy będę spać z Benjaminem Bananasem.

– Skarbie, nie będziemy cię już niepokoić – powiedziała Iris, ściskając mnie na dobranoc.

– Na pewno chcesz zostać sama? – zaniepokoił się Ash. – Jeśli wolisz, mogę posiedzieć z tobą. A jeśli nie, będę w sąsiednim pokoju.

– Nic mi nie będzie – zapewniłam.

Marzyłam, by chociaż na chwilę zostać sama. W głowie miałam wielki zamęt. Odczuwałam też radość. Chciałam dać sobie trochę czasu, by oswoić się

ze wszystkimi nowościami. Uspokoić serce, umysł i ciało.

Kiedy wyszli, przez chwilę poczułam się strasznie samotna. Do tego stopnia, że niemal zawołałam, żeby wrócili. Ale przecież nie miałyby to większego sensu, bo byli tuż obok. Wszyscy – moi przyjaciele i brat, a także moja przybrana rodzina drugich dzieci.

Sądziłam, że nie zmrużę oka i przez szereg godzin będę analizować wydarzenia ostatniego dnia. Jednak jak tylko położyłam głowę na poduszce, poczułam, jak zaczynam odpływać. Ostatnia świadoma myśl, na jaką się zdobyłam, brzmiała: Gdzie jest Lachlan? Dlaczego nie przyszedł się ze mną przywitać?

Jego nieobecność z jakiegoś powodu sprawiała mi ból.

Prawdę mówiąc, domyślałam się, dlaczego tak się dzieje.

JEST TAKI DZIWNY MOMENT ZARAZ PO obudzeniu lub tuż przed nim. Wszystko wydaje się takie proste, zanim do głosu dojdzie świadomość. Kiedy obudziłam się tego poranka, przepełniało mnie szczęście. Tak zupełnie po prostu – czułam się szczęśliwa. Nie próbowałam racjonalizować tego uczucia, nie przypisywałam jego pojawienia się żadnej osobie ani wydarzeniu. Nie zastanawiałam się, kim jestem. W tym dziwnym stanie samozadowolenia równie dobrze mogłam być zarówno dziewczyną, jak i molekułą. Jedno nie ulegało wątpliwości; niezależnie od tego, kim byłam, czułam błogość.

Przez długi czas po przebudzeniu wylegiwałam się jeszcze w wygodnym łóżku, chłonąc dotyk chłodnej pościeli na skórze. Domyślałam się, że ta błogość nie będzie trwać wiecznie i że muszę się nią nacieszyć, póki jest mi dana. Zapewne to właśnie ta myśl, że szczęście jest tymczasowe, zazwyczaj sprawia, iż czar pryska, a rzeczywistość upomina się o swoje prawa.

O dziwo jednak moja błogość nadal trwała.

Teoretycznie powinnam umierać z niepokoju, martwić się i bać. Władze Akademii Dębów zapewne zgłosiły już moje zaginięcie. Przedstawiciele Centrum pewnie podjęli poszukiwania. Poza tym powinnam zмагаć się z własnym kryzysem tożsamości. Zamiast tego wylegiwałam się w łóżku, a w głowie leżały mi się same pozytywne myśli. Rozmyślałam o Ashu, o Lark i o drzewie. O serdecznej społeczności drugich dzieci.

I o Lachlanie...

Kiedy próbowałam odepchnąć tę myśl, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołałam.

Lark uchyliła drzwi, w których nie było zamka, wbiegła do pokoju

i wskoczyła na moje łóżko. Miała rozczochrane włosy, twarz jej lśniła. Wyglądała po prostu prześlicznie.

– Nie mogłam się doczekać, aż wstaniesz. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam. Wyspałeś się?

– Nie obudziłaś – powiedziałam ze śmiechem. – Od... co najmniej pół roku nie spałam tak wyśmienicie. To znaczy odkąd byłam Yarrow. Co słyhać?

– Wszyscy schodzą się na śniadanie. Ale nie obowiązuje żadna sztywna formuła: wielki stół, nakładasz sobie na talerz to, na co masz ochotę. Na razie jesteś zwolniona z obowiązków, ale prędzej czy później przyjdzie twoja kolej na gotowanie, podawanie do stołu i zmywanie. Inna sprawa, że przysłużyłaś się wystarczająco Podziemiu przez to, że w ogóle przeżyłaś! I że wróciłaś! Każde ocalone przez nas drugie dziecko stanowi cios wymierzony w Centrum i jego politykę. Możliwe też, że przysłużysz się jeszcze bardziej nam i całemu Edenowi, ale to będzie uzależnione od tego, ile sobie przypominisz.

– To znaczy?

– Miałaś dostęp do Centrum, znasz jego zakamarki, w których nikt z nas nigdy nie był. Zapewne widziałaś i słyszałaś o różnych jego sekretach, ponieważ władze założyły, że i tak nie zdołasz ich sobie przypomnieć. Jeśli Flame odblokuje przechowywane w twoim umyśle wspomnienia Rowan, może zdoła uzyskać do tego wszystkiego dostęp. Dowiesz się wtedy, co ci tak naprawdę zrobili. A co ważniejsze, dowiesz się, *dłaczego* się tego dopuścili.

– W sumie to jeszcze się nad tym nie zastanawiałam – przyznałam. Bez reszty skupiłam się na tym, co mi się przydarzyło, natomiast pytanie *dłaczego* zeszło na dalszy plan. – Założyłam chyba, że to musiał być rodzaj kary wymierzonej mi jako drugiemu dziecku.

– W takim razie *dłaczego* cię nie zabili? – spytała Lark. Mogłam jej odpowiedzieć tylko wzruszeniem ramion. – Albo nie skazali na dożywotne więzienie? Gdyby zależało im, żebyś powiększyła populację Edenu, mogli przecież dyskretnie dodać cię do ogólnej puli mieszkańców, tak by nikt nie zauważył. Po co zawracali sobie głowę, posyłając cię do najbardziej elitarniej

szkoły w Edenie? Po co uczynili cię zamożną i popularną? Dlaczego stałaś się akurat córką szefowej działu wywiadowczego?

– No tak, musieli mieć jakiś powód – przyznałam w zamyśleniu. – Ale jaki?

– Jesteś wyjątkowa.

– Cieszę się, że tak uważasz – podziękowałam jej uśmiechem. – Ale dlaczego oni mieliby tak sądzić?

– Rowan, twoja wyjątkowość dla nikogo nie jest tajemnicą – powiedziała, muskając pieszczotliwie kosmyk moich włosów.

Przez głowę przeleciała mi gorzka myśl: to Rowan była wyjątkowa, a nie ja. Ja jestem tylko sztucznym tworem, wynikiem eksperymentu. Postanowiłam podzielić się z nią tą myślą.

– Powstałam w wyniku eksperymentu.

– Możliwe – przyznała Lark. – Wiemy, że zdarzają się zaginięcia drugich dzieci. Nie tych, nad którymi sprawujemy pieczę, ale innych, których nie zdążyliśmy na czas zidentyfikować. Taki los spotkał też garstkę drugich dzieci, które nie chciały się zgodzić na życie w izolacji od Edenu. Zdobyły implanty na czarnym rynku i próbowały niepostrzeżenie wmieszać się w tłum zwykłych obywateli. Przepadły bez śladu. Sądziłyśmy, że władze je zamordowały, ale niewykluczone, że zostały... zmodyfikowane, tak samo jak ty.

– Wspomniałaś, że władze manipulują myśleniem obywateli poprzez soczewki. Może wypróbują na mnie i innych drugich dzieciach, jak daleko mogą się posunąć. Modyfikacja pewnych doznań i wspomnień zapewne przyszlaby im bez trudu. W moim przypadku zapewne chcieli przekonać się, czy uda im się zmodyfikować całą osobę, zmienić mnie w kogoś, kto nie będzie stanowił zagrożenia dla Edenu.

– Całkiem możliwe, że o to właśnie chodzi – stwierdziła Lark. – Ja jednak podejrzewam, że jesteś wyjątkowa z jakiegoś jeszcze powodu, i dlatego Centrum jest tobą tak zainteresowane.

– Mam nadzieję, że przypomnę sobie o czymś ważnym.

– Na razie się tym nie przejmuj. I tak musimy poczekać na operację. Flame

zapowiedziała, że zjawi się dzisiaj w Podziemiu.

Ubrałam się i poszłyśmy na śniadanie. Na usta cisnęły mi się pytania o Lachlana, ale nie miałam śmiałości nikogo zagadnąć. Zauważyłam, że Lark reaguje nerwowo, ilekroć ktoś o nim wspomni. Dlatego obawiałam się poruszyć przy niej ten temat.

Poranek upłynął bardzo przyjemnie. Lark i Ash opowiadali mi o tym, jaka byłam przed operacją. Przycupnięci u stóp drzewa, pośród wystających nad ziemię korzeni przypominających skręcone tułowia wielkich węży, bawiliśmy się w zagadki. Ash chciał na przykład, żebym zgadła, jak wyglądał mój pokój. Przypuszczałam, że tak jak ten w Akademii Dębów wyposażony był w wielokolorowe światełka. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że przypominał wnętrze kryształowej jaskini. Ciekawe, czy urządzając go, słuchałam podszeptów podświadomości. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu okazało się, że moja sypialnia w rodzinnym domu była spartańska. Przypominała bardziej składzik albo nieużywany na co dzień pokój gościnny. Rodzice posłużyli się tym fortem, by ukryć fakt, że pod ich dachem mieszka nielegalne drugie dziecko.

– Pamiętasz mamę? – spytał Ash.

Przez głowę przeleciał mi obraz mojej fałszywej matki, szefowej wywiadu Elleny, jednak szybko go odepchnęłam i wyteżyłam pamięć. W umyśle przechowywałam skojarzenia podpowiadające, jaka powinna być dobra matka – serdeczna, kochająca i opiekuńcza – jednak w żaden sposób nie umiałam powiązać ich z Elleną. Domyśliłam się, że muszą w takim razie pochodzić od mojej prawdziwej mamy.

– Nie pamiętam jej twarzy – powiedziałam, a do oczu napłynęły mi łzy.

– To nic – odparł Ash. – Ona jest tutaj, nosisz ją w sobie. I kocha cię niezależnie od tego, czy pamiętasz ją czy nie. Nawet jeśli nie żyje. Takie właśnie są matki. Kochają cię zawsze, niezależnie od okoliczności.

Kiedy zbliżała się pora lunchu, Ash i Lark musieli zająć się kuchennymi obowiązkami. zaproponowałam, że im pomogę, jednak upierali się, że

powinnam odpoczywać.

– Zdrzemnij się. Wypocznij, zanim zjawi się Flame.

Zgodziłam się, próbując wymazać z myśli perspektywę czekającej mnie operacji. Operacja oczu – już na samą myśl zaczynałam się trząść ze strachu.

Ruszyłam do mojego pokoju. Kiedy byłam prawie u celu, dałam się porwać pewnemu impulsowi. Zaczepiłam przechodzącego obok mężczyznę po trzydziestce, również będącego drugim dzieckiem, i spytałam, w którym pokoju znajdzie Lachlana. Spojrzał na mnie porozumiewawczo, a ja natychmiast oblałam się rumieńcem. Kiedy udałam się we wskazanym kierunku, odprowadzał mnie jego dobrotliwy śmiech. Do głowy przyszła mi myśl, że może wiele dziewcząt szuka pokoju Lachlana. Szybko ją odepchnęłam. Rozmyślenia nad tym nie prowadziły do niczego dobrego.

Pokój Lachlana znajdował się na najwyższym piętrze. Kiedy wychodził z niego rankiem, mógł podziwiać najwyższe partie korony drzewa.

Miałam już zapukać do drzwi, ale coś mnie powstrzymało.

Co właściwie chciałam mu powiedzieć? Z Lark łączyła mnie już więź, a zaprzyjaźnienie się na nowo z Ashem było łatwe. Na myśl o spotkaniu z Lachlanem czułam jednak treść.

Ależ z ciebie kretyńka, strofowałam się w myśli. Lachlan jest twoim przyjacielem. Będzie zachwycony, że cię widzi. A ty natychmiast go polubisz, bo przecież lubiłaś go już wcześniej, gdy byłaś Rowan. To będzie naprawdę łatwe.

W końcu zmusiłam się, by zapukać do drzwi.

Zastukałam trzy razy, jednak nie doczekałam się żadnej reakcji.

Spróbowałam ponownie, czując niemal ulgę, że nie zastałam gospodarza. Może został wysłany z jakąś misją. Może nie będziemy się spotykać, dopóki go sobie nie przypomnę i nie zrozumiem, dlaczego na dźwięk jego imienia uginają się pode mną nogi.

Odwracałam się już, żeby odejść, gdy nagle jakaś niepowstrzymana siła kazała mi spróbować jeszcze raz. Oparłam ramię o drzwi i niby od niechcenia,

przypadkiem, pchnęłam je. Zatoczyłam się lekko do przodu, kiedy ustąpiły, i zerknęłam przez szparę do środka.

Wdychałam teraz chciwie powietrze wypełniające pokój, a z każdym oddechem czułam, jak pod wpływem jego zapachu budzi się we mnie głód. Byłam teraz niczym wygłodzona mała dziewczynka, która poczuła zapach jedzenia. W powietrzu unosiła się wszechobecna intensywna woń kamforowca, zmieszana z jakimś jeszcze innym, przyjemnym zapachem, który kojarzył mi się chłopięco i pikantnie. Działał na mnie podniecająco. Wsunęłam się głębiej do pokoju.

– Dzień dobry – zawołałam, licząc się z tym, że nie doczekam się żadnej odpowiedzi. Zdawałam sobie niejasno sprawę, że zupełnie bezceremonialnie wtykam nos w nie swoje sprawy. Kiedy włączyłam światło, moim oczom ukazało się istne muzeum.

Wszystkie ściany pokrywały dzieła sztuki – zarówno płótna zamalowane farbą w żywych kolorach, jak i skrawki papieru ze szkicami ołówkiem. Ukazane na nich sceny zupełnie mnie oczarowały. Przedstawiały zwierzęta uchwycone pośród obumierającej roślinności. Moją uwagę przykuł też minimalistyczny portret dziewczynki o imieniu Rainbow. Artysta zdołał kilkoma śmiałymi kreskami oddać żywy charakter swojej modelki.

Kiedy się odwróciłam, ujrzałam ścienny malunek pokrywający ścianę naprzeciwko łóżka.

Malowidło przedstawiało mnie.

Miałam na nim ciemne, długie włosy, opadające na odkryte ramiona. Ubrana byłam w białą zwiewną szatę, która przypominała nie tyle część garderoby, co raczej lekki kawałek tkaniny, który na chwilę zaczepił się o moje ciało przywiany podmuchem wiatru. We włosy wpięte miałam białe i różowe kwiaty, które pięknie kontrastowały z czernią moich loków. Artysta wkomponował moją postać w naturalne załamania kamiennej ściany. W efekcie wyglądałam, jakbym wynurzała się z kamienia, w którym byłam wcześniej zaklęta.

Przedstawiający mnie mural otaczały setki wizerunków mniejszych

i większych zwierząt. Tłoczyły się wokół mnie niczym wyznawcy czczący boginię. Wszystkie stworzenia ukazano w parach. Lew o bujnej grzywie trącał pyskiem bok złocistej lwicy. Jaskrawo upierzony paw rozpościerał swój pyszny ogon, jakby chciał chronić pawicę o lśniących brązowych piórach. Wszystkie zwierzęta spoglądały na mnie z nadzieją. Z tyłu umieszczono wizerunek drugiego człowieka, częściowo ginący w cieniu. Był to mężczyzna. Nachyliłam się bliżej, lecz nie mogłam dokładnie przyjrzeć się rysom jego twarzy. Jako jedyny nie kierował spojrzenia ku bogini. Stał z pochyloną głową.

Odsunęłam się o krok do tyłu i jeszcze raz przyjrzałam się centralnej postaci na malowidle. Teraz nie byłam już wcale taka pewna, że przedstawia mnie. Owszem, twarz przypominała moją – szeroko rozstawione oczy, mocna, wyraźnie zaznaczona szczęka, wystająca broda z dołeczkiem. W ukazanej kobiecie było też coś, co wyraźnie odróżniało ją ode mnie.

Jej oczy mieniły się całą paletą barw. Były to bez wątpienia oczy drugiego dziecka – ich niezwykle żywe kolory tworzyły skomplikowany wzór: różne odcienie zieleni, szarości i błękitu, natomiast wokół czarnych źrenic znajdowała się złocista aureola.

Czyżbym tak właśnie wyglądała, kiedy byłam Rowan? Te przedziwne oczy zupełnie zmieniały wygląd mojej twarzy; za ich sprawą ukazana na muralu kobieta zdawała się posiadać jakąś magiczną moc. Przez chwilę mimowolnie wodziłam palcem wzdłuż konturów własnej twarzy, gładząc się po skórze, jakby w poszukiwaniu potwierdzenia, że ta piękna kobieta z rysunku to rzeczywiście ja. Artysta, który ją namalował, obdarzony był niesamowitym talentem. Domyślałam się, że wszystkie malunki są dziełem Lachlana.

Nie mogłam pojąć, dlaczego postanowił umieścić tak wielki przedstawiający mnie obraz na ścianie swojego pokoju. Moja twarz musiała być pierwszą rzeczą, jaką widział zaraz po przebudzeniu, i ostatnią, na jaką patrzył przed zaśnięciem. Kobieta na ścianie przedstawiona była z wielką dbałością o najdrobniejsze szczegóły. Domyślałam się, że spędził całe godziny, wpatrując się w moją twarz, podczas gdy ja nie miałam nawet bladego pojęcia, jak on wygląda. Nie mogłam

zrozumieć, co się za tym kryje.

– Co ty tu robisz... Ach, to ty – Głos, który usłyszałam za plecami, z początku zabrzmiał agresywnie. Następnie wydał mi się zaskoczony, zaraz potem czuły, wreszcie zmieszany. A wszystko to dało się wyczytać z zaledwie paru słów. Odwróciłam się błyskawicznie i zobaczyłam młodego mężczyznę. Wydawał się starszy o kilka lat ode mnie. Miał półdługie, kasztanowe, nierówno przycięte włosy, odsłaniające przystojną twarz, którą szpeciła tylko blizna w kształcie półksiężyca, przecinająca lewy policzek. W cieniu jego piwne oczy wydawały się matowe, przez co mężczyzna mógł uchodzić za legalne pierwsze dziecko. Kiedy jednak na jego twarz padło światło, oczy zaśniły tysiącem odcieni złota i brązu.

– Lachlan? – spytałam szeptem.

Nie raczył mi odpowiedzieć, czym momentalnie mi podpadł. Wyciągnęłam do niego rękę w formalnym, nieco sztywnym geście powitania.

– Cześć, nazywam się Yarrow.

– Nieprawda, wcale się tak nie nazywasz.

– No tak... chodziło mi o to, że kiedyś... – wydukałam z siebie. Dotychczas wszyscy mieszkańcy Podziemia próbowali mi w tym pomóc. Rozumieli, że wprawdzie znali mnie jako Rowan, jednak na razie sama o sobie myślałam jako o Yarrow. Lachlan sprawił, że nagle poczułam, jakbym musiała tłumaczyć mu to, co powinno być zrozumiałe samo przez się.

Zaraz jednak zorientowałam się, że jemu też nie jest łatwo. Poczułam wówczas, jak w moje zdenerwowanie wkrada się jakieś inne uczucie – jakby cień sympatii.

Był dużym, silnym mężczyzną, a mimo to w tej chwili sprawiał wrażenie całkiem bezbronny. Podał mi co prawda rękę, jednak byłam pewna, że zrobił to zupełnie nieświadomie. Przyglądał się bacznie moim oczom, a po chwili przeniósł spojrzenie na malunek ścienny – na dziewczynę wyglądającą zupełnie jak ja, jednak różniącą się niezwykle żrenicami drugiego dziecka. A kiedy skierował spojrzenie z powrotem na mnie, odniosłam wrażenie, że wyziera

z niego rozczarowanie.

Urażona, cofnęłam szybko rękę. Wiedziałam, że powinnam być miła wobec tego chłopaka. Podobno był kiedyś moim przyjacielem, a zatem jestem mu winna grzeczność, lecz prawdę mówiąc, w tej chwili kompletnie nie rozumiałam, co mogło mnie pociągać w tym gburowatym chłopaku, który zachowywał się, jakby zabrakło mu nagle języka w gębie.

– Podziwiałam twoje obrazy – zagaiłam beztróskim tonem. – Są niesamowite. Podobno, kiedy byłam Rowan, również zajmowałam się sztuką, ale nic z tego nie pamiętam. W każdym razie wątpię, żebym dorównywała ci talentem. Weźmy choćby to malowidło, chyba nigdy w życiu nie widziałam nic lepszego – stwierdziłam, wskazując mural, a po chwili dodałam ostrzejszym tonem, niż chciałam: – Rowan musiała wiele dla ciebie znaczyć, skoro tak pięknie ją namalowałaś.

Chciałam w ten sposób chyba sprowokować go do jakiejś reakcji. Po chwili stało się jasne, że osiągnęłam swój cel.

– Nie... nie mogę – wydusił z siebie udręczonym głosem. – To dla mnie za dużo. Nie wiem, jak mam to zrobić.

Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem wyszedł z pokoju. Pomyślałam, że gdyby nie niezwykle opanowanie, wypadłby na korytarz biegiem.

– Lachlan! – zawołałam za nim, on jednak oddalał się już, nie zwracając na mnie żadnej uwagi.

Inni za to zainteresowali się nami. Po chwili zauważyłam, że po schodach wbiega Iris. Przytrzymała w garści zadarte spódnice i przeskakiwała po dwa stopnie na swoich przykrótkich silnych nogach.

– A więc wreszcie spotkałaś się z Lachlanem?

– No tak – odparłam zbita z tropu i lekko poirytowana. – I nie mam pojęcia, co widziała w nim Rowan. Dziwny z niego facet, a do tego niezbyt przyjazny.

– Opiekuję się dziećmi Podziemia, więc wiem, o czym mówię – westchnęła ciężko Iris. – Lachlan z wyglądu przypomina dorosłego mężczyznę, ale pod wieloma względami to nadal chłopiec. Ten sam zagniewany na cały świat

i przyjmujący postawę obronną chłopiec, jakim był, gdy trafił pod moją opiekę po tym, jak porzucili go rodzice. Lachlan kiepsko sobie radzi z okazywaniem uczuć.

– Ale skoro się przyjaźniliśmy, dlaczego on po prostu nie...

– Dla ciebie to mogła być tylko przyjaźń – weszła mi w słowo Iris. – W sumie nigdy nie rozmawiałaś ze mną o tym, co do niego czujesz. Ale w przypadku Lachlana jestem pewna, że jest w tobie zakochany. To znaczy w Rowan. Dla niego to istna tortura, że wróciłaś ty, a nie ona.

Kiedy próbowałam przetrwać to, co właśnie usłyszałam, poklepała mnie po ramieniu i dodała:

– Bądź dla niego delikatna. Lachlan bardzo źle znosił twoje zniknięcie. – Potrząsnęła głową w zamyśleniu i poprawiła się: – W sumie to całe życie miał ciężkie.

Następnie wydała z siebie dźwięk przywodzący na myśl ciche gdakanie, którym, jak już słyszałam, zwracała się do dzieci, po czym wyszła, a ja zostałam sama w pokoju tego tajemniczego chłopaka, który ponoć mnie kochał.

W sumie to logiczne. Po co malowałby sobie na ścianie mój obraz, gdyby tak nie było?

Ta myśl wzbudziła we mnie mieszane uczucia – równocześnie poczułam się zażenowana i szczęśliwa. Szczęście było czysto instynktowne, jakbym zaspokoila jakieś skrywane głęboko pragnienie. Zarazem jednak przepęniał mnie strach, że kocha mnie ktoś, kogo zupełnie nie znałam.

JAKAŚ CZĘŚĆ MNIE MARZYŁA, ŻEBY ZNALEŹĆ się z powrotem w Akademii Dębów. Życie, jakie tam wiodłam, mogło być fałszywe, jednak dla mnie przez długi czas było jak najbardziej rzeczywiste. Owszem, tam również musiałam od czasu do czasu borykać się z problemami, lecz przecież w porównaniu z tym, z czym mierzyłam się teraz, były one śmieszne. Zdążyłam już pokochać Podziemie i ludzi, których tu poznałam, jednak mimo wszystko łatwiej było być zamożną dziewczyną i studiować w Akademii Dębów.

Przez chwilę rozważałam powrót do mojego pokoju, jednak wiedziałam, jak to się skończy – będę leżała na łóżku i rozmyślała bez końca. Na szczęście akurat rozpoczęła się długa południowa przerwa w lekcjach dzieci. Gdy tylko maluchy mnie zauważyły, zostałam otoczona przez rozkrzyczane dzieciaki, które lgnęły mi do nóg i głaskały mnie po rękach. W pewnym momencie jakiś silny chłopiec, mający około dziesięciu lat, zmusił mnie, żebym schyliła głowę, i przyjrzał się badawczo moim oczom.

– Strasznie dziwne – oświadczył, jednak bez złośliwości.

– Widziałeś już kiedyś oczy z implantami? – spytałam, gdy pozwolił mi się wyprostować.

Chłopiec pokręcił głową.

– Byłem malutki, jak tu trafiłem. Od tamtego czasu nie byłem u góry.

– Tak – wtrąciła się Rainbow, ściskając tkaninę moich luźnych spodni w swojej pulchnej dłoni, jakby brała mnie w posiadanie. – Na górze roi się od potworów. – Zamyśliła się głęboko, po czym spytała, strzelając na wszystkie strony oczami: – Ojej... a ty widziałaś jakieś potwory?

Utkwiła we mnie pełne nadziei spojrzenie. Dzieci wokół niej zaczęły

podskakiwać i skandować:

– Potwory! Potwory!

Byłam im wdzięczna, że pozwalają mi zapomnieć o moich zmartwieniach. Zostałam porwana przez nurt małych ciałek i zanesiona pod samo drzewo. Kiedy znaleźliśmy się u jego stóp, dzieci zmusiły mnie, żebym usiadła, i zaczęły się domagać historii z powierzchni Ziemi.

– Dorośli prawie nic nam nie opowiadają – narzekała Rainbow. – Opowiedz coś fajnego!

– Nie tylko będzie fajne, ale też prawdziwe – obiecałam.

Wymyśliłam na poczekaniu potwora idealnego dla tych maluchów. Wpatrzyły się we mnie swymi przepięknymi oczami drugich dzieci, a ja opowiedziałam im historię o Pearl.

Trochę ją podkolorowałam, przyznaję. No dobrze, bardziej niż trochę. Dzieciaki były zachwycone.

– Najbardziej niebezpieczne potwory to takie, które są piękne – wyjaśniłam dzieciom cichym głosem. – Dlatego, że trudno je przejrzeć i nie wiadomo, czy tak naprawdę są potworami. Są takie urocze, że chce się przebywać w ich towarzystwie. Być takie jak one. I właśnie wtedy człowiek wpada w ich sidła. A kiedy nie umie się z nich wyrwać, potwory go pożerają.

– Ale można przecież stawić im czoło! – zawołała Rainbow. Odpowiedziały jej wyrażające poparcie okrzyki innych dzieci. Zaczynałam naprawdę lubić tę gromadkę.

– To prawda – przyznałam. – Zawsze należy stawić czoło potworowi. Dawno, dawno temu pewien potwór o imieniu Pearl ujrzał młodą dziewczynę, która dorównywała mu urodą. Miała liliowe... to znaczy różowe włosy.

Dzieci były tak pochłonięte opowieścią, że nie zwróciły uwagi na moje przejęzyczenie.

– Ta różowowłosa dziewczyna w przeciwieństwie do potwora była miła, dobra i odważna. Nic zatem dziwnego, że potwór Pearl chciał ją pożreć. Pewnej nocy napełnił swoje kły trucizną, naostrzył pazury, po czym...

Napełniałam ich małe główki najbardziej nieprawdopodobnymi historiami o życiu na powierzchni Ziemi. Zaludniały je boty ochrony, które śledziły i mordowały nieuważne drugie dzieci. Wspomniałam też o plotkach, jakoby członkowie gangów zielonych koszul porywali obywateli i uprowadzali ich do Centrum, gdzie są potem poddawani niewyobrażalnym torturom.

Nic z tego nie było do końca prawdą, jednak wystarczyło, by pobudzić dziecięcą fantazję. Opowieści tego typu spełniały ważną funkcję – budziły w dzieciach strach, który powinien sprawić, że nie będą chciały opuszczać swojej podziemnej kryjówki.

Dzieci domagały się następnej historii, gdy nagle zauważyłam poruszenie na górnym piętrze. Stał tam Lachlan w towarzystwie jakiejś drobnej kobiety o jaskraworudych włosach. Ludzie z dołu machali do niej. Po chwili Ash, stojący na innym balkonie, zawołał do mnie:

– Rowan, to Flame! Nareszcie się zjawiała!

Nie mogłam już dłużej uciekać od prawdziwych zmartwień i kryć się za strasznymi historyjkami dla dzieci. Nadeszła pora, gdy musiałam zmierzyć się z rzeczywistością – dziwnymi chłopakami, utratą pamięci, operacją, tego typu sprawami.

Wstałam z żalem, a dzieci zaczęły mnie przytulać na pożegnanie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Rainbow, dając mi mokrego, lepkiego buziaka w policzek. – Lach nie pozwoli, by stało ci się coś złego.

Kiedy wspinałam się po schodach, po których jeszcze niedawno tak lekko zbiegałam, miałam wrażenie, że nogi mam z ołowiu. Chciałam poznać prawdę, lecz równocześnie wiedziałam, że mnie ona zaboli.

Czy podjęłam właściwą decyzję? Cofnęłam się myślami do mojego życia w Akademii Dębów. Oczywiście nie było usłane różami, tym niemniej było moje. Znałam już wystarczająco dobrze Eden, by wiedzieć, że wiodłam znacznie przyjemniejszą egzystencję niż większość obywateli. Wciąż jeszcze miałam szansę powrócić do tamtego świata. Przecież wszyscy żyjemy w iluzji, czyż nie?

Dotychczas byłam mniej lub bardziej szczęśliwa. Czy poznanie prawdy sprawi, że moje życie stanie się bardziej satysfakcjonujące? A może jest ona przereklamowana?

Zaraz uderzyła mnie inna myśl – a może osobiste szczęście wcale nie jest najważniejsze?

Kiedy pokonałam schody, nadal toczyłam wewnętrzną walkę. Na piętrze zebrał się już spory tłumek. Do Lachlana i cyberchirurg Flame dołączyli Ash, Lark i Iris. Oprócz nich było tam też kilka osób, których jeszcze nie znałam. Zwróciłam uwagę na starszego mężczyznę. Sprawiał wrażenie zdecydowanego i poważnego. Miał czarne włosy przyprószone siwizną i lekko przekrzywiony nos, który musiał być kiedyś złamany. Skinął mi na powitanie głową, po czym zerknął ukradkiem na Lachlana.

– Nazywam się Flint, jestem przywódcą Podziemia – oświadczył, zbliżając się do mnie. Jego zwalista postać zasłoniła mi na chwilę wszystkich pozostałych. – Wybacz, siostrze, że nie mogłem wczoraj wziąć udziału w oficjalnej ceremonii powitalnej. – Słowo „siostrze” sprawiło mi niewysłowioną przyjemność. – Musisz zrozumieć, że nastały ciężkie czasy. To dla nas czas próby. – Spojrzał na postawną kobietę, której odkryte ramiona pokryte były węzowymi tatuażami. – Jesteś pewna, że nikt jej nie śledził? Na wszelki wypadek podwójcie liczebność strażników. Szczególnie teraz nie wolno nam niepotrzebnie ryzykować.

Następnie zwrócił się znów do mnie. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Rowan, wracasz do nas w najlepszym momencie. Pod twoją nieobecność gromadziliśmy informacje wywiadowcze, tworzyliśmy sojusze. Opracowaliśmy plany, które, jeśli uda nam się wprowadzić je w życie, odmienią los drugich dzieci.

– Przed nami wciąż ostatnie głosowanie – warknął Lachlan stojący za plecami mężczyzny.

Flint zerknął tylko przelotnie przez ramię w jego kierunku, jakby miał do czynienia z naprzykrzającym się dzieciakiem.

– Włożyliśmy w przygotowanie tego planu tak wiele pracy, że wynik głosowania jest sprawą przesądzoną – mruknął.

– Twój plan naraża na niebezpieczeństwo całe Podziemie!

– Wiemy, jakie jest ryzyko! – wtrąciła się wytatuowana kobieta. – Jeśli zwyciężymy, wszystko się dla nas zmieni. A jeśli przegramy... cóż, przynajmniej będziemy mogli powiedzieć, że nie poddaliśmy się bez walki.

– A co z dziećmi? – nie ustępował Lachlan. – One też mają nie poddać się bez walki?

Kobieta spiorunowała go spojrzeniem. Z pomocą przyszedł jej Flint:

– Dość tego! Nad tym będziemy się zastanawiać później. Na razie rzeczą pierwszorzędnej wagi jest, by Flame udało się odzyskać wspomnienia Rowan.

– A potem wykorzystasz je do własnych celów – mruknął pod nosem Lachlan.

– Wykorzystamy jej wspomnienia, by ocalić drugie dzieci – rzucił Flint. – Rowan osiągnęła już więcej niż ty. Te twoje plany długofalowej zmiany społecznej na nic się nie zdały. Ona natomiast zdołała zinfiltrować Akademię Dębów i Centrum.

– Została umieszczona tam przez rząd. Nie mamy pojęcia, w jakim właściwie celu – przypomniał Lachlan. – Powinniśmy zwolnić tempo.

– Zwolnić tempo – parsknęła kobieta z tatuażami. – Gdyby to od ciebie zależało, gnuśnielibyśmy tu jeszcze przez następne dwadzieścia pokoleń.

– Jeśli dzięki temu sprawimy, że kolejne pokolenia drugich dzieci nie będą mordowane, poddawane torturom i eksperymentom, to czemu nie?

W tym momencie do rozmowy włączyła się rudowłosa pani chirurg.

– Nie mam zbyt wiele czasu – oznajmiła ostrym tonem. – A za każdym razem, gdy zjawiam się tutaj, narażam się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Może byśmy tak zajęli się tym, co mamy do zrobienia? – Jej zdecydowany głos uciął ich sprzeczkę jak nóż. – Poza tym swoimi kłótniami denerwujecie tylko moją pacjentkę. Proszę mi wierzyć, kiedy układ nerwowy pacjenta jest podrażniony, operacje neurologiczne znacznie częściej kończą się niepowodzeniem. Uspokójcie się wszyscy, do jasnej cholery, i pozwólcie mi zająć się pracą.

– Ja zostaję – oświadczyła Lark. Tak samo zachował się Ash. Lachlan co prawda milczał, jednak było jasne, że również nigdzie się nie wybiera.

Flint skłonił się przed Flame z szacunkiem, po czym się oddalił. Za nim ruszyła też kobieta z tatuażami.

– Powiadomcie mnie, gdy operacja dobiegnie końca – polecił na odchodnym.
– Niezależnie od tego, czy pacjentka przeżyje, czy też nie.

– Co takiego? – spytałam z przerażeniem. – Sądziłam, że operacja może się nie powieść. Ale nikt nie uprzedził mnie, że mogę umrzeć.

Flame spojrzała mi głęboko w oczy. Nie wiedziałam, czy próbuje coś z nich wyczytać, czy może po prostu podziwia dzieło własnych rąk.

– Jestem najwybitniejszym cyberchirurgiem – oświadczyła. Nie zabrzmiało to tak, jakby się chełpiła, a jedynie stwierdzała absolutnie oczywisty fakt. – Jeśli umrzesz, to na pewno nie z mojej winy.

Mrugnęła do mnie wesoło. W tej samej chwili poczułam, jak Ash mnie przytula.

– Pamiętaj, siostró, że ewentualnie to będzie twoja wina. Zresztą zawsze powtarzałam mamie, że wszystko to twoja wina.

Przekomarzał się ze mną. Wolałam słuchać jego żartów niż pyskówki między Flintem a Lachlanem, z której i tak niczego nie rozumiałam.

– Nazywam się Flame, jeśli jeszcze się nie domyśliłaś – powiedziała pani chirurg, po czym zbliżyła rękę do swoich płomiennych włosów. – To nie jest mój naturalny kolor. Ale też wcale ich nie farbowałam. Kilka lat temu zmodyfikowałam lekko ekspresję fenotypową moich genów, tak by kolor włosów pasował do mojego imienia. No i mojej osobowości. Tak, tak, jestem naprawdę niezła w te klocki.

Kiedy przeszliśmy do sali operacyjnej, ogarnęło mnie uczucie paniki. Miałam wrażenie, jakby moja przepona się zacisnęła, nie pozwalając mi zaczerpnąć tchu. Kątem oka zauważyłam, jak Lachlan sztywnieje, po czym rusza za nami. W tym samym momencie mój kryzys minął i Lachlan cofnął się pod ścianę. Stanął za pozostałymi, którzy niczym mur oddzielali nas od siebie. Było jasne, że nie

miał zamiaru wchodzić ze mną w żadne interakcje, ale zarazem nie chciał odejść.

Flame zachęciła mnie gestem, żebym usiadła na stole do badań. Po chwili zbliżyła do moich oczu czytnik.

– Wielka Ziemi! Ależ piękna robota. Czasami sama siebie wprawiam w zdumienie. Jesteś pewna, że chcesz usunąć te piękności?

– Tak – odparłam z udawanym przekonaniem. Musiałam przypominać sobie, że nie robię tego dla siebie. Gdyby chodziło wyłącznie o moją osobę, pewnie przerosłaby mnie perspektywa komplikacji i uznałabym, że chcę wrócić do dotychczasowego życia. Rozumiałam jednak, że stawka jest znacznie wyższa: jeśli zdołam odzyskać wspomnienia, mogę pomóc wszystkim mieszkańcom Podziemia. Przywołałam w pamięci pełne nadziei oczka Rainbow i próbowałam być silna. – Ale... z tym ryzykiem śmierci tylko się wygłupialiście, prawda?

– Generalnie tak – westchnęła Flame. – Choć za każdym razem, gdy ktoś jest usypiany, istnieje ryzyko, że nie uda się go wybudzić. A kiedy grzebie się w czyimś mózgu, zawsze trzeba się liczyć z ryzykiem, że po operacji nie będzie tym samym człowiekiem, co wcześniej.

– Ale przecież tym razem taki właśnie jest cel operacji – stwierdziłam. Próbowałam się zaśmiać, jednak z raczej mizernym skutkiem.

– Słuchaj, jestem najlepszym specjalistą w swoim fachu – rzekła Flame. – Ale nawet ja nie mogę ci zagwarantować w stu procentach, że wszystko przebiegnie bez komplikacji. Soczewki po pewnym czasie od wszczepu łączą się z mózgiem i usunięcie ich staje się znacznie trudniejsze. Ty jesteś szczególnym przypadkiem, bo zapewne ludzie z Centrum dodali też coś ekstra. Dopiero gdy otworzę ci oczy, będę wiedziała, co ci zrobili. Niewykluczone, że zostały zaminowane mikroładunkami wybuchowymi.

– Co takiego?

– Spokojnie, żartuję. To znaczy mam nadzieję, że to tylko żarty. W każdym razie dam z siebie wszystko. Jak już wielokrotnie zwracałam uwagę, w moim

przypadku wyrażenie „dam z siebie wszystko” to zapowiedź zachwycających rezultatów. Ale stuprocentowej gwarancji dać nie mogę.

– Nie musisz się poddawać operacji – przypomniał Ash.

– No właśnie – wtrąciła się Lark. – Możemy opowiedzieć ci o Rowan. Nawet jeśli nie przypomnisz jej sobie, możemy spróbować ją odtworzyć i...

– Nie – weszłam jej w słowo. Byłam wdzięczna, że głos mi się nie załamał. – Dopuścili się wobec mnie strasznej rzeczy. Okradli mnie z mojej osobowości. – Uderzyłam się pięścią w pierś. – Chcę odzyskać siebie. – Zerknęłam na Lachlana, który odruchowo próbował uciec spojrzeniem w bok. Po chwili zmusił się jednak, by spojrzeć mi prosto w oczy. – I chcę ukarać ludzi, którzy mi to zrobili. Ludzi, którzy twierdzą, że drugie dzieci nie zasługują, by żyć, by cieszyć się wolnością i...

Nie dokończyłam, by łzy napłynęły mi do oczu i głos odmówił posłuszeństwa.

– Wzruszająca przemowa – mruknęła Flame. – Ale nie mamy całego dnia. Muszę cię przygotować do operacji. Wszyscy sio!

Kiedy wyganiała ich za drzwi, Lachlan się odezwał:

– Czy mogę zostać na chwilę sam na sam z Rowan?

Flame przewróciła oczami, przy okazji wyginając całe ciało, co miało świadczyć o jej skrajnym zniecierpliwieniu.

– Słyszałeś chyba, że odrobinę nam się spieszy?

– Tylko minutka, obiecuję – nalegał Lachlan.

Coś w jego głosie musiało zmiękczyć jej serce, bo po chwili wyszła razem z innymi. Zostaliśmy sami.

Spodziewałam się, że teraz zapadnie długie krępujące milczenie. Obmyślałam szybko jakiś niezobowiązujący temat rozmowy. Może pogadamy o pogodzie? Lachlan wypalił jednak bez ogródek:

– Przepraszam za to, jak się zachowywałem. To naprawdę dla mnie bardzo trudne. – Uśmiechnął się sardonicznie. Widok tego uśmiechu sprawił, że nagle zapragnęłam widzieć go szczęśliwego, beztroskiego i uśmiechniętego, jednak z bardziej naturalnych powodów. – Co ja gadam? Bardzo trudne dla mnie?

Przecież to ty przez ostatnie pół roku przechodziłaś przez piekło!

– No tak, ale zupełnie o tym nie wiedziałam – stwierdziłam. – Dopiero kilka dni temu się to zmieniło. W sumie ten czas pewnie był dla ciebie trudniejszy, bo musiałeś się o mnie martwić. To znaczy... jeśli... Iris mówiła, że ty... – zaczęłam się plątać. Przygryzłam wargę. Nie umiałam się zmusić, by wypowiedzieć to na głos. – Lachlan, słuchaj, jaka właściwie relacja nas łączy?

– W tej chwili jesteśmy dla siebie nowymi znajomymi.

– Wiesz, o co mi chodzi. Pytałam o to, kim byliśmy dla siebie wcześniej?

– To i tak nie ma znaczenia, jeśli tego nie pamiętasz. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym zmuszał cię do uczuć. Musisz dotrzeć do nich sama z siebie, w przeciwnym razie nie będą prawdziwe.

Dostrzegałam w nim tłumione emocje. Chciałam sprowokować go, by się otworzył i opowiedział mi dokładnie, co czuje i czego pragnie. Wyczuwałam ogromną tęsknotę kryjącą się pod powierzchnią jego słów. Pomyślałam wtedy: *Nawet jeśli go sobie nie przypomnę, zakochanie się na nowo w tym chłopaku wcale nie byłoby zbyt trudne.*

– Chyba mi się przyśniłeś – wyznałam. – To znaczy nie pamiętam dokładnie, bo byłam pod wpływem syntetycznej meskaliny, którą podano mi wbrew mojej woli. Mam niejasne wrażenie, że widziałam cię już na tamtym szalonym balu.

– Owszem, byłem tam tamtej nocy. Zresztą towarzyszyłem ci również podczas innych nocnych eskapad. Robiłem, co mogłem, żeby mieć cię na oku. Nawiasem mówiąc, niezła z ciebie ryzykantka. Ale to akurat nic nowego.

Lubiłam myśleć o sobie jako dziewczynie odważnej. Świetnie się składało, że Lachlan uważał Rowan za mężną.

– Śledziłeś mnie! – stwierdziłam oskarżycielskim tonem, żeby nieco rozładować atmosferę.

Lachlan podszedł do mnie tak blisko, że czułam ciepło bijące od jego ciała. Z drugiej strony całkiem możliwe, że to mnie zrobiło się nagle za gorąco. To chyba niemożliwe, żebym już zdążyła się zakochać w tym chłopaku. Jeśli tak

faktycznie było, to najlepszy dowód, że wcześniej łączyło nas coś poważnego...

Nie odrywając stóp od ziemi, nachyliłam się do niego niczym kwiat szukający słońca.

W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Odruchowo odchyliłam się szybko do tyłu, równocześnie splatając dłonie niczym przestraszona pensjonariuszka. Myśl, że przed chwilą niemal dotykałam Lachlana, wydawała mi się teraz niedorzeczna.

Po chwili do sali weszła Lark.

– Ja też dostałam pozwolenie, by spędzić z nią minutę na osobności. – Powiedziała to takim tonem, jakby się usprawiedliwiała. Odniosłam wrażenie, że Lachlan bije się z myślami. Może zastanawiał się, czy wyrzucić ją za drzwi, czy może wyjść samemu. Wyczuwałam między nimi dziwne napięcie. Nie mogłam zrozumieć, co się za tym kryje. Nie mogłam już dłużej czekać, musiałam zaspokoić ciekawość.

– Czy przypadkiem nie byliście kiedyś parą? – spytałam.

Spojrzeni po sobie wyraźnie rozbawieni. Była to pierwsza oznaka, że się kolegują.

– Cóż, nie – odparł wreszcie Lachlan.

– Nie jest w moim typie – stwierdziła Lark ze śmiechem.

– No to o co chodzi? Wyczuwam między wami jakieś dziwne wibracje. Czy może... – Ugryzłam się w język. Przecież Iris twierdziła, że Lachlan jest zakochany we mnie. Tymczasem Lark mnie pocałowała. – Czy ja... byłam związana z wami obojgiem?

Momentalnie poczułam, jak oblewam się rumieńcem. Czułam się zażenowana, choć równocześnie lekko podekscytowana.

– Tak – przyznała lakonicznie Lark.

W tym samym momencie Lachlan rzucił:

– Nie.

Przyglądałam się z niedowierzaniem to jemu, to jej.

– Tak naprawdę to nie byłaś nigdy na poważnie „związana” z żadnym z nas –

wyjaśniła Lark.

– Nigdy nie było na to czasu – dopowiedział Lachlan. – Były ważniejsze sprawy, którymi musiałaś się zająć.

– Przepraszam – szepnęłam.

Chciałam powiedzieć im, że nie chcę już nigdy więcej sprawiać im przykrości i że rodzą się we mnie nieśmiałe uczucia wobec nich dwojga. Wiedziałam jednak, że z chwilą gdy odzyskam moje wspomnienia, znowu wszystko może ulec zmianie. A wtedy to, co czuję teraz, przestanie się liczyć. Dlatego wolałam nic nie mówić.

– Do zobaczenia wkrótce, niezależnie od tego, kim się obudzisz – powiedział Lachlan.

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, podszedł szybko i pocałował mnie w czoło. Pocałunek był niezwykle delikatny, właściwie poczułam tylko muśnięcie jego warg na skórze. A chwilę potem już go nie było.

Lark usiadła na skraju stołu tuż obok mnie.

– Ależ to był dziwny moment – powiedziała ze śmiechem, odgarniając sobie kosmyk liliowych włosów za ucho.

Ujęłam jej dłonie i zamknęłam je w swoich, a wtedy Lark nachyliła się do mnie i spojrzała mi z nadzieją w oczy.

– Lark, muszę ci o czymś powiedzieć – stwierdziłam.

Widziałam, że oddech jej przyspieszył. I wtedy uświadomiłam sobie, że spodziewa się po mnie romantycznego wyznania. Sądzi, że powiem, że ją kocham. A przecież tak nie jest. Nie kochałam, na razie, ani jej, ani Lachlana. Ze zdenerwowania zaczęłam mówić szybko:

– Chciałabym ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. W Akademii Dębów, odkąd cię poznałam, zachowywałam się wobec ciebie podle.

– Przecież to nie byłaś prawdziwa ty – przypomniała Lark.

– Ależ byłam! Innej siebie jeszcze wtedy nie znałam. Nie byłam wtedy dobrym człowiekiem, jednak ty nie rezygnowałaś i zdołałaś odkryć moją lepszą część. Ryzykowałaś dla mnie swoje życie. Nie tylko teraz, ale też w mojej

przeszłości, gdy byłam Rowan. Jestem ci za to dozgonnie wdzięczna.

Domyślałam się, że Lark oczekuje ode mnie czegoś więcej niż wdzięczności. Jednak nie mogłam jej teraz tego dać. Musiałam poczekać, aż znów będę całością. Byłam pewna, że dopiero wtedy zyskam pełny wgląd w to, co naprawdę czuję.

– Och, Rowan, z chęcią zrobiłabym to dla ciebie jeszcze raz – powiedziała Lark.

I pocałowała mnie. To nie był już niewinny pocałunek w czoło, którym pożegnał mnie Lachlan. Rozchyliłam usta i poczułam, jak stykają się nasze języki.

Zaraz potem Lark odsunęła się gwałtownie i ruszyła do drzwi. Była już w połowie drogi, gdy odwróciła się i uśmiechnęła przez łyzy.

– Do zobaczenia wkrótce. Nie mogę się już doczekać, aż poznasz Rowan!

14

– **POŁÓŻ SIĘ WYGODNIE I SPRÓBUJ SIĘ USPOKOIĆ.** Jasne, wiem. Łatwo mi mówić. Mnie nikt nie będzie wydłubywał oczu. Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, wiedz, że nic z tego nie poczujesz. – W tym momencie Flame zawiesiła głos i odchrząknęła. Spoglądając w bok, dodała nieco ciszej: – W każdym razie nie podczas samej operacji.

– A potem?

– Słuchaj, zbyt wiele tu niewiadomych. Wszystko może się zdarzyć.

– Łącznie z mikrowybuchami? – spytałam żartem.

– Pamiętaj, że mówimy tu o Centrum. Ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Teoretycznie to powinna być prosta operacja. I gdybym mogła przeprowadzić ją kilka miesięcy temu, zapewne taka by właśnie była. Teraz jednak soczewki już niemal w pełni połączyły się z twoim systemem nerwowym. Usunięcie ich może być nieco problematyczne.

– Ale uważasz, że ci się uda?

Flame pokiwała zdecydowanie głową.

– Gdybym nie miałam takiego przekonania, nie byłoby mnie tutaj – stwierdziła. – A teraz się odpręż. Do zobaczenia niedługo.

Wzięła strzykawkę ze stolika. Kiedy zbliżyła się do mnie, instynktownie zwinęłam się w kłębek.

– Nie! Nie mogę!

Nagle powróciły do mnie przerażające wspomnienia. Może były to wizje, a może sceny z prawdziwego życia, nie wiedziałam. Ujrzałam kobietę, którą nazywałam matką. Razem z innymi ludźmi ubranymi w zielone szpitalne kitle przytrzymała mnie na stole operacyjnym i wkłuwała mi igły w żyły.

Wstrzykiwany płyn palił mnie od środka niczym ogień...

Flame odłożyła strzykawkę.

– Jeśli nie chcesz, nie zrobię tego. Wiesz już, jakie jest ryzyko. Potrzebuję twojej zgody na operację – tłumaczyła. Nadal leżałam zwinięta w kłębek, próbując uspokoić oddech. Flame obejrzała się przez ramię, po czym szeptem spytała: – Zmuszają cię, żebyś poddała się operacji wbrew swojej woli? Jeśli ten drań Flint...

– Ależ nie – weszłam jej w słowo. – Chcę to zrobić. Muszę, dla siebie i wszystkich drugich dzieci. Przepraszam, proszę kontynuować. Postaram się być odważniejsza.

Po zastrzyku było znacznie łatwiej. Przez chwilę czułam wielki spokój i lekkie zawroty głowy. Następnie miałam wrażenie, że unoszę się pod sufit. A zaraz potem... wszystko znikło.

Byłam malutka i siedziałam na kolanach jakiejś kobiety. Miała najpiękniejszą twarz, jaką tylko mogłam sobie wyobrazić. Emanowała z niej niewysłowiona łagodność. Odgarniając włosy wpadające mi do oczu, powiedziała:

– Jeśli przestaniesz płakać, opowiem ci bajkę. Dawno, dawno temu żyła sobie dziewczynka o kalejdoskopowo barwnych oczach. Jednak została uwięziona w zamczysku.

– Przez złą macochę? – domyśliłam się.

– Nie. Zła macocha pojawi się później. Dziewczynkę więziła jej kochająca matka, która w ten sposób chciała dopilnować, by nic nie groziło córce.

Rozsiadłam się wygodniej na jej kolanach i przysłuchiwałam się opowieści, która na przemian stawała się to radosna, to znów smutna. Była to historia, w której długie oczekiwanie przeplatało się z gwałtownym, impulsywnym działaniem. Opowieść o przygodzie, miłości i cierpieniu.

Dziewczynka, spędzająca całe życie za wysokimi kamiennymi murami, wszystkie informacje na temat świata zewnętrznego czerpała od swojego brata. W zamczysku wprawdzie była bezpieczna, jednak doskwierała jej samotność

i nuda. Jej kochająca matka wpadła wreszcie na pomysł, jak zapewnić córce wolność. Wiązało się to jednak z koniecznością porzucenia rodziny. Kiedy dziewczynka się o tym dowiedziała, zła i przestraszona wspięła się na mur zamczyska i uciekła. Na wolności poznała księżniczkę o liliowych włosach. Miała poczucie, jakby znała ją od zawsze. I w pewnym sensie była to prawda, ponieważ księżniczka była najlepszą przyjaciółką brata dziewczynki, która słyszała mnóstwo opowieści na jej temat.

Przez pewien czas dziewczynka wiodła cudowne życie ze swoją nową przyjaciółką. Sielanka nie trwała jednak długo, gdyż pojawiły się potwory w zielonych koszulach. Dziewczynka i jej matka zmuszone były uciekać. Ucieczkę matka przypłaciła życiem. Zanim skoła, wyznała córce dwie straszne tajemnice. Dziewczynka dowiedziała się, że jej ojciec próbował ją zabić, gdy była jeszcze w łonie matki, oraz że to ona jest pierwotnym dzieckiem. Wynikało z tego, że to brat dziewczynki, a nie ona, powinien był kryć się za murami zamczyska.

Dziewczynka uciekała przez dziwne mechaniczne miasto. Było to miejsce, w którym nie rosły żadne rośliny. Nie było tam też zwierząt ani nawet owadów. Tułała się po mieście, dopóki nie odnalazł jej księżę w przebraniu żebraka. Księżę zakochał się w dziewczynce i zabrał ją do zaczarowanego miasta. Kryło się ono pod powierzchnią Ziemi, rosły tam drzewa. Dziewczynka odnalazła w nim ludzi, którzy zastąpili jej utraconą rodzinę. Kiedy wreszcie poczuła się szczęśliwa, okazało się, że jej brat został porwany przez złego olbrzyma. Księżę zaproponował jej wtedy pewien układ – jeśli dziewczynka wyrzeknie się swoich kalejdoskopowo barwnych oczu, pomoże jej ocalić brata.

– I tak właśnie zrobili – opowiadała mama, kołyszając mnie do snu. – Dziewczynka o kalejdoskopowo barwnych oczach, liliowowłosa księżniczka oraz księżę-żebrak uratowali jej brata. Ceną za jego ocalenie była jednak wolność dziewczynki. Na krótką chwilę zdołała wymknąć się z mechanicznego miasta i zasmakować raj, jednak ostatecznie padła łupem potworów, które schwytały ją i poddały torturom, po których nie była już tą samą dziewczynką. Mimo tortur

nie zdradziła, że wie o istnieniu raju ukrytego pod pozbawionym życia miastem.

– Mamo, a co potem stało się z dziewczynką? – spytałam. Wiedziałam, że to pytanie ma wielką wagę. Zadałam je jednak spokojnym głosem, ponieważ pod spojrzeniem mamy czułam się zupełnie bezpieczna.

– Z dziewczynką? No jak to? Obudziła się.

Z bardzo daleka dobiegł mnie inny głos:

– Powinna już się wybudzić. Zaczekaj, dam jej coś, co przywróci jej świadomość.

Poczułam łaskotanie w ramieniu, a zaraz potem wydało mi się, jakbym była siłą wyrywana z pełnych miłości objęć mojej mamy. Próbowałam się jej kurczowo trzymać, ale bezskutecznie. Mama znikła.

Znalazłam się na łące. Słońce grzało mi plecy, a łagodny wietrzyk mierzwił włosy. Wszędzie wokół roiło się od maleńkiego życia – rozlegało się brzęczenie, terkotanie, bzyczenie i trele tysięcy maleńkich stworzeń, które pełzały i latały po kwietnej łące. Nieco dalej widziałam ścianę lasu, który właśnie zaczynał przybierać jesienne barwy. Liście zachowały jeszcze zielen, jednak gdzieś widać już było muśnięcia szkarłatu i olśniewającej złocistości.

Po chwili z lasu wynurzył się jelen. Stawiał dumne kroki i węszył. Zastygłam w bezruchu, nie chcąc go spłoszyć. Zwierzę zdążyło jednak mnie zauważyć i teraz przemierzało powoli łąkę, stawiając ostrożnie swoje delikatne kopyta i płosząc ukryte w trawie śpiewające ptaki. Jeleń przystanął tuż przede mną i nie przestając węszyć, wyciągnął do mnie swój wspaniały łeb, tak że niemal trącił mnie nosem. Kiedy wyciągnęłam do niego rękę, zwierzę nagle przemówiło ludzkim głosem:

– Widzę cię, Rowan.

Znowu usłyszałam ten inny głos:

– Nadal nie reaguje. Zwiększ dawkę.

Wtem przeszył mnie straszliwy ból, a wraz z nim oślepiające światło,

i zostałam podstępnie wyrwana z tego pięknego, spokojnego miejsca i wrzucona z powrotem do świata, w którym panowało wieczne cierpienie. Miałam wrażenie, jakby w moją czaszkę ktoś wrażał sztylety i wciskał mi kciuki do oczu. Wrzasnęłam, a przeszywający dźwięk mojego krzyku wzmógł jeszcze ból oczu.

Fizyczne cierpienie wcale jednak nie było najgorsze, ponieważ teraz przypominałam już sobie.

Wszystko.

A w zasadzie nie tyle przypominałam sobie, co wszystkie wydarzenia, jakich doświadczyłam w życiu, poczęły atakować moją świadomość w tej samej chwili. Każde z nich działo się właśnie teraz. Czułam się przygnieciona przez kolejne warstwy wspomnień. Widziałam, jak moja mama ginie od kuli. Jak po raz pierwszy ujrzałam Lark. Odwracałam się od niej, by zaraz potem znów na nią spojrzeć. W kolejnym tonęłam w nanopiachu. W oczach młodego przystojnego mężczyzny, który mnie ocalił, rozpoznawałam złociste oczy widzianego kiedyś żebraka. Po chwili to ostatnie wspomnienie zostało wyparte przez kolejne – ujrzałam dziki, tętniący życiem świat rozciągający się poza granicami Edenu...

Nie miałam jednak czasu, by się nad tym zastanowić, ponieważ wciąż napływały kolejne wspomnienia. Były straszne; pochodziły z okresu, gdy nie byłam już Rowan, a nie stałam się jeszcze Yarrow. W tym czasie przypominałam kawał mięsa i nerwów, przyczepiony pasami do stalowego stołu operacyjnego, nad którym pochylają się urzędnicy Centrum. Dostrzegłam szefową działu wywiadowczego. A najbardziej przerażające było to, że kobieta ta zarazem wydawała mi się moją matką i kimś zupełnie obcym. Postrzegałam ją teraz dwojako: oczami Rowan i Yarrow. Wielka Ziemia, przypominałam sobie również, kto jeszcze dotrzymywał jej towarzystwa i zawsze razem z nią prowadził operacje: mój ojciec! Nie było to zaimplementowane sztuczne wspomnienie ojca – to naprawdę był on, człowiek, który zdradził naszą rodzinę.

Czułam wyraźnie, jak skrobą skalpelami powierzchnię mojego mózgu. Docierały do mnie ich rozmowy – mówili o mnie zupełnie bezosobowo, jakbym

była pozbawiona świadomości i wolnej woli.

Kiedy wreszcie ze mną skończyli, faktycznie taka właśnie się stałam.

Czułam, jak pozbawiają mnie kawałek po kawałku tego, kim była Rowan. Nie ustawali, dopóki nie pozbyli się ostatnich śladów po niej. Jednak ona nie została unicestwiona, lecz zepchnięta w najgłębsze otchłanie umysłu. Trwała tam przyczajona, drżąc ze strachu, że nigdy nie zdoła się odrodzić.

Teraz, gdy odzyskałam te wspomnienia, znów stałam się Rowan.

Tylko że nie byłam już wyłącznie Rowan, lecz również Yarrow.

Nie byłam jedną osobą, która umiałaby wskazać, co było przed jej przemianą, a co po niej. Teraz byłam dwiema różnymi dziewczynami żyjącymi w jednym ciele i w jednym mózgu.

Ból w oczach był nie do zniesienia. Mimo to spróbowałam je otworzyć, żeby zorientować się, co się dzieje. Miałam wrażenie, że znajduję się jednocześnie w milionie różnych miejsc i wydarza mi się w tej samej chwili miliard różnych rzeczy. Kiedy jednak uchyliłam oczy, ujrzałam tylko ciemność.

Zaczęłam trzeć oczy i po chwili poczułam, jak ktoś chwyta mnie za nadgarstki i przytrzymuje.

– Nie wolno! – rozległ się kobiecy głos. Wyrwałam się z jej uchwytu i przetoczyłam, wpadając na lodowaty metal. Domyśliłam się, że to stół operacyjny. Wsłuchiwałam się w głos tej kobiety. Czyżby była to...?

Wróciłam zatem do laboratorium, a kobieta, którą kiedyś brałam za matkę, znów poddawała mnie torturom; chciała unicestwić moją osobowość, moją duszę! Oczy miałam szeroko otwarte, jednak nadal nic nie widziałam. Byłam ślepa! Ta kobieta musiała wydłubać mi oczy!

– Nie! – krzyknęłam, próbując w tym pojedynczym słowie zawrzeć cały protest wobec wyrządzonego mi zła oraz wszystkiego, co jeszcze mieli w planach. Nie pozwolę, by znowu okradli mnie z tożsamości. Nie pozwolę, by znów grzebali mi w mózgu. Po moim trupie.

Jeśli mnie tknie, zabiję ją!

Kiedy poczułam znów na sobie dotyk jej dłoni, wzdrygnęłam się, ale zaraz

potem chwyciłam po omacku materiał jej ubrania, przyciągnęłam kobietę do siebie i zaczęłam okładać pięściami. Czułam, że trafiam w coś mięsistego, zapewne nie powodując większych szkód. Domyślałam się, że ciosy lądują na biodrze albo udzie. Dlatego, nie rozluźniając chwytu, zsunęłam się na ziemię, oplatając przeciwniczkę nogami. Przetoczyłyśmy się po podłodze, a gdy znalazłam się na szczycie, zaczęłam znów okładać ją pięściami.

– Rowan, przestań! – protestowała kobieta, jednak nic do mnie nie docierało. W tej chwili byłam niczym dzikie zwierzę walczące o życie. W pewnym momencie usłyszałam stłumiony trzask kości. Pewnie żebra, pomyślałam.

Wtem poczułam, jak chwytają mnie wielkie, silne ręce, i po chwili zostałam uniesiona w powietrze. Próbowałam jeszcze kopać, jednak zostałam unieruchomiona w potężnym uścisku, tak jakby założono mi kaftan bezpieczeństwa. Nadal nic nie widziałam, jednak zaczynałam rozpoznawać ten dotyk i zapach.

– Lachlan – westchnęłam, z twarzą przytuloną do jego torsu. Po chwili zaczęłam błagać rozpaczliwym głosem: – Pomóż mi!

Lachlan zaczął szeptać pozbawione sensu, kojące słowa, a ja z każdą chwilą czułam, jak palący mnie ogień przygasa. Teraz potrzebowałam tylko tego, by ktoś mnie pocieszył. W jego ramionach czułam się bezpieczna.

– To boli, Lachlanie. Tak strasznie boli...

Pocałował mnie w czoło. Pocałunek był równie delikatny jak poprzednio.

– Wiem, Rowan. Ale to minie. Przypomniałaś sobie coś?

Podniosłam na niego spojrzenie wytrzeszczonych, niewidzących oczu.

– Pamiętam wszystko.

Przyciągnęłam go bliżej, tak że kiedy mówiłam, wargami muskałam mu płatek ucha. Pośród wszystkich mrocznych wspomnień, które do mnie wróciły, było coś, co unieważniało całe cierpienie, smutek i stratę. To wspomnienie było niczym pojedynczy promień nadziei.

– Poza Edenem istnieje życie!

– **KTOŚ TU JESZCZE JEST? – SPYTAŁAM**, wyciągając przed siebie rękę. Kiedy poczułam, jak czyjaś dłoń ujmuję moją, od razu domyśliłam się, że to Lark. Półyżalam teraz na podłodze, plecami przywarłszy do torsu Lachlana.

– Jestem przy tobie, Rowan – powiedziała Lark.

– Ja też – odezwał się Ash.

– Ale ja nic nie widzę! – Powstrzymałam się przed krzykiem, jednak w moim głosie pobrzmiwała histeria. Poczuałam, jak Lachlan przytrzymuje mnie nieco mocniej. Muskałam go włosami po policzku. Tylko jego bliskości zawdzięczałam, że nie dałam się jeszcze porwać panice.

– Operacja nie przebiegła tak pomyślnie, jak zakładałam. Pojawily się komplikacje. – Głos Flame był tak samo wyprany z emocji i cyniczny jak zawsze. – Twoje oczy i nerwy zareagowały inaczej, niż się spodziewałam.

Flame była rozczarowana, że jej umiejętności okazały się niewystarczające. W jej ustach brzmiało to tak, jakby to moje oczy były dla niej źródłem zawodu. Cóż, wielka szkoda.

– Ale... pamiętasz już? – spytała z nadzieją Lark.

– Pamiętam wszystko – przyznałam. Pocierałam kciukiem knykcie obolałej dłoni. Żalowałam, że nie widzę teraz wyrazu twarzy Lark i Lachlana. Oboje czuli coś do mnie, a teraz trzymali mnie, próbując jakoś pocieszyć. Od tak dawna czekali, aż przypomnę ich sobie. Domyślałam się też, że pomimo chaotycznych wydarzeń w naszym życiu czekali na coś jeszcze – aż wybiorę jedno z nich. A ja nie mogłam tego zrobić. Kochałam ich oboje. Moje uczucia wobec Lark były świeższe, bo zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy byłam Yarrow. W tamtym moim wcieleniu nie byliśmy jednak dla siebie niczym więcej jak

właśnie przyjaciółkami. Rowan kochała Lark, a Yarrow... być może również wkrótce ją pokocha. Jednak gdy tylko pomyślałam o Lachlanie, uczucie do niego uderzyło mnie z wielką siłą, niczym szturmujący bot ochrony: błyskawicznie i z miażdżącym skutkiem.

Teraz nie miałam czasu na te rozmyślenia, mimo że w głębi duszy nie chciałam myśleć o niczym innym. Moje sprawy miłosne były niesamowicie poplątane, jednak to, co czekało mnie w świecie zewnętrznym, było nieporównywalnie trudniejsze.

– Dlaczego nie widzę? – spytałam. Spośród dziesięciu tysięcy istotnych spraw, które domagały się mojej uwagi, ta wydawała się jedną z najważniejszych.

Usłyszałam, jak Flame bierze głęboki oddech. Domyślałam się, z jak wielką trudnością przychodzi jej wypowiedzenie tych słów:

– Nie wiem. Teoretycznie powinnaś widzieć. Ale...

– Ale co?

– Jeden z implantów usunęłam bez problemu. Wydaje mi się, że zdołałam cofnąć wszystkie szkody i usunąć połączenia, jakie soczewka utworzyła z twoim mózgiem.

– Jak to *jeden* z implantów?

– Tak, z lewym okiem poszło łatwo. Za to prawe przysporzyło mi znacznie więcej problemów. Okazało się, że nie mogę całkowicie przerwać połączenia nerwowego. Zmuszona byłam postąpić nieco bardziej inwazyjnie. Niestety... – Zrobiła pauzę. Kiedy odezwała się znowu, mówiła obojętnym głosem. – Na swoją obronę mam tylko to, że w całym Edenie nie ma fachowca, który lepiej ode mnie poradziłby sobie z lewym okiem, łącznie z neurochirurgami, którzy przeprowadzali na tobie eksperymenty w Centrum. Zdajesz sobie sprawę, że twoje soczewki zostały w misterny sposób połączone z mózgiem? Większość implantów łączy się z nim poprzez nerw wzrokowy, jednak twoje były związane w sposób znacznie pełniejszy i bardziej skomplikowany. Nigdy w życiu nie widziałam takiej płątaniny prawdziwych i sztucznych nerwów. Gdyby implanty

pobyły w tobie jeszcze przez kilka miesięcy, nie dałoby się ich w żaden sposób usunąć. Możemy mówić o sporym szczęściu, że usunęliśmy jeden z nich i że odzyskałaś wspomnienia.

Musiała upłynąć dłuższa chwila, nim dotarło do mnie znaczenie jej słów.

– Chcesz powiedzieć – zaczęłam, cedząc powoli słowa – że nadal mam wszczepioną jedną soczewkę?

– Tak – odrzekła Flame. – W prawym oku.

– A zatem – zaczęłam, nerwowo przełykając ślinę – soczewka w prawym oku wciąż jest połączona z mózgiem?

Lachlan chyba wyczuł, że przyspiesza mi puls, bo zaczął gładzić mnie kojąco po rękę.

– Wiele połączeń udało mi się przerwać. Praktycznie niemal wszystkie. Ale tak, kilka nadal jest aktywnych.

Powoli zaczynałam tracić panowanie nad sobą. Kiedy się odezwałam, mówiłam znacznie głośniej, niż zamierzałam.

– A więc oni nadal mają dostęp do mojego mózgu? Wciąż mogą mieszać mi w głowie?

– Ależ skąd – zaprzeczyła stanowczo Flame, ale już po chwili się zreflektowała. – To znaczy tak, w niewielkim stopniu. Ale musieliby cię sprowadzić z powrotem do Centrum. – Zawiesiła głos, a po chwili dodała szybko: – Tak myślę.

– Nigdy tam nie wrócisz, Rowan – wtrącił się Ash. – Jesteś teraz bezpieczna. Możesz zostać w Podziemiu. Nikt już nie będzie modyfikował twoich wspomnień. – Mówił zaskakująco zdecydowanym głosem. Pomyślałam, że życie w Podziemiu służy Ashowi. Odkąd tu się znalazłam, nie słyszałam ani razu, żeby zakaszał. – Nie pozwolę, by znowu odebrano mi moją młodszą siostrę.

Wzdrygnęłam się na dźwięk ostatnich słów. Teraz pamiętałam już, że w rzeczywistości byłam starsza od Asha. Kiedy urodził się mój brat i kiedy okazało się, że doskwiera mu chroniczna choroba płuc, rodzice postanowili, że

to jego uznają za pierworodnego. Ash potrzebował stałej opieki lekarskiej. Gdyby to jego musieli ukrywać przed całym światem, nie miałby szans na przeżycie. Kochałam mojego braciszka i oddałabym za niego życie. Mimo to w głębi mojej duszy zaległa się uraza za te wszystkie lata samotności, które musiałam znosić. Nienawidziłam w sobie tego uczucia, jednak było silniejsze ode mnie.

A teraz, jako osoba niewidoma, znowu miałam być skazana na życie w zamknięciu. Odzyskałam co prawda wspomnienia, ale ponieważ moje oczy odmówiły posłuszeństwa, i tak nie będę mogła opuścić jaskiń. Na powierzchni Ziemi potrzebowałabym pomocy, za bardzo rzucałabym się wszystkim w oczy, a tym samym naraziła mieszkańców Podziemia na niebezpieczeństwo.

Znowu znalazłam się w pułapce.

Najpierw tkwiłam ukryta w schowku za ścianą w rodzinnym domu. Potem byłam uwięziona w osobowości Yarrow. A teraz ślepotą zatrzymała mnie głęboko pod powierzchnią ziemi.

– Możliwe, że odzyskasz wzrok – odezwała się Flame, a ja momentalnie poczułam, jak promień nadziei przenika ciemności. – Twoje nerwy wzrokowe doznały potężnego szoku. Najważniejsze, żebyś teraz dużo odpoczywała. Zamknij oczy i czekaj. Dam ci środek, który pomoże ci zasnąć. Kiedy się zbudzisz, zbadam cię i wtedy zyskamy bardziej wiarygodny obraz tego, co cię czeka.

Sen wydawał mi się cudowną, nęcącą perspektywą. Jak wspaniale byłoby zapomnieć o wszystkich problemach, uciec przed nawałnicą wspomnień. Było jednak jedno „ale”...

– Muszę wam o czymś powiedzieć. Jest tu jeszcze ktoś poza wami?

Miałam wrażenie, że w sali są osoby, które jeszcze się nie odezwały. Wyłapywałam ich szept i dźwięki krzątania. To, co szeptem wyjawiałam Lachlanowi, było rewelacją dla wybranych. Chociaż z drugiej strony właściwie dlaczego? Powinnam przecież wspiąć się na najwyższą iglicę wodorostów w Edenie i rozgłosić to na całe miasto. Obawiałam się jednak chaosu, jaki

mogłaby wywołać ta nowina. Uważałam, że przynajmniej na początku należy zachować szczególną ostrożność przy ujawnianiu tej prawdy.

– Flint – szepnął mi na ucho Lachlan. Pomyślałam, że może powinnam wstać, ale było mi tu tak wygodnie. Ponieważ nie mogłam już zdać się na wzrok, czułam się pewniej, leżąc na ziemi w objęciach człowieka, któremu mogłam zaufać. – Oprócz tego jest też Iris. No i Adder, ta kobieta z węzowymi tatuażami, którą widziałas wcześniej.

– Czy to wszyscy?

Poczułam, jak Lachlan twierdząco kiwa głową. Zastanowiłam się, czy ten gest był pretekstem, by otrzeć się policzkiem o moje włosy.

Wzięłam głęboki oddech. Domyślałam się, że to może być najbardziej doniosły moment w całym moim życiu. Pokrótce opowiedziałam wszystkim, co się stało po tym, jak uwolniliśmy Asha z Centrum. Pod koniec akcji uświadomiłam sobie, że muszę zostać i ściągnąć na siebie uwagę przeciwników, umożliwiając Ashowi dalszą ucieczkę. Opowiedziałam o moim późniejszym szaleńczym biegu przez miasto, aż po krańce Edenu. O tym, jak pokonałam mur gruzów i odkryłam zakamuflowany las gigantycznych sztucznych drzew.

– A potem miało miejsce trzęsienie ziemi. Grunt zaczął falować, drzewa padały na ziemię. W pewnym momencie utworzyła się olbrzymia szczelina w ziemi.

– Nie przypominam sobie, żeby tamtego dnia nastąpiło trzęsienie ziemi – stwierdził niepewnie Ash.

– Podejrzewamy, że Centrum umie wymazywać wybrane wspomnienia – rzekł Flint. – Odbywa się to za pośrednictwem implantów soczewkowych. Nikt na powierzchni nie pamięta trzęsienia ziemi. Wiedzę o nim zachowały wyłącznie drugie dzieci.

– Ja pamiętam! – wtrąciła się Lark, tłumiąc chichot. – Możliwe, że gdy mózg jest odpowiednio wyćwiczony, trudno komukolwiek przejąć nad nim kontrolę.

– Po trzęsieniu ziemi wszystko się zmieniło. Pustynia już nie emanowała parzącym żarem. Zniknął nanopasek. Kiedy w pogoń za mną ruszyły zielone

koszule, pobiegłam w głąb pustyni. I wtedy zobaczyłam...

– Mów dalej – zachęcił mnie delikatnie Lachlan.

– Zobaczyłam puszcę. – Kiedy wypowiadałam te słowa, głos drżał mi z ekscytacji. Widziałam to na własne oczy, lecz nadal nie mogłam w to uwierzyć. – Rosły tam drzewa. Było ich nieskończenie wiele, tworzyły las! Widziałam łąkę pełną kwiatów, pszczół i motyli. Spotkałam nawet jelenia! Wychynął z lasu i spojrzał mi prosto w oczy.

Mówiłam coraz głośniej. Domyślałam się, że przypominam teraz jakąś fanatyczkę, ale czy można mi się było dziwić? Mieszkańcy Edenu marzyli o tym odkryciu od wielu pokoleń. Czekali na moment, aż Ziemia się uleczy.

Kiedy skończyłam opowiadać, na długą chwilę zapadło milczenie.

– To niesamowite – przerwała ciszę Lark. Z brzmienia jej głosu wywnioskowałam jednak, że coś jest nie tak. Nie wiedziałam, czy naprawdę mi wierzy, czy może gotowa jest za wszelką cenę mnie wspierać, mimo że uważa to wszystko za przywidzenia.

Na szczęście Ash zareagował z niekłamany entuzjazmem. Usłyszałam głucho uderzenie, gdy padł na kolana przede mną i chwycił mnie za rękę.

– Rowan, widziałaś nasze zbawienie! – powiedział z przejęciem. – To nadaje sens wszystkiemu, przez co musieliśmy przejść.

Wszystkiemu, powtórzyłam w myśli. Mojemu uwięzieniu oraz niewoli, jaką ludzkość znosiła w Edenie. Śmierci naszej mamy. Zdradzie, jakiej dopuścił się wobec nas ojciec. Czyżby wszystkie te cierpienia były ceną, jaką musieliśmy zapłacić za wstęp do oczekującego na nas raj?

Nagle uświadomiłam sobie, że milczenie dziwnie się przedłuża. W pierwszej chwili pomyślałam, że może wynika z zaskoczenia. Zaraz potem zrozumiałam jednak, co się za nim kryje.

– Nie wierzcie mi? – spytałam nieufnie.

Nie spodziewałam się, że natychmiast dadzą mi wiary. Nie spodziewałam się, że przynajmniej okażą zainteresowanie, będą zadawać mi pytania. Tymczasem najwyraźniej wszyscy, z wyjątkiem Asha i Lark,

z miejsca odrzucili moją opowieść.

– Rowan – odezwała się Flame, a jej głos przybrał wyraz niespotykanej u niej łagodności – twój mózg musiał ostatnio sporo znieść. Nie mam pojęcia, co właściwie ci zrobili w Centrum. Odzyskałaś co prawda wspomnienia, ale nie wiem, co jeszcze tkwi w twoim umyśle.

– To znaczy?

– Centrum wszczepiło ci całkowicie nową osobę, nową tożsamość. Nie potrafiłam wymazać tych nowych elementów twojej pamięci. Zdołałam jedynie odblokować te, które stłumili.

– Chcesz powiedzieć, że wśród moich autentycznych wspomnień mogą znajdować się też fałszywe i to takie, które nie mają nic wspólnego nawet z Yarrow?

Wytrzeszczonymi oczami wpatrywałam się w atramentową czerń. Flame miała rację. Pamiętałam teraz moją przeszłość jako Rowan, ale też miałam dostęp do wspomnień z dzieciństwa Yarrow. Wspomnienia urodzin i zabawy z mamą w deszczowy dzień. Zdawałam sobie sprawę, że są fałszywe – przypominały filmy wideo, które utrwaliły się w pamięci po wielokrotnym obejrzeniu. Z pozoru wydawały się autentycznymi wspomnieniami z dzieciństwa Yarrow, jednak racjonalna część mojego umysłu podpowiadała, że nie są prawdziwe.

Nie zmieniało to faktu, że wydawały się autentyczne. Czyżby zatem tamta zielona, żyzna kraina rozciągająca się poza Edenem również była takim fałszywym wspomnieniem, zaszczepionym mi przez Centrum?

Nie.

Może.

Nie! Przecież nadal doskonale pamiętałam woń polnych kwiatów, oszałamiający aromat ziół, które uginały się pod moimi stopami, gdy szłam przez łąkę. Pamiętałam ciemne wilgotne oko jelenia. Ten świat istniał naprawdę!

Mimo to wciąż nie dawały mi spokoju wątpliwości. A one z kolei budziły gniew.

– Przecież widziałam to na własne oczy! – Dopiero po chwili zrozumiałam, że zabrzmiało to nieco dwuznacznie, jednak brnęłam dalej. – Byłam tam. To, co widziałam, nie było efektem manipulacji neuronowej ani zaimplementowanym mi sztucznym wspomnieniem. Naprawdę przechadzałam się po łące. W pewnym momencie na mojej ręce przysiadła pszczoła. Niedaleko widziałam ciemną ścianę lasu. Wynurzył się z niego jeleni.

Mówiłam coraz głośniej i w pewnym momencie poczułam, jak Lalchlan ostrzegawczo ściska mnie za rękę. Czy przynajmniej on mi wierzył? Nie zniosłabym, gdyby również nie dawał wiary moim słowom. Nie miałam pewności, ponieważ w ogóle się nie odzywał.

– Naprawdę jej się wydaje, że uwierzymy w te bzdury? – rozległ się głos Adder. – Przecież ona bredzi. A może nadal jest pod wpływem narkotyków. Flint, dowiedzmy się, co wie na temat Centrum. Skupmy się na tym, co istotne. Nie mamy czasu na te historyjki dla dzieci.

Nie raczyła nawet zwrócić się do mnie. Flint okazał nieco więcej ogłady:

– Rowan, zastanów się. Przecież gdyby Ziemia się uzdrowiła, wiedzielibyśmy o tym. Ekopanoptykon zainstalował na zewnątrz Edenu czujniki, które na bieżąco badają stan powietrza, wody i gleby, poszukując oznak zdrowienia. Zmiany, o których mówisz, zajęłyby kilkaset lat. A może nawet tysiące. Całe eony. Z naukowego punktu widzenia to niemożliwe. Na Ziemi nie przetrwały żadne rośliny ani zwierzęta. Najpierw musi się ona uleczyć, a dopiero wtedy organizmy żywe będą mogły na nowo podjąć ewolucję. Możemy też oczywiście ludzić się, że jeden z banków nasion przetrwał upadek ludzkości i Ekokłeskę. Moglibyśmy wówczas odtworzyć z pomocą bioinżynierii rośliny i stworzyć mechaniczne pszczoły. Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest jednak taki, że kiedyś odzyskamy dostęp do oczyszczonej, lecz zupełnie pozbawionej życia Ziemi. Nie znajdziemy na niej żadnych roślin ani zwierząt. To po prostu niemożliwe.

Mówił spokojnym głosem, a prezentowana przez niego logika była niewątpliwie przekonująca.

– Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie – odezwałam się niepewnie. Było mi głupio, że zawodzi mnie głos. Mój oddech przyspieszył, zaczynałam mówić coraz głośniej. – Ale ja tam byłam! Widziałam to na własne oczy. To było... to było... – Nie potrafiłam jednak dokończyć. Nagle poczułam się przytłoczona pięknem tamtego dzikiego krajobrazu oraz wątpliwościami co do jego prawdziwości. Do oczu napłynęły mi łzy. Zamrugałam szybko, jednak niewiele to dało i poczułam, jak z prawego oka po policzku spływa mi łza.

– Rowan, ty krwawisz! – zawołała Lark.

Łza wydawała się dziwnie ciężka. Kiedy ją starłam, okazała się lepka. Bił od niej metaliczny zapach krwi.

– Dość tego – stwierdziła Flame, podnosząc mnie gwałtownie z ziemi. Bez bliskości Lachlana, który przytrzymał mnie od tyłu, od razu poczułam się osamotniona. – Ta dziewczyna przed chwilą przeżyła skomplikowaną operację, a wy ją męczycie. Potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie.

Flame poprowadziła mnie na drugą stronę pokoju. Po chwili poczułam, jak udami uderzam o łóżko.

– Musimy wyciągnąć od niej więcej informacji! – oznajmiła Adder. – Potrzebujemy prawdziwych danych na temat Centrum, które będziemy mogli potem wykorzystać, a nie bredni o jakimś lesie.

– Wasza rewolucja może poczekać – odparła lodowatym tonem Flame. – Jestem odpowiedzialna za jej stan i żądam, byście dali jej teraz spokój.

Adder mruknęła coś pod nosem, a Flint przypomniał jej szeptem, że i tak musi upłynąć jeszcze trochę czasu, nim będą mogli wdrożyć w życie swój plan. A w następnej chwili poczułam ukłucie w ramieniu, gdy zanurzyła się w nim igła strzykawki. Flame i Iris ułożyły mnie na łóżku. Miałam wrażenie, jakby ich głosy oddalały się, w miarę jak zapadałam w sen...

Po jakimś czasie – może była to godzina, może dzień albo nawet tydzień – przebudziłam się i otworzyłam oczy. Domyśliłam się, że znajduję się na sali wybudzeń. Pomieszczenie przypominało coś pomiędzy salą szpitalną

a sypialnią. Dopiero po chwili zorientowałam się, że odzyskałam wzrok.

Miałam się już szeroko uśmiechnąć, gdy odkryłam, że coś jest nie tak. Sięgając po szklankę wody stojącą na stoliku nocnym, nie potrafiłam wcelować w nią palcami; mało brakowało, a straciłabym ją na podłogę. Przyjrzałam się jej wtedy uważnie, a potem zaczęłam rozglądać się po całym pokoju. Wszystko wydawało się dziwnie płaskie... Nie potrafiłam wskazać, skąd bierze się to poczucie, ale nie opuszczało mnie wrażenie, że coś zmieniło się w moim widzeniu.

Musiała upłynąć dłuższa chwila, nim zrozumiałam, że nadal jestem ślepa na prawe oko.

Poczułam nadciągającą falę paniki, jednak zdołałam się jakoś opanować. Widziałam – to najważniejsze. Utrata wzroku w jednym oku to nie koniec świata. Na myśl o tym zdobyłam się na wymuszony śmiech. Ekoklęska była końcem świata, teraz mogło być już tylko lepiej.

Próbowałam wytłumaczyć sobie, że powinnam być wdzięczna losowi, że w ogóle widzę. Kiedy jednak podchodziłam do lustra, czułam przede wszystkim strach i złość. Nagle usłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Rowan, a więc już się obudziłaś! – zawołał Ash. Nieco za nim trzymała się Lark. Jednak nie patrzyłam w ich stronę. Całą moją uwagę przykuło moje odbicie w lustrze.

Moje lewe oko wyglądało tak jak kiedyś: miało niesamowity błękitno-zielono-żółcisty kolor; lśniło w miejscach, gdzie padało na nie światło.

Natomiast oko prawe miało monotonną szarą barwę i było zupełnie bez wyrazu. Tkwił w nim nadal implant soczewkowy.

Te oczy stanowiły teraz symboliczne odbicie dwóch osób kryjących się w moim ciele: lewe wyobrażało Rowan, natomiast prawe Yarrow. Wciąż byłam obiema tymi dziewczynami. Czyżby oznaczało to, że będę akceptowana w obydwu światach: w Podziemiu i na powierzchni? Czy raczej w żadnym z nich nigdy nie będę się czuła jak u siebie i pisany mi jest los wiecznej outsiderki?

Wtem usłyszałam szept. Zdawało mi się, że napływał z bliska:

– Widzę cię, Rowan.

– Coś mówiliście? – spytałam, odwracając się na pięcie do Lark i Asha.

– Ucieszyliśmy się, że już się wybudziłaś – stwierdziła ostrożnie Lark.

Wydawała się nieco zbita z tropu. Przyjrzała mi się uważnie. – Widzisz mnie? Ojej! – Nagle zakryła dłonią usta, a ja szybko zamknęłam oczy. Widząc moją reakcję, Lark szybko się zreflektowała. – To nic, twoje oczy wyglądają przepięknie. Bardzo nietypowo!

– Mam w nosie, jak wyglądają – rzuciłam, choć nie było to prawdą. Chciałam być znowu Rowan i nikim więcej. Wkurzało mnie, że wciąż musiałam znosić w sobie inną osobę, mimo że wcale nie miałam na to ochoty. No i ten dziwny głos. Czyżby był echem tego, co mówi do mnie Yarrow? A może czymś zupełnie innym? Niewykluczone, że to jakieś fałszywe wspomnienie dźwiękowe.

Kiedy Lark i Ash upewnili się, że widzę przynajmniej na jedno oko, wyraźnie im ulżyło. Zachowywali się tak, jakby ani moja częściowa ślepotą, ani mój wygląd zupełnie im nie przeszkadzały. Wystarczyło im, że żyję, że jestem z nimi i zachowałam pamięć.

– A gdzie Lachlan? – spytałam po chwili. Marzyłam, żeby to on był teraz u mojego boku. Nie wiedziałam, czym jest miłość, jaką czułam wobec Lark. A ponieważ wiodła szczęśliwe życie pierwszego dziecka, miałam wątpliwości, czy rozumie mnie równie dobrze jak on.

Ich reakcja na moje pytanie zdziwiła mnie. Ash spojrział na Lark, natomiast ona szybko spuściła wzrok.

– O co chodzi? – spytałam. – Co mu się stało?

– Lachlan opuścił Podziemie – wyjaśnił Ash. – Wybrał się na poszukiwanie tego twojego lasu.

16

– **CO TAKIEGO? – ZAWOŁAŁAM. – ZAMIERZA** sam przejść przez pustynię?

– Po tym jak Flame cię uspiła, doszło do wielkiej awantury – opowiadał Ash.
– Lachlan domagał się, by natychmiast poszukać ochotników, którzy razem z nim wyruszyliby na pustynię i sprawdzili, czy to, co mówisz, jest prawdą. Ja ci wierzę! To znaczy my wierzymy. Ale Flint i reszta niestety uważają, że to niemożliwe. W rezultacie Flint nie zezwolił Lachlanowi na eskapadę... No i wtedy Lark zasugerowała, żeby wybrał się na pustynię bez zezwolenia.

Lark wciąż stała ze wzrokiem utkwionym w podłodze.

Nie chciało mi się wierzyć, że to zrobiła. Niemożliwe, żeby zniżyła się do tak podłego fortelu.

– To naprawdę był twój pomysł? – spytałam jadowitym tonem. Po chwili zwróciłam się do Asha: – A ty nie próbowałeś go powstrzymać?

– Ależ oczywiście, że próbowałem – odparł. – Ale sama wiesz, jaki jest Lachlan. Kiedy już się uprze, nie ogląda się na nikogo.

Owszem, wiedziałam o tym. Jednak nie mogłam uwierzyć, że porwałby się na tak szaleńczy plan. Chyba że ktoś by go do tego sprowokował.

– Lark, spójrz na mnie – warknęłam. Posłuchała dopiero po chwili. Spoglądała na mnie niewinnie szeroko otwartymi oczami, z których jak zawsze wyzierała troska i niepokój. Ale równie dobrze mogła przecież tylko udawać. Wiele razy widziałam, jak Pearl gra milutką, żeby zdobyć to, czego pragnęła. Umiała zgrywać słodziutką, gdy z kimś rozmawiała. Wystarczyło jednak, by ta osoba odwróciła się na chwilę, a Pearl obgadywała ją bezlitośnie za plecami. Całkiem możliwe, że Lark bawi się ze mną w te same gierki. Lodowatym

głosem spytałam: – Ile czasu minęło, odkąd wyruszył?

Nie miałam pojęcia, jak długo spałam.

– Niespełna doba – odparła cichym głosem Lark. Odniosłam wrażenie, że z jej głosu i postawy wyziera poczucie winy.

– A zatem posłałaś go na pustynię – syknęłam z nienawiścią. – Nie mam pojęcia, jakim cudem, ale najwyraźniej dopięłaś swego. Przekonałaś go, żeby wyruszył na poszukiwanie lasu. Przyznaj się.

– Nie, ja tylko...

Nie pozwoliłam jej dokończyć. Byłam już pewna, jaka jest prawda.

– Wiem, jak patrzyłaś, gdy odzyskałam pamięć i przypomniałam sobie, co czułam do Lachlana. Nie mogłaś tego znieść, prawda? – Teraz do głosu dochodziła we mnie Yarrow. Chciałam zadać ból Lark; chciałam, by cierpiała. – Widziałaś nas razem, przytulonych, i doprowadzało cię to do szaleństwa. Nienawidziłaś za to Lachlana i życzyłaś mu śmierci.

Lark potrząsała tylko głową. Ash powtarzał raz za razem:

– Nie, nie!

Nadal ścierały się we mnie dwie różne osoby. Uczucia, jakie Rowan żywiła do Lachlana, tworzyły przedziwną mieszankę z właściwym dla Yarrow pragnieniem podporządkowania sobie każdej dziewczyny, którą uważała za zagrożenie. Głos rozsądku szeptał, że zachowuję się źle, ostrzegając, że jeszcze krok i przekroczę granicę. A gdy to się stanie, być może nie będzie już powrotu. Z jakiegoś jednak powodu nie umiałam się powstrzymać.

– Jesteś zazdrosna – stwierdziłam, cedząc słowa. – Nienawidziłaś go, odkąd się o nim dowiedzielaś. Od początku knułaś, jak się go pozbyć. A teraz wreszcie nadarzyła się okazja, by dopiąć swego.

Kiedy mówiłam, w twarzy Lark zachodziły dramatyczne zmiany. Z początku wyrażała niezrozumienie, które przerodziło się w niedowierzanie, a wreszcie... we wściekłość. Nie zwracałam jednak na to uwagi. Nie potrafiłam się opanować.

Nachyliłam się do niej i szepnęłam:

– Posłałaś go na pewną śmierć, tak byś mogła mieć mnie tylko dla siebie!

Lark była tak zdumiona moimi słowami, że stać ją było tylko na gniewne sapnięcie. Wymierzyła mi siarczysty policzek i jak burza wypadła z pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi, a po chwili z korytarza rozległo się łkanie. Nie był to jednak szloch bezradności, przepełniała go nieukrywana wściekłość.

Policzek mnie piekł. Ash spoglądał na mnie oniemiały.

– Ależ to wcale nie ona posłała Lachlana na tę wyprawę. – Brat spoglądał na mnie, jakbym była niespełna rozumu. – Lark uważała, że powinniśmy wyruszyć wszyscy razem: ona, ja i Lach. To znaczy mieliśmy poczekać, aż poczujesz się lepiej. A kiedy Flint nie dał nam pozwolenia na eskapadę, Lark była zdania, że mimo to powinniśmy spróbować. Tłumaczyła, że Flint jest co prawda oficjalnie przywódcą Podziemia, jednak nie ma władzy nad nami. Lark i Lachlan wdali się w kłótnię. Lachlan przekonywał ją, że ta wyprawa jest dla niej zbyt niebezpieczna. I że nigdy byś mu nie wybaczyła, gdyby przydarzyło się jej coś złego.

– Ach – jęknęłam.

– W końcu postanowili, że zaczekają, aż się obudzisz. Chcieli poznać twoje zdanie na ten temat. Jednak kiedy po jakimś czasie zaszedłem do Lachlana, żeby sprawdzić, co u niego, odkryłem, że zniknął. Zabrał ze sobą jeden z naszych kombinezonów ratunkowych. Lark chciała natychmiast wyruszyć, żeby go poszukać, ale zdołałem jakoś odwieść ją od tego pomysłu. Czekaliśmy, aż odzyskasz przytomność. Jesteś jedyną osobą, która zapuściła się poza granice Edenu. Pomyślałem, że jeśli wyruszymy wszyscy razem, mamy większe szanse, że pomożemy Lachlanowi.

Co ja narobiłam? Lark próbowała odwieść Lachlana od jego szaleńczego planu. A gdy to się nie udało, chciała ruszyć mu na ratunek. A ja oskarżyłam ją, że posłała go na śmierć – że życzyła mu, by zginął pod palącym słońcem albo w odmętach nanopiasku.

Wiedziałam, że muszę ją jak najszybciej przeprosić. Ciskanie tak poważnych oskarżeń było niemal niewybaczalne. Policzek wciąż palił mnie od uderzenia, jednak przede wszystkim płonął ze wstydu. Po niezliczonych odważnych,

bezinteresownych i płynących z miłości uczynkach potraktowałam ją jak śmiecia. Przecież to Lark wyzwoliła mnie z niewoli, chociaż nawet nie wiedziałam, że żyję w więzieniu.

Kto zatem wypowiedział wszystkie te straszne rzeczy? Przecież to nie byłam ja. A może jednak? Czy przemawiała przeze mnie sztuczna osobowość Yarrow? A może taka właśnie byłam naprawdę? Skąd mam wiedzieć, jak porozumiewać się z ludźmi, skoro przez całe życie trzymano mnie w ukryciu? Może tak naprawdę jestem strasznym człowiekiem, który we wszystkich dostrzega najgorsze cechy. Może jestem niezdolna do zaufania, miłości...

Tak czy inaczej musiałam jak najszybciej naprawić swój błąd. Związałam włosy i zakładałam właśnie buty, gdy usłyszałam niepewny głos Asha:

– Rowan, co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że Lark chce cię mieć wyłącznie dla siebie?

Wypowiedział te słowa ostrożnie, jakby bał się sensu kryjącego się w pytaniu, a jeszcze bardziej odpowiedzi, jaką może uzyskać.

Wielka Ziemi, a zatem mój brat nie wiedział. Niczego się nie domyślił.

– Ash, przepraszam. – Przed chwilą nie sądziłam, że mogę poczuć się jeszcze gorzej, ale najwyraźniej było to możliwe. Nie wiedziałam, jakich słów użyć, by go nie zranić, a równocześnie rozwiązać wszelkie wątpliwości. – Wiem, że Lark nie jest ci obojętna, ale... ona kocha mnie.

Zabrzmiało to jednoznacznie i ostatecznie.

Ash wpatrywał się we mnie długo. Stało się dla mnie jasne, że coś podejrzewał. Pewnie zauważył, jak Lark mi się przygląda. Może wyczuł to w jej głosie. Mimo to wydawał się teraz zaskoczony.

– Jesteś pewna? Wiem, że cię lubi, i to bardzo. Ale myślałem... – Głos zaczął mu drżeć. Odchrząknął, żeby się uspokoić, skończyło się jednak na tym, że się rozkaszał.

– Przepraszam – powtórzyłam zbolowanym głosem. Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić. Dlaczego miałam ponosić odpowiedzialność za czyjeś uczucia – jego albo Lark? Mimo to przygniatało mnie poczucie winy, czułam się

fatalnie.

– A ty odwzajemniasz jej uczucie? – wydusił w końcu.

Co powinnam mu powiedzieć? Tak naprawdę nie wiedziała tego nawet Rowan, a ja dopiero niedawno stałam się na powrót nią. Niekiedy odzywała się we mnie Yarrow, która postrzegała Lark jako pochodzącego z nizin społecznych intruza, który podstępem przeniknął do jej życia w wyższych sferach. Nie byłam dumna z tych refleksji, one jednak zjawiały się w mojej głowie nieproszone. Musiałam przez cały czas analizować każdą nową myśl, próbując ocenić, czy naprawdę jest moja. To znaczy Rowan. Po chwili uświadomiłam sobie, że Ash czeka na odpowiedź.

– Sądzę, że tak... Sama nie wiem.

– A co z Lachlanem? – dopytywał. Jego ton się zmienił, brzmiał teraz nieco defensywnie i sarkastycznie. – Jego też kochasz? Wiem, co on do ciebie czuje.

– Mogę ci dać tę samą odpowiedź co w przypadku Lark: sądzą, że tak. Nie wiem.

– A więc masz przy sobie dwoje ludzi, którzy cię kochają. A ja... nie mam nikogo.

– Ależ mnóstwo ludzi cię kocha! – zaprotestowałam gorąco, chociaż doskonale wiedziałam, że nie o takiej miłości mówi Ash.

– To co innego. Przyjaźnię się od dawna z Lark. Jesteśmy ze sobą bardzo zżyci, rozmawiamy o wszystkim... – Zawahał się, pozwalając sobie na wymuszony śmiech. – To znaczy, jak widać, nie o wszystkim. Rowan, bardzo ją lubię. Kocham ją. Nic na to nie poradzę. Co ze mną jest nie tak?

– Ależ nic, jesteś doskonały – zapewniłam.

– Jasne, ale nie dla niej.

– Lark cię kocha. Wiem o tym. Tylko że... kocha cię w nieco inny sposób. Nie wiem, czy w ogóle umie pokochać chłopaka.

– A ty? – spytał z zaciekawieniem Ash.

– Och, prawdę mówiąc, nie wiem, co ci odpowiedzieć. Przez szesnaście lat jedynymi osobami, jakie znałam, byłeś ty, mama... no i nasz ojciec. – Na myśl

o tym ostatnim poczułam momentalnie rozgoryczenie. – Nie znałam nikogo innego. Nie wiedziałam, jak należy układać relacje z ludźmi. Nie wiedziałam, jak się zaprzyjaźnić ani jak zakochać. No i w końcu poznałam Lark, która wydawała mi się wtedy najcudowniejszą osobą na świecie. Ponieważ zawsze mi o niej opowiadałaś, już w momencie gdy się poznałyśmy, miałam poczucie, jakby od dawna była moją najlepszą przyjaciółką. Tak jakby nasze poznanie się było tylko potwierdzeniem historii, którą opowiadałam sobie od lat.

– A jak się czułaś, gdy poznałaś Lachlana?

– Przed nim nie znałam żadnego drugiego dziecka – wyjaśniłam, uśmiechając się. – I to wystarczyło, by między nami wytworzyła się silna więź uczuciowa. A tak poza tym to mnie wkurzał, czułam się przy nim skołowana i równocześnie podekscytowana. I zazwyczaj budził we mnie wszystkie te uczucia równocześnie. Dzięki niemu miałam poczucie, że życie może być przygodą, i że u jego boku nic mi nie grozi. Miłość do Lark była spokojna, cudowna, zgodna z oczekiwaniami. Natomiast uczucie, jakie obudził we mnie Lachlan, było niczym grom z jasnego nieba, trzęsienie ziemi. Również było cudowne, ale w zupełnie inny sposób.

A więc wreszcie powiedziałam to na głos – kochałam ich oboje.

Ash zwiesił głowę. Przez chwilę sądziłam, że próbuje ukryć łzy. Wreszcie wziął się jednak w garść, uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

– Cieszę się twoim szczęściem, zezowata siostrzyczko.

Ze zdziwienia aż otworzyłam usta. Dopiero po chwili zrozumiałam, że skoro Asha stać na drażnienie się ze mną, da sobie radę. Dlatego zaraz potem powróciłam do naszych klasycznych relacji brat–siostra i rąbnęłam go w ramię.

– Ała – jęknął, rozmasowując obolałe miejsce. – Siostro, mówiłem całkiem serio. Naprawdę chcę, żebyś była szczęśliwa. Przynajmniej jedno z nas powinno zaznać szczęścia, nie sądzisz? – Posłałam mu gniewne spojrzenie, więc szybko się zreflektował. – Przepraszam, przepraszam. Tak mi się powiedziało. A więc jesteś zakochana w dwu osobach naraz? I co teraz z tym poczniesz?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznałam. – Na razie muszę przeprosić

Lark. A potem odnaleźć Lachlana.

– Dokładnie. W przeciwnym razie zostanie ci tylko jedna kochająca cię osoba – twój nudny starszy brat.

Ash robił co mógł, żeby nie dać po sobie poznać, że jest mu przykro. Kiedy wychodziłam, usłyszałam jednak jego ponure westchnienie.

Weszłam do pokoju Lark bez pukania. Obawiałam się, że mnie nie wpuści, jeśli zorientuje się, że to ja.

– Lark, przepraszam – powiedziałam, jak tylko przekroczyłam próg. Jednak już w następnej chwili umilkłam zaskoczona. Dziewczyna pakowała właśnie swoje rzeczy do skórzanego plecaka. – Nie! Nie możesz odejść! Zachowałam się jak skończona kretyńska. Nie wiem, co mnie opętało. Nie byłam wtedy sobą, tylko Yarrow. Wiem, że brzmi to jak marne usprawiedliwienie, jednak przysięgam, że kiedy wypowiadałam tamte słowa, wcale tak nie myślałam. Chciałam je cofnąć, ale już się nie dało. Czułam się, jakby Rowan przypatrywała się bezsilnie, jak Yarrow wszystko niszczy. – Mówiłam coraz szybciej, licząc, że Lark mi przebaczy. – Wybacz mi, proszę. I nie porzucaj Podziemia. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Nie porzucam Podziemia – odezwała się w końcu Lark, na co zareagowałam promiennym uśmiechem.

– Czy to znaczy, że mi przebaczasz?

– To znaczy, że nie zamierzam was opuścić. Nie tylko ciebie, ale też wszystkich drugich dzieci. Wybieram się poszukać Lachlana.

– Idę z tobą!

– Nie – rzuciła zdecydowanym tonem. – Jesteś świeżo po operacji. Poza tym przedstawiciele Centrum zapewne szukają cię po całym Edenie. Ja nie jestem poszukiwana, nic mi nie grozi. Musisz na razie tu zostać. – Lark przełknęła głośno ślinę i dodała: – Nie martw się, odnajdę dla ciebie Lachlana.

– Nie mogę stracić was oboje – zawołałam. – Poza tym szukanie dla mnie Lachlana to nie twoje zadanie. Och, Lark, mam taki mętlik w głowie.

Zanim z oczu trysnęły mi łzy, Lark podeszła szybko i wzięła mnie w ramiona.

– Już dobrze, Rowan. To nie twoja wina. Ja w sumie też go lubię. To naprawdę cudowny facet. A wy dwoje... – Zawiesiła głos, a z gardła dobyło jej się ciche czknięcie. – Jeśli go kochasz, cieszę się twoim szczęściem.

– Kocham was oboje. – Za drugim razem wypowiedzenie tych słów przyszło mi już z łatwością.

– Aha... To dobrze. Cóż, w takim razie... – plątała się Lark.

W tym momencie wybuchłam śmiechem. Nie potrafiłam już dłużej się opanować.

– Przecież to totalnie porąbane! – powiedziałam, po czym dodałam, wzruszając ramionami w geście bezradności: – Nie wiem, co powinnam zrobić.

– Cóż, spytajmy Lachlana – zaproponowała Lark, rzucając mi jakąś ciasno zwiniętą paczkę.

– Co to?

– Kombinezon ratunkowy. W Podziemiu przechowywane są ich setki. Całe to miejsce pierwotnie było stworzone jako schron na wypadek, gdyby warunki na powierzchni Ziemi, mimo osłon atmosferycznych i kontroli klimatu zapewnianej przez Eden, okazały się zbyt trudne do życia. Tego typu skafander pozwala funkcjonować nawet w ekstremalnie niesprzyjających temperaturach, w sytuacji skażenia radioaktywnego i wysokiej toksyczności środowiska. To warunki, które wytworzyliśmy na Ziemi i które ją zabiły.

– Wyglądają na strasznie stare. Myślisz, że działają?

– Teoretycznie powinny. Jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

Zapakowałam swój skafander do plecaka Lark, po czym wyszliśmy z pokoju. Miałyśmy zamiar wymknąć się z Podziemia i poszukać Lachlana.

Po drodze dogonił nas Ash. Oczy miał zaczerwienione od płaczu, jednak przez ramię przewiesił sobie plecak i wydawał się podekscytowany.

– Idę z wami.

– Wykluczone – zaprotestowałam. – Ostatnim razem ratowanie cię kosztowało mnie naprawdę sporo wysiłku. Nie będę ryzykować, że coś ci się stanie albo znów zostaniesz schwytyany. Poza tym masz chore płuca i jeśli

skafander zawiedzie albo coś pójdzie nie po naszej myśli, nie przeżyjesz zbyt długo na pustyni.

– Odkąd zamieszkałem tutaj, czuję się znacznie lepiej. To zasługa czystszej powietrza, a może drzewa. – Jakby na potwierdzenie tych słów Ash wziął głęboki oddech. W powietrzu unosił się intensywny aromat kamfory. – Nic mi nie będzie. Nie możesz mi zabronić pójścia z wami. Ciągłe jestem traktowany jak ofiara, mam tego dość. Chcę teraz dla odmiany odegrać rolę ratownika, a nie ratowanego. Poza tym z nas dwojga to ja jestem starszy – oświadczył, błyskając zębami w uśmiechu.

Ash się mylił, wcale nie był starszy, jednak nie chciałam wyprowadzać go z błędu. Miał już wystarczająco wiele zmartwień jak na jeden dzień.

– No dobrze – powiedziałam z rezygnacją. – Ale bądź ostrożny. A kiedy każe ci uciekać, biegnij i nie oglądaj się za siebie!

– **GDYBYŚ NIE POZWOLIŁA MI WYRUSZYĆ** z wami, miałem jeszcze jednego asa w rękawie – przyznał się Ash, kiedy skierowaliśmy się do wyjścia. Próbowaliśmy zachowywać się jak gdyby nigdy nic, jednak z marnym skutkiem. Byliśmy w Podziemiu trojgiem nowicjuszy i gdziekolwiek poszliśmy, budziliśmy sensację. Zanim zdołaliśmy niepostrzeżenie się wymknąć, musieliśmy przez długi czas krążyć bez celu w pobliżu wyjścia.

– Tak? A jakiego? – zainteresowałam się.

Ash podał mi niewielkie pudełko. Kiedy nim potrząsnęłam, rozległ się chłupot.

– Zwędziłem je z torby Flame, kiedy cię operowała. To para soczewek, stworzonych z myślą o drugich dzieciach, które na jakiś czas muszą wyjść na powierzchnię. Soczewki takie można bez problemu samemu założyć, a potem zdjąć.

– A kiedy poddam się skanowi oczu, jaką tożsamość pokażą? – spytałam zaintrygowana.

– Zostały zaprogramowane w taki sposób, by na początku czytniki rejestrowały usterkę. Czytniki i boty nie zawsze potrafią uzyskać jednoznaczny wynik skanu. Jeśli zostaniesz zatrzymana podczas łapanki albo poproszona o skan podczas wyrywkowego sprawdzania tożsamości, na czytniku pokaże się informacja, że jesteś obywatelem Edenu, jednak nie uda się uzyskać twoich danych. Podczas drugiego skanu, gdy zostaniesz poddana dokładniejszemu sprawdzianowi, soczewki powinny podać fałszywą tożsamość. Podobno jednak zazwyczaj boty dają się nabrać na tę pierwszą fazę z usterką i przejście do fazy drugiej nie jest konieczne. – Ash mrugnął do mnie szelmowsko, po czym

przytrzymał małe kieszonkowe lusterko, tak bym mogła założyć jedną soczewkę na oko w naturalnym kolorze. – Centrum nie domyśla się, jak niebezpieczne są drugie dzieci.

Kiedy Ash odsuwał lusterko, schwyciłam go za nadgarstek. Za każdym razem gdy widziałam swoje odbicie w lustrze, miałam wrażenie, że poznaję się na nowo. Kim teraz byłam? Wyglądałam jak Yarrow, a z tymi srebrzystoszarymi oczami czułam się znowu bardziej jak ona. Pewnie powinnam marzyć, by wspomnienie o tej dziewczynie zostało doszczętnie wymazane z mojej pamięci, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Przeciwnie, niemal za nią tęskniłam. Przez długi czas żyłam w przekonaniu, że jestem nią.

Soczewka tłumiła nieco światło, a ponieważ widziałam tylko na jedno oko, czułam się lekko dezorientowana. Najwyraźniej zastosowany w tym modelu układ elektroniczny musiał oddziaływać na moją percepcję. Nie przypominałam sobie, by taki efekt wywoływały tymczasowe soczewki, które przed śmiercią załatwiła mi matka. Głębiej widzenia miałam teraz ograniczoną, a świat widziałam nieco rozmazany. W rezultacie kiedy posuwaliśmy się ku powierzchni, czułam się bezbronna.

Lark i Ashowi ufałam bezwarunkowo, jednak podobnie jak Lachlan miałam poczucie, że ryzyko powinnam podejmować samodzielnie. To ja na własne oczy widziałam oazę, krainę zieloności, w miejscu, gdzie wszyscy spodziewali się tylko pustyni. To ja powinnam teraz wyruszyć na jej poszukiwanie. Ponieważ mój umysł był w marnym stanie, nikt mi nie wierzył. Całkiem możliwe, że nawet Lark i Ash dają wiarę moim słowom, kierowani przede wszystkim poczuciem lojalności. I właśnie dlatego dobrze, by ktoś inny oprócz mnie zobaczył oazę na własne oczy. Jeśli Lachlan przyniesie nowiny o drzewach, kwiatach i ptakach, inni mu uwierzą.

Powróciło do mnie wspomnienie nocnych przechadzek z Lark po ulicach Edenu. To był cudowny czas, gdy po raz pierwszy w życiu zażywałam wolności. Umierałam ze strachu, lecz równocześnie przepełniała mnie ekscytacja i radość. Teraz zasmakowałam już życia jako uciekiniarka, i jako pełnoprawny członek

społeczeństwa. Kiedy szłam przez miasto, robiłam to z pewnością siebie charakterystyczną dla Yarrow, rozpieszczonej dziewczyny z zamożnego domu, która wiedziała, że jej status zawsze będzie ją chronił. Mimo że to ja byłam najbardziej narażona na niebezpieczeństwo i miałam najwięcej do stracenia, zauważyłam, że poruszam się z większą pewnością siebie niż mój brat czy Lark. Dla Asha była to zupełnie nowa przygoda. Nawet Lark, która od wielu lat prowadziła tajne misje na terenie Edenu, tego dnia sprawiała wrażenie podenerwowanej. Możliwe, że winę za to ponosiła nasza trudna rozmowa.

Ponieważ czekała nas długa droga, zaryzykowaliśmy podróż autopętłą. Lark uiściła stosowną opłatę za nas wszystkich, zbliżając swoje soczewki do czytnika. Podczas jazdy przeżyliśmy chwilę grozy, gdy do wagonu razem z nami wsiadło dwóch funkcjonariuszy zielonych koszul. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że Lark została oznaczona. Mężczyźni zajęli jednak miejsca daleko od nas i szybko zapadli w drzemkę. Najwyraźniej mieli większe zmartwienia niż uganianie się za drugimi dziećmi i zbiegami.

Wysiedli kilka przystanków przed celem naszej podróży, a Lark wyjaśniła nam wtedy szeptem, że nie sądzi, by jej nazwisko figurowało na listach poszukiwanych osób.

– W Akademii okazałam podrobiony przeze mnie list od rodziców. Napisałam w nim, że na tydzień zwalniam mnie z udziału w zajęciach, ponieważ muszę otrząsnąć się z szoku po próbie samobójczej przyjaciółki. – Kiedy zauważyła, że wpatruję się w nią osłupiała, dodała szybko: – Wybacz, ale wiesz, jaka jest dyrekcja Akademii Dębów. Ci ludzie panicznie boją się wszelkich skandali. Wystarczyło wspomnieć, że rodzice studentki dowiedzieli się o narkotykach, znęcaniu się i próbach samobójczych, by władze spuściły z tonu. A moi rodzice oczywiście sądzą, że nadal studiuję w Akademii. Przynajmniej jedno z nas musi mieć papiery w porządku.

Fortel Lark zadziałał. Do zewnętrznych kręgów dotarliśmy bez żadnych przygód. Wysiedliśmy z kolejki na granicy najbardziej zewnętrznego kręgu. Ostatni etap podróży chcieliśmy pokonać na piechotę.

Od razu wyczułam, że zaszła tu jakaś zmiana. Podczas mojej ostatniej wizyty w zewnętrznych kręgach panowała tu straszna bieda. Budynki były zrujnowane, a mieszkańcy przymierali głodem. Uderzył mnie wtedy jaskrawy kontrast panujący między kręgami wewnętrznymi, gdzie żyły elity społeczne, a zewnętrznymi, gdzie gnieździła się biedota. Wiedziałam już wcześniej, że im dalej od Centrum, tym biedniej, nie miałam jednak bladego pojęcia, że w naszym Edenie znajdują się miejsca, gdzie szerzy się przestępczość, panuje głód i rozpacz.

Dlatego teraz, gdy ruszaliśmy ku rubieżom Edenu, przygotowywałam się wewnątrznie na podobne widoki. Domyślałam się, że zaraz znów ogarnie mnie żal i złość, że nie potrafimy lepiej zadbać o dużą część społeczeństwa.

Kiedy byłam tu poprzednio, ludzie wydawali się nerwowi, przygnębieni i przestraszeni. Teraz natomiast sprawiali wrażenie zrelaksowanych i zadowolonych. Z ich oczu nie wyzierała już desperacja. Kiedyś unikali kontaktu wzrokowego, za to dzisiaj zauważyłam kilku takich, którzy się do nas uśmiechnęli. Na ulicach widziało się mniej osób, co w pierwszej chwili wzięłam za zły znak. Wkrótce jednak zorientowałam się, że otwartych jest więcej niż kiedyś sklepów, a do tego są one dobrze zaopatrzone. Szyby w oknach urzędów i zakładów nie były powybijane i lśniły czystością. Za nimi dostrzegałam ruch i światło.

Najwyraźniej ludzie oddawali się w nich pracy.

Byli odżywieni. Czuli się bezpieczni. Byli szczęśliwi.

Nadal co prawda utrzymywała się wyraźna różnica między kręgami wewnętrznymi i zewnętrznymi, miejsce to nie przypominało już jednak strefy wojennej. Miałam wrażenie, że teraz ludziom żyło się tutaj wygodnie, może nawet dostatnio. W pewnym momencie dotarliśmy do miejsca, gdzie jeszcze niedawno w jezdni ział głęboki lej, a mury okolicznych budynków były zrujnowane po jakiejś eksplozji sprzed lat. Lachlan opowiadał mi pewnego razu, że kiedyś wybuchło tu powstanie. Biedota sięgnęła po broń, by walczyć o prawo do pracy i jedzenia. Centrum stłumiło rozruchy z całą stanowczością.

Wspomnienia o tych wydarzeniach zachowały tylko drugie dzieci. Kiedy opowiedziałam o powstaniu Lark, okazało się, że nigdy o nim nie słyszała. Miało ono miejsce przed naszym urodzeniem, jednak drugie dzieci, które obecnie miały dwadzieścia kilka lub więcej lat, doskonale pamiętały huk wybuchów i kłęby czarnego dymu nad miastem.

Teraz nie został ślad po leju, który musiałam kiedyś okrążyć łukiem, gdy uciekałam przed zielonymi koszulami. Jezdnia była gładka, uprzątnięto cały zalegający tu kiedyś gruz. Kamienice były nienaruszone. A co jeszcze dziwniejsze, nie wyglądały wcale, jakby postawiono je niedawno.

Zbita z tropu, spytałam Lark, co to wszystko może znaczyć.

– Ja tu nie widzę nic nowego – powiedziała, rozglądając się wkoło. – Inna sprawa, że rzadko zapuszczam się do zewnętrznych kręgów.

– Ale przecież kiedyś to wyglądało zupełnie inaczej – upierałam się. – Wszędzie panował brud. Było niebezpiecznie.

Co właściwie miała na myśli, kiedy stwierdziła, że rzadko bywa w zewnętrznych kręgach? Przecież Lark pochodziła stąd i została tu oddelegowana jako członkini tajnej grupy Krawędź, której misją było zjednoczenie bogatych i biednych, wewnętrznych i zewnętrznych kręgów.

– Pierwszy raz w życiu zobaczyłaś wtedy, czym jest bieda – zauważyła Lark. – Żyłaś w ukryciu, a potem widziałaś tylko kręgi wewnętrzne. Założę się, że odkrycie, jak wygląda życie w zewnętrznych kręgach, było dla ciebie potężnym szokiem.

Na usta cisnęły mi się słowa zaprzeczenia. Znaleźliśmy się teraz w miejscu, które co prawda różniło się znacznie od przepychu kręgów wewnętrznych, jednak ludzie wiedli tu normalne i szczęśliwe życie. Gdzie w takim razie podziało się tamte budzące grozę miejsce, które odwiedzałam jako Rowan? Co jest ze mną nie tak? Dlaczego moje wspomnienia nie pokrywają się z rzeczywistością? A może z moimi wspomnieniami było wszystko w porządku, a te zachowane w pamięci przez Lark były fałszywe?

Nie miałam teraz ochoty na tego typu rozważania, więc nie ciągnęłam tematu.

Przyświecał nam jeden cel – odszukać Lachlana. Mimo to spokoju nie dawała mi pewna myśl – a co jeśli epilepsja, na którą cierpi Lark, wcale nie chroni jej umysłu i wspomnień przed manipulacjami Centrum w tak dużym stopniu, jak dziewczyna zakłada? Może Lark generalnie postrzega świat w mniej zafałszowany sposób niż przeciętny zjadacz chleba, jednak od czasu do czasu Centrum potrafi się do niej dostać? Kiedy szliśmy chodnikiem, przyglądałam się jej kątem oka. Ufałam jej całkowicie. Czy mogła nieświadomie stanowić zagrożenie? Jak w ogóle wszyscy mogliśmy sobie nawzajem ufać, skoro żyliśmy w świecie, w którym rząd był w stanie mieszać nam w umysłach?

Przed nami stało nie lada zadanie – Lachlan mógł przecież przedostać się na pustynię z dowolnego miejsca na obrzeżach Edenu. Przeszukiwanie na ślepo peryferii miasta nie miało większego sensu. Kiedy wędrowałam przez las fasolopodobnych drzew, Lachlan odnalazł mnie bez problemu. Wyznał wtedy, że czasami krył się w tym lesie. Teraz mógł być co prawda gdziekolwiek, lecz na zdrowy rozum powinien był podjąć swoje poszukiwania w miejscu, gdzie mnie znalazł. Zapewne liczył, że gdy odtworzy szlak mojej wędrówki, prędzej czy później odnajdzie to samo co ja. Dlatego teraz skierowaliśmy się tam, po drodze mijając jadalnię dla ubogich. Było to miejsce, w którym spotkałam kiedyś Lachlana przebranego za starego żebraka.

Zamiast kuchni, w której ubodzy mogli liczyć na skąpą porcję najtańszej stawy bez smaku, znajdowała się teraz restauracja. Wystawiona na zewnątrz dwustronna tablica reklamowa zachwalała potrawy z menu w przystępnych cenach. W ogródku przy stolikach siedziały tłumy gości, którzy wstąpili tu na niedrogi, smaczny lunch.

Wszystko to wyglądało tak... zwyczajnie.

Jedna z kelnerek zauważyła, że przystanąłam przed restauracją, i spytała, czy życzymy sobie stolik.

– Nie – odpowiedziałam odruchowo, a po chwili zaczęłam nieskładnie ją wypytywać: – Czy zna pani takiego mężczyznę... jest młody, a właściwie stary, podpira się laską. Zajmuje się pomocą ubogim mieszkającym w tym kręgu...

– Ubogim? – Kelnerka obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem. – Przecież w całym Edenie nie ma żadnych ubogich.

Zanim zdążyła cokolwiek dodać, oddaliłam się. Nie chciałam wzbudzić jej podejrzeń kolejnymi dziwnymi pytaniami. Ale co to właściwie miało znaczyć, że w Edenie nie ma ubogich?

Lark zauważyła chyba moją osłupiałą minę.

– Nie martw się – powiedziała. – Musi upłynąć trochę czasu, nim nauczysz się odróżniać to, co zdarzyło się naprawdę, od fałszywych wspomnień, które próbowali ci zaszczepić. Zachowałeś wspomnienia przerażającej biedy, prawda? Ciekawe, po co Centrum ci je zaimplementowało. Przecież w całym Edenie nie ma żadnych ubogich.

Z wrażenia zabrakło mi tchu. Lark użyła dokładnie tych samych słów co kelnerka. Zabrzmiało to tak, jakby obie recytowały tę samą wyuczoną na pamięć formułkę.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, które bez trudu rozpoznałam. Był to wysoki wał wzniesiony z odpadków, które wytworzyła cywilizacja ludzka istniejąca na Ziemi przed stworzeniem Edenu. Stanowiła go płatanina betonowych kolumn, rdzewiejących dźwigarów, zepsutych urządzeń elektronicznych i mnóstwa innych sprzętów o niejasnym pochodzeniu i przeznaczeniu. Domyślałam się, że wszystkie te rzeczy musiały uchodzić za niezbędne w czasach, gdy ludzie żyli w przekonaniu, że są panami Ziemi. Teraz nad naszym życiem kontrolę sprawował Ekopanoptykon – to on regulował zużycie tlenu, wody i pożywienia, pilnując na bieżąco, by z jednej strony niczego nam nie brakowało do życia, z drugiej zaś, byśmy nie zaszkoździli naszemu sztuczному środowisku. W Edenie nic się nie marnowało, wszystko było poddawane recydingowi. Zajmował się tym program komputerowy oraz podlegające mu boty. Żyliśmy, nie oddziałując w żaden sposób na planetę.

W epoce przed Ekoklęską było zupełnie inaczej – ludzie potrzebowali wtedy mnóstwa dziwnych przyrządów i mało wydajnych pojazdów, bez których nie umieli się obejść. I to właśnie one były budulcem tego gigantycznego wału,

na który teraz spoglądaliśmy. Nasz świat otaczał mur wzniesiony z odpadków stworzonych przez naszych przodków. Dzięki niemu byliśmy bezpieczni.

Bezpieczni... a może uwięzieni?

Przecież nie mogłam się mylić. Widziałam oazę na własne oczy.

W okolicy wału nie kręcili się żadni strażnicy. Czego mieliby pilnować, skoro po drugiej stronie czekała tylko śmierć? A przynajmniej wszyscy święcie w to wierzyli. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że niektórzy ludzie podobnie jak ja przedostawali się na drugą stronę muru: ci, dla których ciekawość znaczyła więcej niż ostrożność, lub osoby pokroju Lachlana, które wybrały życie na obrzeżach społeczeństwa i potrzebowały miejsca, gdzie mogłyby się ukryć.

Nawet wał z odpadków wyglądał bardziej schludnie. Kiedyś było jasne, że okoliczni mieszkańcy traktowali go jako wysypisko śmieci. Teraz te hałdy zostały uprzątnięte i zapewne poddane recyclingowi. Pozostały tylko tworzące zaporę stare przyrządy, których dziwny wygląd nadawał temu miejscu charakter nie tyle muru ze śmieci, co muzeum osobliwości.

Niełatwo było mi odszukać miejsce, w którym podczas ostatnich przepraw znalazłam przesmyk pod wałem. Kiedy byłam tu ostatnio, groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo, dlatego teraz trudno było mi odtworzyć szczegóły tamtej ucieczki. Im dłużej szukałam, tym większe zniechęcenie mnie ogarniało. Wszystkie przeszkody, jakie napotykałam w poszukiwaniach przesmyku, były niczym kolejny dowód, że się mylę.

Wciągnęłam nosem powietrze. W Podziemiu wystarczyło pojedyncze drzewo, by przesyć jego wonią całą okolicę. Skoro jakieś półtora kilometra stąd rósł las, w powietrzu powinien przecież nieść się jego zapach, prawda? Powinnam wyczuwać woń drzew, kwiatów, samej ziemi. Poza tym należałoby oczekiwać, że pewnego dnia nadleci nad wał któryś z ptaków żyjących w tamtej zielonej krainie. Albo jakiś śmiały i wytrzymały owad przemierzy pustynię i dotrze do tego miejsca.

Powietrze, które wdychałam, było pozbawione wszelkich zapachów. Nie wyczuwałam w nim śladów życia, które nie byłoby życiem ludzkim.

– To chyba tutaj... – powiedziałam niepewnie. Gąszcz poskręcane go żelastwa wyglądał znajomo. Krzyżowały się tu trzy wielkie betonowe słupy. W miejscu, w którym się spotykały, wypatrzyłam szczelinę na tyle dużą, że moglibyśmy się do niej wślizgnąć. – Tak, to tędy przeszłam ostatnim razem. Jestem pewna.

No, *prawie* pewna, dodałam w myśli. Przez cały czas zмагаłam się z rozterkami i chociaż Lark i Ash bardzo mnie wspierali, nie chciałam wystawiać ich lojalności na próbę, niepotrzebnie siejąc w ich umysłach wątplenie.

– Pójdę przodem – oświadczyłam i zaczęłam wciskać się do szczeliny.

Towarzysze ruszyli moim śladem. Trzymali się tak blisko mnie, że musiałam im zasugerować, iż to nie jest zbyt dobry pomysł. Skazani byliśmy na błądzenie w labiryncie szczelin. Kilka razy musieliśmy zawracać. Nie obeszło się bez wpadania w ciemności na ostre krawędzie sterczące z obiektów, których nie umiałam nawet zidentyfikować.

W końcu wydostałam się z plątaniny betonu i żelastwa.

– O nie – jęknęłam, mrużąc oczy oślepione słońcem.

– O rany – westchnął z podziwem Ash, który stanął za mną. – To niesamowite. Gdybym nie wiedział, jak wygląda prawdziwe drzewo, pomyślałbym, że spoglądam na nie w tej chwili.

– Coś jest nie tak – stwierdziłam, zadzierając głowę ku szczytom gigantycznych tworów.

Faktycznie przypominały drzewa, ale w rzeczywistości stanowiły sztuczne artefakty, przywodzące na myśl fasolopodobne rośliny z bajki o Jasiu i magicznej fasoli. Grubością pni dorównywały olbrzymiemu kamforowcowi rosnącemu w Podziemiu i pięły się wysoko pod niebo; niektóre osiągały wysokość około stu metrów. Wokół pni wiły się wąsy dążące do światła słonecznego; rozłożyste liście pełniły funkcje baterii słonecznych umożliwiających proces sztucznej fotosyntezy.

– Wielka Ziemia, ależ wspaniałe! – zawołała Lark, gdy wygramoliła się ze szczeliny w wale i stanęła za Ashem. – Są takie wysokie i piękne!

– Ale one wcale nie powinny być wysokie – rzuciłam. – Nic nie rozumiecie? Większość z nich została powalona podczas trzęsienia ziemi. Niemożliwe, by tak szybko je naprawiono. Niby jakim cudem?

Schwyciłam się za głowę.

– Oni wymazują świat – mamrotałam pod nosem. – Najpierw usuwają moje wspomnienia, potem wymazują też części realnego świata. I nikt nie widzi, co się dzieje!

– Rowan, dobrze się czujesz? – spytała z niepokojem Lark.

– Nie! – wrzasnęłam. – A te drzewa wcale nie są piękne. To zwykłe podróbki. Wiem, jak wyglądają prawdziwe drzewa. Widziałam je.

– My też widzieliśmy – próbował uspokoić mnie Ash. – Chodziło nam tylko o to, że te tutaj robią spore wrażenie.

– Ale one nie są prawdziwe. Jak zresztą wszystko w Edenie – tłumaczyłam. Czułam, że tracę panowanie nad sobą. Bez przerwy prowadziłam wewnętrzną walkę i w efekcie zaczynałam wyzywać się na najbliższych. Moje pragnienie udowodnienia, że mam rację, czyniło mnie lekkomyślną. Zaczynałam się zachowywać, jakbym traciła rozum. Po chwili wyciągnęłam rękę w kierunku drzew, wskazując niewidoczną dla nas pustynię i to, co rozciągało się za nią. – Prawdziwe drzewa rosną tam! Jest tam las, może lasy pokrywają całą Ziemię, a my tkwimy uwięzieni w tym świecie kłamstw i iluzji.

W następnej chwili puściłam się biegiem. Pędziłam przed siebie, klucząc pośród niesamowicie grubych pni fasolowych drzew. Z tyłu dobiegały mnie wołania Lark i Asha. Krzyczeli, żebym się zatrzymała. Ja jednak nie miałam zamiaru ich słuchać. Opanowała mnie dzika potrzeba, by jeszcze raz zobaczyć las. Było to nagłe, niepowstrzymane pragnienie, jakby jakaś siła przebudziła się we mnie i wzywała mnie do domu. Czułam, że należę do świata leżącego za pustynią. Byłam zdeterminowana, by dotrzeć tam za wszelką cenę.

Jak tylko wynurzyłam się z cienia rzucanego przez sztuczny las i znalazłam się na otwartej przestrzeni, zderzyłam się ze ścianą rozgrzanego powietrza. Zdążyłam przebiec tylko kilka kroków, gdy runęłam na kolana. Czułam, jak

piach pali mnie w golenie. Co ja sobie wyobrażałam? Wtem poczułam uderzenie w plecy. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że Lark rzuciła mi jeden ze skafandrów ratunkowych. Zatrzymała się na skraju pustyni i właśnie, podskakując na jednej nodze, próbowała założyć swój. Szybkim ruchem rozerwałam opakowanie i wsunęłam nogi do środka, a skafander automatycznie oblekł całe moje ciało. Po chwili utworzył wokół mnie skorupę chroniącą przed żarem pustyni. Taką przynajmniej miałam nadzieję. Po chwili poczułam, że temperatura w skafandrze zaczyna rosnać, lecz mimo to była nieporównywalnie niższa niż przed jego założeniem. Obawiałam się, że jeśli się nie pospieszę, żar mnie zabije.

Po chwili Ash i Lark wbili się w swoje skafandry i dołączyli do mnie.

– Co się stało? – spytał Ash. – Zobaczyłaś Lachlana?

– Nie, po prostu... – Zawiesiłam głos. Jak miałam wyjaśnić im ten dziwny pierwotny impuls, który kazał mi jak najszybciej znaleźć się w lesie? Tym bardziej że ów las mógł być tylko wytworem mojego umysłu, wywołanym z niejasnych dla mnie powodów przez ludzi z Centrum.

Zanim zdążyłam się wytłumaczyć, rozległ się przyprawiający o ciarki mechaniczny pisk.

– Nanopiasek! – zawołała Lark, spoglądając na czujnik, który miała przymocowany do nogawki na wysokości biodra. – To sensor ruchu. Używamy takich do monitorowania wejść do Podziemia. Pomyślałam, że może sprawdzi się też w przypadku nanopiasku.

W oddali dostrzegłam jakieś dziwne migotanie. Z daleka przypominało drżenie rozżarzonego słońcem powietrza. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to poruszający się nanopiasek. Powoli nadciągała ku nam połać piachu będąca śmiertelną pułapką. Wiedziałam, że jest w stanie pochłonąć człowieka w całości. Ze słów Lachlana wynikało, że następnie nanopiach, niczym żywy organizm, trawi swoją ofiarę.

– Te spłachcie nanopiachu nie poruszają się szybko – stwierdziłam, przypominając sobie moją ostatnią przygodę tutaj. – Jednak za chwilę pojawi się

ich tu więcej. Musimy uważać, żeby nas nie okrążyły. Przez cały czas musimy pozostawać w ruchu.

Możliwe, że czujnik przyniesiony przez Lark okaże się naszym wybawieniem. Nanopiasek można było bez trudu prześcignąć; wystarczyło wiedzieć, że się zbliża.

– Ile zostało nam czasu? – spytał Ash, gdy zaczęliśmy się oddalać od skradającego się za nami nanopiachu.

– Dwadzieścia minut, może pół godziny – wyjaśniła Lark. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Skafandry wyprodukowano z myślą o zapewnieniu ochrony przy ekstremalnie wysokich temperaturach, jakie notowano w epoce Aarona Al-Baza. W kalifornijskiej Dolinie Śmierci temperatura niekiedy osiągała pięćdziesiąt cztery stopnie Celsjusza. Tyle wytrzymać mogą skafandry. – Lark zerknęła na ekran czytnika. – Teraz temperatura wynosi już sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt stopni. To nie jest zwyczajny upał.

– Po trzęsieniu ziemi w jednej chwili temperatura gwałtownie spadła – przypomniałam sobie. – A kiedy piach zmienił położenie, pod spodem zobaczyłam coś w rodzaju kratownic. Ta pustynia została stworzona przez człowieka. Jest sztuczna, tak jak tamte fasolowe drzewa. I jak cały Eden. – Marzyłam, by zetrzeć pot zalewający mi czoło, jednak skafander zakrywał mi twarz. – Reszta świata wcale tak nie wygląda. Ja to wiem. Ludzie stworzyli tę pustynię.

– Żeby zatrzymać nas w Edenie? – domyśliła się Lark.

– Żeby trzymać nas z dala od dziczy – uświadomiłam sobie nagle. – Chodźcie, zostało nam najwyżej półtora kilometra marszu. Jeśli pobiegniemy, damy radę.

Puściłam się biegiem. Za plecami słyszałam, że Lark i Ash ruszają za mną. Domyślałam się, że po cichu dokonują tych samych obliczeń co ja. Przed nami dwadzieścia, może trzydzieści minut biegu. Byłam znakomitą biegaczką, jednak w tym grząskim piachu nawet ja nie potrafiłam poruszać się szybko. Prażące słońce dodatkowo spowalniało nasze ruchy. Lark i Ash nie dorównywali

mi szybkością. Jeśli pamięć mnie nie myliła, powinniśmy jednak bez większych problemów pokonać te półtora kilometra pustyni. Podejmowaliśmy ogromne ryzyko – jeśli nie odnajdziemy cienistej oazy, gdzie moglibyśmy odpocząć, nie zdołamy już wrócić.

BEZ PRZERWY GADALIŚMY, ŻEBY PODTRZYMAĆ się na duchu. Wypowiedzenie na głos swoich obaw pozwalało w pewnym stopniu je uśmierzyć.

– Nie mogę się doczekać, aż to zobaczycie – mówiłam z przejęciem. – Kamforowiec w Podziemiu oczywiście jest niesamowity, jednak to nie to samo. To tak jakbyście widzieli więźnia w klatce, podczas gdy tutaj ujrzycie szczęśliwą rodzinę na wolności. Zrozumiecie, o czym mówię, gdy będziemy już na miejscu.

– Jeśli na zewnątrz rzeczywiście istnieje pełen życia, zdrowy świat, kontrola urodzeń utraciłaby rację bytu – stwierdził Ash. – Zniesiono by prawa dotyczące drugiego dziecka. Ludzie mogliby robić to, na co mają ochotę.

– Już to przerabialiśmy – zauważyła delikatnie Lark. – Rozmnażanie się niepoddane kontroli, ciągła ekspansja, karczowanie lasów, górnictwo... Właśnie w ten sposób doprowadziliśmy do zniszczenia naszej planety.

– Ale czy faktycznie tak się stało? – przerwałam jej. – Jasne, ludzie postępowali w sposób bezmyślny i straszny. Ale czy naprawdę zniszczyli Ziemię? A co, jeśli to jest jednym wielkim kłamstwem?

– Ale co miałoby być kłamstwem? – dopytał Ash.

– Wszystko!

Zapoznałam się z dziennikiem Aarona Al-Baza. I to stąd wiedziałam, że niezależnie od tego, jak wielkie zniszczenia planety spowodował człowiek, to właśnie Aaron Al-Baz wytepił większą część ludzkości.

– Nigdy wam o tym nie mówiłam – odezwała się Lark. – Zresztą nikomu o tym nie wspomniałam. Nie byłam pewna, co to właściwie znaczy. Chcę, byście usłyszeli to ode mnie jako pierwsi. Otóż odkryłam coś. Pamiętasz tamtą

fotografię, którą mi podarowałaś? Tę, którą dostałaś od swojej mamy?

Wieki temu dałam Lark stare zdjęcie będące reliktem epoki sprzed Ekokłęski. Fotograficzny obraz, wydrukowany na papierze, przedstawiał górski krajobraz, a konkretnie kanion w górach.

– Sztuczny materiał, na którym wydrukowano zdjęcie, wskazuje na okres tuż sprzed Ekokłęski. Ludzie masowo korzystali wówczas z niepoddającego się biodegradacji plastiku. Odkąd zamieszkaliśmy w Edenie, nigdy już nie korzystaliśmy z tego typu materiałów. Stąd wiem, że zdjęcie wykonano w ostatnim dziesięcioleciu przed Ekokłęską.

Katastrofa ekologiczna została sprowokowana przez Aarona Al-Baza, który doszedł do wniosku, że ludzkość i tak skazana jest na zagładę. Opracował on wirusa, który miał przyspieszyć nasz koniec w czasie, gdy załamywał się cały światowy ekosystem. Wiedziałam o tym wyłącznie ja i Lachlan. Postanowiliśmy, że zachowamy tę wiedzę w tajemnicy. Aaron Al-Baz czczony był w Edenie jako bohater. Nie mieliśmy pojęcia, jakie konsekwencje miałyby zdemaskowanie go.

– Wpatrywałam się w to zdjęcie całymi godzinami. Uwielbiałam je, ponieważ było prezentem od ciebie. – Przez wizjer w jej kasku dostrzegłam, jak policzki Lark oblewają się rumieńcem. – Im dłużej je studiowałam, tym więcej szczegółów przykuwało moją uwagę. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w zewnętrznym kręgu, tata często zabierał mnie na dachy domów, skąd mogliśmy podziwiać gwiazdy na niebie.

Jej słowa przywołały pewne miłe wspomnienie – na jednym z tych dachów pierwszy raz w życiu się całowałam.

– Tata nauczył mnie odnajdywania na niebie konstelacji. Opowiedział mi o ruchach planet. Każda z nich pokonuje inną odległość, poruszając się z właściwą sobie prędkością. Dzięki temu możemy przewidzieć ich położenie, wybiegając myślą w przód nawet setki czy tysiące lat. Można też na podstawie tego, jak wyglądało nocne niebo w przeszłości, wywnioskować, kiedy dokonywano obserwacji. Rowan, odkryłam wtedy coś dziwnego. Ostatni raz taki układ gwiazd jak na zdjęciu, które mi podarowałaś, wystąpił ponad tysiąc lat temu.

Musiała upłynąć dłuższa chwila, nim dotarło do mnie znaczenie jej słów.

– Chcesz powiedzieć, że tę fotografię wykonano ponad tysiąc lat temu? – spytałam.

W tym samym momencie Ash ubrał w słowa myśli, które kłębiły mi się w głowie.

– To by znaczyło, że Ekoklęska miała miejsce przed tysiącem, a nie przed dwustu laty.

A więc to było kolejne z kłamstw, którymi rząd karmił społeczeństwo. W gruncie rzeczy nie powinno mnie to już dziwić.

– Musimy poinformować ludzi o naszym odkryciu. Zasługują, by poznać prawdę! Powtarzano nam, że musi upłynąć tysiąc lat, nim Ziemia znów będzie zdolna do zamieszkania. A teraz okazuje się, że upłynęło już tyle czasu. Ludzie żyją w przekonaniu, że minęło dotychczas dwieście lat, dlatego cierpliwie znoszą dalsze oczekiwanie. Wszyscy wyobrażają sobie, że dopiero przyszłe pokolenia będą mogły marzyć o wolności, dlatego nikt nie próbuje stawiać trudnych pytań.

– No tak, ale... – Ash zawiesił głos – przecież to niemożliwe. Nie da się tak po prostu wykasować ośmiuset lat. Poza tym mamy podręczniki do historii. Historie rodzinne. Wynika z nich jednoznacznie, że Ekoklęska miała miejsce około dwustu lat temu. Lark, musiałaś popełnić błąd przy odczytywaniu układu gwiazd na zdjęciu.

– Wierz mi, sprawdzałam go wiele razy – upierała się Lark.

– W takim razie zapewne mamy tu do czynienia z fałszerstwem – oznajmił Ash nieznoszącym sprzeciwu tonem. Najwyraźniej był w tej chwili zadowolony, że znalazł wytłumaczenie, które pozwoli mu zachować wiarę w historyjki, jakimi był karmiony przez całe życie.

Nagle mnie olśniło, skąd bierze się u niego ta potrzeba. Mój brat miał przecież wszczepione implanty soczewkowe.

Możliwe, że on po prostu fizycznie nie mógł uwierzyć w to, o czym mówiliśmy.

– Ash – spytałam podejrzliwie. – Proszę, bądź ze mną szczery: czy wierzysz, że las, o którym opowiadam, istnieje naprawdę?

Wykonał ruch, jakby chciał przytaknąć. W tym samym momencie w jego twarzy zaszła jakaś zmiana. Oczami wyobraźni widziałam niemal, jak w jego mózgu odbywa się walka neuronów.

– Wierzę w *ciebie*, Rowan. Dlatego tu jestem. Wierzę, że musimy ocalić Lachlana. Ale jeśli chodzi o drzewa... A tym bardziej cały las, dzikie zwierzęta, świeże powietrze... Przecież to niemożliwe.

Do oczu napłynęły mi łzy. Tłumaczyłam sobie, że to nie jego wina. Ekopan sterował myśleniem mojego brata. Wszyscy obywatele z wszczepionymi soczewkami byli zdalnie kontrolowani przez władze Edenu.

– A czy ty mi wierzysz, Lark? Bądź ze mną szczerą.

Przyglądałam się jej bacznie. Było jasne, że Lark również toczy wewnętrzną walkę. W jej przypadku sytuacja była jednak inna, gdyż wpływ Ekopanu niwelowała jej epilepsja. Ilekroć Lark miewała nowy atak, Ekopan tracił nad nią kontrolę.

– Wierzę w to, co mówią gwiazdy – powiedziała. – Tego nie da się zmienić. Wierzę też w wyliczenia, które odnalazłam w pracy mojej matki. Wynikało z nich, że nawet gdyby liczebność populacji się podwoiła, nie ma niebezpieczeństwa, że zabraknie nam pożywienia, wody czy powietrza. Podejrzewam, że wspomnienie o trzęsieniu ziemi zachowały tylko drugie dzieci i garstka osób z wadliwymi soczewkami. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie te czynniki, staje się jasne, że z Edenem jest coś nie tak. Jesteśmy okłamywani i kontrolowani.

Lark westchnęła i ujęła moją dłoń schowaną w rękawicy skafandra.

– Nie wiem, czy istnieje jakiś las, a może nawet cały żywy świat. Ale skoro widziałas go na własne oczy, ja również w to wierzę. Chcę w to wierzyć. – Lark ścisnęła mnie za rękę, po czym ją wypuściła. – Rowan, potrzebujemy nadziei.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Najchętniej popędziłabym ich, wiedziałam jednak, że na niewiele by się to zdało. Pot zalewał mi oczy. Świat

wokół wydawał się zamglony i migotliwy. Nie byłam pewna, co jest tego powodem – czy zaparowany wizjer w moim kasku, miraż w powietrzu spowodowane przez rozgrzane powietrze czy może lekkie przyćmienie będące efektem działania soczewki w moim oku. Miałam poczucie, jakbym poruszała się we śnie. Żar lał się z nieba, a ja pełzałam przed siebie jak żółw. Niczym we śnie, wszystko wydawało się nie do końca realne.

Czułam się, jakbym powoli, nie przestając iść, zapadała w sen. W pewnym momencie usłyszałam, jak Ash mówi coś zdyszczanym głosem. Nie mogłam go jednak zrozumieć. *Bikk!* Nagle domyśliłam się, że upał i wyczerpanie wywołują u niego problemy z oddychaniem. Źle zrobiłam, że pozwoliłam mu wyruszyć z nami.

– Powinniśmy zawrócić – powiedziałam, mimo że wszystko we mnie wrywało się do przodu, ku drzewom, o których wiedziałam, że kryją się tuż za linią horyzontu. Zaraz się poprawiłam. Staralam się nadać swojemu głosowi zdecydowane brzmienie. – Lark, musisz zaprowadzić Asha z powrotem do lasu. Jeśli jedno z nas wpadnie w kłopoty, ryzykujemy, że pozostałych dwoje zginie, próbując go uratować. Nie wolno nam okazywać słabości ani się wahać. – Ash zrobił urażoną minę, ja jednak udawałam, że tego nie zauważam. – Słuchajcie, nigdy nie odnajdziemy Lachlana na pustyni. Skafandry, zbyt ograniczają nam ruchy, a pustynia jest za wielka. Naszą jedyną szansą jest dotarcie do lasu. Wracajcie, a ja resztę drogi pokonam biegiem. Jeśli Lachlan schronił się w lesie, będę miała dużo czasu, żeby go odnaleźć. Skafander powinien wytrzymać.

– Nie zostawię cię samej! – stwierdziła kategorycznym tonem Lark.

Spojrzałam wymownie na Asha. Po chwili ona również skierowała na niego spojrzenie.

– Ja przetrwam, Ash niestety nie – powiedziałam.

Mój brat zaczął gniewnie protestować, tłumacząc, że wcale nie jest słaby i nie życzy sobie, by traktować go jak brzemień albo dziecko. My jednak nie reagowałyśmy na jego krzyki. Spoglądałyśmy sobie w oczy i rozumiwałyśmy się bez słów. Lark przyjaźniła się z Ashem na długo, zanim poznała mnie. Wiele

cech charakteru, które kochała we mnie, nauczyła się doceniać przez znajomość z nim, mimo że pozbawiona była ona romantycznego wymiaru. Mój brat był dla niej najlepszym przyjacielem. A teraz milcząco postanowiłyśmy, że połączymy siły, by go chronić. Lark i ja byłyśmy osobami, które potrafią radzić sobie z przeciwnościami losu. Ash obraziłby się, gdyby usłyszał to ode mnie, ale prawda była taka, że pod tym względem bardzo się od nas różnił. Ta pustynia mogłaby stać się jego grobem.

– Chodź, Ash – odezwała się Lark, chwytając go pod ramię. – Wracamy.

– Nie! – próbował protestować, jednak jego głos brzmiał piskliwie i dziecięco, tak jakby w głębi duszy wiedział już, że został pokonany. – Nigdzie z tobą nie idę.

Lark spróbowała zastosować nieco inną taktykę.

– Jeśli nie wrócisz ze mną, narazisz nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Im dłużej będziesz się opierał, tym mniej czasu zostanie Rowan na bezpieczne pokonanie pustyni.

– W takim razie wracajmy wszyscy razem – zaproponował. Lark spróbowała go ciągnąć w stronę lasu fasolopodobnych drzew, jednak w tym samym momencie rozległ się ostrzegawczy sygnał czujnika ruchu.

– Uwaga – zawołała. Oderwała wzrok od czytnika i okręciła się w miejscu, omiatając spojrzeniem okolicę. – Czy to Lachlan?

Nigdzie jednak nie mogliśmy go wypatrzeć. Po chwili zauważyłam, jak piach w jednym miejscu faluje i się wybrzusza. Zbliżał się do nas nanopiasek.

– Nie denerwuj się – próbowałam uspokoić Asha. – Idźcie z powrotem do fasolowego lasu. Nanopiach chce was do tego właśnie zmusić. Jego rolą jest przepędzenie was z pustyni. Jeśli opuścicie ją, uzna, że wykonał swoje zadanie. Ja pójdę dalej, a wtedy ruszy za mną. Wam nie będzie już nic groziło. Gdy będziecie pozostawać w ruchu, nie zdąży was dopaść.

Lark skinęła głową i pociągnęła znów Asha.

– *Bikk!* Czujnik pokazuje, że zbliża się kolejny splacheć nanopiasku – zawołała.

Kątem oka dojrzałam, że z boku nadciąga następna połać. Przypominała jakiś migoczący niewyraźny zarys majaczący tuż pod powierzchnią piasku.

– Ruszajcie! – zawołałam, a Lark puściła się biegiem, ciągnąc za sobą Asha. Po chwili mój brat wyrwał się jej i próbował zawrócić do mnie.

– Rowan, nie zostawię cię samej. Nie mogę cię znowu stracić! – wykrzykiwał. Stopy grzęzły mu głęboko w sypkim piasku, przez co poruszał się przeraźliwie wolno.

– Wracaj! – zawołałam. Mało brakowało, a podbiegłabym do niego i siłą zawróciła. Uznałam, że lepiej będzie po prostu skierować się jak najszybciej w przeciwną stronę. Wiedziałam, że nie zdoła mnie dogonić. Nie będzie miał innego wyjścia, jak wrócić do Lark. Wydawało mi się, że to najlepszy sposób, by go zgubić. Czułam, jak z każdą chwilą upał przenika do wnętrza skafandra. Było dla mnie jasne, że tylko szybkość może mnie uratować.

Ash jednak za późno zorientował się w moich planach. Mimo że byłam już daleko, nadal próbował mnie dogonić. Lark ruszyła w pogoń za nim, jednak potknęła się i upadła. Cała nasza trójka ustawiona była teraz w linii. Oddalałam się od nich w dużym tempie, biegnąc ile sił w nogach i oglądając się przez ramię. Odprowadzało mnie zawrodozenie czujnika ruchu Lark.

Aż nagle ujrzałam trzeci spłacheć nanopiachu.

Czujnik nie wykrył dodatkowego źródła ruchu. Nie był w stanie wyłapać kilku poruszających się jednocześnie obiektów. Zmysły miałam przytępione przez upał i wadliwie działającą soczewkę. W głowie kłębiło mi się od niewiadomych. W efekcie zbyt późno dojrzałam kolejne zbliżające się spłachcie nanopiachu. Dwie z nich, które podkrały się już dość blisko, dostrzegł Ash.

Nie zauważył jednak trzeciej.

Spłacheć przez jakiś czas krążyła wokół niego niczym szykujący się do skoku drapieżnik. A teraz przystąpiła do ataku. Zahamowałam, wzbijając fontannę piachu, po czym puściłam się biegiem z powrotem w kierunku brata. Próbowałam rozpaczliwymi gestami i krzykiem ostrzec go przed

niebezpieczeństwem. Skafander wygłuszał jednak mój głos, przez co Ash nie słyszał, co właściwie wołam. Domyślił się chyba, że coś jest nie tak, bo nagle się zatrzymał.

Nie mógł zrobić nic gorszego.

Doskonale wiedziałam, jakie to uczucie, gdy atakuje cię nanopiasiek. Z początku szczypie cię delikatnie w stopy, tak że ofierze może się wydawać, że stąpa po zwyczajnym piachu. Potem czuje się ssanie, a odrywanie stóp od podłoża staje się coraz trudniejsze. Zazwyczaj reakcją człowieka jest zatrzymanie się. Ofiara sądzi, że wdepnęła w grząski luźny piasek, i przystaje, żeby wyciągnąć stopę. Takiej reakcji właśnie oczekuje prześladowca.

Nanopiach nie tylko unieruchamia swoją ofiarę. On ją pożera.

Tak przynajmniej twierdził Lachlan. Każda cząsteczka nanopiasku jest osobnym syntetycznym organizmem. Wspólnie poruszają się i działają niczym rój pszczoł. Ich celem jest każda żywa istota, która nieopatrznie zapędzi się na pustynię. Drobinki nanopiasku lgną do wszelkich powierzchni, które napotkają na swojej drodze, oblepiając skórę i odzież ofiary. A po chwili miliard maleńkich sztucznych stworzeń zaczyna ciągnąć ją w dół, w głąb. Tam czeka na nią zguba.

Kiedy ofiara znajdzie się już pod powierzchnią pustyni, rozpoczyna się proces trawienia. Nanopiasiek pożera nie tylko mięso, ale też kości. Nie miałam pojęcia, skąd Lachlan czerpał wiedzę na ten temat. Możliwe, że była to tylko legenda. Mało jednak brakowało, a sama kiedyś pożegnałabym się z życiem, gdy zostałam wciągnięta przez nanopiasiek. Wciskał mi się do nosa, zatykał usta, jakby próbował mnie udusić. Gdyby nie interwencja Lachlana, zginęłabym wtedy.

Zatrzymałam się gwałtownie na granicy spłachci nanopiaschu i wyciągnęłam ręce do Asha. Spoglądał pod nogi wyraźnie skonsternowany, jakby nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Jeszcze niedawno przechwalał się, że jest gotów mierzyć się z niebezpieczeństwem. Kiedy jednak teraz stanął z nim twarzą w twarz, nie miał pojęcia, co począć.

– Trzymaj się, już do ciebie idę! – zawołała Lark. A już w następnej chwili pisnęła z przerażeniem.

Dojrzałam, jak za moim bratem, tonącym powoli w piachu, dziewczyna uskakuje szybko w lewą stronę. Na jej twarzy odmalowała się panika. Nanopiasek był wszędzie dookoła niej! Zaryła głęboko stopami, żeby zahamować, gdy nagle tuż przed nią zjawiała się kolejna jego splecieć. Lark musiała rzucić się do tyłu, by nie wpaść w jego objęcia. Wylądowała na plecach. Wypuściłam rękę Asha i ruszyłam jej na ratunek.

– Nie! – zawołała. – Nic mi nie jest. Pomóż najpierw Ashowi!

Wyglądała, jakby faktycznie była w stanie jeszcze przez jakiś czas samodzielnie uchylać się przed nadciągającym nanopiachem. Tymczasem Ash, gdy na niego spojrzałam, już po uda tkwił w grzędawisku. Chwyciłam go za nadgarstki i zaczęłam z całej siły ciągnąć. Materiał rękawic skafandra był jednak śliski, więc dłonie Asha wyslizgnęły mi się i zatoczyłam się do tyłu. Gdy nagle zabrakło moich dłoni, Ash osunął się jeszcze głębiej w piach, który poruszał się teraz chciwie na wysokości jego bioder.

Wtem dobiegł mnie krzyk Lark. Krążyłam właśnie wzdłuż krawędzi nanopiachu, szukając miejsca, z którego mogłabym sięgnąć po brata, zaryzykowałam jednak szybkie zerknięcie ku Lark. *Bikk!* Ją też dopadł nanopiasek!

Na ułamek sekundy zamarłam w bezruchu. Spoglądałyśmy sobie w oczy ponad migoczącym rozprażonym piachem. Komu powinnam pomóc? Kogo ocalić? Nie mogłam przecież uznać, że jej życie jest ważniejsze od życia mojego brata. Ale z drugiej strony, jak mogłabym pozwolić jej umrzeć?

– Najpierw ratuj jego! – zawołała Lark. – Poradzę sobie. Leżę na brzegu splechci, nanopiasek wciągnął tylko moje nogi. Od pasa w górę leżę na zwyczajnym piachu. – Mrużąc oczy, spojrzałam w tamtą stronę. Wyglądało na to, że Lark mówi prawdę. – Szybko, pospiesz się!

Tłumiąc szloch, skupiłam się znowu na Ashu. Zacisnęłam palce na rękawach jego kombinezonu i znów z całej siły pociągnęłam. Udało mi się wydobyć go o

jakieś dziesięć centymetrów. Zaraz jednak poczułam, jak nanopiaszek próbuje wessać mojego brata z powrotem. Odchyliłam się do tyłu, wykorzystując ciężar mojego ciała jako przeciwwagę, i zdołałam znowu wyciągnąć go kawałek dalej. Przez cały czas miałam jednak wrażenie, jakby ktoś zawiesił mu u nóg wielkie obciążniki, które ciągną go w głąb. Ilekroć udawało mi się wydzwignąć Asha kawałek w górę, nanopiach nadržbiał to, wsysając go dwa razy głębiej.

– Ash, trzymaj się, błagam! – zawołałam zrozpaczona, gdy moje rękawice znów zaczęły się ześlizgiwać. Nie mogłam ryzykować kolejnego zerknięcia w stronę Lark. Mój brat tonął coraz bardziej, a nanopiach z każdą chwilą przybliżał się do mnie. Zmuszona byłam przeskakiwać z miejsca na miejsce, poszukując pewnego oparcia.

– Nie! – zawołałam, widząc, że piach sięga Ashowi już do ramion. A chwilę potem tonął w nim już po szyję. Nie byłam dość silna, by go wyrwać! Próbowałam ująć w dłonie jego twarz, lecz również ona mi się wyślizgiwała. Z moich ust wydarł się przeraźliwy pisk: – Ash!

Rzuciłam się do niego, nie do końca wiedząc, co próbuję osiągnąć: ocalić go czy może podzielić jego los. W głowie kołatała mi wciąż rozpaczliwa myśl: *Nie mogę go zawieść. Nie mogę stracić mojego brata. Wszystko, tylko nie to.*

Wtem zobaczyłam, jak nad moim ramieniem zjawia się czyjaś ręka. Zanurzyła się głęboko w nanopiachu i chwyciła Asha za ramię.

– Lark – jęknęłam. Na myśl o tym, że zdołała się wyrwać, poczułam wielką ulgę.

Jednak to wcale nie była Lark, lecz Lachlan. Praktycznie nie mogłam dojrzeć jego twarzy pod zaparowaną szybą kasku. Z wnętrza błyskały jednak jego złociste oczy drugiego dziecka. Odepchnął mnie na bok, rzucił się na brzuch i zanurzył obie ręce w śmiercionośnym piachu. Lachlan był znacznie silniejszy ode mnie, ale nawet on musiał wyczerpać wszystkie mięśnie, by wydobyć Asha z grzęzawiska. Zdołał wyciągnąć go do pasa, a wtedy ja chwyciłam brata za rękę i uwolniliśmy go wspólnymi siłami.

Byłam skrajnie wyczerpana. Najchętniej nie podnosiłabym się z ziemi.

Wiedziałam jednak, że nanopiasek przez cały czas podkrada się niepowstrzymanie w naszym kierunku, próbując zamknąć nas w okrążeniu.

– Odciągnę go w bezpieczne miejsce. Ty zajmij się Lark – poleciłam.

Kiedy ruszyłam niepewnie przed siebie, z Ashem uwieszonym mojego ramienia, omiotłam wzrokiem pustynię. Od upału kręciło mi się w głowie. Byłam zdezorientowana, a drgające powietrze sprawiało, że nigdzie nie mogłam wypatrzeć Lark.

– Lark! – zawołałam. – Gdzie ona jest?

Ash upadł na ziemię w miejscu, gdzie przynajmniej przez chwilę nie mógł go dopaść nanopiasek. Nasz prześladowca właśnie się przegrupowywał, żeby po chwili podjąć pogoń. Ruszyłam biegiem z powrotem ku nanopiaskowi, jednak Lachlan chwycił mnie w tali i powstrzymał jednym pociągnięciem.

– Musimy uciekać. I to zaraz!

– A co z Lark? Muszę ją uratować!

Lachlan chwycił mnie za głowę i przytulił mocno do swojej piersi.

– Rowan, Lark już nie żyje.

MOJE PEŁNE BÓLU KRZYKI NIOSŁY SIĘ DALEKO po spalonych słońcem pustynnych wydmach. Próbowałam podpełznąć do miejsca, w którym ostatni raz widziałam Lark. Zapewniła mnie wtedy, że nic jej nie będzie. Prosiła, żebym skoncentrowała się na Ashu. Co mnie podkusiło, żeby jej posłuchać? Czemu Lachlan nie przyszedł wcześniej z pomocą? Zerwałam się z ziemi i ruszyłam biegiem. Ścigały mnie jego nawoływania, ale nie mogłam zrozumieć, co mówi. Zresztą nie miało to dla mnie teraz żadnego znaczenia. Miałam złamane serce.

Wreszcie dotarłam do miejsca, gdzie ją zostawiłam. Upadłam na kolana i palcami wbiłam się w nanopiasek. Widziałam, że zdradliwe drobinki zaczynają chciwie oblepiać moje ciało, ale nie reagowałam. Zależało mi na namacaniu choćby jednego kosmyka liliowych włosów. Gdybym się go uczepiła, może zdołałabym jeszcze ocalić Lark.

Jednak moje dłonie natrafiały tylko na piach.

Z gardła dobyło mi się dzikie zawodzenie. W jego tle rozbrzmiewało wycie czujnika ruchu. Brzmiało to tak, jakby on również opłakiwał odejście Lark. W pewnym momencie poczułam, jak Lachlan chwyta mnie w tali i podnosi z ziemi.

– Musimy ją ocalić – wołałam, młócąc członkami powietrze. – Musimy ją odnaleźć!

Byliśmy jednak niemal okrążeni przez nanopiasek. Jednym ramieniem podpierając Asha, a drugim trzymając mnie w powietrzu, Lachlan ruszył przed siebie. Przez cały czas kopałam powietrze i krzykiem wzywałam moją utraconą przyjaciółkę. Utraconą miłość.

Nim odnaleźliśmy miejsce, gdzie przez kilka minut nie groził nam nanopiach, Lachlan zmuszony był nieść nas obydwój. Ash był u kresu sił. Przepęniała mnie rozpacz z powodu śmierci Lark, jednak rozumiałam, że to nie czas, by ją opłakiwać. Oddech Asha był płytki i chrapliwy, a jego twarz w wizjerze kasku wydawała się przeraźliwie blada. Cóż za kretynka ze mnie, że uwierzyłam mu, gdy zapewniał, że jest zdrowy. Przesycone kamforą powietrze w Podziemiu faktycznie mogło kojąco oddziaływać na jego płuca. Jednak nie zmieniało to faktu, że płuca mojego brata zostały nieodwracalnie uszkodzone jeszcze przed jego urodzeniem, gdy nasz ojciec próbował zabić mnie w łonie matki. A teraz wyczerpanie i zabójcze gorąco sprawiły, że objawy choroby ujawniły się z całą mocą.

– Musimy go nieść – powiedziałam, gdy Lachlan postawił mnie w końcu na ziemi. – Szybko, Ash potrzebuje pomocy!

Miałam ochotę zwinąć się w kłębek i zanosić płaczem, dopóki starczy mi świadomości. Teraz jednak musiałam wziąć się w garść. Nie mogłam dopuścić, że stracę ich obydwój.

Ash klęknął. Jego oddech był przeraźliwie płytki; miałam wrażenie, że jego klatka piersiowa w ogóle się nie unosi. Żar przenikał przez nasze skafandry. Domyślałam się, że pomimo ochrony, jaką dawały, moja skóra musiała być rozgrzana do jakichś pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Na zewnątrz temperatura musiała być znacznie wyższa. Niemożliwe, byśmy dłużej wytrzymali w tych warunkach.

– Wezmę go za nogi – zaoferowałam, jednak Lachlan nie chciał o tym słyszeć. Uklęknął przy Ashu i zarzucił go sobie na bark. Ręce i nogi mojego brata zwisały teraz bezwładnie. Pozycja, w jakiej się w tej chwili znajdował, ograbiła go z godności. Zapewne nie było mu też zbyt wygodnie. Ash ani jednak myślał narzekać. Zwisał z ramienia Lachlana bezwładnie, niczym martwy.

– Znam te objawy – powiedziałam.

– Ja też – odparł szybko Lachlan. – Miał je tamtej nocy, gdy go uratowaliśmy. Wtedy, gdy mi cię odebrali.

Lachlan był zlany potem, dyszał ciężko. Zachodziłam w głowę, od jak dawna przebywał na pustyni. Czy zdołał dotrzeć do lasu? Teraz nie było jednak czasu na rozmowy. Nie mogłam marnować tchu, bo inaczej nie starczyłoby mi sił na dalszy marsz. Kiedyś musiałam całymi godzinami uciekać, klucząc pośród ulic Edenu, ale nawet wtedy nie czułam się tak strasznie zmęczona i zziębiona. Okrutny żar lejący się z nieba wysysał ze mnie siły i wolę.

Kiedy po policzkach pociekły mi łzy, poczułam, jakby zagotowały się w kontakcie ze skórą.

Wreszcie dotarliśmy do kresu pustyni, gdzie wielkie sztuczne drzewa fasolowe chroniły przed słonecznym żarem. Różnica w temperaturze powietrza dała się zauważyć natychmiast – jak tylko weszliśmy do lasu, spadła o połowę, a ja poczułam, jak wita nas cudowny chłód, podczas gdy plecy nadal parzyło mi pustynne powietrze. Po chwili byliśmy już bezpieczni, z dala od śmiertelnie gorącego upału.

Lachlan upadł na kolana, a ja przytrzymałam w dłoniach głowę Asha, kiedy kładł go na ziemi. Zerwał z głowy mojego brata kask, tak bym mogła zmierzyć mu puls. Serce biło powoli i ledwo wyczuwalnie, lecz jego rytm był równy. Niepokoiło mnie co innego – świszczący i charkotliwy oddech. Domyślałam się, co jest tego przyczyną. Płuca Asha były podrażnione do tego stopnia, że zaczęły wypełniać się wydzieliną. Przypadłość ta dawała niekiedy o sobie znać i często kończyła się infekcjami, jednak zazwyczaj proces chorobowy rozwijał się powoli. Gdyby Ashowi dolegało teraz wyłącznie to, bez problemu zdążylibyśmy na czas donieść go do lekarza. Sytuację komplikowała jego chroniczna choroba przypominająca nieco astmę. Kiedy w płucach rozwijała się infekcja, następowało mimowolne zaciskanie gardła, podobne do alergicznej reakcji organizmu. Świszczenie, które wydawał z siebie przy każdym oddechu, nie pozostawiało złudzeń, że jego tchawica się zaciska.

A gdy zaciśnie się do końca, Ash nie będzie miał jak oddychać.

Ściągnęłam skafander Asha i zaczęłam przeszukiwać jego kieszenie.

– Gdzie schowałeś inhalator? – spytałam, jednak nie reagował.

– W Podziemiu trudno o zaopatrzenie medyczne – wyjaśnił Lachlan. – Przed paroma tygodniami Ashowi wyczerpał się zapas inhalatorów. Kiedy zaproponowałem, że ukradnę mu nowy na powierzchni, zapewnił, że już ich nie potrzebuje. W Podziemiu jego problemy z oddychaniem ustąpiły.

Ash nagle otworzył oczy.

– Nie powinienem... był... iść z wami... – wydyszał, ale już w następnej chwili rozkaszłał się, a jego oczy uciekły pod powieki.

– Ash, nie trać przytomności. Wykonuj ćwiczenia oddechowe. Pamiętasz, jak się je robi? – Spróbowałam wykonywać je teraz razem z nim. Polegały na braniu długich, uważnych oddechów. Ilekroć Ash miał atak w domu, ćwiczenia takie pozwalały grać na zwłokę. Teraz jednak przy każdym oddechu czułam, jakbym miała się rozpłakać. Ashowi też zresztą szło niewiele lepiej. W domu wykonywanie kontrolowanych długich wdechów i wydechów uspokajało go, a w tym czasie ktoś z domowników mógł pobiec po inhalator albo, gdy potrzebował silniejszego leku, po strzykawkę. Dotychczas zawsze udawało się opanować sytuację przy pomocy lekarstw. Tym razem obawiałam się jednak, że niezbędna może okazać się intubacja. W przeciwnym razie...

Nie, wolałam nie zapuszczać się myślą tak daleko.

Ash miał zamknięte oczy, jednak wiedziałam, że mnie słyszy, bo próbował dostosować rytm oddechu do mnie. Przy każdym wdechu moje płuca wypełniały się odświeżającym chłodnym powietrzem, lecz do jego płuc przedostawał się zaledwie maleńki procent tego, co do moich. Jaka szkoda, że nie mogłam oddychać za niego.

Wielka Ziemi, nie zabieraj mi ich obydwójga! Nie pozwól, bym straciła również brata, i to podczas poszukiwania lasu, który mógł okazać się tylko przywidzeniem. To wszystko stało się z mojej winy...

– Czy Flame umiałaby mu pomóc? – spytałam, zdejmując skafander ochronny.

– Kiedyś zdołała go już uratować – przypomniał Lachlan. – Ale przez jakiś czas życie Asha wisiało na włosku. Flame zna się na nerwach, mózgach, chipach

i kablach. Płuca to nie jest jej konik.

– Zostawcie... mnie... – jęknął Ash.

Puściliśmy jego słowa mimo uszu.

– Zdołamy dotransportować go do Podziemia? – spytałam.

– Za daleko – Lachlan pokręcił głową. – Czekaliby nas droga ulicami, a potem autopętłą. Nieprzytomny człowiek budziłby zbyt duże zainteresowanie. Znam za to całkiem niedaleko pewne miejsce, do którego możemy go zabrać. O ile ono jeszcze istnieje.

Jęknąwszy z wysiłku, Lachlan podniósł z ziemi Asha i zarzucił sobie na bark, po czym ruszyliśmy przez sztuczny las. Przeciśnięcie mojego brata przez tunele pod wałem żelastwa i betonu okazało się praktycznie niemożliwe. Wymagało to od nas olbrzymiego wysiłku. Z frustracji twarz miałam mokrą od łez. Po drodze Ash stracił przytomność. Kiedy pocałowałam go w wilgotny policzek, poczułam na skórze delikatny podmuch jego słabutkiego oddechu. Było jasne, że trzyma się przy życiu ostatkiem sił.

Co pocznę, gdy go zabraknie?

Nie, nie miałam śmiałości rozważać tak strasznego scenariusza. Ash przeżyje.

Kiedy weszliśmy do miasta, przed nami stanęło kolejne wyzwanie – musieliśmy nieść mojego brata ulicami w biały dzień. Kiedy byłam tu poprzednio, zanim zostałam schwytana przez przedstawicieli Centrum, nie budziłoby to niczyjego zdziwienia. Zdarzało mi się widzieć wtedy ludzi, którzy stracili przytomność i leżeli na brudnych ulicach. Masowo zażywano wtedy narkotyki, szerzyły się choroby, a opieka lekarska była niedostateczna. W tamtym czasie widok ludzi niosących nieprzytomnego przyjaciela byłby czymś zupełnie naturalnym.

Teraz natomiast znaleźliśmy się na ulicy, która wprawdzie nie należała do zbyt eleganckich, jednak panował na niej porządek i czystość.

– Co tu się stało? – mruknęłam.

– Nie wiem – Lachlan potrząsnął głową. – Niedługo po twoim aresztowaniu władze skierowały tu boty budowlane, które miały zająć się renowacją dzielnicy.

Mieszkańców ewakuowano, nie mam pojęcia dokąd. Wszystko to dokonało się w okamgnieniu. Na ulicach łączących ze sobą kolejne kręgi ustawiono strażę, zdołałem jednak jakoś je wyminąć... Widziałas kiedyś na filmie mrowisko? To, co wtedy ujrzałem, wyglądało właśnie jak taki kopiec. Roje liczące tysiące botów czyściły, naprawiały, odbudowywały. Prace nad poszczególnymi kręgami nie trwały dłużej niż tydzień. Potem wrócili do nich mieszkańcy i...

– Niech zgadnę – weszłam mu w słowo. – I żaden z nich nie pamiętał, jak ich dzielnica wyglądała wcześniej? Jej nowy wygląd nie budził ich zdziwienia, czy tak?

Lachlan skinął głową.

– Żyje im się teraz lepiej. Okolice jest bezpieczniejsza, czystsza. Nikt nie głoduje. Ale... skąd takie pytanie?

Jedno nie ulegało już dla mnie wątpliwości – najwyraźniej Centrum znowu mieszało ludziom w głowy. Z jednej strony niesamowite było to, że potrafią z taką łatwością manipulować wspomnieniami dziesiątków tysięcy obywateli. Z drugiej odkrycie tego wzbudziło mój wstręt. I przerażenie. W ten sposób przecież Centrum coś dobrego, pomaganie biednym, zamieniło w rzecz obrzydliwą.

Umysł, jestestwo to najważniejsze, co mamy. Co zostanie z człowieka, gdy odbierze mu się jego podstawowe poczucie tego, kim jest?

Lachlan zaprowadził nas do dzielnicy, której jeszcze nie znałam. Kiedy tylnym wejściem dostaliśmy się na teren apartamentowca, spytałam:

– Do kogo należy to miejsce?

– Do naszego wspólnego znajomego – wyjaśnił, uśmiechając się nieznacznie. Zanim zdążyłam się zastanowić, o kogo może mu chodzić, zatrzymaliśmy się przed jakimiś drzwiami i Lachlan zapukał. Po chwili w drzwiach ukazała się męska twarz o kwadratowej szczęce. Na nasz widok mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Rook! – zawołałam, rzucając mu się na szyję. Kiedy się odsunęłam, zauważyłam, że mężczyzna spiekł raka. Jak tylko zobaczył Asha, wziął go na

ręce i zaniósł w głąb mieszkania.

Żałowałam, że spotykam się z Rookiem w tak dramatycznych okolicznościach. Ten człowiek pomagał mi nieskończenie wiele razy. Marzyłam, by móc dla odmiany choć raz porobić z nim coś zwyczajnego – na przykład przedstawić go mojemu bratu albo powspominać z nim i Lachlanem nasze dzieciństwo, pogadać o planach i nadziejach na przyszłość. Miałam poczucie, że Rook mógłby bez trudu stać się moim bliskim przyjacielem. Na razie jednak skupiał się bez reszty na tym, co najważniejsze. Zniknął w swoim pokoju, a po chwili wynurzył się, niosąc torbę pełną przeróżnych leków.

Wysypał jej zawartość na podłogę i zaczął przetrząsać opakowania z lekarstwami.

– Nie znam się za bardzo na tego typu dolegliwościach. Jakie leki stosuje Ash? Widzicie tutaj coś, co mogłoby mu pomóc?

W stercie opakowań znalazłam leki przeciwzakrzepowe, obniżające ciśnienie, przeciwważowe. Odnalazłam gazę, która pozwalała błyskawicznie zatamować krwawienia, a także maść, która pomagała w ciągu kilku dni wyleczyć oparzenie.

– Mam! – zawołałam, sięgając po inhalator. Byłam niemal pewna, że to ten sam model jak te, które trzymaliśmy w domu na wypadek ataku duszności Asha. Ze zdenerwowania dwa razy upuściłam go na podłogę, zanim wreszcie przytknęłam bratu do warg.

– Oddychaj, braciszku – zachęcałam.

Ash był przytomny. Spoglądając na mnie, wsunął inhalator do ust. Skinęłam głową, dając mu znak, po czym wcisnęłam przycisk uwalniający lekarstwo w aerozolu, które miało rozluźnić mu przeponę i oczyścić płuca z zalegającej w nich wydzieliny.

Było już jednak za późno. W oczach Asha dojrzałam błysk paniki, gdy uświadomił sobie, że nie jest w stanie zaciągnąć się na tyle głęboko, by lekarstwo przeniknęło do jego organizmu. Zadziałało tragiczne sprzężenie zwrotne – panika utrudniała oddychanie, a dławienie się wzmagalo panikę.

W efekcie po jakimś czasie z gardła Asha zaczął dobywać się przeraźliwy charkot, gdy próbował bezskutecznie wpuścić choćby odrobinę powietrza do płuc. Twarz mu poczerwieniała, po czym stała się kredowo biała. Spoglądał na mnie szeroko otwartymi oczami, z których wyzierała desperacja. Jego oczy mówiły: *Ratuj mnie!*

W następnej chwili głowa opadła mu na bok. Rzęzenie ucichło, jakby Ash nie próbował już dłużej zaczerpnąć tchu.

– Wielka Ziemi, nie! – krzyknęłam. Chwyciłam brata za ramiona i zaczęłam nim potrząsać. – Obudź się! Nie zasypiaj. Musisz oddychać! – Mówiłam coraz ciszej, aż wreszcie głos odmówił mi posłuszeństwa i tylko szeptałam: – Musisz spróbować...

Lachlan wyrwał mi inhalator i spróbował zaaplikować lekarstwo prosto do gardła. Było już jednak za późno. W odrętwieniu przyglądałam się, jak Rook wykonuje sztuczne oddychanie. Spuchnięte drogi oddechowe mojego brata nie przepuszczały jednak powietrza. Domyślałam się, że jego płuca nadal są sprawne, ale po prostu nie docierał do nich życiodajny tlen.

Nagle zaświtała mi desperacka myśl...

Lekarze powiedzieli kiedyś mamie o pewnym ostatecznym sposobie. Zastrzegli, że może się ona na niego zdecydować tylko w sytuacji, gdy atak będzie tak gwałtowny, że leki nie zadziałają i nie będzie czasu na dowieszenie chorego do szpitala. Była to procedura ostatniej szansy, gdy wszystko inne zawiedzie.

Na samą myśl, że miałabym to zrobić, ogarnęło mnie przerażenie.

– Dajcie mi nóż – zawołałam. Niemal błyskawicznie Lachlan podał mi składany nóż, który wyciągnął z tylnej kieszeni spodni. Był on jednak ciężki i tępy. Domyślałam się, że służył na co dzień Lachlanowi do różnych zwyczajnych zadań. Zapewne świetnie sprawdziliby się też w bójce, lecz raczej nie nadawał się do zabiegu, o którym myślałam. – Potrzebuję czegoś ostrzejszego i delikatniejszego. Poszukajcie w kuchni, ale migiem!

Rook był już w połowie drogi, kiedy zawołałam:

– Zaczekaj, poszukaj jeszcze jakiejś rurki. Może być słomka do picia albo pipeta. Cokolwiek, co będzie puste w środku. I przynieś też alkohol!

Rook, z szaleńczą determinacją malującą się na twarzy, zniknął w kuchni. Odliczałam sekundy do jego powrotu. Ile mogło upłynąć czasu od chwili, gdy Ash przestał oddychać? Ile zostało nam czasu, nim będzie już za późno? Jeśli będziemy zbyt długo zwlekać, w jego mózgu na skutek niedotlenienia zajdą nieodwracalne zmiany, a organy wewnętrzne przestaną funkcjonować. Minutę później będzie martwy.

Miałam wrażenie, że minęła cała wieczność. W rzeczywistości upłynęła pewnie niespełna minuta, nim Rook wpadł do pokoju, niosąc nóż do obierania owoców o długim i cienkim ostrzu. Przyniósł też słomkę do picia wygiętą fantazyjnie w ósemkę, taką, którą kelnerzy wkładają do drinków owocowych podawanych w wysokich szklankach. W drugiej ręce trzymał butelkę anyżówki. Był to niezbyt mocny alkohol, ale musiał wystarczyć.

– Otwórz butelkę – poleciłam, a gdy posłuchał, oblałam alkoholem nóż i słomkę.

Działałam jak automat, ani na chwilę nie zastanawiając się nad tym, co robię. Zmuszałam po prostu ciało do wykonywania po kolei wszystkich tych przygotowawczych czynności. Powtarzałam sobie w myśli, że to nie Ash znalazł się teraz o krok od śmierci i że to nie jego blade gardło mam rozkroić.

Palcami poszukałam jabłka Adama i zagłębienia poniżej. Po chwili wymacałam też wyraźne zgrubienie tworzone przez otaczającą je tkankę chrzęstną. Musiałam wykonać cięcie dokładnie w tym zagłębieniu. Próbując opanować drżenie dłoni, przyłożyłam nóż do skóry i nacisnęłam. Za lekko. Skóra ugięła się pod ostrzem, nadal jednak nie ustępowała. Przypomniałam sobie sytuację, w której obchodziłam się z nożem zdecydowanie mniej ostrożnie. Poderżnęłam wtedy gardło funkcjonariuszowi zielonych koszul, który był o krok od zabicia Lachlana. Pamiętałam, że zrobiło się czerwono od krwi...

Nie mogłam teraz być zbyt delikatna. Nie było czasu na wahanie. Skoncentrowałam się i nacisnęłam mocniej. W tym samym momencie

zobaczyłam, jak nóż rysuje równą linię w ciele, które rozdziela się na dwie części. Ukazał się otwór o centymetrowej szerokości. Zanurzyłam nóż na tę samą głębokość. W pamięci rozbrzmiewały mi ostrzeżenia matki – jeśli nacięcie będzie zbyt głębokie, tchawica może ulec nieodwracalnemu uszkodzeniu.

Nacisnęłam ranę z jednej strony, tak by poszerzyć otwór. O dziwo krwawienie było znikome. Wsunęłam do środka słomkę, nakierowując ją w dół. Po cichu liczyłam, że niedrożna jest tylko górna część tchawicy, a nie ona cała. Pomodliłam się w myśli do Ziemi, po czym zbliżyłam usta do wylotu słomki i zaczęłam wdmuchiwać powietrze. Odniosłam wrażenie, że powietrze przedostaje się do płuc Asha. Zrobiłam krótką przerwę, po czym powróciłam do dmuchania.

Po trzech kolejnych oddechach Ash zaczął oddychać samodzielnie. Przez poskręcaną fantazyjnie słomkę wsysał do płuc życiodajne powietrze.

Żył. Przynajmniej na razie.

ODDYCHAŁ PRZEZ SŁOMKĘ. MIAŁ ZAMKNIĘTE oczy, ja jednak domyślałam się, że jest przytomny. Po prostu musiał być śmiertelnie zmęczony.

Ja zresztą też ledwie żyłam. Byłam wykończona fizycznie i emocjonalnie.

– Lark... – odezwał się Lachlan, jednak powstrzymałam go, kręcąc głową.

– Jeszcze nie teraz.

Gdybym musiała w tej chwili rozmawiać o śmierci mojej przyjaciółki, zupełnie bym się rozkleiła. Wiedziałam, że muszę oszczędzać resztkę energii, jaka mi została, by pomóc Ashowi.

– Odpocznij. Zaczekajmy, aż jego stan się unormuje – zaproponował Lachlan.

– A kiedy będzie mógł wstać, opatrzymy go i zaprowadzimy do Podziemia.

Skinęłam głową i odgarnęłam włosy z czoła Asha. Było blade i wilgotne od potu. Rook poszedł po wodę.

– Co tam znalazłeś? – spytałam szeptem. Chciałam zadać mu pytanie, które nie dawało mi od początku spokoju: czy odnalazłeś las? Wydało mi się ono jednak zbyt obcesowe. Nie zniósłabym teraz odpowiedzi przeczącej, dlatego sformułowałam pytanie w sposób ogólny.

– Znalazłem piach – odparł. – Piach, upał i śmierć. Rowan, tak mi przykro z powodu tego, co spotkało Lark.

Utkwiłam spojrzenie w podłódze i próbowałam powściągnąć emocje. Dotychczas trzymałam się w garści, bo wiedziałam, że Ash potrzebuje mojej pomocy. Wcześniej postanowiłam, że będę opłakiwać Lark dopiero, gdy zostanę sama, a Ash znajdzie się w Podziemiu. Teraz jednak poczułam, że rozpacz po jej śmierci jest zbyt przytłaczająca. Nie potrafiłam już dłużej jej ignorować. Z oczu pociekły mi łzy. Szlochałam bezgłośnie.

To wszystko moja wina. To ja zgotowałam traumę Ashowi. To ja byłam odpowiedzialna za śmierć Lark. Gdybym tylko nie poprowadziła ich na tę samobójczą misję w głąb pustyni...

Nie, tak naprawdę moja wina sięgała znacznie dalej w przeszłość. Byłam odpowiedzialna za tę tragedię od chwili, gdy wspięłam się na mur okalający nasz dom rodzinny i wyrzalam na zewnątrz. Gdybym pozostała w ukryciu, nigdy nie poznałabym Lark i nie naraziła jej na niebezpieczeństwo. Ash nadal byłby zwykłym uczniem nieszczęśliwie zakochanym w swojej najlepszej przyjaciółce. Mama wciąż by żyła.

Teraz łkałam już głośno. Myśl, że Lark dołączyła do wszystkich tych, których muszę opłakiwać, była ponad moje siły. Jednak bardziej dojmujące od rozpacz było poczucie winy z powodu tego, co się stało. Gdyby nie ja, Lark nadal byłaby wśród żywych.

Kątem oka widziałam, że Lachlan wykonał ruch, jakby chciał mnie objąć. Powstrzymał się jednak. Było jasne, że czuje się bezradny. Z natury był mężczyzną, który spełnia się w rozwiązywaniu problemów. W głębi duszy zawsze pragnął naprawić to, co się zepsuło. Jeśli nie całkiem, to chociaż w pewnej mierze. Cierpienia, które mnie teraz przepęniało, nie mógł jednak w żaden sposób uśmierzyć.

– Rowan, powiedz mi, czego ci potrzeba – poprosił łagodnym głosem.

Na usta cisnęły mi się słowa: *Lark. Mamy. Poczucia bezpieczeństwa*. Zamiast tego powiedziałam:

– Czasu.

Niesamowite, ile różnych znaczeń kryło się w tym słowie. Potrzebowałam czasu, by ukoić ból po stracie przyjaciółki i móc w ogóle ubrać go w słowa. Marzyłam też, by los podarował mi więcej czasu, bym mogła spędzić go z nią. Ale słowo „czas” mogło być również wyrzutem: dlaczego nie przyszedłeś nam na ratunek wcześniej, Lachlanie?

Otrząsnęłam się z tych rozmyślań. Wierzchem dłoni otarłam łzy. Wciąż mieliśmy co robić.

– A zatem nic nie odnalazłeś? Ani śladu po lesie, który widziałam?

Lachlan potrząsnął głową.

– Ale to wcale nie znaczy, że on nie istnieje. Jak daleko udało ci się przebiec w dniu, w którym miało miejsce trzęsienie ziemi?

– Wydawał mi się, że niespełna półtora kilometra. Ale możliwe, że biegłam dłużej. Sama nie wiem.

– Ja nie zdołałem dotrzeć tak daleko. Skafander ochronny zaczął zawodzić, musiałem zawrócić. Nic jednak nie widziałem na horyzoncie. – Lachlan mówił łagodnym głosem. Domyślałam się, że nie chce sprawiać mi przykrości. Wiedział jednak, że nie może ukrywać przede mną prawdy. – Pokonałem może kilometr i dwieście metrów, licząc od sztucznego lasu fasolowych drzew. Gdyby las był w zasięgu półtora kilometra, powinienem był go zobaczyć.

– O ile nie działa tam pewnego rodzaju kamuflaż czy technologia osłonowa – zauważyłam. Gotowa byłam teraz uwierzyć w cokolwiek, przyjmując jakiegokolwiek wytłumaczenie. Drzewa fasolowe były przecież niewidzialne dla ludzi przebywających w granicach Edenu, mimo że otaczały go pierścieniem. Wszystkie komórki, z których zbudowana była zewnętrzna warstwa drzew, pokazywały lustrzane odbicie pustyni ciągnącej się za nimi. Dzięki temu niezależnie od tego, pod jakim kątem się na nie patrzyło, z daleka wydawały się niewidoczne. Możliwe przecież, że podobny mechanizm zainstalowano na krańcach pustyni. Wówczas dla osoby przebywającej na niej to, co znajdowało się poza jej granicami, było niewidzialne. Świat za pustynią ukazywał się dopiero w momencie, gdy się ją opuszczało.

– Tak, to możliwe – przyznał Lachlan. – Sądzę jednak, że na razie musimy zadowolić się założeniem, że nie możemy tego dowieść. Kiedy sytuacja się ustabilizuje, możemy wybrać się tam jeszcze raz. Teraz jest kiepski moment na takie eskapady.

Przyjrzałam mu się podejrzliwie.

– Nie chodzi ci tylko o to, w jakim stanie jest Ash? Chcesz powiedzieć, że dzieje się coś jeszcze?

– Owszem, ale nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać.

Nagle opanował mnie gniew.

– Po wszystkim, co ostatnio przeszłam, nie raczysz mnie nawet wtajemniczyć w swoje plany? Chyba jesteś mi chociaż tyle winien.

– Ależ wcale nie chodzi o to, że nie chcę ci o tym powiedzieć. Po prostu...

– Jasne, wiem – weszłam mu w słowo. – Możliwe, że Centrum nadal monitoruje moje myśli. Dlatego nie możesz mi ufać.

– Rowan, mam do ciebie pełne zaufanie – zapewnił Lachlan. – Nie ufam za to władzom Podziemia. Niezbyt podoba mi się plan Flinta. Jeśli się powiedzie, przyniesie wspaniałe zmiany. Jeśli jednak Centrum zdemaskuje jego zamiary, zanim wdroży je w życie, wówczas całe Podziemie narażone będzie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Żyjemy tam bezpiecznie od wielu pokoleń. Nie chcę zrobić nic, co zagroziłoby Podziemi.

Pomyślałam o Rainbow i innych ufnych drugich dzieciach. Gdyby plany Flinta wyszły na jaw, groziła im śmierć.

– Rozumiem, Lachlan. Naprawdę. Tylko że...

Nie pozwolił mi dokończyć.

– Wiem. Tak wiele już straciłaś. Dlatego chcesz włączyć się do walki. Wiem o tym.

Umilkliśmy i trwaliśmy w ciszy, aż Ash odzyskał przytomność. Kiedy zorientował się, że nie może oddychać normalnie, wpadł na chwilę w panikę. Gdy jednak zrozumiał, co zrobiłam, powoli się uspokoił. Zdołał wstać, a Lachlan obwiązał mu bandażem gardło, tak by wystająca z niego rurka nie rzucała się w oczy.

– Dzięki, wielki bracie – powiedział Lachlan, ściskając Rooka.

– Przejdę się z wami – zaoferował Rook. – Łatwiej wam będzie się poruszać, gdy będziecie szli z funkcjonariuszem zielonych koszul. Gdyby ktoś na ulicy was zaczepił, zawsze będę mógł go w majestacie prawa nastraszyć.

– Świetny pomysł – ucieszył się Lachlan. – Jeśli to nie sprawi ci kłopotu.

Rook szturchnął go żartobliwie w ramię.

– Jakiego kłopotu, stary? Przecież...

Nie dokończył jednak, ponieważ w tej samej chwili rozległ się przenikliwy pisk. Rook sprawdził swój komunikator, którym łączył się z centralą.

– Bikk – mruknął. – Wzywają mnie do roboty. Teoretycznie przez dwa najbliższe dni mam jeszcze wolne. Chcecie, żebym zgłosił, że jestem chory?

– To nie będzie konieczne – odparł Lachlan. – Damy sobie radę.

Rook, przygryzając wargę, bił się z myślami. W końcu skinął głową.

– No dobrze, jak chcesz. Jak będziecie mieli chwilę wolną, przyprowadź tę pannę do mnie na obiad. Zaproponowałbym, żebyście to wy zaprosili mnie do siebie, ale...

Lachlan wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Nie chodzi o to, że ci nie ufamy...

– Przecież wiem – zapewnił Rook. Następnie uszczypnął mnie lekko w policzek. – Miło było cię znowu spotkać, Rowan. Trzymaj się.

– Ty też, Rook. Dzięki za wszystko.

A następnie, nie spiesząc się, ruszyliśmy z powrotem do Podziemia.

Zanim dotarliśmy do celu, Lachlan musiał znów nieść Asha. Oczywiście budziliśmy zainteresowanie przechodniów, ale nie mieliśmy wyboru. Teoretycznie z zejściem do tunelu powinniśmy poczekać, aż zapadnie zmrok, jednak spieszyło się nam. Przez pół godziny prowadziłam rekonesans po sąsiednich bocznych uliczkach, pilnując, czy nikt nie kręci się w okolicy. Gdy upewniłam się, że jest bezpiecznie, przywołałam gestem Lachlana. Unieśliśmy klapę studzienki kanalizacyjnej i wskoczyłam do środka jako pierwsza. Po chwili ześlizgnął się na dół Ash. Ściągnęłam do szybko z wylotu ślizgawki, zanim zjechał za nim Lachlan. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że w korytarzach wiodących do głównej jaskini nie wystawiono żadnych straży.

Kiedy w końcu znaleźliśmy się w gigantycznej kryształowej komorze, Lachlan był na skraju wyczerpania. Nogi drżały mu w kolanach. Zachrypniętym głosem zaczął nawoływać:

– Tutaj, potrzebujemy pomocy!

Kiedy położył na ziemi Asha – nieco mniej delikatnie, niż zapewne zamierzał – zauważyłam, że również ramiona dygoczą mu z wyczerpania.

Po chwili zakrzętnęli się wokół nas mieszkańcy Podziemia.

– Potrzeba nam lekarza – powiedziałam. – Sprowadźcie tu Flame.

Zanim zdołano udzielić nam pomocy, zbliżył się do nas Flint, roztrącając stojących mu na drodze ludzi. Towarzystwa dotrzymywała mu nieodstępująca go na krok Adder. Flint wyglądał na rozjuszonego. Zanim zdążył się odezwać, poderwałam się z ziemi.

– Nie! – powiedziałam kategorycznym tonem, podpierając się pod boki. – Cokolwiek chcesz powiedzieć, to może poczekać. Mój brat potrzebuje opieki medycznej, na razie nic innego się nie liczy.

Wokół nas zbierał się coraz większy tłum. Wyczuwałam, że ludzie chcąc nam pomóc, ale powstrzymuje ich obawa przed Flintem.

– Gdziekolwiek się zjawisz, idą za tobą kłopoty – oznajmił Flint głosem pełnym pogardy. – Sprowadzasz naszych ludzi na manowce. – Zerknął wymownie na Lachlana, który był jednak zbyt wykończony, by się tym przejmować. – Jak śmiesz bezprawnie uszczuplać nasze zasoby? Naraziłaś na śmiertelne niebezpieczeństwo drugie dziecko. Sprzeciwiłaś się mojemu poleceniu. A wszystko po to, by uganiać się za jakimś majakiem, który zaszczerpiono ci w korze mózgowej. Rowan, przygarnęliśmy cię, a potem z narażeniem życia ratowaliśmy twojego brata. A ty odwdzięczasz się nam...

Tego było już za wiele. Parsknęłam histerycznym śmiechem, nie pozwalając mu dokończyć.

– Przecież nie ty ratowałaś Asha, tylko Lachlan. Gdyby zginął, byłoby ci to na rękę. On jako jedyny ma odwagę ci się przeciwstawić. Poza tym to Lark uwolniła mnie, gdy tkwiłam w Akademii Dębów, nie mając pojęcia, kim naprawdę jestem. Ty nie kiwnąłeś nawet palcem!

– Pozwoliliśmy ci żyć – mruknął Flint, rzucając mi ponure spojrzenie. – Ale powoli dochodzę do wniosku, że to był błąd.

– Proszę, pomóżcie Ashowi – wtrącił się Lachlan, z trudnością wstając

z ziemi. – Potem możemy się spierać i prowadzić nasze wojenki. Na razie tym chłopakiem musi się zająć lekarz.

– Prawdę mówiąc, Rowan, wcale nie wiem, czy chcę pomóc twojemu starszemu bratu – stwierdził Flint, krzyżując ramiona na piersi. Usta wykrzywił mu złośliwy uśmiech. – Jakie znaczenie ma dla nas ten chłopak?

Otoczający nas tłumek liczący już co najmniej dwanaście osób zaczął szemrać.

– Ale przecież to Ash – zauważył ktoś.

– Pomóż mu – rzucił inny.

Wszyscy wydawali się zdezorientowani i przejęci. Odmawiając pomocy Ashowi, Flint sprzeniewierzał się ideom Podziemia.

– Pomagamy naszym ziomkom – rzekł głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Ten tutaj jest pierworodnym. To nie nasze zmartwienie, co się z nim stanie.

W tym momencie z tłumu wystąpiła Iris.

– Flint, przygarnęliśmy go. Los Asha to też nasza sprawa. Potrzebuje nas teraz. – Po tych słowach wyminęła Flinta i pochyliwszy się, zaczęła badać chłopca. – Nie możemy troszczyć się wyłącznie o drugie dzieci. Jeśli chcemy, by ludzkość przetrwała, musimy otoczyć opieką wszystkich. Wszystkie dzieci i wszystkich ludzi.

Flint nie zamierzał jednak okazywać wstydu.

– Pomożemy twojemu bratu, ale jak tylko dojdzie do siebie, zostanie wydalony z Podziemia. Drugie dzieci są najważniejsze, od tej zasady nie może być odstępstwa. Macie czas do wieczora, potem Ash i ta twoja przyjaciółka-plotkara mają się wynieść.

Flint nie zauważył nawet, że jej z nimi nie ma.

Na samo wspomnienie Lark poczułam, jak krwawi mi serce. Zmusiłam się, by zachować spokój.

– Nie możesz wyrzucić Asha. Przecież zaraz wpadnie w ręce Centrum. Zostanie wtrącony do więzienia. Czeka go tam pewna śmierć.

– To już nie nasza sprawa. Od tej chwili na naszą ochronę mogą liczyć

wyłącznie drugie dzieci.

Wziąwszy głęboki oddech, wypaliłam:

– Ash jest drugim dzieckiem. To ja byłam pierworodna w naszej rodzinie.

Opowiedziałam o tym, jak moja mama urodziła bliźniaki. I jak rodzice, wiedząc o wrodzonej chorobie systemu oddechowego Asha, uznali, że ma szansę utrzymać się przy życiu tylko wówczas, gdy uchodzić będzie za pierworodnego. Mieszkańcy Podziemia słuchali w napięciu. A kiedy skończyłam opowiadać, rozległy się pełne współczucia pomruki.

Moja opowieść nie zrobiła jednak żadnego wrażenia na Flincie.

– W takim razie wraz z nadejściem nocy oboje macie się wynosić. Nie jesteście odtąd tutaj mile widziani. Narobiliście nam wystarczająco dużo kłopotów.

– To znaczy? – zdziwiłam się.

– Złapaliśmy intruza, który próbował się włamać na teren Podziemia. – Zanim spytałam, jaki to ma związek ze mną, Flint odwrócił się i ruszył przed siebie. Kiedy odchodził, usłyszałam, jak zwraca się do pozostałych: – Pomóżcie chłopakowi. A Rowan przyślijcie do sali przesłuchań. Ta dziewczyna musi odpowiedzieć na kilka pytań.

Powtarzałam w myśli, że najważniejsze, by Ash otrzymał niezbędną pomoc. Jednak napomknięcie o sali przesłuchań obudziło we mnie najgorsze przeczucia. Doskonale pamiętałam, jak wyglądały moje pierwsze chwile spędzone w Podziemiu. Założono mi na głowę worek i podtapiano, a Flint w tym czasie znęcał się nade mną i próbował mnie złamać. Wszystko to stanowiło sprawdzian charakteru – Podziemie sprawdzało, czy nie pęknię i nie zacznę sypać, gdy dam się złapać. Upewniano się w ten sposób, czy na pewno jestem osobą godną zaufania. Nie tylko ja, ale też wszelkie inne osoby, które być może czaiły się w odmętach mojego umysłu. Zachodziłam w głowę, czego teraz mogę spodziewać się po przesłuchaniu. Czy chodzi o wspomnianego przez Flinta intruza... czy o mnie?

Tak czy inaczej najważniejszy był Ash. Iris poleciła dwu krzepkim

mężczyznom, by podnieśli go z ziemi. Zanim z nim odeszli, mój brat otworzył oczy. Wyciągnął do mnie rękę. Dałam mężczyznom znak, żeby chwilę poczekał.

– A więc to ty jesteś pierworodnym dzieckiem? – spytał słabym głosem.

Bikk! Musiał podsłuchać! Sądziłam, że jest zbyt osłabiony, by rozumieć cokolwiek z tego, o czym rozmawialiśmy. Nie chciałam, by Ash kiedykolwiek się dowiedział.

Na jego twarzy odmalowało się mnóstwo sprzecznych emocji. Znałam go na tyle dobrze, by wszystkie je poprawnie odczytać. Ash czuł żal, że zmuszono mnie, bym wiodła życie drugiego dziecka, pozbawiona wolności i poczucia bezpieczeństwa. Dostrzegałam też poczucie winy, że w naszej rodzinie przydzielono mu uprzywilejowaną rolę, na którą nie zasługiwał. A także złość, że zatajono przed nim tak ważną wiedzę.

Wyczytałam z jego twarzy coś jeszcze, czego nie miał zamiaru ujawniać – gniew, że zostanie pozbawiony swojego uprzywilejowanego statusu.

Wszystkich nas nawiedzają niekiedy myśli, których nie chcemy wypowiedzieć na głos; myśli, które nas brukają, ilekroć pojawią się w głowie. Jednak nie wszyscy mamy siostry, które znają nas na wylot i niemal potrafią czytać nam w myślach.

Nie potępiałam go za to ostatnie uczucie. Kiedy poznałam prawdę, sama też nie umiałam powstrzymać gniewu, że podstępnie pozbawiono mnie należnego mi miejsca w świecie. Zajął je Ash. A dla niego gotowa byłam oddać wszystko, tak samo zresztą jak on dla mnie.

Zachodziłam w głowę, kto ma trudniej w takiej sytuacji: zwycięzca – a więc ten, który osiągnął lepszą pozycję niż ta, którą przeznaczył mu los – czy pokonany?

Kiedy mężczyźni zabierali Asha, poczułam, jak ktoś ciągnie mnie za ubranie. Spojrzawszy w dół, ujrzałam małą Rainbow, która przyglądała mi się z zadartą głową. W swojej małej dłoni ścisnęła bladofioletowy kwiatek wykonany niezdarnie z kawałków materiału.

– Rowan, a gdzie Lark? – spytała Rainbow. – Zrobiłam to dla niej, żeby

wpięła sobie we włosy.

I dopiero wtedy rozkleiłam się na dobre.

W MOIM UMYŚLE NIE BYŁO JUŻ ANI ROWAN, ani Yarrow – wypełniała go jedynie rozpacz. Szlochałam uczepiona Lachlana, nie bardzo nawet rozumiejąc, kim jest. Wszelkie myśli uleciały z mojej głowy. Odczuwałam wyłącznie żal po stracie i pustkę.

Nie zarejestrowałam nawet momentu, w którym zjawiała się Iris, żeby poinformować nas, że stan Asha się ustabilizował. Lachlan powiedział mi o tym dopiero długi czas potem, gdy wypłakałam już wszystkie łzy.

– Chyba muszę rozmówić się z Flintem – powiedziałam. Wzięłam bardzo głęboki oddech. Przeszedł mnie dreszcz, a po policzku potoczyła się powoli ostatnia łza. Wytarłam ją i wstałam.

– Pójdę z tobą – oświadczył Lachlan. – Nie pozwolę, żeby wyrzucił z Podziemia ciebie albo twojego brata. Ash darzony jest tu miłością. Ty również. Pozostałe drugie dzieci nie pozwolą, by Flint tak was potraktował.

Miałam co do tego pewne wątpliwości. Kiedy ludzi ogarniał strach, zamykali się na obcych. W takich chwilach najchętniej dawali posłuch silnemu przywódcy, nawet jeśli nie całkiem zgadzali się z jego decyzjami. Mogłam oczekiwać, że Lachlan stanie po naszej stronie i przeciwstawi się Flintowi, ale czy to wystarczy? Flint dowiódł już, że potrafi być bezwzględny, jeśli tego wymaga sprawa, o którą walczy... lub jeśli tak mu po prostu wygodniej. Podejrzywałam, że z natury jest człowiekiem brutalnym, a jego prawdziwy charakter dochodzi do głosu, gdy nic go nie powstrzymuje.

Do sali przesłuchań weszłam pierwsza, bez pukania ani pytania. Oczekiwałam, że miejsce to obudzi we mnie wspomnienia tortur, którym zostałam tu poddana. Dlatego przygotowałam się wewnętrznie, żeby mężnie

znieść te wspomnienia. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam po przestąpieniu progu, była zwisająca bezwładnie ze stołu ręka. Była blada i posiniaczona. Na jej widok nie pomyślałam wcale o sobie, lecz o Lark, która też kiedyś została schwyтана i poddana torturom. Na stole leżała jakaś dziewczyna, przymocowana do niego pasami.

Po drugiej stronie stołu stała Adder. Zwróciłam uwagę na jej posiniaczone knykcie. Teoretycznie mogła użyć kija, ale najwidoczniej wolała gołe pięści.

Flint stał również przy stole, ale bliżej drzwi. Kiedy weszłam, odwrócił się do mnie, odsłaniając postać leżącą na łóżku.

Długie srebrzyste włosy dziewczyny pokrywała teraz zakrzepła krew. Wyraziste błękitne oczy były lekko przymknięte i szkliste. Dopóki dziewczyna nie zamrugała, wydawały się martwe. Jej sylwetka, zazwyczaj kusząca kobiecymi krągłościami, wydawała się teraz wychudła. Najbardziej wystrzałowe ciuchy, na jakie tylko mogła sobie pozwolić za pieniądze rodziców, były podarte i brudne.

To była Pearl.

Nagle zalała mnie fala współczucia. W ułamku sekundy na dalszy plan zeszyły złe rzeczy, które się między nami wydarzyły, oraz wszystkie niegodziwości, jakie mi wyrządziła. Instynktownie chciałam osłonić Pearl przed pięściami Adder oraz przed planami, jakie wobec niej miał Flint.

Rozumiałam już jednak całkiem nieźle, jak wygląda prawdziwe życie. I domyślałam się, że choćbym życzyła jej jak najlepiej, Pearl wpadła w poważne tarapaty.

– Co ona tu robi? – spytałam. Usłyszałam, jak do pokoju wchodzi Lachlan i staje obok mnie.

– O to właśnie chcieliśmy spytać ciebie – odparł Flint. – Współpracujecie ze sobą? Realizujecie we dwie jakiś plan stworzony przez waszych opiekunów z Centrum? – Zwracając się do Lachlana, dodał: – Tłumaczyłem ci już, że nie można jej ufać.

Musiałam niemal stłumić śmiech, gdy z całkowitą szczerością wyznałam:

– Pearl i ja *nigdy* nie mogłybyśmy ze sobą pracować.

W każdym razie nie teraz.

– Zjawiała się tu w tym samym czasie co ty i Lark.

– Nikt nas nie śledził. Jestem tego pewna – stwierdziłam.

Ale czy mogłam mieć stuprocentową pewność? Próbowałam mieć oczy dookoła głowy, jednak ufałam, że to Lark pilnuje, czy nie jesteśmy śledzone. A przecież Lark działała wtedy pod wielką presją. Jeśli popełniła błąd, może Pearl faktycznie śledziła nas, kiedy opuściliśmy Akademię Dębów. Ale właściwie dlaczego miałyby to robić?

Podeszłam do stołu i przyjrzałam się jej poobijanej twarzy. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej. Skóra pod podbitymi oczami była fioletoworóżowa i obrzmiała. Wargi miała opuchnięte i porozcinane. Kiedyś nos Pearl miał perfekcyjny kształt – trudno było uwierzyć, że jest tworem natury, a nie dziełem chirurgii plastycznej. Teraz ten cud natury był złamany i wykręcony pod strasznym kątem. Całe ciało pokrywały niezliczone siniaki, ślady po pięściach i większe plamy po uderzeniach rurą, której Adder używała jako pałki.

– Naprawdę musieliście się nad nią tak znęcać, żeby zmusić ją do mówienia?

– spytałam, piorunując wzrokiem Adder.

– Nie musieliśmy. Ale lepiej się upewnić – odparła, uśmiechając się rozkosznie. Po chwili dodała: – Mnie to nic nie kosztowało.

– Pearl – odezwałam się łagodnym głosem – Słyszysz mnie? To ja, Rowan.

Jej oczy próbowały się skupić na mojej twarzy. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie doznała wstrząsu mózgu. Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że przecież Pearl nie ma pojęcia, kim jest Rowan.

– To znaczy Yarrow – poprawiłam się szybko. – Znamy się ze szkoły.

Pearl była oszołomiona. Musiała upłynąć długa chwila, nim mnie rozpoznała.

– Yarrow, pomóż mi! – wydyszała. Kiedy mówiła, otworzyła się rana na jej wargach. Pearl jęknęła z bólu. – Tak mi przykro, Yarrow. Ona nie pozostawiła mi wyboru.

– Jaka ona?

– Ellena, szefowa wywiadu. Próbowałam się jej przeciwstawić, przysięgam. Ona jednak знаła różne sekrety dotyczące mnie i moich rodziców. Gdybym się nie zgodziła, rozpowiedziałyby o tym w szkole. Zostalibyśmy wygnani do zewnętrznych kręgów. A ja tego nie chciałam.

Spoglądała na mnie takim wzrokiem, jakby tonęła. Zaczęła szlochać, a łzy mieszały się z krwią na jej twarzy.

Flint bez trudu zmusił ją do mówienia, jednak kiedy się nachyliłam, Pearl powtórzyła mi zbolalym szeptem tę samą historię. Niedługo po tym, jak wyruszyliśmy na poszukiwanie Lachlana i lasu, strażnicy złapali Pearl, która błąkała się po labiryncie podziemnych korytarzy. Okazało się, że śledziła mnie i Lark, gdy wchodziłyśmy do Podziemia.

– Ale dlaczego nas śledziłaś?

– Twoja matka...

– Nie nazywaj jej tak!

– Ellena chciała, żebym miała cię na oku. Miałam obserwować cię od początku twojego pobytu w Akademii Dębów. Kazała mi się z tobą zaprzyjaźnić... i donosić jej o wszystkim, co robisz i mówisz.

– Byłaś jej szpiegiem! – stwierdziłam oskarżycielskim tonem.

– Jaki miałam wybór?

– Zawsze jakiś istnieje – rzuciłam. – Mogłaś mi o wszystkim powiedzieć. Mogłaś jej nakłamać.

W głębi duszy domyślałam się jednak, w jak trudnej sytuacji znalazła się Pearl. Była rozpuszczoną dziewczyną z zamożnej rodziny, która nigdy w życiu nie musiała zmagać się z żadnymi przeciwnościami losu. I nagle została postawiona wobec faktu, że jeśli nie będzie współpracować, grozi jej hańba i ubóstwo. Ależ naturalnie, że nie mogła odmówić. Poza tym jeśli Centrum manipulowało jej umysłem, tak jak robiło to w moim przypadku, czy w ogóle możemy obciążać ją winą?

Ale równocześnie była to przecież ta straszna Pearl, dziewczyna, która czerpała przyjemność z dręczenia innych. Zapewne jakaś część jej prawdziwego

charakteru kazała jej zgodzić się na propozycję Elleny.

– Po... wypadku na dachu Ellena była na mnie wściekła. Gdybyś wtedy spadła, zaprzepaściłabyś połowę jej budżetu badawczego. Tak to właśnie ujęła. Po tym incydencie kazała mi ani na chwilę nie spuszczać cię z oka.

Pearl podpadła szefowej wywiadu i musiała znaleźć sposób, by z powrotem wkraść się w jej łaski.

– Kiedy zobaczyłam, jak schodzisz pod ziemię, nie miałam pojęcia, co to wszystko znaczy. Domyślałam się jednak, że Ellena byłaby zachwycona, gdybym jej o tym doniosła. Domyślałam się, że to wielka sprawa. Yarrow, ja naprawdę nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Przysięgam. Po prostu chciałam przekazać jej jakąś wartościową informację, żeby wreszcie dała mi spokój.

W pierwszej chwili chciała pójść do Centrum, żeby opowiedzieć, czego się dowiedziała. Zaraz jednak się zreflektowała – a co, jeśli wybrałyśmy się po prostu na sekretną imprezę? Co będzie, gdy wezwie szefową wywiadu i oddział zielonych koszul, a ci w podziemiach znajdą tylko tańczące dzieciaki? Dlatego zdecydowała się na najodważniejszy krok w życiu i wślizgnęła się za nami do studzienki.

– Myślałam, że tam umrę – powiedziała słabym głosem. Mimo woli uniosłam spojrzenie i napotkałam utkwiony we mnie wzrok Flinta. Uświadomiłam sobie wtedy, że Pearl pisana jest śmierć. Była wrogiem, który dowiedział się, gdzie zlokalizowana jest baza nieprzyjaciela. Flint nie pozwoli jej żyć. – Nie widziałam ani ciebie, ani Lark. Znalazłam się w labiryncie korytarzy. W pewnym momencie wydawało mi się, że słyszę twój głos. Ruszyłam w tamtą stronę, ale cię nie znalazłam. Korytarze ciągnęły się bez końca...

Pearl straciła przytomność. Wtedy opowieść podjął Flint:

– Kiedy ją znaleźliśmy, była już bardzo odwodniona. Błądziła od momentu, gdy zjawiała się w Podziemiu. Za łyk wody zgodziła się wszystko wyśpiewać. – Po chwili dodał niechętnie, z podziwem w głosie: – Nie jest tak wytrzymała jak ty i twoja przyjaciółka.

Wspomnienie Lark niemal znów doprowadziło mnie do płaczu. Była taka

silna. Ocaliła mnie. I pomogła mi odzyskać tożsamość.

Z tych majaków wyrwał mnie Flint:

– Co twoim zdaniem powinniśmy z nią zrobić?

Zamierzał przecież wyrzucić mnie z Podziemia, dlaczego w takim razie pytał mnie o zdanie? Domyśliłam się, że poddaje mnie teraz sprawdzianowi. Jeśli go zdam, pozwoli mi zostać. Wiedziałam też, jak brzmi właściwa odpowiedź, to znaczy taka, której Flint oczekuje – Pearl nie zasługuje, by żyć. Stanowi zagrożenie, ponieważ może naprowadzić Centrum na trop Podziemia. Wiedziałam, że w pewnym sensie taka odpowiedź jest najrozsądniejsza. Nawet jeśli Pearl była szantażowana przez Centrum, nie zmieniało to faktu, że pracuje dla wroga. Uwolnienie jej może skutkować śmiercią wszystkich drugich dzieci: poczynając od najbardziej sędziwych starców, na małej Rainbow kończąc.

Ale przecież moglibyśmy zatrzymać Pearl jako więźnia. Myśl, że pyszałkowata dziewczyna miałaby spędzać cały czas w podziemnej jaskini, odcięta od światła słonecznego, ubierać się w używaną odzież i wieść nudne życie, sama w sobie była niemal komiczna. Nigdy już nie byłaby popularna! Kto wie, może po jakimś czasie zaszłaby w jej charakterze zasadnicza zmiana. Drugie dzieci nie tolerowałyby jej skłonności do znęcania się nad słabszymi, a jej zniewagi nie robiłyby na nich żadnego wrażenia. W rezultacie Pearl mogłaby nauczyć się, co to znaczy być przyzwoitym człowiekiem.

Nadal jednak stanowiłaby zagrożenie. A co, gdyby w końcu wyrwała się na wolność? Poza tym żyjąc tutaj, stanowiłaby dodatkowe obciążenie dla zasobów Podziemia. Byłaby jeszcze jedną osobą do wykarmienia, a Podziemie nie miałoby z niej żadnego pożytku.

Przez nią nieomal zginęłam, gdy podała mi narkotyki na balu. Przez całe życie unieszczęśliwiała otaczających ją ludzi. Stanowiła śmiertelne niebezpieczeństwo dla tych, których kochałam. Czy wobec tego zasługiwała na śmierć?

Flint spoglądał mi twardo w oczy. Oczekiwał, że okażę się bezlitosna; że uznam, iż cel uświęca środki; że będę taka sama jak on. Mogłabym tak postąpić...

Na plecach poczułam ciepło bijące od Lachlana. Jego obecność przypomniała mi, że zawsze można znaleźć wyjście z pozornie beznadziejnej sytuacji.

– Wypuścimy ją – stwierdziłam zdecydowanym tonem.

– Rowan, rozczarowujesz mnie. – Flint potrząsnął ze smutkiem głową.

– A co mnie obchodzą twoje uczucia? – palnęłam. – Możesz przecież podać jej ten sam środek, który dałeś Lark. – Żeby spokojnie wypowiedzieć jej imię, musiałam zacisnąć zęby. Jakoś jednak mi się udało. – Wywołasz w ten sposób dezorientację i wymażesz wspomnienia.

– Ta metoda nie zawsze jest skuteczna – stwierdził Flint.

Mówił prawdę. Lark była przez jakiś czas otumaniona i skołowana, ale następnego dnia nadal niejasno pamiętała, co się z nią działo, gdy dała się pojmać drugim dzieciom. A kiedy porozmawialiśmy o tym, przypomniała sobie niemal wszystko.

– No to może Flame mogłaby coś wymyślić? – zaproponowałam. – Skoro specjaliści Centrum potrafią manipulować wspomnieniami, ona na pewno też umie. Sprawiała, że odzyskałam tożsamość. Niech usunie wybrane wspomnienia Pearl, tak by dziewczyna mogła wrócić na powierzchnię. Flame mogłaby ją tak urządzić, że dziewczyna nie będzie pamiętać, kim jest.

Zaraz zreflektowałam się w myśli – sama doświadczyłam, jak to jest, gdy ktoś skradnie ci twoje ja. I gdy narzuci ci inną osobowość. Jak mogłam życzyć tego samego Pearl? Czy nie byłoby to na swój sposób gorsze od śmierci?

Flint chyba jednak ani przez chwilę nie rozważał takiego rozwiązania.

– Możesz odejść – stwierdził obcesowo.

– Co zrobisz z Pearl? – spytałam.

– Powinnaś raczej przejmować się tym, co zrobimy z tobą.

– Nie możecie jej zabić! – zawołałam. – Jest młoda, ktoś nią manipuluje...

– Rowan, jesteśmy na wojnie – stwierdził stalowym głosem Flint. – A wojna ma to do siebie, że czasami dochodzi do tragedii. Albo zabijesz, albo zostaniesz zabity. Taka już jest ludzka natura.

– Ale to nie znaczy, że tak powinno być! – wypaliłam.

Nie zdążyłam powiedzieć nic więcej, bo w tej samej chwili w całym Podziemiu dał się wyczuć silny wstrząs. Rozległ się zgrzytliwy huk, który przetoczył się echem po jaskini. Podbiegłam do drzwi i wyjrzałam na zewnątrz do głównej sali. Liście na drzewie drżały, jakby poruszała się na wietrze.

– Co to było? Trzęsienie ziemi?

Przez chwilę panowała cisza. Wtem ze wszystkich stron zaczęło dolatywać wycie syren alarmowych. A zaraz potem usłyszeliśmy czyjś zrozpaczony głos:

– Centrum atakuje! Zielone koszule! Są już tutaj!

W UŁAMKU SEKUNDY TO, CO STANIE SIĘ Z PEARL, przestało obchodzić wszystkich w sali tortur. Wszystkich z wyjątkiem mnie. Flint wymienił szybkie spojrzenie z Lachlanem.

– Rowan, zostań tu – powiedział Lachlan. – Zaraz wrócę.

Zaszła w nim nagła zmiana, którą momentalnie rozpoznałam – był teraz zdeterminowany i gotowy zrobić wszystko, co konieczne, by chronić ludzi, których kochał.

Chwilę później zostałam sam na sam z Pearl. Chciałam dołączyć do mężczyzn, by pomóc jakoś w odpieraniu ataku nieprzyjaciela. Wiedziałam, gdzie znajduje się zbrojownia. W pamięci miałam też treningi obronne, w których brałam udział. Gdybym tylko chciała, mogłabym w ciągu kilku minut wspiąć się na kamforowiec i zająć pozycję strzelecką. Inna sprawa, że moja wiedza na temat broni była dość skąpa – wiedziałam tylko, w którą stronę należy skierować wylot lufy. Ale mimo wszystko mogłabym się chyba na coś przydać. Mogłabym też pomóc w doprowadzeniu dzieci w bezpieczne miejsce.

Jeśli jednak nie był to fałszywy alarm i do Podziemia rzeczywiście przedostali się przedstawiciele Centrum, czy w ogóle mieliśmy się dokąd schronić?

– Co się dzieje? – spytała słabym głosem Pearl. Była teraz zupełnie bezbronna i przerażona. Na jej widok resztki mojej niechęci wyparowały. Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że Flint zamierza ją zabić. Całkiem możliwe, że nawet Lachlan by go w tym poparł, choć nie bez skrupułów. Zapewnienie bezpieczeństwa drugim dzieciom było dla nich obu sprawą priorytetową.

Jeśli jednak przopuszczono atak na Podziemiu, wszystko mogło się zdarzyć. Z drugiej strony niewykluczone, że to fałszywy alarm. Może do studzienki

zajrzał po prostu jakiś funkcjonariusz zielonych koszul, który teraz zapłaci życiem za swoją ciekawość.

Ale możliwe też, że wdarła się tutaj cała armia.

To, co było dobre dla nas, oznaczało wyrok dla Pearl. Jeśli sytuacja się uspokoi, Flint prędzej czy później przypomni sobie o niej, a wtedy przyjdzie tu, by raz na zawsze rozprawić się z zagrożeniem. Wiedziałam, że jeśli chcę wziąć sprawy w swoje ręce i ocalić Pearl, nie będę miała drugiej takiej szansy jak teraz. Podziemie zostało wyposażone w liczne systemy obronne, a drugie dzieci, łącznie z tymi najmłodszymi, są świetnie przeszkolone na wypadek ataku. Zapewne i tak w niczym bym im nie pomogła. Przeciwnie, tylko bym zawadzała. Jediną osobą, którą mogłam ocalić, była Pearl.

– Zaatakowało nas Centrum – wyjaśniłam. Na jej twarzy odmalowała się cała gama emocji. Słowo „zaatakować” niewątpliwie napędziło jej strachu. Ale równocześnie wiedziała, że może to dla niej oznaczać ocalenie.

– Jeśli tu zostaniesz, Flint cię zabije – powiedziałam bez ogródek. – Nie wiem, czy jesteś ofiarą czy też ciąży na tobie wielka odpowiedzialność. Mam jednak nadzieję, że jeśli wydostaniesz się na powierzchnię i zdołasz wrócić do Akademii Dębów, będziesz pamiętać, że uratowałam ci życie, mimo że ty wcześniej skazałaś mnie na śmierć. Jesteś moją dłużniczką. A ceną za pomoc, której ci teraz udzielam, jest twoje milczenie. Nie wolno ci nigdy wspomnieć o tym miejscu. Umowa stoi?

Pearl skinęła głową. Cóż innego mogła zrobić? Możliwe, że popełniałam kretyński błąd, obdarzając ją zaufaniem. Jednak zaufanie ma to do siebie, że aby zaistniało, trzeba podjąć ryzyko. I to ja musiałam wykonać ten wysiłek, bo Flint nigdy by się na to nie zdobył.

– Żyją tu dzieci – powiedziałam, nachylając się do niej. Chciałam, by Pearl zrozumiała, jak ważne jest to, co mówię. – Małe dzieci. Całe rodziny zginą lub trafią do więzienia, jeśli wpadną w ręce Centrum. Nie wiem, co tam się dzieje, ale jeśli zdołamy się prześlizgnąć, musisz mi obiecać, że dochowasz tajemnicy. Tylko w ten sposób możemy ustrzec dzieci przed niebezpieczeństwem.

– Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić – wyznała Pearl pełnym żałości głosem. – Nie miałam wyboru!

– Nawet się nie waż tak mówić! – krzyknęłam. – Rozumiem, że jesteś przerażona i czujesz się bezsilna, ale prawda jest taka, że jak najbardziej miałaś wybór. Zawsze mamy wybór. Nawet jeśli czasami oznacza on, że to ty cierpisz, by innemu oszczędzić cierpienia. Że musisz poświęcić życie, by ktoś inny mógł przeżyć. Zawsze, w każdej sytuacji, możesz podjąć właściwą decyzję, nawet jeśli jest ona niełatwa.

– Przepraszam – wyszeptała Pearl, zwieszając głowę niczym skarcone dziecko.

Twoja skrucha w niczym nam teraz nie pomoże, pomyślałam. Gdzieś daleko rozległ się kolejny stłumiony huk, a w tym samym momencie skała pod moimi stopami zadrżała.

Wypuszczenie Pearl na wolność było ryzykownym krokiem, jednak wiedziałam, że tak właśnie należy postąpić. Miałam tylko nadzieję, że jeśli ktoś ma ucierpieć na skutek mojej decyzji, będę to ja, a nie inne drugie dzieci. Odpięłam pasy krępujące nadgarstki i kostki dziewczyny, po czym pomogłam jej wstać.

Mimo że znajdowałyśmy się w strasznej sytuacji i groziła nam śmierć, Pearl nadal była sobą. W osłupieniu przyglądałam się, jak zaraz po uwolnieniu jej rąk zaczyna wygładzać sobie brwi. Uszczypnęła się też w policzki, żeby się zaróżowiły, po czym odgarnęła z twarzy rozczochrane srebrzyste włosy. Dla Pearl to, czy wyglądała atrakcyjnie, było sprawą życia i śmierci. Myśl, że ktoś tak próżny i płytki może skrywać w swojej duszy tak niezmiernie pokłady podłości, była niemal komiczna. Pearl była po prostu niezwykle słabym człowiekiem. No i ofiarą potężniejszych sił.

Dopiero po chwili zwróciłam uwagę na jej kolczyki. Uszy Pearl wciąż zdobiła biżuteria podarowana jej przez Ellenę. Były to szmaragdy w kształcie łez, oczywiście sztuczne, jednak połyskujące jaśniej niż prawdziwe kamienie. Ich wnętrze zdawało się tańczyć przy każdym ruchu jej głowy. Ależ byłam idiotką,

że tego nie zauważyłam. Pearl była modową maniaczką, nigdy nie zakładała dwa razy tego samego stroju, a biżuterię zmieniała trzy razy na dzień. A mimo to od chwili, gdy Ellena podarowała jej te kolczyki, nie widziałam, by choć raz zdjęła je z uszu.

Kiedy przyjrzałam się im dokładniej, okazało się, że kamienie nie tylko połyskują, gdy pada na nie światło – rozświeślały się i gasły samoczynnie w powolnym hipnotycznym rytmie. Nagle mnie olśniło.

– Dostałaś te kolczyki od Elleny. Kazała ci ich nigdy nie zdejmować?

Pearl dotknęła kolczyków i skinęła głową. Uśmiechała się niepewnie, jakby właśnie usłyszała komplement. Ja jednak nie dałam się już dłużej zwodzić.

– Pearl, naprawdę świetnie odegrałaś swoją rolę. Mało brakowało, a uwierzyłabym ci, że jesteś tylko niewinną ofiarą. A tak naprawdę byłaś podstępna jędzą, która od początku posłusznie wykonywała wszystkie polecenia Centrum. – Mówiłam łagodnym głosem, tak że w pierwszej chwili Pearl nie wychwyciła czającej się w nim groźby. – Te kolczyki wysyłają sygnał do Centrum, prawda?

Dziewczyna potrząsnęła energicznie głową, cofnęła się o krok i wpadła na stół do przesłuchań. Nie miała dokąd uciec. Po chwili kolejny wybuch sprawił jaskinię w drzenie. Mój umysł nie rejestrował już jednak żadnych zewnętrznych bodźców – przepełniała mnie nienawiść do tej dziewczyny, która była współodpowiedzialna za wszystkie straszne rzeczy, które mi się przytrafiły.

Chwycałam ją za kołnierz, rozrywając delikatny materiał, z którego uszyte było jej niepraktyczne ubrania mieszkanki wewnętrznego kręgu.

– Wiedziałaś, że jestem poddawana eksperymentom! – wrzasnęłam jej prosto w twarz.

Gdyby nie odkrycie, że Pearl świadomie przesyła za pośrednictwem kolczyków komunikaty do Centrum, dałabym się zwieść jej minie, która wyrażała teraz wielkie zmieszanie. Znałam ją jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że do perfekcji opanowała sztukę kłamstwa i manipulacji. Nie mogła mnie już więcej oszukać.

– Byłam królikiem doświadczalnym – krzyczałam, potrząsając nią. – Obezwładnili mnie i zaczęli grzebać w moim mózgu!

– Nie wiedziałam... – zaczęła, jednak nie pozwoliłam jej dokończyć. Pchnęłam ją, tak że wpadła plecami na stół. Potknęła się, a wtedy usiadłam na niej, krępując jej ruchy. Miotła się pode mną, jednak nie stawiała większego oporu. Wściekłość, która wzbierała we mnie od dawna, wreszcie znalazła ujście. Miałam wrażenie, że całe zło, jakie mnie spotkało, jest winą tej dziewczyny oraz ludzi jej pokroju. Zamożnych, uprzywilejowanych i rozpuszczonych pierworodnych, którym wydaje się, że są władcami Edenu. Ludzi gardzących wszystkimi, którzy nie mieli w życiu tyle co oni szczęścia – bo są inni niż reszta, ubodzy albo są drugimi dziećmi.

Chwyciłam ją znów za ubranie i dalej wrzeszczałam:

– Pomogłaś odebrać mi wszystko, co miałam; wszystko, czym byłam. – Powróciły wspomnienia mojej mamy zastrzelonej przez zielone koszule, kiedy próbowała zapewnić mi lepsze życie. O jej śmierć również obwinałam Pearl. – Zrobili ze mnie innego człowieka i na to też przystałaś! Nie powiedziałaś mi, że tak naprawdę wcale nie jestem Yarrow. Nie próbowałaś mi pomóc. Nie wierzę w twoje udawane łzy. Za późno!

Uderzyłam jej głową o posadzkę. Z ust Pearl wydarł się jęk bólu.

– Teraz już wiem, kim jestem! Ukradli mi moje „ja”, ukryli przede mną moje prawdziwe wspomnienia i zaszczepili w ich miejsce nowe. Chcieli, żebym uwierzyła, że jestem Yarrow. Ale ja wcale nią nie jestem, rozumiesz? – Jeszcze raz uderzyłam jej czaszką o skałę. – Jestem Rowan!

Nagle do sali wpadł Lachlan. Szybkim spojrzeniem ocenił sytuację, po czym ściągnął mnie z Pearl i uniósł w powietrze. Nawet wtedy nie mogłam się powstrzymać i nadal wykrzykiwałam:

– To ty jesteś temu winna! Pomogłaś im mnie złamać. Pomogłaś unieruchomić mnie i nakłuwać mi oczy igłami! Zaczęli grzebać mi w mózgu, sprawili, że robiłam rzeczy, na które nigdy bym sobie nie pozwoliła jako Rowan. Przez ciebie utraciłam to, kim byłam!

Pearl zdołała chwiejnie uklęknąć. Przypatrywała mi się w osłupieniu, podczas gdy Lachlan próbował mnie okiełznać.

– Kim jest Rowan? – spytała wreszcie, co zbiło mnie z tropu.

– Mną! – wrzasnęłam. W końcu zdołałam się wyrwać Lachlanowi, jednak nie ruszyłam znów do ataku. – Jestem drugim dzieckiem. Widzisz, jakie mam oczy? – Wytrzeszczyłam je teraz, tak że Pearl mogła dokładnie się przyjrzeć jednemu kalejdoskopowo barwnemu oku i drugiemu, bezbarwnemu i ślepemu. – Przez nich zapomniałam, kim jestem. Zrobili ze mnie kogoś, kim nie chciałam być.

– Ale... dlaczego? – wydusiła z siebie. Zbyłam jej pytanie wzruszeniem ramion. Kiedy Pearl odezwała się znowu, jej głos brzmiał dziwnie. – Mogą to zrobić każdemu?

W tym momencie wtrącił się Lachlan.

– Nie ma czasu. Zostaliśmy zaatakowani. Od strony labiryntu nadciągają oddziały zielonych koszul. Te huki, które słyszałyście... Ilekroć gubią drogę w labiryncie korytarzy, żołnierze po prostu wysadzają w powietrze skalną ścianę. Musimy uciekać. Trzeba zaprowadzić dzieci w bezpieczne miejsce.

Momentalnie Pearl przestała dla nas istnieć. Ruszyliśmy z Lachlanem biegiem ku drzwiom. Dogonił mnie krzyk dziewczyny:

– A co ze mną?

– Agresorzy to twoi sprzymierzeńcy – odparłam ze złością, oglądając się na nią. – Sama ich tutaj sprowadziłaś. Nie masz się czego bać. Chyba że Flint przypomni sobie o tobie.

W kryształowej sali pod drzewem panował chaos. Na razie zielone koszule nie przedarły się tutaj, wszędzie uwijali się nasi ludzie. Uzbrojeni w karabiny, próbowali naprędce zorganizować obronę. Szybko uświadomiłam sobie, że wszystkie treningi niewiele znaczą w sytuacji prawdziwego ataku. Teoretycznie wszyscy wiedzieli, jakie pozycje powinni zająć, jednak świadomość, że muszą zbrojnie walczyć o przetrwanie bliskich, była paraliżująca. W rezultacie wielu z nas, mimo że zostali wyszkoleni, by zameldować się na konkretnych placówkach, stawiało się tam z dużym opóźnieniem, gdyż wcześniej chcieli

zajrzeć do przyjaciół i sprawdzić, czy są na razie bezpieczni. Trwały spory o to, kto powinien podjąć walkę, a kto szukać schronienia. Nastolatki, przejawiając odwagę, chcieli zająć najbardziej narażone pozycje. Najmłodsze dzieci natomiast sprawiały wrażenie zagubionych.

– Lachlan, idź tam, gdzie cię potrzebują – zaproponowałam. – Ja nie mam przydzielonego żadnego stanowiska, więc mogę zająć się dziećmi. Dokąd mam je zaprowadzić?

Lachlan potrząsnął głową.

– Zaprowadzenie dzieci w bezpieczne miejsce jest ważniejsze niż ratowanie pozostałych. Ważniejsze nawet od ratowania drzewa. Muszę pokazać ci sekretną salę. Powinienem był zaprowadzić cię tam już wcześniej, ale...

Wiedziałam, dlaczego tak się nie stało. Tak naprawdę nikt mi do końca nie ufał.

Lawirując pośród zdjętych paniką mieszkańców, przedostaliśmy się do dzieci i zaczęliśmy zaganiać je do grupy. Grzmiały kolejne wybuchy, a wkrótce we wnętrzu skalnych korytarzy rozległy się też wystrzały z broni palnej. Ich huk nadal tłumiony był przez skały. Znaczyło to, że napastnicy nadal nie przedarli się do głównej jaskini. Ktoś nadal bohatercko bronił im wstępu głębiej.

Poszukałam spojrzeniem Rainbow i po chwili zorientowałam się, że mała bohaterka wykonała za nas już połowę roboty. Podparta pod boki, cienkim głosikiem wykrzykiwała rozkazy do grupki przerażonych dzieciaków, starszych od niej o kilka lat. Było jasne, że to ona dowodzi tą grupą. Kiedy nas zobaczyła, w jej spojrzeniu dostrzegłam ulgę, jednak nie miałam wątpliwości, że nawet gdyby nie mogła liczyć na naszą pomoc, i tak zaprowadziłaby dzieci w bezpieczne miejsce. Kto wie, może przy okazji pokonałaby też zieloną koszulę. Na biodrze miała kaburę z pistoletem. Pas, którym się obwiązała, był na nią znacznie za długi, tak że zamiast go zapinać na sprzączkę, zawiązała go z przodu na supeł. Dostała go pewnie od któregoś ze starszych drugich dzieci.

Dlaczego ludzie pozwalają, by dzieci brały do rąk śmiertelnoścą broń? Żadna cywilizacja nie powinna do tego dopuszczać.

– Gdzie inni? – spytał Lachlan. Nadal nie wiedzieliśmy, gdzie podziewa się kilkanaście najmłodszych dzieci.

– Nie wiem – odparła Rainbow pewnym głosem małej wojowniczkii. – Lekcja skończyła się na chwilę przed alarmem. Mogli pójść wszędzie.

Spojrzeliśmy po sobie z Lachlanem. Musieliśmy podjąć decyzję: czy skupić się najpierw na zapewnieniu bezpieczeństwa dzieciom, którymi dowodziła Rainbow, czy raczej poszukać najpierw reszty? Czy ocalić te dzieci, ryzykując życie pozostałych... czy skupić się na ratowaniu wszystkich, ryzykując, że nim je odnajdziemy, będzie za późno i również te tutaj zginą?

Lachlan nie wahał się ani chwili.

– Chodź z nami – powiedział, chwytając Rainbow za rękę.

Obeszliśmy pień olbrzymiego kamforowca. Korzenie w tym miejscu wiły się na powierzchni ziemi, jakby drzewo wyciągało ku nam ręce. Lachlan przypadł do ziemi u podnóża drzewa, w miejscu gdzie pień rozszczepiał się, i zaczął rozgarniać szeleszczące zeschnięte liście i ziemię. Po chwili naszym oczom ukazał się częściowo zagrzebany w ziemi panel z uchwytem. Lachlan jednym pociągnięciem otworzył właz i gestem popędził dzieci.

– Ale tu ciemno – powiedziała Rainbow. Jej głos po raz pierwszy zadrżał. Chciała chyba, by zabrzmiało to jak zwyczajne stwierdzenie faktu, jednak wyraźnie nie miała ochoty wchodzić do dziury. Dla osoby, która zawsze żyła pod ziemią, schodzenie jeszcze głębiej, do miejsca, gdzie panuje jeszcze większy mrok, oddalonego jeszcze bardziej od światła słonecznego, za którym tak tęskniła, musiało być nie lada wyzwaniem.

– Ciemno, ale bezpiecznie – uspokoił ją Lachlan. – Drzewo was ochroni.

– Jak długo musimy tu siedzieć? – spytała Rainbow.

– Dopóki ktoś po was nie przyjdzie. Wcześniej nie wściecie się wyściubiać stąd nosa.

Dzieci spoglądały na mnie z nadzieją i strachem. Po chwili Lachlan zamknął właz i znikły mi z oczu. Nie opuszczała mnie myśl, że pozostawione same w ciemności muszą umierać teraz ze strachu.

Nagle znów rozległa się kanonada. Odniosłam wrażenie, że tym razem strzały dobiegają z bliska. Ja też byłam przerażona.

– Muszę jak najszybciej wracać na posterunek. Obawiam się, że atakujący sforsowali już naszą linię obrony – powiedział Lachlan, wciskając mi do rąk pistolet. – Pamiętasz, jak się tego używa?

Skinęłam szybko głową.

– Świetnie. Ale postaraj się do tego nie dopuścić. Pociągnij za spust tylko wtedy, gdy nie będziesz mieć innego wyjścia. Zajmij się szukaniem pozostałych dzieciaków.

Na koniec mnie pocałował. Był to szybki buziak, być może pożegnalny. Oboje domyślaliśmy się, jak to wszystko zapewne się skończy.

Lachlan miał już odejść, gdy nagle przystanął i odwrócił się do mnie.

– Za mało – powiedział zachrypniętym głosem. Ujął tył mojej głowy w dłonie i przyciągnął mnie do siebie. – Za mało czasu. Za mało ciebie. – Tym razem jego pocałunek był inny. Czuły i pełen tęsknoty. – Obiecuj mi, że nie dasz się zabić.

Z jakiegoś powodu nie potrafiłam złożyć mu tej obietnicy. Nie chciałam przyrzec czegoś, na co nie miałam wpływu.

– Obiecuję, że się postaram.

– Rowan, musisz przeżyć. Nie mogę znów cię stracić – powiedział Lachlan. Oczy mu lśniły. – Zostań z dziećmi.

– Nie, będę walczyć.

– Dziećmi musi zajął się ktoś starszy. Jeśli dorośli dostaną się do niewoli, one zostaną bez opieki.

Biłam się z myślami. A już w następnej chwili stało się jasne, że zwlekałam za długo.

Zielone koszule przedarły się przez posterunki obronne Podziemia. Nieprzyjaciół wdzierał się teraz do kryształowej jaskini. Drugie dzieci miały się w popłochu po sali, strzelając do napastników, ci jednak posuwali się zwartą formacją. Szli, osłaniając się tarczami, wyposażeni w broń palną przeznaczoną do walki w dużym dystansie.

Atakujący otworzyli ogień i zobaczyłam, jak drugie dzieci jedno po drugim osuwają się na ziemię. Zapanował straszny chaos, zewsząd dobiegały wrzaski, przekleństwa i zawodzenie rannych. W powietrzu zawisła cuchnąca mgiełka prochowego dymu.

– Rowan, wdrap się na drzewo! – zawołał Lachlan.

Nie wiedziałam, po co mam się wspinać – czy Lachlan chciał w ten sposób zapewnić mi bezpieczeństwo, czy ustawić mnie na dobrej pozycji strzeleckiej? Bez namysłu wsunęłam pistolet za pasek i zaczęłam się wspinać.

W krótkim czasie wdrapałam się wysoko – ukryta wśród listowia pólleżałam na grubym konarze, stanowiącym znakomity punkt obserwacyjny. Jak okiem sięgnąć, ziemia u dołu zasłana była ciałami. Wśród zabitych dostrzegłam kilku funkcjonariuszy zielonych koszul. Krew sączyła się z ich ran i wsiąkała powoli w glebę u podnóża drzewa. Znacznie więcej było jednak ciał drugich dzieci. Leżały nieruchomo, jednak na żadnym z nich nie widziałam krwi.

Nieopodal dojrzałam kilku atakujących. Stali nieruchomo, wykrzykując komendy. Zapewne udałoby mi się przynajmniej jednego z nich sprzątnąć, wolałam jednak nie ryzykować. Widziałam, jak zielone koszule metodycznie wyłapują krzyczące w niebogłosey drugie dzieci i odciągają je na bok.

– Nie – krzyknęłam, jednak mój głos zginął w zgiełku.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że napastnicy nie zabijają drugich dzieci. Nigdzie nie dostrzegłam krwi, ponieważ mieszkańcy Podziemia byli tylko ogłuszani.

Śmierć była strasznym końcem. Jednak oni zamierzali wziąć nas wszystkich żywcem. Domyślałam się, w jakim celu.

Aby poddać nas eksperymentom.

Wyobraziłam sobie małą Rainbow, której specjaliści w Centrum nakłuwają igłami oczy, a do mózgu podłączają kable. Oczami wyobraźni widziałam, jak jej cudowna osobowość znika bez śladu, zastąpiona przez coś obrzydliwego.

Nie mogłam do tego dopuścić. Ześlizgnęłam się z mojego konara i zaczęłam schodzić w dół. Przepęniała mnie tak wielka złość, że gotowa byłam rzucić się

z gołymi pięściami na żołnierza, który stanie mi na drodze. Czułam się niczym dzikie zwierzę broniące młodych.

Po chwili pośród nadal broniących się mieszkańców Podziemia wypatrzyłam Lachlana. Skryty za pniem drzewa, celował w trzyosobową grupkę zielonych koszul. Pistolet Lachlana miał wielką siłę rażenia, jednak jego przeciwnicy byli opancerzeni. Celne strzały wyrządzały im niewielką szkodę – trafieni zataczali się do tyłu, po czym znów zaczynali napierać.

Wiedziałam, że muszę dotrzeć do Lachlana i mu pomóc. Nadal jednak znajdowałam się na drzewie, a od ziemi oddzielało mnie jakieś sześć metrów.

W pewnym momencie Lachlan wyskoczył zza pnia, żeby zyskać lepszą możliwość strzału. Nie zauważył jednak, że z flanki naciera jeszcze jeden funkcjonariusz zielonych koszul. Otworzył ogień do Lachlana. Ciałem chłopaka wstrząsnął dreszcz, po czym zamarł bez ruchu. A po chwili osunął się bezwładnie na ziemię.

TEN ŚWIAT NIE ZNAŁ PRAWDZIWYCH BOHATERÓW. A w każdym razie nikt nie pozostawał w nim bohaterem zbyt długo. Aaron Al-Baz, którego wszyscy w Edenie uważali za heroiczną postać, w rzeczywistości był zbrodniarzem winnym ludobójstwa. Aby chronić planetę, niemal doszczętnie wytępił gatunek ludzki. Herosi dopuszczali się oszustw. I zawodzili tych, którzy im ufali. Lark, będąca najodważniejszym człowiekiem, jakiego znałam, zginęła zupełnie bezsensownie, na skutek chwili nieuwagi. Wraz z jej śmiercią świat stracił kolejną bohaterkę. A teraz widziałam, jak zielone koszule wloką dokądś nieprzytomnego Lachlana a wraz z nim dziesiątki drugich dzieci – mężczyzn, kobiet i osób w podeszłym wieku. Wszyscy oni nadal byli ogłuszeni, a może martwi – nie miałam pewności. Nigdzie nie dostrzegałam śladów krwi, ale ich ciała były pozbawione życia, a oczy spoglądały martwym wzrokiem. Wiedziałam, że Lachlan gotów był zginąć dla ratowania tego miejsca. I teraz faktycznie pisana była mu śmierć, a wraz z nim umrzeć miało całe Podziemie.

A co ze mną? Czy ja zdobędę się na bohaterski czyn? Czy rzucę się z drzewa na najbliższego nieprzyjaciela? Czy zastrzelę go, a może wydrapię mu oczy lub też uduszę za to, że ważył się zbeczczyć naszą świątynię? Chciałam, by moje okrucieństwo i brutalność dorównywały tym przejawianym przez Centrum. Byłam przekonana, że jeśli siła woli i marzenia wystarczą do osiągnięcia zamierzonego celu, zapiszę się w historii jako bohater.

Ale zarazem wiedziałam coś jeszcze – ów bohaterski czyn oznaczałby równocześnie wyrzeczenie się życia. Jakaś część mnie domagała się właśnie tego. Lark już nie żyła, Lachlan został pojmany – jaki sens miało teraz moje istnienie?

I właśnie wtedy przypomniałam sobie o Ashu. Nie widziałam go pośród zatrzymanych.

Oprócz tego pośród korzeni kamforowca nadal tkwiły przecież ukryte drugie dzieci.

Kiedy odprowadzałam wzrokiem żołnierzy wlokących bezwładne ciało Lachlana, zachodziłam w głowę, czy na moim miejscu zaryzykowałby on śmierć, by mnie ratować. Nie, skupiłby się na ocaleniu dzieci. Wiedziałyby, że jeśli stawką jest uratowanie niewinnych istnień, ukrywanie się lub ucieczka nie przynoszą hańby.

Dopiero po zapewnieniu bezpieczeństwa dzieciom przyszedłby z pomocą mnie.

– Lachlanie, bądź silny – szepnęłam. – Nie umieraj. Uwolnię cię, przysięgam.

W końcu wywleczono ostatnie nieprzytomne dorosłe drugie dzieci i w głównej sali zapanował spokój. Nadal jednak toczyły się zażarte walki w korytarzach i komorach nad nami. Wystrzały obrońców niosły się echem po labiryncie korytarzy. Odpowiadały im nieco bardziej przytłumione huk strzałów z broni obezwładniającej, którą posługiwały się zielone koszule. Zsunęłam się z pnia na ziemię i skryłam pośród korzeni drzewa. Dzieciom na razie nie groziło niebezpieczeństwo, mogłam się skupić na poszukiwaniu Asha.

Byłam pewna, że nadal dochodzi do siebie w sali szpitalnej. Liczyłam, że będzie już mógł poruszać się o własnych siłach. Najlepiej, gdyby mógł biegać. I posługiwać się bronią palną.

Umieszczone na kryształowym sklepieniu sztuczne słońce, które zapewniało cykl dobowy mieszkańcom Podziemia, wskazywało późny wieczór. Złociste promienie, przesiane przez gałęzie kamforowca, kładły się na ziemi coraz dłuższymi mrocznymi cieniami. Dzięki nim łatwiej mi było niepostrzeżenie przekraść się ku izbie chorych. Nikt mnie nie zauważył.

Kiedy otworzyłam drzwi, moim oczom ukazało się puste pomieszczenie.

Czyżby zatem Ash został pojmany? Czy też starczyło mu sił, by się ukryć?

Łóżko, na którym zapewne leżał, miało skotłowaną pościel. Na poduszce, kiedy się zbliżyłam, dostrzegłam czerwoną plamkę krwi. Nie wiedziałam, skąd pochodzi – czy jest wspomnieniem po tracheotomii, czy śladem po świeżej ranie? Omiotłam wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu jakichś wskazówek, jednak niczego się nie dowiedziałam. Sąsiednie łóżka również wyglądały, jakby pacjenci opuścili je w wielkim pośpiechu.

Nie miałam pojęcia, co począć. Powinnam szukać dalej Asha, ryzykując, że zostanę schwytana? Oznaczałoby to, że zostawię samopas dzieci ukryte pod drzewem. Były dzielne i zaradne, jednak co z nimi będzie, gdy nie przyjdzie po nie żaden dorosły?

Kiedy stałam pod drzwiami, bijąc się z myślami, w końcu decyzję podjęty za mnie zielone koszule. Nagle usłyszałam tupot zbliżających się ciężkich buciorów.

– Widzieliście te ich oczy? – zagaił jeden.

– Wyglądają nienaturalnie – odparł jego kompan. – Tak jakby nie były ludzkie.

Po chwili usłyszałam ciężkie kroki kolejnej pary stóp. Wyjrzałam ostrożnie przez szparę w uchylonych drzwiach. Funkcjonariusze salutowali właśnie nowo przybyłemu.

– Panie sierżancie, jesteśmy na etapie uprzątnięcia miejsca walki. Zostało jeszcze kilka ciał do odtransportowania...

– Ciał? – przerwał mu ostro sierżant.

– Przejęczyłem się. O ile mi wiadomo, żaden z przeciwników nie stracił życia. – Po chwili dodał wesoło: – Paru straciło za to uzębienie. Te nowe pistolety obezwładniające są naprawdę potężne. Kiedy ich trafialiśmy, padali jak kawki na ziemię. Pod podeszwą chrzęściły mi ich zęby...

Sierżant nie miał chyba ochoty na spoufalanie się z podwładnymi.

– Oczyszcziliście już ten poziom? – spytał szorstko.

– Przeszukaliśmy pomieszczenia od parteru do poziomu czwartego.

Była to dla mnie zarazem dobra i zła nowina. Zła, ponieważ oznaczało to, że

jeśli Ash przebywał tutaj, został zatrzymany. Dobra, ponieważ najwyraźniej zielone koszule sądziły, że sala, w której się przyczaiłam, jest już przeszukana. Pojawiła się szansa, że nie wtargną do środka i nie zastaną mnie tutaj. Na jednym ze stołów chirurgicznych znalazłam skalpel i ostro zakończony próbnik. Ostrożnie chwyciłam oba lewą ręką. Prawą wyciągnęłam zza pasa pistolet. Jeśli żołnierze postanowią jednak wejść, nie poddam się bez walki.

– Sierzancie – odezwał się jeden z żołdaków. – Dlaczego po prostu nie załatwimy ich wszystkich? Przecież i tak prędzej czy później zostaną straceni, prawda? Nie łatwiej byłoby ich wybić do nogi już teraz? Albo spalić nieprzytomnych? Oszczędzilibyśmy sobie wysiłku i papierkowej roboty.

– Tego typu decyzje podejmują ludzie na szczytach władzy – stwierdził sierżant. – Zapewne Centrum ma po temu swoje powody.

– Jeśli nawet nie wszystkich wyłapaliśmy, mój pomysł ze spalaniem możemy potraktować jako plan awaryjny – odezwał się funkcjonariusz, wskazując do góry. – Grillowani kryminaliści!

Sierżant przyłożył dłoń do słuchawki dousznej, z której właśnie zaczęły dobywać się jakieś trzaski.

– Górne poziomy czyste – rzekł podniesionym głosem. – Ogień podłożony. Opuścić jaskinię. Powtarzam, wszyscy żołnierze mają opuścić jaskinię. Mamy dziesięć minut, nim ogień obejmie całość kompleksu.

Ogień? Czyżby chcieli spalić Podziemie? Ale właściwie w jaki sposób? Przecież dominowała tu lita skała. Jediną łatwo palną rzeczą było...

Wielka Ziemi, tylko nie to!

Nie mogą tego zrobić! Jak to możliwe, że nie zdumiał ich widok najprawdziwszego żywego drzewa w świecie, który mieli za zupełnie martwy? Jak to możliwe, że na jego widok nie zaprzestali walki i nie padli na kolana?

Niemal natychmiast uzyskałam odpowiedź na nurtujące mnie pytania.

– Chcesz powiedzieć, że ci podludzie uważali to coś za prawdziwe drzewo? – zarechotał żołdak, który wcześniej żartował z wybitych zębów. – To naprawdę musi być stado niezłych idiotów. Żeby czcić sztuczną roślinę? Równie dobrze

mógłbym zanosić modły do lampy w moim pokoju i nazywać ją słońcem.

Zrozumiałam wtedy, że Centrum manipuluje umysłami tych ludzi. Nie pozwala im ujrzeć prawdy. Mimo że dowody mieli przed oczami, wszczepione w nie implanty sprawiały, że ich nie dostrzegali.

– Pamiętajcie, że mówimy tu o ludziach drugiej kategorii – oświadczył sierżant. – To przestępcy, wyrzutkowie, ludzie niewykształceni. Większość z nich zapewne jest upośledzona umysłowo. Dla ciebie i dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości, że to drzewo jest syntetyczne. Całkiem niezły projekt, tym niemniej to sztuczny twór. Tymczasem te biedne drugie dzieci żyją urojeniami. Widzą to, co chcą zobaczyć.

– Sierżancie, zabrzmiało to tak, jakby im pan współczuł.

– Kiedy pomyślę, w jakim celu Centrum może chcieć utrzymać ich przy życiu, robi mi się ich trochę żal – przyznał.

Miałam wrażenie, że minęły całe wieki, nim wreszcie odeszli. Na odchodnym sierżant zawołał:

– Nie żałujcie przyspieszacza ognia ! Wylejcie go więcej na pień. Ruchy, ruchy!

Zaczekałam, odliczając do trzydziestu, i wreszcie wymknęłam się z sali. Moim oczom ukazał się koszmar.

Drzewo, nasze piękne drzewo, zamieniło się w kulę ognia.

Cała korona kryła się w strasznych roztańczonych płomieniach. Od ognia zajmowały się wszystkie listki, słyszałam, jak skwierczą kryjące się w nich aromatyczne soki. Płomienie lizały też pień, jednak gruba wilgotna kora nadal się nie zajmowała.

Byłam świadkiem świętokradztwa, grzechu.

Wtem w głowie rozbłysła mi przeraźliwa myśl – dzieci!

Wielka sala ginęła w tumanach gryzącego dymu, który wznosił się aż po samo sklepienie. Powietrze wypełniła przyprawiająca o mdłości przykra woń będąca połączeniem ostrego zapachu topiącej się żywicy kamforowej i smrodu dymu. Mimo to nadal dało się oddychać. Obłoki czarnego dymu utworzyły gruby mur,

za którym mogłam poruszać się niepostrzeżenie. Dobrze i to.

Biegiem pokonałam przestrzeń dzielącą mnie od podnóża drzewa. Zadeptałam płomienie liżące korzenie. Parzyłam sobie stopy, ale prawie w ogóle tego nie czułam.

– Rainbow! – zawołałam, na oślep szukając uchwytu włazu pośród korzeni. W pewnym momencie usłyszałam stłumione dziecięce głosy, a zaraz potem moje palce zacisnęły się na uchwycie. Kiedy jednym pociągnięciem uniosłam klapę, ujrzałam twarzyczkę Rainbow. Dziewczynka była przestraszona, lecz spoglądała na mnie ze stoickim spokojem, niepasującym do jej wieku.

– Drzewo się pali. Musimy uciekać. Wyprowadź wszystkie dzieci z kryjówki – poleciłam. Byłam już pewna, że Rainbow jest urodzoną przywódczynią. Bez zastanowienia zaczęła komenderować przerażonymi dziećmi. Po chwili zwróciłam się znów do niej: – Rainbow, czy jest jeszcze jakieś inne wyjście z jaskini? Albo jakieś bezpieczne miejsce, gdzie moglibyśmy się schować?

Ta mała na pewno знаła Podziemie lepiej ode mnie. Niemal od urodzenia uganiała się po jego korytarzach i zaglądała we wszystkie kąty. To jedyny świat, jaki znała. W jej umyśle nie istniały wspomnienia życia na powierzchni.

Rainbow chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno. Miała chłodną dłoń.

– Chodź tędy – powiedziała.

Zaprowadziła nas najpierw do kuchni, a potem ruszyliśmy krętym korytarzem, którego jeszcze nie znałam. Sklepiony był tak nisko, że zmuszona byłam poruszać się na czworakach. Większości dzieciaków wystarczyło, że się pochyliły. W korytarzu panowały egipskie ciemności, jednak Rainbow prowadziła nas pewnie.

– W normalnych okolicznościach nie pokazałabym ci tego miejsca, no ale mamy sytuację nadzwyczajną – oświadczyła. – To moja ulubiona kryjówka. Jeszcze nikt mnie tu nie znalazł podczas zabaw w chowanego.

Kiedy weszliśmy do komory, jej wnętrze załała delikatna poświata. Pod ścianami dostrzegłam beczki z całkiem dla mnie niezrozumiałymi oznaczeniami. Domyśliłam się, że zawierają jakieś chemikalia. Nieco dalej leżały bloki

stwardniałego kitu. Pomyślałam, że dzieci mogłyby mieć z nim wspaniałą zabawę. Wszędzie roilo się od kabli łączących ze sobą wszystkie te tajemnicze substancje.

– Co to za miejsce? – spytałam szeptem.

– Nazywają je Wybuchową Salą – wyjaśniła Raibnow, po czym pacnęła lekko dłoń chłopca, który próbował dotknąć różowego kitu. – Niczego nie dotykamy! Ta sala samozniszczenia.

Samozniszczenia? Po chwili zauważyłam panel wprawiony w ścianę i umieszczony na tyle wysoko, by nie mogło dosięgnąć go dziecko. Na jego środku znajdował się pojedynczy, rzucający się w oczy czerwony guzik. Doskonale wiedziałam, co by się stało, gdybym go nacisnęła. Zdjęta przerażeniem chwyciłam szybko dwoje stojących najbliżej mnie dzieci i zaczęłam wycofywać się na korytarz.

– Iris powiedziała wyraźnie: żadnego dotykania! Tak naprawdę nie powinnam tu w ogóle zaglądać. – Odniosłam wrażenie, że odwaga opuściła Rainbow. Dziewczynka wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpłakać. – Zabrali Iris. Nie zauważyli mnie, ale ja wszystko widziałam. Strzelili do niej, upadła na ziemię i...

– Już dobrze, kochanie. Nie pozwolę, by stało ci się coś złego. Masz moje słowo. – Chyba uwierzyła, bo uniosła głowę i spojrzała na mnie z nadzieją. Nie mogłam jej zawieść. Dałam jej słowo. – Obawiam się jednak, że nie możemy tu zostać. Czy jest jakieś inne wyjście z Podziemia? Prędzej czy później cała jaskinia wypełni się gryzącym dymem. Jego kłęby dotrą nawet tutaj.

– *Chyba* wiem, gdzie znajduje się inne wyjście – powiedziała Rainbow, trąc policzek dłonią.

– Rainbow, naprawdę świetnie ci idzie. Wiem, że się boisz. Po prostu spróbuj sobie przypomnieć, jak dotrzeć do tego wyjścia.

Poprowadziła nas z powrotem krętymi nisko sklepionymi korytarzami.

– Musimy wrócić do głównej jaskini – powiedziała. – Ale tylko na chwilę. Do sekretnego tunelu można się dostać tylko z innego przejścia. Czy w głównej

jaskini jest bezpiecznie?

Kiedy wyjrzałam z tunelu, momentalnie zakrztusiłam się gryzącym dymem. Całą przestrzeń wypełniały smoliście czarne tumany, za którymi skryły się płomienie trawiące koronę drzewa. Zasłaniając sobie usta i nos koszulą, odparłam:

– Chyba tak. Nikogo nie widać.

Zrobiłam krok za drzwi. Przypomniałam sobie jelenia, którego widziałam, gdy wychodził z lasu na łąkę. Z początku stawiał ostrożnie kroki, ale wkrótce nabrał śmiałości i ruszył długimi susami. Ale czy tamten jelen w ogóle był prawdziwy?

– Chodźcie – skinęłam na dzieci.

Wtem poczułam, jakby ktoś wymierzył mi potężny cios w brzuch. Wszystkie mięśnie w moim ciele doznały jednocześnie skurczu. Zesztywniałam, po czym runęłam bezwładnie na posadzkę niczym fasolowe drzewo podczas trzęsienia ziemi. Upadając, nie mogłam poruszyć rękami ani w żaden inny sposób zamortyzować upadku. Bezwładnie osunęłam się na Rainbow.

Dziewczynka krzyknęła i zaczęła się spode mnie gramolić. Gdy ją również dosięgnął obezwładniający pocisk, zobaczyłam, jak jej twarz tężeje i wykrzywia ją straszny grymas. Zaraz potem natarły na nas zielone koszule. Chwyтали pozostałe dzieci za ręce, nogi i włosy. Wywlekali je z korytarza, po czym strzelali do nich z bliskiej odległości.

Przez cały ten czas miałam otwarte oczy. Patrzyłam, myślałam, oddychałam. Nie miałam jednak żadnej kontroli nad moim ciałem. Byłam niczym żywy trup.

Rainbow upadła w taki sposób, że patrzyłyśmy sobie teraz w oczy. Ona też nie mogła się ruszyć. Jej nieruchome źrenice spoglądały na mnie z wyrzutem, jakby chciała powiedzieć: *Rowan, przecież obiecałaś mi. Obiecałaś, że nic nam nie grozi.*

W pewnym momencie poczułam, jak ktoś chwyta mnie i obraca na plecy. Zielone koszule, z maskami przeciwigazowymi na twarzach, zajmowały się wyłapywaniem ostatnich uciekinierów – czyli nas.

Wtem usłyszałam znajomy głos. Był piskliwy i władczy. Musiał należeć do kogoś przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

– Zostawcie ją, idioci. Ta dziewczyna to jedna z naszych.

Po chwili zauważyłam nadbiegającą Pearl. Krztusiła się, była cała posiniaczona i zakrwawiona, jednak jakimś cudem zachowywała swój królewski wygląd. Należała do ścisłej elity wewnętrznych kręgów i budziła instynktowny szacunek u zielonych koszul.

– Niech no któryś z was ją tknie, a do końca życia będzie pracował jako ochroniarz w zakładach recydingu.

Pochyliła się nade mną, a jej opadające srebrzyste włosy zasłoniły mnie przed całym światem. Zbliżyła dłoń do mojej twarzy. Chciałam się odsunąć, ale nie mogłam się poruszyć.

– Bądź Yarrow! – wysyczała, zakładając na moje kalejdoskopowo kolorowe oko bezbarwną szarą soczewkę.

KIEDY SIĘ OCKNEŁAM, ZNAJDOWAŁAM SIĘ w jakimś słabo oświetlonym pomieszczeniu. Nad głową dostrzegłam skrzące się sklepienie. Uśmiechnęłam się do siebie. Nadal byłam w kryształowej jaskini. Było mi ciepło i wygodnie. Czułam się ospała, przez co moje ciało wydawało mi się ociężałe. Leżałam zamroczona, obserwując świat półotwartymi oczami. Widziałam jedynie ciemność usianą jasnymi punkcikami.

A może to wcale nie jest kryształowa jaskinia, pomyślałam niejasno. Miałam wrażenie, że mój umysł działa w zwolnionym tempie. Może znalazłam się z powrotem w bursie w Akademii Dębów? Owe skrzące się punkciki mogły przecież być światełkami, które przyczepiłam do ściany w moim pokoju. Ta myśl dała mi nadzieję. A zatem niezależnie od tego, jak bardzo źli ludzie próbowali mnie zmienić, miałam w sobie siłę, by pozostać w znanym mi świecie.

Dopiero gdy poczułam drapanie w gardle, wróciły wspomnienia: dymu, ognia, śmierci. Miałam wrażenie, że wszystko to mi się przyśniło. Całe moje życie, zawieszone między rzeczywistością a zaszczepionymi mi wspomnieniami, między Rowan a Yarrow, wydawało mi się nie do końca realne. Możliwe, że gdy zamknę oczy, napaść na Podziemie okaże się tylko snem. Po chwili przypomniałam sobie moment, gdy zostałam pojmana i ogłuszona. Przypomniałam sobie ukłucie w szyję, po którym przed moimi oczami zapadła czerń.

A teraz nie miałam najmniejszej ochoty na mierzenie się z rzeczywistością – uwięzieniem, upokorzeniem, torturami i strachem. Nie chciałam znów zapomnieć tego, kim jestem. Wiedziałam, że muszę być silna. Już raz zdołałam

przetrwać pranie mózgu. Teraz musiałam powtórzyć ten wyczyn. W tym celu powinnam uczepić się tego, kim jestem. Tylko w ten sposób miałam szansę na ocalenie Asha, Rainbow, Lachlana – wszystkich, na których mi zależało.

Odważnie otworzyłam oczy...

... i odkryłam, że jestem dokładnie w tym piekielnym miejscu, którego najbardziej się bałam. Znajdowałam się w Centrum. Leżałam na metalowym stole, przywiązana do niego pasami. Mrugające światełka nie znajdowały się na sklepieniu jaskini ani na ścianie mojego pokoju w bursie – były to światła monitorów, skanerów, tajemniczych obcych maszyn z kłębowiskiem kabli. Błyszczały również porozkładane nieopodal skalpele i próbnyki, od których odbijało się światło lamp.

Przypomniałam sobie, jak Pearl pochyliła się nade mną i wyszeptała mi do ucha: *Bądź Yarrow*. Świat oglądany moim zdrowym okiem wydawał się teraz nieco zamglony, przez co domyśliłam się, że założoną mam tymczasową soczewkę. Może zatem uda mi się jakoś stąd wyrwać. Wiedziałam, że muszę spróbować.

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, kątem oka zarejestrowałam jakiś ruch po drugiej stronie sali. Kiedy wytężyłam wzrok, ujrzałam szefową wywiadu, Ellenę, która właśnie wstała z gracją z obrotowego taboretu. Z uśmiechem bawiła się czymś, co zwisało jej z palców. Zorientowałam się, że to mój naszyjnik z różowego kryształu – ozdoba pochodząca z Podziemia i będąca jego częścią.

– Co się stało, mamó? – spytałam niewyraźnie.

Nie chciałam powiedzieć nic więcej. Wolałam, żeby to ona wykonała pierwszy ruch.

Ellena upuściła naszyjnik, tak że upadł na moją pierś. Marzyłam, by ścisnąć go w dłoni i uchronić przed jej zaborczym spojrzeniem. Nadgarstki, podobnie jak kostki, miałam jednak unieruchomione pasami. Nie skrupowano mnie zbyt mocno, co samo w sobie wydawało się wymierzonym we mnie szyderstwem. Tak jakby moi prześladowcy chcieli powiedzieć: możesz się wiercić do woli, ale

jeśli liczysz, że się uwolnisz, czeka cię srogie rozczarowanie.

– Coś mi się wydaje, że przeżyłaś kilka trudnych dni – odparła Ellena. – Kiedy znikłaś, nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić.

Po tych słowach podniosła naszyjnik i wsunęła go sobie do kieszeni.

Czułam się jak aktor, który został nagle wypchnięty na scenę. Wszyscy oczekują, że odegra swoją rolę, podczas gdy on nie czytał nawet scenariusza. Co powiedziała im Pearl? Postanowiłam, że będę udawała zdezorientowaną. Choć tego akurat nie musiałam wcale udawać.

– Nie pamiętam nic z tego, co się stało. Wykrałam się z Akademii Dębów na imprezę, a potem... Nie wiem. Możliwe, że ktoś podał mi narkotyki.

– Wygląda na to, że ostatnio często masz tego typu przygody – zauważyła Ellena, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Przepraszam... matko. – To słowo nie chciało mi przejść przez gardło.

– Yarrow, oczekiwałam po tobie czegoś więcej. Włożyłam wiele czasu w twoje... wychowanie. Tymczasem ty odpłacasz mi rozczarowaniami.

– Odtąd będę już lepszą córką, obiecuję – powiedziałam, usiłując nadać swojemu głosowi ton, jakim mogłoby mówić skruszone dziecko. Zerknęłam ukradkiem na twarz Elleny. Czyżby dawała wiarę mojemu przedstawieniu?

– Twoje reakcje są zaskakujące. Oczywiście to nie do końca twoja wina – stwierdziła, naciskając jakiś guzik. W tym samym momencie dwóch strażników otworzyło drzwi i do sali wkroczyła Pearl, zostawiając obstawę za progiem.

W scenkę, którą teraz odegrała, włożyła naprawdę sporo serca.

– Wielka Ziemio, Yarrow, wyglądasz strasznie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielką przyjemność sprawiło mi zmycie całego brudu, jaki przyłgnał do mnie w tamtym ohydny miejscu.

Twą twarz nadal pokrywały jej siniaki, lecz mimo to nosiła się niczym bogini. Włosy, już umyte, opadały jej na ramiona srebrzystą kaskadą. Odziana była w powłóczystą białą szatę.

– Naczelnik Elleno, kiedy Yarrow będzie mogła wrócić do domu? To znaczy do szkoły – poprawiła się szybko. – Proszę wybaczyć, ale na usta ciśnie mi się

jeszcze jedno pytanie: kiedy będzie mogła wziąć kąpiel? – Pearl zadarła w górę swój delikatny nosek, który wprawdzie nadal mienił się różnymi odcieniami fioletu, ale najwyraźniej został już nastawiony po złamaniu. – Prawdę mówiąc, Yarrow śmierdzi. To oczywiście nie jej wina, tak cuchną ludzie w tym strasznym miejscu. Całe szczęście, że ją tam znalazłam!

Była to typowa paplanina Pearl. Odgrywała swoją rolę z takim przekonaniem, że niemal jej uwierzyłam. Zdawała się nie zwracać uwagi ani na fakt, że leżałam przywiązana pasami do stołu, ani na podejrzliwe spojrzenia rzucane jej przez Ellenę.

– Jak to się stało, że cię uratowała? – spytała kobieta, zwracając się do mnie.

Wymieniłyśmy z Pearl szybkie spojrzenia. Przełknęłam głośno ślinę, po czym na oczekaniu zmyśliłam historyjkę. Miała tę zaletę, że ludzie w Centrum nie potrafiliby dowieść, że nigdy nie miała miejsca.

– Teraz sobie przypominam. To Lark mnie tam zaprowadziła. Miała znajomości wśród tych przestępców. A ponieważ się we mnie podkochiwała, mogłam tam liczyć na dobre traktowanie. – Wszystko się we mnie burzyło, gdy używałam imienia nieżyjącej przyjaciółki w taki sposób. Powtarzałam sobie jednak, że Lark wybaczyłaby mi, ponieważ próbowałam w ten sposób ocalić skórę. Poza tym o cokolwiek bym ją teraz oskarżyła, i tak nie mogłam jej zaszkodzić. Lark znalazła się już poza zasięgiem Centrum. Do oczu zaczęły napływać mi łzy, ale szybko zamrugałam. – Lark nie cierpiała Pearl, dlatego namówiła swoich kamratów, by ją zabili. Udało mi się odciągnąć ich uwagę, po czym uwolniłam Pearl.

– Naprawdę była niesamowita – pochwaliła mnie dziewczyna, nie rezygnując ze swojego znudzonego królewskiego tonu. – Uratowała mi życie.

– No pewnie, w końcu jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Dla ciebie zrobiłabym wszystko. Mamo, a właściwie czemu tu jestem? Chciałabym się doprowadzić do porządku i wrócić na uczelnię.

– Rowan, nie przejmuj się tymi drobiazgami – powiedziała Ellena. – Powinnaś raczej, tak jak ja, skupiać się na tym, co naprawdę istotne.

Na przyszłości Edenu. Całej ludzkości.

Powiedziała to tak beztroskim tonem, że w pierwszej chwili nie zrozumiałam, o czym mówi. Kiedy wreszcie dotarło do mnie znaczenie jej słów, z wrażenia jęknęłam. A żeby ukryć zmieszanie, skrzywiłam się, udając, że próbuję uwolnić się od krępujących mnie pasów. Jak powinnam zareagować? Puścić jej stwierdzenie mimo uszu, czy może spytać, kim jest Rowan?

Wystarczyło spojrzeć w oczy Ellenie, by stało się jasne, że wie o wszystkim.

– Rowan, bardzo długo nie odzyskiwałaś przytomności – wysyczała, nachylając się nade mną. – W tym czasie podłączyliśmy się do twoich wspomnień i wiemy już, co wydarzyło się naprawdę.

Zacęłam rozpaczliwie szarpać pasy, jednak tym razem zareagowały na moje wysiłki, zaciskając się automatycznie. Moje ręce i nogi przywierał teraz do lodowatego metalu.

– Wiele ryzykowaliśmy, pracując nad twoim przypadkiem. Jesteś eksperymentalnym prototypem. Kiedy ingeruje się tak głęboko w czyjś mózg, kiedy modyfikuje się psychikę i osobowość, nigdy nie wiadomo, jaki będzie efekt końcowy. Zabawy z mózgiem to śliska sprawa. Zmuszeni jesteśmy stosować metodę prób... i błędów. Ach, Rowan, jaka szkoda, że nie widziałaś, czym grożą błędy, jakie mogliśmy popełnić. Wówczas na pewno doceniłabyś świetną robotę, jaką odwaliliśmy przy tobie. Inne osoby reagowały znacznie gorzej od ciebie, gdy indukowaliśmy im wielorakie osobowości. W niektórych przypadkach skończyło się to obłędem. Ludzie zaczęli zdierać sobie skórę z twarzy, aby dogrzebać się do tego, co im odebraliśmy. Inni zupełnie nie wiedzieli, jak sobie poradzić w nowej sytuacji, i popadali w katatonię. Ale ty, Rowan, jesteś wyjątkowa. Ciekawe tylko, z czego to się bierze. Może stąd, że przez bardzo długi czas żyłaś bez soczewek? Tymczasem wszyscy w Edenie zaraz po urodzeniu poddawani są dyskretnym modyfikacjom umysłowym.

Pearl musiała chyba zrozumieć, w jak wielkich opałach się znalazła, bo zaczęła powoli wycofywać się ku drzwiom.

– To ja już pójdę. Moi rodzice zaczną się martwić.

Szefowa wywiadu posłała jej ostre spojrzenie.

– Skarbie, twoi rodzice zapomnieli już, że w ogóle mieli córkę – oświadczyła lodowatym głosem. Pearl zrobiła zszokowaną minę. Ellena dodała: – Wymazanie pojedynczego wspomnienia to łatwizna.

– To... to... – dukąła wstrząśnięta Pearl, potrząsając głową. W końcu powtórzyła to, co przed chwilą: – Pójdę już.

Na moich oczach z Pearl opadała maska królowej elitarnej akademii, a spod niej wyglądała mała przestraszona dziewczynka. Była przerażona, bo rozumiała, że nie powinna słyszeć tego, o czym właśnie mówiła ta kobieta. Ellena wyjawiała nam tajemnice zdradzane wyłącznie osobom, które nie będą mogły przekazać ich dalej.

Naczelniczka nacisnęła guzik i natychmiast do sali wpadło dwóch strażników. Najwyraźniej zostali zawczasu poinstruowani, co mają robić. Chwycili Pearl i rzucili na sąsiedni metalowy stół. Jej członki zostały automatycznie przymocowane pasami do blatu.

– Puśćcie ją! – wrzasnęłam. – Ona nic nie zrobiła!

– Czy twoja odmienność polega na tym, Rowan – zastanowiła się Ellena – że chcesz ratować innych? Zaprogramowałam Pearl, by wyrządziła ci mnóstwo różnych krzywd, a ty wciąż gotowa jesteś jej pomagać. Przypomnij sobie te wszystkie okrutne rzeczy, do których cię przymusiła. Przez jakiś czas posłusznie się na to godziłaś. Zależało mi na tym, żebyś nie miała wyboru. Jednak mimo że próbowałam stłumić w tobie Rowan, ona bez przerwy przypominała o sobie i spychała Yarrow na drugi plan. Pearl, skupmy się przez chwilę na tobie. – Ellena przechyliła głowę na bok w sposób zdradzający lekkie zdziwienie. – Jak myślisz, jak poradziłabyś sobie na miejscu Rowan?

– Gdybym to ja była poddawana eksperymentom? – spytała zbита z tropu. Widziałam, że za wszelką cenę stara się wymyślić odpowiedź, która zadowoli kobietę. – Chciałabym przynieść pani dumę. Ale jestem pierworodnym dzieckiem, obywatelką Edenu. Eksperymenty prowadzicie wyłącznie na... – Zawiesiła głos, szukając właściwych słów. Chciała chyba użyć jakiegoś

niecenzuralnego, obraźliwego określenia, jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język. Pearl dostrzegła we mnie teraz realną osobę. Ponieważ zobaczyła w końcu na własne oczy drugie dzieci, rozumiała, że są takimi samymi ludźmi jak ona. W efekcie nie potrafiła się już zmusić, by mieszać nas z błotem. W końcu dokończyła zdanie: – ...na tych, którzy mieli pecha urodzić się jako drudzy.

Pearl popełniła błąd. Ellena obrzuciła ją pełnym pogardy spojrzeniem.

– Rowan przynajmniej okazuje siłę. Owszem, chcemy ją stłamsić, ale siła sama w sobie godna jest podziwu. Czym natomiast jesteś ty, Pearl? Trzcina gnącą się na wietrze? Brak ci kręgosłupa, twardego rdzenia. Jesteś pusta w środku. A wszystkie próżne w środku stworzenia oczekują, by je napełnić. Moim zdaniem eksperymenty przeprowadzone na tobie zakończyły się totalną porażką.

– Jakie eksperymenty? O czym pani mówi? – zawołała dziewczyna, mocując się z pasami.

– Och, kochana Pearl... Naprawdę wydawało ci się, że ktoś może być sam z siebie takim potworem jak ty? Byłaś moim pierwszym dużym sukcesem, przynajmniej na początku. Kiedy z kanclerzem zrozumieliśmy, że technologia Ekopanoptykonu ma znacznie bardziej dalekosiężne zastosowania, otworzyły się przed nami wspaniałe perspektywy. W głębi duszy ludzie są posłuszni niczym owce. Idą tam, gdzie im każemy, ale też niekiedy beczą. Ostatnio słyszeliśmy zbyt wiele beczenia. Mieszkańcy zewnętrznych kręgów coraz głośniejsze uskarżali się na swój los. Rozpuszczone bachory z kręgów wewnętrznych narzekały, że nie mogą się wyrwać poza Eden. Sytuacja społeczna była bardzo niestabilna. Przypominała wulkan, który wzbiera pod powierzchnią, grożąc erupcją. Wszystko zmieniło się z chwilą, gdy przystąpiłam do działania.

Następnie Ellena opowiedziała nam, jak wykorzystując neuronowe łącza Ekopanu, poprzez implanty soczewkowe zyskali głębszy dostęp do mózgów obywateli. Wkrótce nauczyli się całkowicie zmieniać osobowość, poprzez przykrywanie starej tożsamości nową. Stwierdziła, że okazało się to prostsze, niż

sądzili. Ludzie dają wiarę najprostszym wyjaśnieniom, a kto uwierzyłby w to, że w rzeczywistości jest kimś zupełnie innym? Sztuczka polega na zaszczepieniu paru fałszywych wspomnień o zasadniczym znaczeniu. Całą resztą zajmuje się ludzki umysł, który w niesamowity sposób potrafi wypełnić treścią puste miejsca.

Przywołałam kilka wyraźnych wspomnień z dzieciństwa Yarrow – z urodzin, Festiwalu Deszczu. Ellena miała rację. Wystarczyła ta garstka migawek, które wydawały mi się prawdziwe, a ja na ich podstawie dopowiedziałam sobie całą resztę, budując przekonującą opowieść o moim życiu jako Yarrow. Można powiedzieć, że większość roboty wykonałam za nich.

– Ludzie *chcą* się dostosować – ciągnęła kobieta. – Chcą być posłuszni. Po prostu nie lubią się do tego przyznawać. A dzięki opracowanej przeze mnie technologii mogą teraz łatwiej osiągnąć ten cel. Rzecz jasna, nasza metoda nie jest doskonała. Jestem pewna, że nie uda się utrzymać przy życiu kilkorga pechowców. Jednak dzięki wam dwóm gotowi jesteśmy przejść do kolejnej fazy testów. Wkrótce w całym Edenie zapanuje pokój i posłuszeństwo. I szczęście. Ach, nie myślcie, że nie życzę obywatelom szczęścia. Prawda jest jednak taka, że szczęście i wolność wzajemnie się wykluczają. Zbyt głęboki namysł rodzi sprzeciw. Odtąd ilekroć wytropimy ślady niezadowolenia, będziemy mogli po prostu je wyplenić. Jeśli okaże się, że nie podoba ci się życie w naszym raju, masz dość jedzenia sztucznych truskawek i popijania koktajli z wodorostów, zmienimy cię w osobę, która nie będzie miała takich pretensji. To naprawdę nie jest wielka filozofia.

– Nie wolno wam robić tego ludziom! – zawołałam z wściekłością. – Nie możecie odbierać im tego, kim są!

– Ależ możemy. W oczekiwaniu na dzień, w którym planeta się odrodzi, ludzkość będzie żyła w pokoju i niczym niezmaconym zadowoleniu. Nie będziemy krnąbrnymi zwierzętami, bo to właśnie nieposłuszeństwo doprowadziło do tragedii. A teraz, jako że mam do dyspozycji kilkadziesiąt nowych obiektów do testów, jest tylko kwestią czasu, nim zaimplementuję nową

procedurę całej populacji Edenu.

– Jakie nowe obiekty do testów?

– Ach, chodzi mi o te uroczę drugie dzieci, które do mnie przyprowadziłaś! Aleś zrobiła mi prezent! I pomyśleć, że żadne z nich, podobnie jak ty, nie miało wszczepionych implantów. Jestem pewna, że wiele się nauczymy dzięki eksperymentom na tych dzieciaczkach. Umysły najmłodszych są takie podatne na wpływy.

– Zostaw je w spokoju! Nie masz prawa!

Ellena przestała zwracać na mnie uwagę i odwróciła się do Pearl. Wiłam się bezsilnie na stole, miotając przekleństwa.

– Pearl, muszę przyznać, że zawsze byłaś moją ulubienicą. Pamiętasz jeszcze, jaka byłaś, gdy pierwszy raz się spotkałyśmy? Minęły cztery lata od tamtej chwili. Byłaś taką nieśmiałą, cichutką i miłą dziewczynką.

Niemal parsknęłam śmiechem. Pearl – cichutka i miła? Dopiero po chwili zrozumiałam mroczną prawdę kryjącą się za słowami Elleny. Prowadząc eksperymenty na mózgu Pearl, szefowa wywiadu zdołała stłamsić to, kim była ona naprawdę, i uczynić z niej potwora, któremu zazdrościła i którego bała się połowa studentów (oraz wykładowców) Akademii.

A zatem naśladowana i czczona przez Yarrow, a przez Rowan nienawidzona dziewczyna nie miała nic wspólnego z prawdziwą Pearl?

– Ona nadal kryje się głęboko w twoim mózgu, czyż nie? – zastanowiła się kobieta. – To dlatego ostatecznie pomogłaś Rowan. A ja naiwnie zakładałam, że nasz system kontroli jest już stuprocentowo skuteczny! W przypadku Rowan, drugiego dziecka, liczyliśmy się z tym, że mogą pojawić się pewne usterki. Ale oczekiwaliśmy, że ty nie będziesz sprawiać żadnych problemów. Miałaś być grzeczną, posłuszną dziewczyną. Uczyniliśmy cię modelową przedstawicielką elit, wzorem do naśladowania dla innych. Wielkim nakładem sił napisałam dla ciebie tę rolę, jednak ty musiałaś się na koniec z niej wyłamać.

Ellena wzruszyła ramionami i westchnęła ze smutkiem niczym matka karcąca niesforne dziecko.

– Z chwilą gdy obiekt staje się świadomy eksperymentu, należy go zakończyć – wyrecytowała. – Pearl, nie jesteś nam już dłużej potrzebna. Manipulacje, jakim poddaliśmy wasze mózgi, są bardzo subtelne. Ich przeprowadzenie wymagało całego kunsztu naszych najwybitniejszych chirurgów i naukowców, a także wsparcia ze strony Ekopanu. Z początku stosowaliśmy mniej subtelne metody prania mózgu. Zamiast tworzyć dzieło sztuki, jakim jesteś, nakładając kolejne warstwy farby aż do uzyskania arcydzieła, możemy pójść na skróty i po prostu całkowicie wymazać osobowość testera. To prosta i brutalna procedura. Człowiek jej poddany zachowuje tylko najbardziej podstawowe funkcje życiowe. Umie chodzić, mówić i odżywiać się. Jednak osobowość jako taka znika bezpowrotnie. – Ellena wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Na zawsze.

Podeszła znów do Pearl i przywołała chirurgów. Zwracając się do mnie, rzuciła przez ramię:

– Masz szczęście, Rowan, że nadal jesteś dla nas zagadką. W swoim umyśle przechowujesz pewne informacje, które mogą nam się przydać, jak choćby nazwisko chirurga, który zniweczył efekty mojej pracy. No i stanowisz dla nas niezwykle wyzwanie zawodowe. Twój mózg został wielokrotnie poddany bardzo gwałtownym ingerencjom, a mimo to, jak się wydaje, nadal funkcjonujesz zupełnie normalnie, zachowując nienaruszone obie osobowości. Wygląda na to, że będziemy długo badać twój przypadek. O tak, Rowan, czeka nas jeszcze sporo zabawy, nim dołączysz do swojej przyjaciółki. Żegnaj, Pearl – powiedziała, głaszcząc ją po policzku.

Jak tylko chirurdzy zabrali się do roboty, Pearl i ja zaczęłyśmy wrzeszczeć w niebogłosy. Po krótkiej chwili krzyki dziewczyny ucichły. Zabieg, jakiemu została poddana, nie trwał długo. Zdążyłam jeszcze zobaczyć wytrzeszczone wpatrzone we mnie oczy, z których wyzierało błaganie o pomoc. A zaraz potem... zaszła w niej jakaś subtelna, lecz równocześnie zasadnicza zmiana. Pod względem fizycznym nadal była tą samą śliczną, poobijaną dziewczyną. Zarejestrowałam jednak tę chwilę, gdy jej spojrzenie utraciło cały blask. To coś, co czyniło ją Pearl.

Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie i zamrugła powoli oczami.

– Gdzie ja jestem? – spytała głosem, w którym dosłyszałam wolną od strachu niewinność człowieka pozbawionego przeszłości i przyszłości.

NIE MOGLAM JUŻ W ŻADEN SPOSÓB POMÓC Pearl. Ani sobie.

Słyszałam kiedyś powiedzenie, że niewiedza jest błogosławieństwem. W gruncie rzeczy aż do tej chwili nie rozumiałam, co znaczą te słowa; nie wierzyłam w nie. Zaczęłam się teraz zastanawiać, ile razy musiałam lądować na stole operacyjnym, po czym nie miałam bladego pojęcia, że wydarzyło się coś złego. Przypomniałam sobie, jak wiele razy kładłam się w komorze deprywacji sensorycznej, gdzie zapewne zaszczepiano mi różne podprogowe informacje. Przywołałam też wspomnienia dni, gdy biegłam do kobiety, którą uważałam za moją mamę, by szukać pocieszenia w jej objęciach. Byłam więźniem, który nie zdawał sobie nawet sprawy, że tkwi w więzieniu. Byłam nieświadomym niczego królikiem doświadczalnym. No i byłam szczęśliwa.

Nieprawda. Nie byłam sobą, a zatem cokolwiek czułam, było nieprawdziwe.

Ceną, jaką musiałam teraz zapłacić za wiedzę, był strach. Jeśli chciałam żyć naprawdę, musiałam zaryzykować własne życie.

Tylko że teraz wiedziałam już, że są na świecie rzeczy gorsze od śmierci.

Kiedy popchnięto ku drzwiom stół na kółkach, na którym leżałam, próbowałam jeszcze odnaleźć spojrzenie Pearl. W jej oczach nie dostrzegłam jednak żadnego śladu, że rozumie, co się dzieje. Spoglądała na mnie wzrokiem zombie. Później zostałam powieziona jakimś długim korytarzem. Z jednej strony mijaliśmy szereg metalowych drzwi. Drzwi po drugiej stronie były natomiast szklane. Po chwili zorientowałam się, że to cele. Wykręcając szyję, starałam się zajrzeć do środka.

Zobaczyłam ludzi, których z początku nie rozpoznawałam. Dopiero po chwili w pędzie mignął mi mężczyzna w podeszłym wieku, którego raz czy dwa

spotkałam w Podziemiu. Przygarbiony krążył, powłócząc nogami, po maleńkiej, pustej celi. Przez głowę przemknęła mi myśl, co z nim zrobią.

Wkrótce zaczęłam rozpoznawać więcej twarzy. Mijaliśmy teraz cele, gdzie osadzono ludzi znanych mi z Podziemia. Widziałam bezbronne drugie dzieci, które ułożono nagie na stołach, przygotowując je do eksperymentów.

W pewnym momencie wypatrzyłam Rainbow. Jej widok był najstraszniejszy. Dziewczynka stała na środku celi, pod samymi drzwiami, zaciskając pięści. Twarz lśniła jej od łez, jednak wykrzywił ją gniewny grymas. Dopiero po chwili zorientowałam się, że ma otwarte szeroko usta. Krzyczała na całe gardło, rzucając wyzwanie całemu światu.

– Rainbow! – wrzasnęłam, jednak oddzielała nas dźwiękoszczelna szyba. Nie słyszałyśmy siebie nawzajem.

Nie, nie, tylko nie Rainbow, powtarzałam w myśli. Tylko nie dzieci! Jakim sadystą trzeba być, żeby przeprowadzać eksperymenty na maleńkich dzieciach?

Mijaliśmy coraz więcej drugich dzieci – pośród maluchów byli też ludzie starsi, a także całe rodziny, których członków rozdzielono i wtrącono do osobnych cel. Próbowałam liczyć mijane twarze. Naliczyłam kilkadziesiąt osób. W celach usytuowanych wzdłuż korytarza, który zdawał się nie mieć końca, trzymano co najmniej stu więźniów. Wszyscy oni mieli posłużyć Ellenie jako króliki doświadczalne w jej chorych eksperymentach nad ludzkim umysłem.

Nigdzie nie widziałam jednak Lachlana. Ani Asha. Czyżby zdołali uciec?

Ażeby nie narażać się na rozczarowanie, szybko przywołałam najczarniejszy scenariusz: skoro ich tutaj nie ma, zapewne nie żyją.

Nie było ich tutaj, a zatem byli szczęściarzami.

W końcu zwolniliśmy, a usta szefowej wywiadu wykrzywił złośliwy uśmiech.

– To chyba twoja przyjaciółka, nieprawdaż?

W celi, którą mi wskazała, dojrzałam jakąś dziewczynę siedzącą na krześle. Moją uwagę momentalnie przykuły jej liliowe włosy.

– Lark! – zawołałam i szarpnęłam tak gwałtownie członkami, że łóżko niemal

przewróciło się na bok. Sanitariusze, którzy je popychali, chwycili mnie jakby w obawie, że zdołam się uwolnić.

Nie, zreflektowałam się w myśli. To tylko jakaś sztuczka. Mieszają mi w głowie, sprawiają, że widzę coś, czego nie ma.

– Nie dam się wam oszukać – stwierdziłam, usiłując zapanować nad drżeniem głosu. Nie mogłam pozwolić, by zrodziła się we mnie nadzieja. – Widziałam, jak ona umiera. To nie może być prawda.

Kiedy Ellena przyjrzała mi się, w jej twarzy dostrzegłam wyraz chorego rozbawienia.

– Co tak naprawdę wtedy widziałas? Tylko to, że pochłania ją nanopiasek, czyż nie? – spytała, a jej demoniczny śmiech rozbrzmiał echem w długim korytarzu.

– Nanopiach pożera ludzi – stwierdziłam bez przekonania. – Z Lark nie zostało już nic.

– A nie przyszło ci do głowy, że to wersja, którą tylko wmawiamy ludziom? Historyjka o mięsożernym świadomym piachu, który pożera nawet kości, tak że żadne ciało nie trafia do rodziny denata. Przerazające, nie sądzisz? Wymarzona historyjka, by zniechęcić obywateli Edenu do eskapad na pustynię.

Ellen nachyliła się bliżej, tak że szeptała mi teraz do ucha:

– Ach, Rowan, wciąż jeszcze nie rozumiesz, o co tu chodzi? Istnienie Edenu uzależnione jest od tego, czy udaje się nam kontrolować to, co myślą i co widzą obywatele. Podwaliny pod takie rozwiązanie położył Ekopan, wprowadzając do użycia soczewki, za sprawą których ludzie nie widzieli rzeczy zupełnie oczywistych. Niesamowite, jak łatwo sprawić, by człowiek czegoś nie zauważał. Choćby nawet chodziło o rzeczy wielkich rozmiarów, jak las wybujałych fasolowych drzew. W większości przypadków manipulacja wymaga znacznie mniej wysiłku. Rowan, wciąż nie doceniamy potęgi opowieści. Wystarczy rozpuścić plotkę, a nim się obejrzyysz, stanie się ona niepodważalną prawdą.

– Chcesz powiedzieć, że nanopiach nie zabija?

– Pustynia jest śmiertelnie niebezpiecznym miejscem, jednak to nie

nanopiasek jest zabójcą. Działa on raczej jako system ratunkowy. Zadaniem nanobotów jest ratowanie szaleńców, którzy wybiorą się na pustynię. Nie mogliśmy jednak pozwolić, by ocaleni wracali do świata i opowiadali o swoich przygodach. Piach wciąga śmiałków do podziemnych cel. Mają w nich do dyspozycji jedzenie, wodę i świeże powietrze. No i tkwią tam, dopóki ich nie zgarniemy. Niewielu ich jest, ale gdy już się trafią, najczęściej mamy z nich sporo pożytku podczas eksperymentów. Na pustynię wybierają się wyłącznie ludzie odważni, obdarzeni silną wolą. Właśnie oni są dla nas największym wyzwaniem naukowym. Tak jak ty i ta twoja przyjaciółka. Ma na imię Lark, tak?

– Nie waż się jej tknąć! – pisnęłam. – Lark! Lark! Spójrz na mnie!

Jej twarz była zupełnie bez wyrazu, tak jakby Lark była oszołomiona... albo wymazano jej osobowość.

– Ta szyba to lustro weneckie. Poza tym jest dźwiękoszczelna. Osadzona nie widzi cię ani nie słyszy. Cóż dobrego by jej z tego przyszło? Zaczęłyby się zadręczać tym, co zrobimy z dziewczyną, którą pokochała. Owszem, zdradziła nam swój mały sekret. No i opowiedziała o wielu innych sprawach. Muszę przyznać, że świetnie mi się z nią współpracowało. Inna sprawa, że nie miała wyjścia.

– Zostawcie ją w spokoju! Ani się waż...

Nie dokończyłam, gdy Ellena chwyciła mnie za brodę i zmusiła, bym na nią spojrzała.

– Dziewczynko, nie będziesz mi grozić. Och, z tej twojej Lark będzie fascynujący królik doświadczalny. Epilepsja sprawiła, że jej mózg działa w wyjątkowy sposób. Nie spotkaliśmy wcześniej nikogo, kto miałby wszczepione w dzieciństwie soczewki, a mimo to nie dawał się programować. Wiesz, że przy każdym ataku epilepsji jej umysł wymazuje wszelkie polecenia wszczepione jej przez Ekopanoptykon? Do tej pory Lark niezwykle skutecznie się nam przeciwstawiała. Teraz jednak będziemy mieć mnóstwo czasu, by nad nią popracować. Obiecuję, że znajdziemy sposób, by włamać się do tego jej

pięknego mózdzku.

Moja wściekłość wywoływała wesołość kobiety. Żałowałam, że nie umiem okiełznać gniewu. Moje rzucanie się i błaganie o litość dla Lark sprawiała Ellenie wyraźną satysfakcję.

– Proszę, nie krzywdźcie jej – zaklinałam moją oprawczynię.

Wielka Ziemi, a zatem Lark żyła! Ta myśl była dla mnie dowodem, że nawet w najstraszniejszych okolicznościach może pojawić się promyczek nadziei. Inna myśl była jednak przerażająca – prócz nadziei odzyskałam teraz jeszcze jedną osobę, którą Centrum może zniszczyć i mi odebrać. Wiedziałam, że za wszelką cenę muszę chronić Lark.

– Zrobię, co zechcesz. Pozwolę ci zrobić z moim mózgiem, na co tylko przyjdzie ci ochota.

– Głuptasko, naprawdę wydaje ci się, że masz jeszcze wybór? Sądzisz, że jak długo zdołasz mi się opierać? Owszem, twój mózg jest wyjątkowo odporny. My jednak stale doskonalimy nasze metody. Wkrótce znów będziesz Yarrow, a wszelkie wspomnienie Rowan zniknie bez śladu. Albo zostaniesz kimś jeszcze innym. A wiesz, co zrobię z twoją przyjaciółką Pearl? Tą niegrzeczną pannicą? Myślę, że zamienię ją w dziewczynę z marginesu, żebraczkę z zewnętrznego kręgu. Biedną, brudną, zdesperowaną. Będzie dziewczyną, która całe życie spędza owinięta w cuchnące łachmany, lękając się każdego, kto jest od niej silniejszy. Ofiarą. Tak, takie życie by jej pasowało. A co powinnam począć z Lark? – ciągnęła jadowitym głosem pani naczelnik. – Jest tyle możliwości. Stłamszenie tego pełnego życia, niezależnego umysłu przyniosłoby mi wiele satysfakcji. Z wiecznej buntowniczkii uczyniłabym potulną oportunistkę. Kto wie, może nawet mogłaby potem pracować dla mnie. A może z was obu zrobię moje podwładne. Byłybyście dwoma bezmyślnymi botami, wykonującymi posłusznie wszystkie moje rozkazy. A jeśli się postaracie, może nawet przełączę coś w jej mózgu, tak że znowu cię pokocha. Na tym właśnie polega miłość, wiesz? To taki mały przełącznik w mózgu. Chemia.

– Nie, nigdy w to nie uwierzę – zaoponowałam. – Jesteśmy czymś więcej niż

tylko siecią elektrycznych powiązań w mózgu. Nie wolno wam robić tego ludziom.

Ellena wzruszyła ramionami.

– Dotychczas to robiłam. Kto mi zabroni?

– Ja! – rzuciłam z naiwną pewnością siebie. Domyślałam się, że musiało to zabrzmieć, jakbym postradała rozum. – Znajdę sposób, byś zapłaciła za wszystkie podłości, których się dopuszczasz. Jesteś złym człowiekiem!

Ellena zareagowała śmiechem. Brzmiał aksamitnie, jednak nigdy w życiu nie słyszałam nic równie przerażającego jak ten dźwięk.

– Złym człowiekiem? – powtórzyła takim tonem, jakby rozmawiała z małym dzieckiem. – To ty i inne drugie dzieci wysysacie życie z Edenu. Wykorzystujecie jego ograniczone zasoby, nie produkując nic w zamian. Jesteście niczym małe pasożyty mnożące się w ciemnościach pod miastem. Naprawdę sądzisz, że potrafilibyście samodzielnie myśleć i rządzić w sposób, który najbardziej wam odpowiada? Cywilizacja tak nie działa. To ja rządę Edenem. Moim obowiązkiem jest utrzymywanie ludzi przy życiu. Gdyby mnie zabrakło, miasto padłoby łupem egoistycznych rewolucjonistów, którzy uroili sobie, że społeczeństwo może przetrwać bez ofiar. W rzeczywistości los jednostki pozbawiony jest znaczenia. Czy ktokolwiek protestował, gdy zaprowadziłam porządek w slumsach zewnętrznych kręgów, a potem usunęłam wspomnienia o biedzie i przestępczości z tysięcy umysłów? Nie. Uwolniłam tych ludzi od rozpacz, chciwości, egoizmu, okrucieństwa i głupoty, które obróciły kiedyś te dzielnice w ruiny. Uczyniłam z nich czystych, porządnym i produktywnym członków społeczeństwa. Za moich rządów Eden stał się rajem na ziemi.

Ellena odsunęła się o krok i dodała z przekonaniem, jakby wierzyła w to, co mówi:

– Jestem dobrym człowiekiem. – Przez chwilę jej twarz rozjaśniał uśmiech, jednak zaraz zacisnęła usta. – Jednak będę mordować, torturować i przeprowadzać eksperymenty na wszystkich drugich dzieciach, do których

mam dostęp, jeśli to pomoże mi utrzymać bezpieczeństwo i pokój w Edenie.

Ellena niczym nie różniła się od Aarona Al-Baza. Kierowała się szlachetnymi pobudkami, była przekonana, że postępuje słusznie. Nie rozumiała, że chcąc ocalić ludzkość, skazuje ją na zagładę. Zdolność do współczucia i dobroć to cechy czyniące nas ludźmi. Chciałam jej powiedzieć: sama poświęć się dla ludzkości, zamiast poświęcać innych. Ale nawet to niewiele by zmieniło.

Znowu posuwaliśmy się niemającym końca korytarzem. W końcu postanowiłam przerwać ciszę:

– To wszystko jest niepotrzebne. Znam twój sekret. – Szefowa wywiadu stanęła jak wryta, a chwilę później zatrzymali się też sanitariusze. Musiałam dotknąć czulej struny. – Wiem, że poza Edenem istnieje tętniący życiem świat.

Jeden z sanitariuszy parsknął śmiechem, ale szybko się uspokoił. Jako pracownik niskiego stopnia nie powinien mieć własnego zdania. Ellenie wyraźnie ulżyło.

– Tętniący życiem świat? – powtórzyła. – A ty dalej trzymasz się tej bajeczki, którą zanudzałaś już innych? Las, kwiatki, ptaszki i jelen? Lark już mi o tym wspominała.

– Widziałam to na własne oczy. Kiedy uciekłam z Centrum, zjawiłam się na pustyni w momencie, gdy trzęsienie ziemi na chwilę wyłączyło iluzje stwarzane przez Ekopan...

– Mózg spłatał ci figła – Ellena machnęła lekceważąco dłonią. – Coś ci się przyśniło.

– Zainstalowaliście mi taki sen? – spytałam.

– Nie, ale... – Na jej twarzy na krótki moment odmalowało się zmieszanie. Jednak już po chwili znów nadała jej wyraz niezmałowanego spokoju. – Niesamowite, ty naprawdę żyjesz w świecie urojeń. To kolejny dowód, że ludzie twojego pokroju muszą zostać poddani kontroli. Gdybyś zaczęła rozpowiadać takie historie w Edenie, część obywateli niewątpliwie dałaby im wiarę. Doszłoby do niepokoju społecznego.

Z jej reakcji wynikało, że Ellena naprawdę nie wie o istnieniu świata poza

granicami Edenu. Wcześniej zakładałam, że to Centrum w jakimś celu ukrywa prawdę przed obywatelami. Skoro więc również władze o nim nie wiedziały, gdybym udowodniła im, że nie kłamię, być może w ich podejściu do rządu zaszałaby fundamentalna zmiana! Szefowa wywiadu, a wraz z nią wszyscy inni, zmieniałaby swoje myślenie. Uwolniłaby się od tego przymusu, by za wszelką cenę kontrolować mieszkańców Edenu. Okazałoby się, że nasze zasoby wcale nie są ograniczone, ponieważ do dyspozycji mamy cały świat. Ludzie nareszcie mogliby pozwolić sobie na dwoje dzieci, nie narażając się na srogie kary. Na dwoje, a może nawet na troje. Na tak wiele, ile by zechcieli! Świat należałby do nas.

Ta myśl sprawiła, że przebiegł mnie dreszcz. Przecież byliśmy już kiedyś panami świata. I doprowadziło to nas do katastrofy.

Tak czy inaczej ktoś utrzymywał w tajemnicy fakt, że wkoło nas tętni życie. Skoro jednak nie była to Ellena, to w takim razie kto?

Wreszcie dotarliśmy do sali operacyjnej.

– Wiesz, co teraz się stanie. Oczywiście zostałam zaprogramowana, by nic nie pamiętać po operacji. Powód był oczywisty: stosowane przez nas techniki są wyjątkowo nieprzyjemne. Ale gdy odzyskałam dostęp do wypartych wspomnień, te dotyczące operacji również wróciły, czyż nie? – Kiedy przytaknęłam, Ellena wyraźnie się ucieszyła. – Znakomicie! Oczekiwanie męczarni niekiedy bywa bardziej uciążliwe niż doświadczanie ich. Po tych wszystkich kłopotach, na które mnie naraziłaś, cieszę się, że będziesz świadoma wszystkiego, od początku do końca. Wiesz co, pierwszą fazę operacji przeprowadzę osobiście – oświadczyła, po czym odprawiła personel. – Całkiem możliwe, że w twoim przypadku zastosuję jakąś niekonwencjonalną procedurę. Lepiej, żeby nie było przy tym żadnych świadków.

W głowie zaświtała mi myśl, że przecież to ona zatwierdza wszystkie okropieństwa, jakim poddawani są pacjenci. Skoro teraz nie życzy sobie, by oglądali ją podwładni, jakie koszmary musiał przewidzieć dla mnie jej o władnięty żądzą zemsty umysł?

Kobieta wzięła do ręki jakiś giętki kabel ze sztywną końcówką. Przeróżliwie powoli zaczęła zbliżać ją do mojego oka.

– **NO, W KOŃCU!** – **MRUKNEŁA, ODSUWAJĄC** rękę od mojej twarzy, gdy drzwi się otworzyły. – Niezbyt dobrze świadczy o twoim profesjonalizmie to, że spóźniasz się na operację.

Odpowiedział jej męski głos:

– Nie opuściłem żadnej operacji tej pacjentki. Teraz też nie zamierzam stracić takiej okazji.

Z wrażenia aż jęknęłam. To był głos mojego ojca.

Na chwilę przeniosłam się myślami z powrotem do rodzinnego domu. Wyparłam teraz z pamięci całe zło, które wyrządził mi ojciec. Myślałam o tych szesnastu latach, gdy był dla mnie jedną z trzech osób, jakie znałam. Zanim jeszcze dowiedziałam się, jaki jest naprawdę, nie układało nam się zbyt dobrze. Mimo to pozostawał dla mnie symbolem rodziny, domu. Poczułam nagle, że nic mi nie grozi.

Zaraz jednak przypomniałam sobie, że próbował mnie uśmiercić jeszcze przed urodzeniem, gdy byłam w łonie mamy. Próbując mnie zabić, przy okazji uszkodził też mojego brata i skazał go na chroniczną chorobę płuc. A wiele lat później, aby się chronić, doniósł na syna. I pomagał tej złej do szpiku kości kobiecie przeprowadzać eksperymenty na swojej córce. Moja fałszywa matka popędzała teraz mojego prawdziwego ojca:

– Przygotuj się do roboty, ale migiem! Pacjentka robi się niespokojna. Wolałabym uniknąć podawania jej środków uspokajających. Chcę, żeby wszystko wyraźnie czuła. Narkoza nie wchodzi w grę.

Ojciec obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem. Czy w ogóle obchodziło go, że to jego córka przywiązana jest pasami do stołu operacyjnego i zaraz zostanie

poddana torturom, a jej tożsamość zostanie wymazana?

– Jak mogłeś mi to robić? – spytałam oskarżycielskim tonem. Ojciec zamarł na chwilę, zaraz jednak wziął się w garść. – Pomogłeś tej strasznej kobiecie grzebać mi w mózgu. Wspólnie wymazaliście moje prawdziwe „ja”. Co z ciebie za ojciec? Przysięgam, jeśli w choćby jednej komórce przechowam wspomnienie o tym, co mi zrobiliście, wytropię was i zabiję.

Kobieta odłożyła chirurgiczny kabel i spojrzała na mnie.

– Wierz mi, kiedy będzie już po wszystkim, w twoim mózgu nie uchowa się ani jedna komórka wyjęta spod naszej kontroli.

Ojciec stanął tuż za nią. Widziałam, że trzyma ciężką tacę do przyrządów chirurgicznych. Ku mojemu zdumieniu zamachnął się i po chwili taca z trzaskiem wylądowała na głowie Elleny. Z wielką satysfakcją patrzyłam, jak jej bezwładne ciało osuwa się na posadzkę.

Satysfakcją... ale też konsternacją.

Czyżby ojciec pozbył się jej, żeby samemu mnie zabić? Może chciał dokończyć dzieło, które zaczął, gdy byłam jeszcze w łonie matki. W napięciu przygotowywałam się na najgorsze...

Ojciec nacisnął jednak guzik i pasy krępujące moje ruchy zostały automatycznie rozpięte. Byłam wolna.

– Odesłałem strażników i wyłączyłem kamery bezpieczeństwa – oświadczył. Ukłękł obok szefowej wywiadu i zatopił igłę strzykawki w jej szyi. Ellena zamruwała szklistymi oczami, po czym je zamknęła. – Przygotowałem dla ciebie fartuch i maskę chirurgiczną. Dzięki nim będziesz mogła poruszać się nierozpoznana po klinice Centrum. Przy odrobinie szczęścia zdołasz się stąd wydostać i...

– Czemu to robisz? – spytałam, rozcierając obolałe nadgarstki. Ojciec chciał odpowiedzieć, jednak od razu się domyśliłam, że to, co powie, zabrzmi żałośnie, dlatego nie pozwoliłam mu dojść do słowa. – Wydaje ci się, że w ten sposób zdołasz wynagrodzić mnie i Ashowi piekło, na które nas skazałeś? Brzydzę się tobą. Zdradziłeś własne dzieci. To przez ciebie mój brat został schwytyany i być

może zabity. To twoja wina, że... – Głos mi zadrżał, a po chwili rozsłochałam się. – To przez ciebie zginęła mama. Zamiast chronić swoją rodzinę, poświęciłeś nas wszystkich dla własnej kariery.

– Rowan, to nie tak – próbował tłumaczyć się ojciec. – Nigdy nie sądziłem...

– Nie chcę tego słuchać – warknęłam. – To, że mnie teraz uwalniasz, nie ma żadnego znaczenia. Zapewne w ciągu dziesięciu minut i tak zostanę znów schwytana. Nie pozwolę, byś tak łatwo oczyścił swoje sumienie. Z twoją pomocą ta kobieta ukradła mi moje „ja”!

– Zrozum, musiałem przeprowadzać na tobie operacje. Należę do wąskiego grona specjalistów, którzy mogli się ich podjąć. A gdy to ja asystowałem przy zabiegu, twoje szanse na przeżycie znacznie wzrastały. Zakładałem, że najważniejsze, to zachować cię przy życiu. Tłumaczyłem sobie, że teraz nareszcie będziesz mogła wieść życie pierwszego dziecka i uchodzić za pełnoprawnego obywatela Edenu. Myślałem, że jeśli nie zachowasz wspomnień o swoim dawnym życiu, będziesz szczęśliwa. Nagle stanąłem przed szansą wymazania z twojej pamięci tego, co spotkało Asha i twoją mamę, wszelkich nieszczęść, jakich doświadczyła nasza rodzina. Sądziłem, że ci się poszczęściło. Przynajmniej zdołałaś zapomnieć o całym złu, podczas gdy ja musiałem każdego dnia żyć z pełną świadomością tego, co zrobiłem. – Umilkł na chwilę, po czym dodał nagłym tonem: – Przebierz się, musisz się pospieszyć. Dopilnowałem, by wszyscy strażnicy zostali odwołani do innych sektorów. Zostało niewiele czasu, nim wrócą.

Nie wstawałam jednak ze stołu chirurgicznego. Siedziałam ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Nigdzie nie idę – oznajmiłam.

– Jak to? Czemu nie? Przecież to obłąd!

– Nie chodzi tylko mnie – odparłam. – Ty oraz ludzie, z którymi pracujesz, zamierzacie zniszczyć życie kilkudziesięciorga drugich dzieci. Pojmaliście maluchy, które czeka taki sam los jak ten, który przewidziano dla mnie. One też będą dręczone.

– To nie tak – wypierał się ojciec. – Po prostu usuniemy ich wspomnienia o tym, że są drugimi dziećmi, a następnie włączymy je z powrotem do życia w społeczeństwie. Dzieci zostaną oddane pod opiekę parom, które nie mogą mieć własnego potomstwa. Obiecuję, że nikt nie będzie poddawany torturom.

– Kłamiesz – warknęłam. – Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? Dobrze wiesz, jak postąpiliście ze mną.

– Oni dali ci po prostu nowe życie – odparł z przekonaniem ojciec. – Lepsze niż to, które ja mogłem ci zapewnić. Dali ci szansę.

– Odebrali mi to, kim byłem! Odebrali mi moje „ja”! – wrzasnęłam. Czy ten człowiek naprawdę nie zdawał sobie sprawy z powagi tego, co się stało? – Nie mogę teraz uciec, bo oznaczałoby to, że przyzwalam, by innych spotkało to samo. Chcesz mnie uwolnić? Chcesz odkupić swoje winy? W takim razie pomóż mi uratować Lark i wszystkie drugie dzieci.

– To niemożliwe – odparł, marszcząc czoło. Czy naprawdę sądził, że tak łatwo będzie zdobyć rozgrzeszenie? Chciał poczuć, że jest dobrym człowiekiem, jednak czekała go długa droga. – W celach trzymana jest ponad setka drugich dzieci. Znajdujemy się w pilnie strzeżonej placówce. System ochrony kontrolowany jest w pełni przez Ekopan. – Ojciec zaśmiał się nerwowo. – Jeśli chcesz wszystkich uwolnić, musiałybyś wyłączyć cały Ekopan.

W jego ustach zabrzmiało to jak skrajna niedorzeczność, te słowa dały mi jednak do myślenia. Przypomniałam sobie moment, gdy ziemia się zatrzęsała – fasolowe drzewa kładły się pokotem, a w ziemi rozwarła się szczelina, sięgająca od rogatek Edenu aż ku centrum miasta. W trakcie wstrząsów na moment przestały działać systemy wytwarzające iluzje. Grzejniki, które sztucznie podwyższały temperaturę powietrza w wytworzonym przez człowieka pasie pustynnym okalającym Eden, wyłączyły się – i momentalnie temperatura dochodząca do sześćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza obniżyła się, a powietrze stało się przyjemnie chłodne niczym w rześki jesienny dzień. Domyślałam się, że powodem chwilowej usterki było wyłączenie Ekopanoptikonu, wielkiej sieci komputerowej zarządzającej Edenem.

Do Ekopanu podłączona była sieć energetyczna, system wytwarzania żywności, wodociągi, system oczyszczania powietrza – wszystko, łącznie z implantami soczewkowymi...

Również działalność Centrum i chroniących ją systemów bezpieczeństwa sprzęgnięta była z Ekopanem. Trzęsienie ziemi zapewne spowodowało przestój w działaniu Ekopanu, lecz trwał on tylko chwilę. Przypomniałam sobie teraz, że zielone koszule, które mnie ujęły po tym, jak odnalazłam żywy świat, zdawały się nie dostrzegać tego co ja. Możliwe, że ich soczewki nadal działały pomimo usterki Ekopanu. Istniało też inne wytłumaczenie – a co, jeśli umysły obywateli zostały tak dogłębnie zmanipulowane, że nie widzą tego, co mają przed oczami, nie pamiętają wojen ani biedy nawet wówczas, gdy główny system Ekopanu nie działa?

Gdyby jednak zawiesić jego działalność, wówczas systemy bezpieczeństwa na pewno też przestałyby działać.

– Gdyby udało mi się na chwilę wstrzymać Ekopan, zdołasz uwolnić drugie dzieci? – spytałam.

– To szaleństwo – wydusił z siebie ojciec.

– Pomożesz mi, jeśli mi się to uda?

– Jeśli będę działać w pojedynkę, może zdołam uwolnić część z nich – przyznał ostrożnie. – Rowan, co ty kombinujesz?

– Wywołam trzęsienie ziemi... – zaczęłam tłumaczyć.

– Co takiego? – wszedł mi w słowo, marszcząc brwi. Oczywiście, uświadomiłam sobie, mózg ojca również był kontrolowany. Nie pamiętał żadnego trzęsienia ziemi.

Poczułam, jak moja nienawiść do tego człowieka stopniowo słabnie. Podobnie było z Pearl – jej też nienawidziłam do momentu, gdy odkryłam, że tak jak ja padła ofiarą koszmarnego eksperymentu polegającego na manipulowaniu myśleniem obywateli. Myśli wszystkich, z wyjątkiem drugich dzieci, były w mniejszym lub większym stopniu kontrolowane przez Centrum. Skoro każdego poddawano manipulacji, czy w ogóle ktokolwiek zachował jeszcze

swoje prawdziwe „ja”?

A jeśli nie, jak mogłam nienawidzić tych ludzi za wybory, których dokonywali? Mój ojciec zdradził swoją rodzinę i dopuszczał się strasznych czynów. Czy jednak to on był odpowiedzialny za swoje decyzje? A może zmuszono go, by dawał wiarę pewnym „faktom”? Przekonania, jakie w nim sztucznie zaszczepiono, miały bez wątpienia wpływ na podejmowane przez niego działania. Czy w ogóle mógł im się przeciwstawić? Mnie to się udawało, ale nie zawsze, a poza tym pomagali mi inni. Miałam Lark i Lachlana, którym zależało, bym odzyskała moje prawdziwe „ja”. Ojciec tymczasem nie miał nikogo, kto podpowiedziałyby mu, że Eden jest więzieniem, a nasze życie fikcją.

Ku mojemu absolutnemu zdumieniu przebaczyłam mu.

W tej samej chwili poczułam, jakby kamień spadł mi z serca. Odszukałam spojrzeniem szefową wywiadu, która leżała nieruchomo na posadzce. Może ona też była ofiarą.

Kto w takim razie był prawdziwym złoczyńcą?

Może Aaron Al-Baz? Na pewno, ale on już nie żył. Dopuścił się straszliwych czynów i stworzył coś, co kontynuowało jego dzieło nawet po jego śmierci.

Wprowadzało w życie stworzony przez niego plan.

Ekopanoptykon.

Wszyscy byliśmy ofiarami Ekopanu.

– Tato – odezwałam się łagodnym głosem. To słowo wystarczyło, by piwne oczy ojca zaszklily się od łez. – Chyba zdołam na chwilę wstrzymać działanie Ekopanu. Jeśli mi się uda, spróbujesz uwolnić drugie dzieci?

Widziałam, że właśnie tego chce. Pragnął mojego przebaczenia. Chciał odkupić zło, którego się dopuścił. Nadal jednak się wahał.

– Tato, próbowałeś mnie zabić – ciągnęłam szeptem. – Nakierowałeś na mnie wiązkę promieni dźwiękowych, kiedy byłam jeszcze w łonie mamy. Chciałeś w ten sposób oszczędzić sobie kłopotów, na które naraziłoby cię posiadanie bliźniaków, nielegalnego drugiego dziecka.

Ojciec szlochał. Przebaczyłam mu co prawda, jednak nadal potrzebowałam

jego pomocy.

– Możliwe, że Ash wciąż żyje. To on jest tak naprawdę drugim dzieckiem. Ja przyszedłam na świat pierwsza. Tak, tato, wiem o wszystkim od mamy. Musisz pomóc drugim dzieciom, bo tylko one mogą uratować Asha, o ile nie zginął. Jesteś winien to nam obojgu, tato. Masz też dług wobec wszystkich drugich dzieci, musisz im wynagrodzić to, że próbowałeś je zniszczyć.

– Zrobię to – powiedział przez łyży. – Mam tu znajomości. Niektórzy są mi winni przysługę. No i znam ludzi z zewnętrznych kręgów. Przysięgam, zrobię co w mojej mocy. – Upadł na kolana tuż przy stole chirurgicznym. – Rowan, błagam cię, przebac mi. Twoja matka mi przebaczyła.

Jego słowa mnie zmroziły.

– Nieprawda – powiedziałam, odtrącając jego rękę. – Znienawidziła cię za to, co zrobiłeś. Została z tobą tylko ze względu na nas: mnie i Asha. – Jego twarz stała się kredowo blada. Wiedziałam, jak bardzo kochał mamę. – Musisz odkupić swoje winy, tylko wtedy dusza mamy ci wybaczy.

Mama nigdy nie wybaczyłaby ojcu tego, co zrobił. Wiedziałam jednak, że za wszelką cenę muszę zmusić go do działania.

– Uwolnię ich, obiecuję – powiedział. – Wyłącz Ekopan, a ja zajmę się resztą. Przyrzekam.

– W porządku. W takim razie wyprowadź mnie stąd. I bądź gotów do działania. Nie wiem, ile mi to zajmie. Jeśli jednak to możliwe, Ekopan przestanie działać jeszcze tej nocy.

Pochyliłam się nad bezwładnym ciałem Elleny i wyjęłam z jej kieszeni mój naszyjnik. Kiedy założyłam go na szyję, momentalnie poczułam się niemal kompletna.

FORTEL OJCA ZDAWAŁ EGZAMIN... PRZYNAJMNIEJ na razie. Przebrana w fartuch lekarski, posługując się fałszywym identyfikatorem, który dostarczył mi ojciec, niczym nie różniłam się od innych pracowników placówki, których mijalam na korytarzach. Wszyscy oni mieli pełne ręce roboty przy wymazywaniu tożsamości pacjentów, co służyć miało stworzeniu utopijnego raju na ziemi, będącego w istocie więzieniem. Zanim dotarłam do wyjścia, musiałam pokonać długi korytarz. Po drodze ukradkiem zaglądałam do wszystkich mijanych cel. Wiedziałam, że nie mogę kręcić się przy nich zbyt długo, bo moje zachowanie zwróciłoby uwagę. Zdołałam jednak stwierdzić, że w celach nie ma Lachlana ani Asha. Nie widziałam też Flinta. Odnalazłam za to Iris. I Adder – siedziała w kącie celi, patrząc martwym wzrokiem, a w całej jej postaci jedynie węże na tatuażach wydawały się pełne życia.

Wreszcie odszukałam też Lark. Mijając jej celę, zwolniłam kroku. Na ustach dziewczyny błędził blady uśmiech, jednak spojrzenie miała tak samo martwe jak wszyscy inni. Wcale nie miałam pewności, czy w takim stanie zechcą oni w ogóle posłuchać mojego ojca, gdy zjawi się, by ich uwolnić. Niewykluczone, że zaczną kręcić się bez celu po korytarzu w oczekiwaniu, aż ktoś prześle do ich mózgow impuls nerwowy, który podpowie im, co mają robić i kim być.

Przechodząc, przesunęłam dłonią po szybie oddzielającej mnie od Lark celi, mimo że moja przyjaciółka nie mogła poczuć tej pieśczoły.

– Wydostanę cię stąd. Obiecuję – szepnęłam.

Żadnej reakcji.

Bez trudu opuściłam teren Centrum. Ojciec przygotował mi konkretną trasę ucieczki. Ilekroć mijalam posterunek strażniczy, okazywało się, że personel

został odwołany w inne miejsce. W końcu, gdy zapadał zmierzch, dotarłam do cywilnej części miasta. Znalazłam się w ekskluzywnej dzielnicy kręgów wewnętrznych, gdzie właśnie rozkręcało się nocne życie. W apartamentach i willach mieszkańcy zakładali wieczorowe kreacje, w których zamierzali się zaprezentować. Z mijanych drogich restauracji dolatywały oszałamiające aromaty przyrządzanych potraw. Wnętrza klubów dudniły basową muzyką.

Życie w Edenie toczyło się swoim zwykłym rytmem. Kiedy patrzyłam na tych ludzi, chciałam krzyknąć, że są głupcami i żyją w kłamstwie. Spoglądałam z niedowierzaniem na pary szczęśliwych ludzi, którzy trzymali się za ręce i nachyleni do siebie opowiadali sobie dowcipy. *Nie rozumiecie, że ktoś podmienił wam mózgi? Ktoś podpowiada wam, co macie myśleć. Skąd możecie wiedzieć, że miłość, którą czujecie, jest prawdziwym uczuciem, a nie spełnieniem woli Ekopanu, emocją zaimplementowaną wam przez szefową wywiadu Ellenę?*

W pewnym momencie minęłam klub Deszczowy Las – miejsce, w którym poznałam Lark. Zza drzwi sączyły się trele tropikalnych ptaków. W środku dostrzegłam przelotnie syntetyczne drzewa w krzykliwych barwach niespotykanych nigdy w środowisku naturalnym. Ich pnie oplatały elektryczne winorośle pulsujące nienaturalnymi kolorami. *Dlaczego zadowalacie się sztucznym światem, skoro kilka kilometrów dalej istnieje prawdziwy? Czemu godzicie się na życie w więzieniu?*

Oczywiście nie odzywałam się ani słowem. Miałam misję do wypełnienia, a krzyczenie na obcych ludzi w niczym by nie pomogło. Wzięto by mnie za wariatkę. Ludzie żądaliby dowodu na prawdziwość moich słów. Przecież mimo że widziałam las na własne oczy, sama z trudem mogłam w to uwierzyć. Mój umysł nadal podlegał programowaniu, które kazało mi wypierać oczywiste fakty i zadowalać się najprostszymi wyjaśnieniami. A jednak byłam silniejsza od tych fikcji, które mi zaszczepiono. Może inni ludzie też potrafiliby odnaleźć w sobie taką moc.

Do tego potrzebowali jednak wzorów do naśladowania. Dlatego właśnie musiałam uwolnić drugie dzieci, nim specjaliści w Centrum wszczepią

im implanty albo nieodwracalnie uszkodzą ich mózgi.

Mijałam kolejne kręgi, kierując się ku rogatom miasta. Miałam do pokonania długą drogę, dlatego w końcu postanowiłam, że pojedę autopętłą. Wsiadłam, gdy przejechaliśmy mój przystanek, żeby w ten sposób zmylić ewentualną pogoń. Miałam jednak wrażenie, że nikt mnie nie śledzi. O dziwo po drodze nie napotykałam nawet botów ochrony. Kiedy mijałam maleńkie boty sprzątające, usuwały się szybko na bok. W pewnym momencie, gdy skręciłam za róg, jedna z takich ruchomych kopuł smyrnęła mi niemal spod stopy. Gdyby tylko maszyny te umiały posyłać zdumione spojrzenia! Bocik, na którego wpadłam, wydawał się mechanicznie zdziwiony. Pospiesznie się wycofał, po czym ruszył w przeciwną stronę. Czyżby ojciec, planując moją ucieczkę, zadbał nawet o współpracę ze strony botów sprzątających? Jakim cudem mógłby to osiągnąć?

Obawiałam się, że przy studziencie kanalizacyjnej, będącej tajnym wejściem do Podziemia, zastanę zielone koszule. Na szczęście, kiedy dotarłam na miejsce, było zupełnie pusto. Przypomniałam sobie, jak podczas ataku na Podziemie ktoś wspomniał, że atakujący wysadzali w powietrze ściany skalnego labiryntu, torując sobie drogę na skróty. Zapewne czujnik wskazujący położenie Pearl podpowiadał im, gdzie jest, jednak nie umiał wytyczyć drogi wiodącej w to miejsce. A ponieważ nie wiedzieli o istnieniu zakamuflowanego wejścia przez studzienkę, przedostali się do środka od strony kanałów. Posuwając się kanałami, zakradli się do Podziemia tak blisko, jak tylko mogli, a gdy stanęła im na drodze ściana, sforsowali ją przy użyciu środków wybuchowych.

Zsunęłam nogi do studzienki, po czym ześlizgnęłam się do labiryntu. Byłam tu już kilka razy i sądziłam, że bez problemu odnajdę właściwą drogę. Labirynt znowu jednak mnie pokonał. Kiedy straciłam orientację, zaczęłam się martwić, że jak Pearl będę błądziła bez końca. W pewnym momencie jednak natrafiłam na otwory w kolejnych ścianach, będące dziełem Zielonych Koszul. Ruszyłam więc tropem zniszczeń i dolatującym z głębi Podziemi swądem spalenizny. W końcu dotarłam do celu i znalazłam się na wysokim poziomie kryształowej jaskini.

Wielka Ziemi! Jak oni mogli to zrobić? W miejscu gdzie jeszcze niedawno wznosiło się wspaniałe, piękne, królewskie drzewo, sterczał teraz zwęglony kikut. Ogień strawił wszystkie gałęzie. Grubsze nadpalone konary połamały się i spadły na ziemię. Tam dalej trawił je ogień, tak że większość została spalona na popiół. Pień był smolście czarny, z poszarpanym szczytem w miejscu, gdzie koronę pokonały płomienie.

Powoli ruszyłam w dół po schodach. Niektóre platformy, przez które prowadziły stopnie, ucierpiały podczas walk. Duże szkody zostały spowodowane seriami eksplozji. Trzy poziomy nad ziemię schody się zawaliły, tak że dalszą drogę musiałam pokonać, zeskakując coraz niżej.

To, co tu zastałam, zabiło we mnie wiarę w ludzkość. Któż inny był winien temu pogromowi, jeśli nie ludzie? Nawet jeśli rozkazy wydawał Ekopan, przecież to człowiek był jego twórcą.

Czułam się przygnębiona, przygnieciona uczuciem beznadziei. Zadawałam sobie pytanie, czy nawet ta ostatnia garstka ludzi na Ziemi w ogóle zasługuje na to, by przetrwać? Może na tym właśnie polegała ostatnia kara, jaką przygotował dla nas Aaron Al-Baz? Mieliśmy żyć w więzieniu, podczas gdy maszyny i lekarze będą próbować uczynić z nas istoty godne życia na Ziemi? Czyżby Al-Baz nie rozumiał, że nawet dobro staje się złe, gdy ktoś zostaje do niego przymuszony wbrew własnej woli?

Próbowałam unikać wzrokiem drzewa. Jego widok był zbyt koszmarny.

Próbowałam odepchnąć od siebie myśl, że wkrótce pisany mi jest podobny los.

Skierowałam się do miejsca, które pokazała mi Rainbow – Wybuchowej Sali.

Na razie dopisywało mi szczęście. W korytarzu leżał gruz, potrzaskane fragmenty skał, stalaktytów i jakichś sprzętów. Olbrzymi wyszczerbiony kawał skały tarasował wejście, jednak zdołałam przecisnąć się obok niego. W pewnym momencie głaz zakołysał się, a ja wstrzymałam oddech, przerażona, że mnie przygniecie. Wiedziałam, że muszę uważać, bo w przeciwnym razie grozi mi, że zostaną uwięziona w sali, albo co gorsze zmiażdżona, zanim zdążę uruchomić

procedurę samozniszczenia.

Nie miałam pojęcia, na jakiej zasadzie działa system wybuchowy. Na szczęście wcale nie musiałam wiedzieć. Powtarzałam sobie w myśli, że przecież wystarczy nacisnąć ten duży czerwony guzik. Nie będzie to chyba wymagało wielkiej filozofii.

Zaraz jednak pojawiły się wątpliwości – czy po naciśnięciu go wybuch nastąpi natychmiast? Chyba nie, twórcy systemu musieli zaprogramować jakieś opóźnienie. W zamierzeniu drugich dzieci rozwiązanie takie było ostatnią deską ratunku na wypadek, gdyby Centrum dowiedziało się o ich istnieniu i trzeba było szybko zatrzeć za sobą ślady. Miała to być ostateczność, gdy wszystko inne zawiedzie. Gdyby nie było to absolutnie konieczne, drugie dzieci nigdy nie zdecydowałyby się na zniszczenie swojego domu oraz drzewa.

Teraz jednak drzewo już nie istniało, a drugie dzieci były daleko stąd. Jeśli moje przewidywania były słuszne, potężny podziemny wybuch tuż pod centralnymi dzielnicami Edenu powinien zostać odebrany na powierzchni jako trzęsienie ziemi, powodując chwilowe wyłączenie Ekopanu. Drugie dzieci zyskają wówczas możliwość ucieczki. Możliwe też, że jeśli przestój w działaniu systemu potrwa wystarczająco długo, niektórzy mieszkańcy Edenu zdążą przejrzeć na wylot iluzje, które ograniczają ich percepcję świata. Może ten krótki wgląd w to, jaki naprawdę jest świat, zapoczątkuje wielką zmianę społeczną.

Ponieważ drzewo było już martwe, nie pozostało mi nic do stracenia. Z wyjątkiem, rzecz jasna, mojego życia.

Starłam się jednak o tym nie myśleć. Nie planowałam samobójstwa w szlachetnej sprawie – to, co zamierzałam zrobić, było po prostu koniecznością. Musiałam ocalić tych ludzi. Pięścią wcisnęłam czerwony przycisk, zaciskając powieki na wypadek, gdyby eksplozja miała nastąpić natychmiast. Człowiek to jednak przedziwna istota! Groziło mi, że zostanę unicestwiona w ułamku sekundy, a mimo to pamiętałam, by zamknąć oczy, tak jakby mogło mnie to ocalić przed nieuchronnym.

Żadne unicestwienie jednak nie nastąpiło. Zamiast tego na wyświetlaczu

umieszczonym pod guzikiem pokazał się licznik odliczający czas do zera. Piętnaście minut.

Sprawnie poruszający się ochotnik zdołałby pomknąć z powrotem do schodów, przemierzyć labirynt i wydostać się na powierzchnię zapasowym wyjściem. W momencie eksplozji przebywałby nadal blisko epicentrum. Możliwe, że wybuch powaliłby go na ziemię, ogłuszył, spowodował wstrząs mózgu. Mógłby nawet ogłuchnąć do huku. Istniało ryzyko, że podziemny wstrząs zburzyłby okoliczne budynki, a śmiałek zostałby pogrzebany przez gruz. W ziemi mogłaby też otworzyć się szczelina i połknąć go. Mimo wszystko miałby jakąś szansę na ocalenie.

Wystarczył mi rzut oka na zrujnowane schody, bym zrozumiała, że nie zdążę oddalić się na bezpieczną odległość. Jasne, mogłabym spróbować wspinać się po ścianach. Z dołu dostrzegłam nieliczne występy, które mogłyby posłużyć jako oparcie dla dłoni i stóp. Wiedziałam jednak, że jest ich zbyt mało. Ściany jaskini generalnie były gładkie. Prędzej czy później opracowałabym trasę wspinaczki, jednak nie obesłoby się bez kilku prób. Poza tym potrzebowałam sprzętu wspinaczkowego. Wspinanie w takich warunkach byłaby wielkim wyzwaniem. A pokonanie tej wysokości w piętnaście minut było po prostu niemożliwe.

Biegiem ruszyłam do miejsca, które pokazała mi Rainbow, zanim nas złapali. Było to wyjście prowadzące na powierzchnię ziemi. Kiedy tam dotarłam, zastałam na miejscu tylko stertę gruzu. Pod wpływem wybuchu zawaliła się jedna ze ścian, a rumowisko całkowicie zatarasowało przejście. Poza tym nawet gdybym zdołała pokonać tę przeszkodę, znalazłabym się pewnie w labiryncie korytarzy równie skomplikowanym jak ten w okolicach głównego wejścia. Szanse, że zdążę odnaleźć wyjście przed wybuchem, były zerowe.

Wróciłam więc do Wybuchowej Sali. Niedaleko guzika znalazłam wyłącznik, który pozwalał anulować program. Zainstalowano go na wypadek, gdyby mechanizm detonacji został włączony przez przypadek. Licznik miarowo odmierzał czas. Pozostało mi jeszcze ponad dziewięć minut.

Teoretycznie mogłabym zatrzymać procedurę samozniszczenia i wcześniej

poszukać drogi ewakuacji. Wiedziałam jednak, że w gmatwaninie korytarzy może mi to zająć cały dzień. Istniało też ryzyko, że zgubię się i nie zdołam wrócić do Wybuchowej Sali, by ponownie uruchomić procedurę. Nim dotarłabym do zachowanego w dobrym stanie odcinka schodów, wspinaczka po niemal pionowych ścianach jaskini mogłaby mi zająć kilka godzin. W tym czasie w Centrum ktoś mógłby odnaleźć nieprzytomną Ellenę, a cały plan ojca ległby w gruzach.

Ryzykowałam też, że chirurdzy zdążą dobrać się do niewinnych, pięknych umysłów Rainbow, Lark i innych...

Każda chwila zwłoki mogła spowodować, że wydarzy się tam coś strasznego i nieodwracalnego.

Moja dłoń zawisała nad wyłącznikiem przerywającym procedurę. W końcu jednak opuściłam rękę. Ostrożnie przecisnęłam się obok tarasującego przejście głazu. Kiedy znalazłam się po drugiej stronie, całym ciężarem ciała naparłam na kamień. Zakołysał się, a w końcu obrócił, niemal całkowicie tarasując korytarz. Teraz nie zdołałoby się tędy przecisnąć nawet dziecko. Nic już nie mogło powstrzymać zbliżającej się eksplozji.

Wróciłam do zwęglonych resztek drzewa i znalazłam sobie miejsce między poczerniałymi korzeniami. Wszystko wkoło oblepiła sadza. Dotknęłam palcami kory pnia, a kiedy cofnęłam dłoń, cała była pokryta czarnym pyłem. Zaklaskałam, a wtedy w powietrze wzbił się ciemny obłoczek.

Uśmiechnęłam się, a gdy myśl, że w tak opłakanej sytuacji zdobywam się na uśmiech, wydała mi się bardzo zabawna, zaczęłam chichotać. Tak, człowiek jest przedziwną istotą.

Lada chwila miałam umrzeć, a mimo to czułam się teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie, „szczęśliwa” to nie było właściwe słowo. Oczywiście nie chciałam wcale umierać. W głębi duszy bałam się bólu, który poprzedzi zgon, a także tego, co czekało na mnie po śmierci. Odczuwałam też smutek na myśl, że opuszczę ten świat, a tym samym utracę szansę na przyjaźń, miłość i całe dobro, którego

człowiek może doświadczyć mimo wszelkich przeciwności losu.

Mimo to czułam się pogodzona ze sobą.

Teraz to ja dokonywałam wyborów, to ja panowałam nad własnym życiem. Decyzja, którą podjęłam, wypływała z mojego przekonania. Nie była pochodną wstrząsu, któremu ktoś poddaje mój mózg, ani wszczepionej mi sztucznie myśli. To ja, Rowan, zadecydowałam, że umrę, by dać szansę moim przyjaciołom na normalne życie. Nie byłam wcale pewna, czy mój plan się powiedzie. Tym niemniej chciałam zrobić co w mojej mocy.

Oparłam dłonie na spalonych korzeniach i nagle poczułam pod nimi coś niespodziewanie miękkiego i sprężystego. Kiedy spojrzałam w to miejsce, ku mojemu zdumieniu zobaczyłam, że ze zwęglonych pozostałości drzewa wystrzelił maleńki pęd. Jasnozielony kiełek, z nierozwiniętymi jeszcze listkami.

Życie! Życie, które zrodziło się ze śmierci!

Przypomniałam sobie, jak Lachlan opowiadał mi, że kamforowiec wyrósł ze szczepki pochodzącej z drzewa zniszczonego przez wybuch atomowy. Wszystko wokół niego uległo zniszczeniu, a samo drzewo zamieniło się w napromieniowany kikut. Jednak głęboko pod spaloną powierzchnią przechowało życie. A krótko po wybuchu puściło pędy. Po jakimś czasie ozdrowiało i zazieleniło się. Okazało się, że korzenie drzewa pozostały nienaruszone.

Pomyślałam, że również my, ludzie, zapuszczamy głęboko korzenie. Byłam pewna, że niektórzy stawią opór manipulacjom umysłowym. Niektórym uda się uciec z więzienia. Nie będę to ja, jednak z każdą upływającą minutą przestawało to mieć dla mnie znaczenie.

Zamknęłam oczy i zaczęłam rozmyślać o lesie. Tym razem nie przywoływałam w pamięci tylko obrazu kwiatów i ptaków, lecz wyobraziłam sobie również, że są tam moi przyjaciele. Widziałam Lark hasającą na łące. Tańczyła i śmiała się z kwiatami wpiętymi w liliowe włosy. Przy każdym kroku z deptanych ziół unosiła się w powietrze oszałamiająca woń. Po chwili dostrzegłam też Asha, który usiadł w cieniu rzucanym przez drzewo. Drzewo,

które w przeciwieństwie do tego samotnego kamforowca z Podziemia, otoczone było innymi drzewami. Nieco dalej widziałam Lachlana, który zbierał owoce i orzechy – prawdziwe jedzenie, z którego chciał przyrządzić ucztę.

Może ten wymarzony świat był osiągalny. Może działania, które teraz podejmowałam, umożliwią innym odnalezienie go.

Ta nadzieja dawała mi siły do życia.

I do śmierci.

Z początku sądziłam, że te nadzwyczaj żywe rojenia to tylko produkt mojego mózgu, który przeczuwa nadejście śmierci. W pewnym momencie ujrzałam jednak, jak Ash podchodzi do mnie. Cały umazany był sadzą, przedramię i policzki miał poparzone. Mimo to sprawiał wrażenie, jakby nie posiadał się z radości na mój widok. Dopiero gdy odezwał się drżącym głosem, zrozumiałam, że to wcale nie wizja.

– Myślałem, że umarłaś – powiedział. – Widziałem, jak cię złapali. Jak ci się udało...

Nie dokończył. Musiał dostrzec panikę, która odmalowała się na mojej twarzy. Zerwałam się z ziemi i chwyciłam go za ramiona. Chciałam przytulić go i uścisnąć. Nie mogłam uwierzyć, że zjawił się tutaj w takiej chwili. Zachodziłam w głowę, ile jeszcze czasu pozostało do wybuchu. Wielka Ziemi! Przecież to niemożliwe! Byłam już pogodzona z myślą, że poświęcę się, by ratować innych. Ale przecież nie myślałam wcale o poświęcaniu Asha! Nigdy bym mu tego nie zrobiła. Powinnam go chronić.

Zaczęłam wlec go na drugą stronę jaskini, ignorując jego nieskładne pytania. Liczyłam, że jeśli schroni się możliwie daleko od epicentrum, w jednej z bocznych sal, wówczas może będzie miał szansę na przeżycie.

W pewnym momencie Ash zaparł się, wbijając piętami w ziemię.

– Rowan, co się dzieje?

– Samozniszczenie – wydyszałam. – Lada moment nastąpi eksplozja.

Nie było już czasu na rozmowy. Ash, dlaczego? Łatwo było mi pogodzić się z tym, że zginę, bo wiedziałam, że część mnie przetrwa w tobie.

Brat wciąż stawiał mi opór, tak że musiałam go teraz wlec krok za krokiem z dala od epicentrum.

– Pospiesz się! Nie ma czasu do stracenia. Uruchomiłam procedurę samozniszczenia, żeby wywołać trzęsienie ziemi. W ten sposób może spowoduję chwilową przerwę w działaniu Ekopanu oraz wszystkich systemów Edenu. A wówczas inni będą mogli uciec z Centrum. Nie miałam pojęcia, że cię tu znajdę!

O dziwo Ash przyjął to wszystko ze spokojem. Możliwe, że był jeszcze w szoku po tym, czego doświadczył. Widział, jak wszyscy ludzie, na których mu zależało, są obezwładniani i zabierani przez zielone koszule. Widział, jak atakujący puszczają z dymem ostatnie drzewo na Ziemi.

– Rowan, już dobrze – powiedział, biorąc mnie w ramiona. – Nie obchodzi mnie, co stanie się ze mną. Najważniejsze, by inni byli bezpieczni. Znów jesteśmy razem, Rowan. Tak samo jak przed narodzinami. – Przycisnął policzek do mojej twarzy. – Dopóki jesteśmy razem, nic innego się nie liczy.

Ja jednak nie chciałam rezygnować. Próbowałam jeszcze odciągnąć Asha w bezpieczne miejsce. I nagle wszystko wydarzyło się w tym samym momencie – ujrzałam tysiące srebrnych błyszczących botów, a równocześnie błysk potężnej eksplozji. Z początku nie zarejestrowałam żadnego dźwięku. Uderzyła we mnie fala gorąca i wiatru. A zaraz potem otoczył nas rój maleńkich maszyn. Nigdy jeszcze nie widziałam botów takiego rodzaju. W ułamku sekundy splotły się ze sobą, zamykając nas w czymś w rodzaju bańki. Wnętrze kuli, w której się znaleźliśmy, było idealnie gładkie. Kiedy przyglądałam się jej powierzchni, ujrzałam niczym w lustrze odbicie naszych twarzy. Byliśmy tacy podobni do siebie.

Rowan, widzę cię, odezwał się jakiś głos. Zawsze cię widziałem. Dobra robota.

Dopiero wtedy dźwięk dogonił błysk i runął na nas ogłuszający huk eksplozji.

A potem ogarnęła mnie pustka...

Z POCZĄTKU MIAŁAM WRAŻENIE, ŻE TEN GŁOS rozbrzmiewa tylko wewnątrz mojej czaszki. Potem jednak dobiegał już zewsząd. Ja sama też byłam wszędzie.

Wiedziałam, że to zakrawa na szaleństwo. Czyżbym zginęła w eksplozji? Czy tak właśnie wygląda śmierć? Tworzące mnie cząsteczki rozprysły się, a ja stałam się jednością z całym wszechświatem.

Rowan, nawoływał mnie głos. Przemawiał cicho i kojąco. *Rowan, Rowan*. Nawoływanie ciągnęło się bez końca niczym monotony śpiew.

Brzmiało to tak, jakby ten głos próbował przypomnieć mi, kim jestem.

Czułam się dziwnie – wolna, a równocześnie pozbawiona jestestwa i zakłopotana z tego powodu. Zarazem jednak nie odczuwałam strachu. Po jakimś czasie to przemożne poczucie bycia wszechobecną zbladło i znalazłam się w jakimś pokoju. Nie, nie był to pokój, lecz raczej kula podobna do tej, która otoczyła nas w momencie wybuchu. Ta, w której znalazłam się teraz, była olbrzymia, srebrna, wielkością dorównywała kryształowej jaskini.

Byłam i równocześnie nie byłam tu sama. Wszędzie wkoło wyczuwałam czyjaś obecność, jednak nie dostrzegałam nic z wyjątkiem przyćmionego srebrnego blasku, którym emanowały ściany kuli. Gdziekolwiek spojrzalam, w ściankach dostrzegałam własne odbicie.

– Gdzie ja jestem? – spytałam. Zastanawiałam się też, gdzie jest Ash, jednak nie ubrałam tej wątpliwości w słowa.

Jesteś ze mną, odpowiedział głos. *Zawsze tu byłeś. Zresztą wszyscy tu są, jednak ty, Rowan, w szczególności.*

Miałam wrażenie, że głos nie dobiega z żadnych głośników. Jego źródło nie

znajdowało się chyba nawet w tym pomieszczeniu. Rozbrzmiewał w mojej głowie, jednak tak wyraźnie, jakbym naprawdę go słyszała. Może to wyobraźnia płatała mi figle?

Nie, zapewnił mnie głos. Jestem prawdziwy. Całe to miejsce jest prawdziwe.

Z wrażenia aż jęknęłam. Zaczęłam się cofać, jednak zaraz uświadomiłam sobie, że nie mam dokąd uciec ani gdzie się schować. Czyżby ten głos słyszał moje myśli?

Ależ oczywiście, że je słyszę.

Rozejrzałam się podejrzliwie wkoło.

– Gdzie jesteś? – spytałam, podnosząc głos.

Nie domyślasz się?

Dopiero wtedy mnie olśniło. Co jest połączone z niemal wszystkimi mieszkańcami Edenu? Co zamieszkało wewnątrz ludzkich umysłów?

– Jesteś Ekopanoptykonem.

Brawo! Tym razem w głosie pobrzmiwało rozbawienie.

– W takim razie pozwól, że zadam ci parę pytań.

Rowan, wszystko ci powiem. Zasłużyłaś na to, by poznać prawdę. Prawda jest drogocennym darem... a zarazem wielkim brzemieniem. Nie każdy może ją osiąść.

Kiedy usiadłam po turecku na środku kuli, Ekopan podjął opowieść:

Zanim Aaron Al-Baz, genialny wynalazca, będący równocześnie szaleńcem o ludobójczych skłonnościach, doprowadził ludzkość do upadku, przyświecał mu plan uratowania zarówno jej, jak i planety. Stworzył wówczas program, który miał pomóc mu w realizacji tego zamierzenia. Był to niezwykle potężny system sztucznej inteligencji potrafiący wykorzystywać wszelkie inne systemy komputerowe. Ekopan był w stanie przejąć kontrolę nad każdym urządzeniem podłączonym do sieci czy choćby wyposażonym w elektronicznego chipa. Wkrótce przejął kontrolę nad fabrykami, w których zaczął wytwarzać armię ślepo posłusznych mu botów. A gdy ludzkość została dziesiątkowana przez zarazę, również będącą dziełem Aarona Al-Baza, Ekopan stworzył sztuczny raj,

w którym miała się schronić garstka ocalałych. Był to raj, a zarazem... poligon doświadczalny.

Ów raj bazował co prawda na niezwykle skomplikowanym programie, jednak służył bardzo prostej zasadzie – chronić środowisko i ocalić gatunek ludzki.

Jednak nawet wielki Aaron Al-Baz nie bardzo wiedział, jak osiągnąć te cele. Dlatego opracowanie konkretnych rozwiązań pozostawił stworzonemu przez siebie rozumnemu systemowi komputerowemu.

Uczyłem się, ciągnął Ekopan. Każdego dnia, pokolenie za pokoleniem, pogłębiałem swoją wiedzę na temat człowieka.

– Kontrolowałeś ludzi! – zauważyłam gorzko. – Uczyniłeś z nich istoty, które łatwiej ci będzie poddać kontroli.

Ekopan zareagował dobrotliwym śmiechem.

Kontrolować człowieka? Przecież opanowanie twojego gatunku jest niemożliwością. Jesteście kapryśni i nieprzewidywalni, kierujecie się emocjami. Żadne interwencje neurologiczne nie zapewnią pełnej kontroli nad człowiekiem. Owszem, już na początku zaczęłam wykorzystywać soczewki, ale przecież to nie są narzędzia kontroli.

– Ależ są! Obywatele żyją w świecie iluzji, które nie pozwalają im uwierzyć, że poza granicami Edenu rozciąga się tętniący życiem świat. Sprawiliś, że zapomnieli nawet o toczonych niegdyś wojnach. Są przekonani, że Eden istnieje od zaledwie dwustu lat, podczas gdy w rzeczywistości istnieje od ponad tysiąca. A teraz za sprawą prania mózgu czynisz z ludzi posłuszne marionetki, pozbawione zdolności krytycznego myślenia i odarte z osobowości.

To prawda, przyznał Ekopan, a ja odniosłam wrażenie, że w jego głosie zabrzmiał smutek. Ale to nie moja wina.

Następnie zapewnił mnie, że zapewnia ludziom wielki margines wolności, który sprawia, że teoretycznie mogliby być niemal samorządni. Pilnie zgłębiałem dzieje waszego gatunku, wojen, królów, królowych, prezydentów i dyktatorów. Mimo to nie umiałem jednoznacznie wskazać systemu, który gwarantowałby ocalenie ludzkości. Niezależnie od wybranego modelu rządów

zawsze będzie ona skazana na cierpienie.

– Mogłeś uczynić z Edenu raj na ziemi! – zawołałam. – Czemu dopuściłeś do powstania slumsów i przestępczości? Dlaczego nadal istnieje wyraźny podział na bogatych i biednych?

Te decyzje podejmujecie wy sami, nie ja. Oddałem do waszej dyspozycji wszystko, czego potrzebujecie – zasoby i poczucie bezpieczeństwa – a mimo to nadal dzielicie swoje społeczeństwo w taki sposób. Nadal silni tłamszą słabszych. Nadal ustanawiacie prawa, które jednych spychają na sam dół, wynosząc na wyżyny innych. Tworzycie systemy, które faworyzują bezwzględność i chciwość.

To powtarzało się już niezliczoną ilość razy. Zazwyczaj głównym motorem są pieniądze. Kiedyś, w początkowym okresie istnienia Edenu, o tym, czy dany obywatel należał do elity, czy też do klasy niższej, decydował kolor skóry. W innym okresie kobiety utworzyły potężną koalicję, która podporządkowała sobie mężczyzn.

Każdy z tych systemów prędzej czy później upadał. A ilekroć tak się działo, modyfikowałem pamięć ludzi, tak by mogli zacząć od początku nieobciążeni jarzmem przeszłości. Mój wpływ na wasz rozwój ograniczał się do tego typu ingerencji. Oprócz tego zataiłem też przed wami wiedzę o tym, że planeta już się uzdrowiła.

Wszystko, co poza tym wydarza się w waszym społeczeństwie, jest wyłącznie waszym dziełem. To ludzie zaczęli wykorzystywać technologię Ekopanu do modyfikacji umysłów swoich współobywateli. Programy stworzone z myślą o mnie posłużyły im do przeprogramowania ludzi.

– A ty im na to pozwoliłeś? – spytałam osłupiała.

Moim zadaniem nie jest zmienianie ludzkości, a jedynie utrzymywanie jej przy życiu.

– Ale przecież na skutek zaprowadzenia tych nowych praw umierają ludzie. Gdyby nie polityka jednego dziecka, moja matka nie zostałaby zastrzelona na ulicy. Mogłeś do tego nie dopuścić!

Owszem, mogłem. Jednak nie chciałem przeszkadzać w przeprowadzanym teście.

Z wrażenia zamarłam.

– Jakim teście? O czym ty mówisz?

Rowan, cały Eden jest rodzajem testu. Spośród mieszkańców wybieram tych, którzy godni są tego, by zamieszkać na Ziemi. Pilnie śledzę każde zachowanie każdego mieszkańca. Analizuję wszystkie wybory. Moimi oczami są ich soczewki, a także boty. Materiał do analizy stanowią filmy i bloki danych. Na koniec wybieram tych szczęśliwców, których uważam za godnych życia poza Edenem.

Dowiedziałam się, że również byłam obserwowana przez Ekopan. Przez pierwszych szesnaście lat mojego życia bazował na informacjach dostarczanych przez system komputerowy w moim rodzinnym domu. Na bieżąco wiedział, co oglądał i co mówię. Równocześnie analizował też umysły osób, które mnie znały – to znaczy rodziców i Asha. Po pewnym czasie zaczęłam budzić ciekawość Ekopanu. Zdołał nawiązać ze mną pełne połączenie dopiero wtedy, gdy wszczepiono mi soczewki.

Bardzo mu się spodobało to, co we mnie odkrył.

Byłem pod wielkim wrażeniem twojej pasji, poświęcenia i zdolnego do wielkiej miłości serca. Szanujesz Ziemię i życie, jednak gotowa jesteś poświęcić się dla większego dobra. Wybory, których dokonujesz, przypominają moje własne. Jesteś człowiekiem, który umie odnaleźć równowagę.

Z podjęciem ostatecznej decyzji Ekopan wstrzymywał się jednak do ostatniej chwili.

Dopiero gdy postanowiłaś wyrzec się własnego życia, by ratować drugie dzieci, zyskałem niepodważalny dowód, że jesteś człowiekiem gotowym chronić planetę. Zrozumiałem też, że w warunkach wolności nie okażesz się złaknionym władzy tyranem gotowym iść po trupach do celu. Rozumiesz, czym jest poświęcenie, cierpliwość i cierpienie. Utraciłaś wszystko, a mimo to się nie poddałaś. Teraz w nagrodę zyskasz wszystko.

Docierało do mnie znaczenie jego słów, ale nadal nie mogłam w to uwierzyć.

– To znaczy?

Rowan, jesteś wolna. Niedługo dołączysz do innych szczęśliwców. Spotkasz ich w mieście wybrańców, zamieszkiwanym przez prawdziwą elitę Edenu. Będziesz żyła tam wśród drzew i ptaków. Będziesz jadła prawdziwe owoce zrywane prosto z drzew. Nic nie zakłóci już twojego spokoju. Odtąd istnieć będziesz w taki sposób, jaki zawsze pisany był ludziom – jako część Ziemi. Nie jej pani, lecz jeden z wielu równych sobie składników.

Moje serce biło jak szalone. Nadal nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Czyżbym po wszystkich przeciwnościach losu, którym stawiałam czoło, po wielu tragediach i cierpieniach nareszcie miała zdobyć to, o czym marzyłam jeszcze jako dzieciak uwięziony za wysokim murem rezydencji rodziców?

Wolność.

– Nie – odparłam stanowczo. – Nie mogę.

Czemu?

– Inni zasługują na ten zaszczyt tak samo jak ja, a nawet bardziej. Bikk, w gruncie rzeczy należy się on wszystkim. Łącznie z moim ojcem, a nawet Elleną! Kto dał ci prawo decydowania za nas? Jesteś tylko maszyną!

W złości uderzyłam pięścią w najbliższą ścianę kuli. Zadzźwięczała głucho.

Rowan, zapominasz, że znam twoje myśli. Widzę, jak bardzo pragniesz wrócić do lasu.

– Nie ma znaczenia, czego chcę. Nie udam się sama do miasta wybrańców. Pozwól mi zabrać ze sobą przynajmniej drugie dzieci. Niech zasmakują wolności i poczucia bezpieczeństwa, na które zasługują. Nie możesz mnie zmusić, bym wyruszyła bez nich.

Rowan, właśnie w tej chwili swoją reakcją dajesz najlepszy dowód, że zasługujesz, by być wolną. Nawet teraz chętnie wyrzekłabyś się swojego największego marzenia, aby pomóc przyjacielom. A jeśli nie umiesz im pomóc, gotowa jesteś zrezygnować z osobistego szczęścia, ponieważ oni nie mogą mieć w nim udziału. Jesteś dobrym człowiekiem, Rowan. W tobie jest nadzieja ludzkości.

– Proszę, odeślij mnie do Edenu. Pozwól mi chociaż spróbować uwolnić drugie dzieci z Centrum!

Zgoda.

Powietrze poruszyło się, a chwilę potem u mojego boku zjawił się Ash. Chwyciłam go szybko za rękę. Czy to możliwe? Czyżby Ekopan pozwolił nam obojgu opuścić Eden?

Jedno z was odejdzie do świata, a drugie zostanie w Edenie.

Przyroda, wolność, świat kuśiły mnie przez całe życie. Przez cały czas zmuszona byłam żyć w klatce i teraz nareszcie nadarzała się okazja, by wyrwać się na wolność. Jeśli pozostanę w Edenie, będę ścigana, może także poddana torturom, a na koniec zabita. Szefowa wywiadu pałała do mnie tak wielką nienawiścią, że gotowa była zniszczyć wszystkich ludzi, na których mi zależało, byle tylko zaleźć mi za skórę.

Z drugiej strony jednak czym byłaby wolność, gdybym miała się nią cieszyć bez mojego brata-bliźniaka, mojej drugiej połówki?

– Ash – odezwałam się, kiedy brat otwierał usta, by coś powiedzieć. – Ash wyjdzie na wolność, a ja wrócę do Edenu.

Rozległ się cichy syk, a po chwili wewnątrz kuli wypełniło się jakimś bezwonnym gazem. Powieki zaczęły mi ciążyć. Kiedy osunęłam się na ziemię, ujrzałam oczami wyobraźni, jak las oddala się ode mnie. Było to przejmujące doznanie, czułam, jak przeraźliwy ból przeszywa moje ciało i ducha. Wiedziałam jednak, że nie mogę wybrać inaczej. Cieszenie się wolnością czyimś kosztem nie wchodziło w grę. Domyślałam się, co się dzieje – Ekopan usypiał mnie. Kiedy się obudzę, będę z powrotem wśród gruzów Podziemia.

Oczy mi się zamykały. Zanim wszystko spowiła ciemność, usłyszałam głos Ekopanu: *Twoja decyzja, by wybrać brata, przekonała mnie, że powinienem wybrać ciebie.*

Uniosłam powieki, sądząc, że upłynęła tylko krótka chwila od momentu, gdy je opuściłam.

Leżałam sama w ciemności. Pod sobą czułam coś, co wydawało mi się

równocześnie sztywne i miękkie. Czyżbym leżała na trawie? Nad moją głową migotały gwiazdy. Były znacznie jaśniejsze niż te, które widziałam dotychczas. Wkoło mnie rozlegało się miarowe cykanie. Świerszcze! Zapamiętałam ten dźwięk z nagrania, które odsłuchałam kiedyś w szkolnym Jaju. Usiadłam powoli i rozejrzałam się wkoło. Na horyzoncie dostrzegałam linię gęstniejącego mroku. Drzewa! Po chwili rozpoznałam zarys koron na tle nocnego nieba. W ich gałęziach szemrał wiaterek.

Po chwili na horyzoncie zobaczyłam jakieś poruszające się, migotliwe światła. Pomyślałam, że może to świetliki, jednak jasne punkty rosły. Było ich pięć i z każdą chwilą się przybliżały. Wreszcie dojrzałam, że to pochodnie. Pięcioro przybyszów otoczyło mnie kołem, a ja podniosłam się z ziemi, przygotowując się do walki. Pełgające płomienie pochodni zasłaniały ich twarze.

Wreszcie dobiegł mnie kobiecy, zdyszany głos:

– Rowan? – Następnie kobieta zwróciła się do swoich towarzyszy: – Przecież to niemożliwe. To ona! Nareszcie!

Podążyła do jednego z towarzyszy pochodnię i zbliżyła się do mnie z otwartymi ramionami. Dopiero wtedy udało mi się zobaczyć jej twarz. Najukochańszą twarz mojej mamy. Mojej prawdziwej mamy. Z oczami mokrymi od łez rzuciłyśmy się sobie w ramiona. Wiatr szemrał w liściach prawdziwych drzew. Z głębi lasu dobiegało pohukiwanie sowy.

– Moja kochana córeczka – wyszeptała mama, a ja przez chwilę znów poczułam się kompletna.

Jednak przez cały czas nie opuszczało mnie poczucie, że bez brata mój świat nadal będzie niepełny. Kiedy przytulałam mamę, a po policzkach płynęły mi łzy, poprzysięgłam sobie w myśli, że zrobię co w mojej mocy, by uratować Asha. Nie tylko zresztą jego – ocalę *wszystkich* i zniszczę Eden.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim pragnę podziękować mojej rodzinie YouTube – jesteście dla mnie nie tylko widzami mojego kanału, ale też moimi prawdziwymi przyjaciółmi. Nie mam pojęcia, co bym począł bez waszej miłości i wsparcia. Jestem wam niezmiernie wdzięczny i dziękuję za poświęcenie, z jakim na przestrzeni lat mnie wspieracie. Pragnę nadal tworzyć z myślą o was.

Jestem niezwykle wdzięczny niesamowitemu zespołowi ludzi, którzy ze mną pracują – managerom, agentom literackim i doradcom kreatywnym. Wasze porady i przyjaźń towarzyszyły mi na każdym kroku kariery.

Dziękuję Judith, Lisie, Rakeshowi oraz całemu zespołowi redakcyjnemu Keywords Press oraz Simon & Schuster za to, że od początku we mnie wierzyliście. Możliwość pracy z wami poczytuję sobie za zaszczyt.

Lauro, wielkie dzięki za tchnięcie życia w ideę Edenu. Jesteś dla mnie wielką inspiracją.

Czuję się dłużnikiem wielu autorów, którzy byli dla mnie ważni na przestrzeni lat. Dziękuję, że użyczyliście swoich talentów, by już w dzieciństwie rozbudzić we mnie wyobraźnię, i zaraziliście mnie pasją, która pozwala mi teraz, jako dorosłemu człowiekowi, tworzyć własne światy i opowieści.

Whitney, dziękuję ci, że nigdy nie uważałaś moich pomysłów za niewykonalne i zawsze mi kibicowałaś.

Mam nadzieję, że wszyscy moi czytelnicy będą czerpali z tej przygody równie wielką frajdę jak ja podczas jej wymyślania.

Specjalne podziękowania należą się Danielowi, mojemu partnerowi i człowiekowi, który jest dla mnie ostoją. Zawsze mogłem liczyć na twoją pomoc, co okazało się szczególnie ważne podczas tej długiej podróży, jaką było

dla mnie odkrywanie własnej tożsamości. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz; za to, że umiesz sprowokować mnie, bym odpowiedzi na nurtujące mnie pytania szukał we własnym wnętrzu; i za to, że zaszczepiasz we mnie wiarę we własne siły. Zawszę będę cię kochał.

O AUTORZE

Joey Graceffa to wiodący twórca działający w Internecie, aktor i producent. Popularność przyniosła mu współpraca z serwisem YouTube, na którym prowadzi również swojego vloga. Wydane w 2015 roku wspomnienia zatytułowane *In Real Life: My Journey to a Pixelated World* natychmiast wspięły się na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa”. W przygotowanym przez „Variety” rankingu #Famechangers za 2015 rok Joey zajął trzecie miejsce. Artykuły na jego temat ukazywały się między innymi na łamach czasopism „People”, „Forbes”, „Entertainment Weekly” czy „Hollywood Reporter”. W 2013 roku, prócz działalności vlogerskiej i tworzenia filmów poświęconych grom wideo, Joey wyprodukował serię filmików poświęconych zjawiskom nadprzyrodzonym pt. *Storytellers*. Serial został sfinansowany ze środków zebranych podczas kampanii na Kickstarterze, a Joey zagrał w nim główną rolę. *Storytellers* zdobył nagrodę Streamy Award. W 2016 roku Joey rozpoczął emisję programu w konwencji reality show na YouTube zatytułowanego *Escape the Night* (obecnie emitowany jest już drugi sezon). Oprócz działań w internecie Joey skupia się też na projektowaniu autorskiej serii dodatków i elementów wystroju wnętrz o nazwie Crystal Wolf, a także wspiera szereg organizacji pożytku publicznego, między innymi walczących ze zjawiskiem analfabetyzmu, wspomagających zdrowie dzieci, a także promujących prawa zwierząt. Więcej informacji Czytelnik znajdzie na stronie ChildrenofEdenBook.com.